

28/1308
JAK BYĆ POLAKIEM W NIEMCZECH?

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK



Nr 1 ROK I • LISTOPAD 1995

INDEKS 33328X ISSN – 1425-3917

CENA 3 zł /30 000 zł

RÓŻEWICZ w Gliwicach

Diagnozy prof. **Henryka MARKIEWICZA**

Proza **KUTZA**

Jacek WÓDZ Górny Śląsk – przyszłość bez przyszłości

KOBIELA kaskader śmieszności

Misja Śląska według księdza **SZRAMKA**





OD KATOWIC DO KATOWIC... Swoje 130-lecie urodzin – licząc od aktu nadania praw miejskich 11 września 1865 roku – Katowice święciły z rozmachem, ale i z myślą o historycznej refleksji nad niezwykłymi dziejami „miasta nad Rawą”. Jeszcze w połowie ubiegłego wieku, jak to ukazuje barwna litografia Ernesta Wilhelma Knippla, wizerunek Katowic daleki był od wyobrażeń miasta. Dawno już nie zostało nic z tamtego sielskiego obrazu. Porównajmy to samo miejsce po 130 latach – zdjęcie lotnicze wykonał Andrzej John.



ŚLĄSK

**MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO -
KULTURALNY**

Nr 1. Rok I. Listopad 1995

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

Redaguje zespół:

TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny

FELIKS NETZ

zastępca redaktora naczelnego

WIESŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji

KRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalny

MARIAN KISIEL
dział krytyki i eseju

JAN. F. LEWANDOWSKI
dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny

MIROSLAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny

EWELINA POŁOŃSKA
korekta

ADRES REDAKCJI:

40-096 Katowice, ul. 3 Maja 7, tel. fax 106-82-71

Czasopismo wspierane finansowo przez:
MINISTERSTWO KULTURY I SZTUKI,
WYDZIAŁ KULTURY URZĘDU WOJEWÓDZKIEGO I URZĄD MIEJSKI W KATOWICACH.

Druk: FIBAK MARQUARD PRESS S.A.
40-084 Katowice, ul. Opolska 22, zam. 3486

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracania korespondencji.

Warunki prenumeraty: - poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” - na terenie całego kraju. Bezpośrednio - w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL - redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO II Oddz. Katowice 27528-746272-136. Prenumerata roczna - 36 zł., półroczna - 18 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza — 3 zł (30.000).

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

W NUMERZE

Tadeusz Kijonka PO PIERWSZE: ŚLĄSK	2
Seamus Heaney LITERACKI NOBEL '95	3
RÓŻEWICZ W GLIWICACH	4
Tadeusz Kijonka CZAS ZAPISANY	7
Rozmowa z prof. Henrykiem Markiewiczem O LITERATURZE, LITERATACH I BADANIACH LITERACKICH	8
Kazimierz Kutz CHŁOPCY (fragment powieści)	11
Rozmowa z Kazimierzem Kutzem NIGDY NIE BYŁEM TAK ZAPRACOWANY	16
Maria Korusiewicz WIERSZE	17
Maciej Siembieda ROK W GRONOSTAJACH	18
Julian Kornhauser WIERSZE	21
Krzysztof Karwat ŚCIEŻKI I BEZDROŻA	22
Emil Szramek ŚLĄSK JAKO PROBLEM SOCJOLOGICZNY	24
Piotr Greiner INSPIRACJA DLA HISTORYKA	28
Michał Smolorz PO 60 LATACH	28
Jan Rzymelka BEZ UNIESIEN	28
Marek S. Szczepański W NAROŻNIKU EUROPY	29
Jacek Wódz GÓRNY ŚLĄSK - CZY PRZYSZŁOŚĆ BEZ PRZYSZŁOŚCI?	31
Janusz Styczeń WIERSZE	35
Krzysztof Karwat JAK BYĆ POLAKIEM W NIEMCZECH?	36
Barbara Poremba-Wolkowa ŚLĄSKIE NEKROPOLIE	40
Antoni Halor PEJZAŻ MITOLOGICZNY	44
Rozmowa z Aleksandrem Widerą WYROK ZAPADŁ ZAOCZNIE	45
Maciej M. Szczawiński BOBEK, CZYLI KASKADER ŚMIESZNOŚCI	47
Magdalena Dziadek CZWARTA GENERACJA	51
Edmund Wojnarowski OPOWIADANIA CORAZ KRÓTSZE	54
Juliusz Wątroba AFORYZMY	54
Michał Smolorz POD OSTRYM KĄTEM	55
Wiesława Konopelska-FENOMEN ISTNIENIA	56
Stanisław Gębała WEJŚCIE W KRAJ	58
Marian Kisiel STARTY I FALSTARTY	61
KSIAŻKA „ŚLĄSKA”: F. Netz: „Urodzony w Święto Zmarłych”	62
Seweryn A. Wisłocki „CHWILO ROZPADU TRWAJ, JESTEŚ PIĘKNA”	64
Anna Rusnok SZTUKA POLAKÓW Z ZAOLZIA W PRADZE	65
Karol Bula SKROWACZEWSKI W KATOWICACH PO LATACH	66
RECENZJE TEATRALNE	67
KSIAŻKI Recenzje. Noty. Nowości. Przegląd prasy	68
NOTATNIK KULTURALNY Katowice. Bielsko. Opole. Zaolzie	74
Wojciech Janota GLOSSY GÓRNOŚLĄSKIE	79
INTYMNE CIEPŁO (O malarstwie Olgierda Bierwiaczonka)	80
Katarzyna Młynarczyk ZACHWYT I NIEPOKÓJ	80

W KOLORZE:

ANDRZEJ KREÜTZ MAJEWSKI - wystawa w katowickiej Galerii Sztuki Współczesnej BWA	(str. A i B)
OLGIERD BIERWIAZONEK - Malarstwo. Z wystawy w Muzeum Śląskim	(str. C)
Plastyka zaolziańska	(str. C)
MAREK PRZYBYŁA - Collages	(str. D)

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE: Bogdan Kułakowski

Przekazując w ręce Czytelników pierwszy numer miesięcznika „ŚLĄSK” wyrażamy wdzięczność za finansowe wsparcie Ministerstwu Kultury i Sztuki, wojewodzie katowickiemu Eugeniuszowi Ciszakowi oraz władzom Katowic, zwłaszcza prezydentowi Henrykowi Dziewiorowi i wiceprezydentowi Michałowi Sablikowi, dzięki którym redakcja dysponuje lokalem w centrum miasta. Dla realizacji tego przedsięwzięcia wiele znacząco poparcie idei czasopisma „ŚLĄSK” przez panią minister Barbarę Błidę, przewodniczącą Sejmiku Samorządowego Województwa Katowickiego Janusza Frąckowiaka i przewodniczącą Rady Miejskiej Katowic Franciszka Kotulskiego. Wyrażając serdeczną wdzięczność, żywymy nadzieję, iż także w przyszłości będziemy mogli liczyć na zrozumienie i pomoc.

A jednak pismo stało się faktem, choć można było już zwątpić, czy realne jest powołanie na Śląsku czasopisma społeczno-kulturalnego... i to ogarniającego swoim zasięgiem nie tylko macierzyste województwo, lecz także regiony sąsiednie. Brak podobnego tytułu, a więc pisma o szerokim profilu ukazującego życie kulturalne i artystyczne Górnego Śląska, lecz prezentującego także istotne dla stanu psychoz zbiorowych i niepokojów obserwacje i diagnozy społeczne — brak takiego tytułu był przez te wszystkie lata oczywisty, choć i niezrozumiały.

Nie, nie wszystko da się wyjaśnić stanem jaki nastąpił po rozpadzie PRL i procesami towarzyszącymi transformacji państwa. Pełna wolność nie może być równoznaczna z uwolnieniem władzy od odpowiedzialności za te sfery życia, które — jak kultura i sztuka — nie mogą być poddane grze reguł wolnego rynku. A przecież województwo katowickie to region zamieszkały przez blisko 4 miliony ludzi, społecznie wyjątkowo skomplikowany i podatny na wielorakie napięcia, raz po raz grożące zbiorowymi wybuchami. I ten właśnie obszar, gdzie narastające od lat nadużycia i zaniedbania w sferze kultury doprowadziły do wyniszczenia wielu twórczych zasobów oraz rozpadu środowiskowych więzi... ten obszar przez pięć lat nie mógł zdobyć się na własne czasopismo społeczno-kulturalne.

Nieprawdą jest, że nie było to możliwe. Niestety, zbyt wiele energii i środków zmarnowano by dać upust doraźnym interesom, rozliczeniowym porachunkom i utopijnym koncepcjom. Straty społeczne i kulturowe poniesione z braku takiego czasopisma są więc ogromne i nikt nie zbilansuje już zmarnowanych szans skoro wiele ważnych faktów, zjawisk i twórczych inicjatyw skazanych zostało na degradację i niepamięć. Fatalna tradycja towarzysząca dziejom prasy kulturalnej na Śląsku i tym razem — w warunkach pełnej wolności i podmiotowości kultury! — znów dała znać o sobie.

Historia kolejnych tytułów pism społeczno-kulturalnych na Śląsku po roku 1945 to także historia ich nagłych likwidacji bez względu na następstwa. Tu dobra kultury zawsze unicestwiano łatwo, zaś dziarskich ochotników do spustoszeń i grabieży nie brakowało nigdy. Zgon katowickiej „Odry” — czolowego tygodnika kulturalnego po wojnie miał formę politycznej egzekucji... A dzieje popaździernikowego tygodnika „Przemiany”, pisma wielkiego formatu, które padły z podobnego wyroku dosłownie z dnia na dzień tak, iż nawet na godne pożegnanie Czytelników nie starczyło miejsca. Wychodzące od roku 1962 przez lat dwadzieścia, zasłużone i dobrze wspominane „Poglądy”, działające przecież w warunkach szczególnych ograniczeń, nie przetrwały z kolei stanu wojennego.

Ostatni tytuł, wysokonakładowy tygodnik „Tak i Nie” oraz związany z nim ceniony kwartalnik artystyczny „Tak i Nie-Śląsk” popadł w fazę gwałtownej agonii w wyniku fatalnej ustawy o likwidacji concernu RSW PRASA. Ten moloż musiał runąć, ale czy takim kosztem?... W efekcie tej ustawy, uchwalonej w klimacie politycznego odwetu — polski rynek prasy — co było do przewidzenia — stał się w 70 procentach własnością obcego kapitału. Doszło tedy do „kontrolowanej grabieży” przede wszystkim wielkich dzienników oraz innych intratnych tytułów. Nie było natomiast chętnych na przecięcie bogatego zestawu czasopism społeczno-kulturalnych, w tym także zasłużonych, poczytnych tygodników.

Niezależnie od okoliczności i czasu sytuacja jednak ta sama: likwidacja nagła — i długie lata wyrwy, by z wielkim mozołem tworzyć od podstaw czasopismo nowe.

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Śląsk” mógł pojawić się już w roku 1993, gdyby wiarygodne okazały się wcześniejsze deklaracje wsparcia tej inicjatywy. Ubiegające się energicznie o wydawanie czasopisma pod tym tytułem Górnośląskie

po pierwsze: ŚLĄSK

Towarzystwo Literackie w Katowicach od początku miało wizję pisma reprezentatywnego dla życia kulturalnego i umysłowego nie tylko macierzystego regionu, a przy tym niezależnego, nie związanego z żadną organizacją i układem politycznym.

Stowarzyszenie to zawiązane mocą zbiorowej decyzji 19 grudnia 1992 roku, w stulecie utworzonej na Śląsku organizacji społeczno-literackiej o tej nazwie, które już 5 lutego 1993 roku doprowadziło do swej rejestracji i wkrótce dokonało wyboru władz, równocześnie podjęło intensywne starania o uzyskanie praw do obecnego tytułu, finalizując je 2 czerwca decyzją Sądu Wojewódzkiego w Warszawie. Tamten pierwszy impet organizacyjny i programowy nie został jednak uwieczniony powołaniem pisma jeszcze w tym samym roku. Kto nie dotrzymał przyrzeczeń — nie ma teraz potrzeby wspominać.

Idea powołania Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego wyrastała z klimatu sprzyjającego inicjatywom regionalnym, samorządowym a także z woli przezwyciężenia konfliktów i podziałów w miejscowym życiu literackim (bardzo świeżej daty), których destrukcyjny charakter miał wpływ na poczucie zbiorowej niemocy. I oto GTL stał się wkrótce największą organizacją społeczno-literacką w kraju, skupiającą pisarzy i ludzi pióra z całego Górnego Śląska (rychło utworzono Koła Opolskie, Bielskie i Cieszyńsko-Zaolziańskie). Powstały więc warunki do powołania czasopisma integrującego życie kulturalne tego obszaru, służącego współpracy i rozwojowi kontaktów ponad granicami regionów, czasopisma o szerokim zasięgu oraz ambicjach respektujących kryteria ogólnopolskich wartości. Od początku zakładano iż czasopismo to, choć silnie zakorzenione w życiu regionu, nie ma kontynuować modelu kultury wojewódzkiej oraz tradycji tak zawężonego myślenia, lecz ogarnąć znacznie szersze obszary zjawisk a także odtwarzać i ożywiać dawne więzi kulturalne, nie ograniczone zresztą do granic kraju. Sam wybór tytułu jest deklaracją programową. Zawiera się w nim wizja pisma całego Śląska, wychodzącego na Śląsku i reprezentującego Śląsk, w tym jego niepowtarzalną problematykę i miejsce w ogólnopolskiej kulturze.

Droga do powołania tego tytułu okazała się niestety długa i pełna przeszkód... Droga długa — za to pierwszy numer musiał zostać przygotowany w czasie niespełna miesiąca, a przecież obejmuje on swoim zasięgiem obszar od Krakowa - po Wrocław, w przeszłości szczególnie żywych więzi i kontaktów kulturalnych... co niech także zostanie uznane za dowód programowej konsekwencji.

Najważniejsze niewątpliwie jest i będzie przykazanie główne pisma: po pierwsze — Śląsk... I myślę, że nie zdarzy nam się grzeszyć przeciw niemu, choć nie zawsze nasze diagnozy i opinie zostaną uznane za słuszne. Ale i o to także chodzi: o szeroki, społeczny dialog i spory w słusznej sprawie.

A więc po pierwsze — Śląsk... z punktu widzenia polskiej racji stanu. Z tych jednakże pozycji, które nawiązują do tego, co wartościowe i godne podjęcia w wielokulturowej tradycji macierzystego obszaru, lecz nie za cenę mistyfikowania historii, fałszywego ekumenizmu i doraźnych usług. Jeśli bowiem należy dążyć do utrwalania tego co wzbogaca i łączy a może stać się tradycją pozytywną, to jednak nie na warunkach rezygnacji z doświadczeń i argumentów ważnych dla polskiej racji stanu.

Miesięcznik „Śląsk” jest z założenia pismem społeczno-kulturalnym, choć ten model czasopism przechodzi obecnie kryzys (także w wyniku następstw ustawy o likwidacji RSW PRASA). Od początku również zakładano, iż ma to być tytuł prezentujący wysoki poziom poligraficzny, dysponujący przy tym warunkami do atrakcyjnego prezentowania sztuk plastycznych w kolorze, tak aby czasopismo to mogło spełniać rozległe funkcje w stosunku do oczekiwani wszystkich środowisk artystycznych i twórczych, jako jedyne miejscowe pismo o tym profilu.

Wiele miejsca w ogładzie „Śląska” zajmą problemy społeczne, wynikające z obserwacji procesów, napięć i zagrożeń na tym szczególnie zapalnym, zdeintegrowanym obszarze. „Śląsk” ma jednak przede wszystkim promować i rejestrować fakty i zjawiska ze wszystkich dziedzin kultury i życia artystycznego, skupiając najlepsze pióra i warsztaty badawcze głównie macierzystego regionu. Wiele uwagi redakcja poświęci prezentacji dorobku młodych i najmłodszych twórców odczuwających brak odpowiedniego miejsca do autorskich wypowiedzi. Pismo powinno z czasem stać się także instrumentem kontaktów i współpracy z tymi środowiskami, które wiąże z tym obszarem sytuacja historycznego i kulturowego pogranicza, a więc z kulturą czeską i niemiecką.

Tak wiele zadań, choć środki ograniczone a i zespół nieliczny, złożony z osób godzących nowe powinności z dotychczasowymi obowiązkami zawodowymi. Oby tylko starczyło mądrego mecenatu, by tworzone od podstaw pismo, mogło się rozwinąć i zyskać w miarę stabilny byt.

Pierwszy numer „Śląska”, który oddajemy w ręce Czytelników, jest oczywiście wstępną propozycją tego, co redakcja zamierza i deklaruje w swoim widzeniu zadań pisma powołanego by integrować, tworzyć pomosty, stymulować fakty twórcze i kreować szczególnie cenne dokonania. „Śląsk” chce być otwarty na wszystko i wszystkich, którym bliska jest troska o stan kultury i życia duchowego tej ziemi a także świadomość potrzeby tworzenia nowego ładu godnego współzycia, gdy tyle działań antagonizujących i złowrogich manipulacji przy użyciu szczególnie nośnych mediów.

Każde pismo tworzy się i formuje w czasie, nim wyłoni się jego czytelny wizerunek. Czy jednak czas ten będzie nam dany, czy starczy nam wytrwałości by pozyskiwać sojuszników, tak aby „Śląsk” na Śląsku mógł stać się instytucją służącą wyklęwym diagnozom i rzeczowej wymianie myśli, zaś wiedza o nim — jakże często zawężona do schematów i uproszczonych ocen — zyskała wiarygodny, ogólnopolski rezonans.

Wiele zależy od nas — ale i od Czytelników, do których chcemy docierać, by podjąć wytrwały dialog. Jeśli pozyskamy stałą uwagę czytającego Śląska — pismo może stać się tym instrumentem, którym być pragnie, w służbie nie tylko kultury.

TADEUSZ KIJONKA

Literacki Nobel'95

SEAMUS HEANEY

Uzasadnienie, jakie w takich razach wygłasza przedstawiciel królewskiej Szwedzkiej Akademii, brzmi: „*Za utwory piękne poetycko i głęboko etyczne, opiewające cuda codzienności i żywą przeszłość*”. Ta zwyczajowa formuła tym razem oddaje istotę rzeczy. Seamus Heaney urodzony w roku 1939 w irlandzkiej wsi, w rodzinie katolickiej (ośmioro rodzeństwa), z wykształcenia anglista ze specjalnym przygotowaniem dydaktycznym, w swoich pierwszych tomikach rzeczywiście opiewa „cuda codzienności”. Wiersze z tamtych lat są jak rytu w metalu obrazy pracy, krajobrazu małej ojczyzny i wizerunki rodziców, wujów, dziadków, ludzi zapamiętanych z dzieciństwa. Konkret i wizja. Sprawy powszednie urastające do rangi mitu. W werdykcie królewskiej Szwedzkiej Akademii powiedziano także, iż Seamus Heaney opiewał „żywą przeszłość”. Można się domyśleć, że mowa tu o wielkim cyklu poetyckim o „ludziach z bagien”, którym poeta poświęcił tom „North” (Północ). Jest to swoisty traktat moralny, wywiedziony z medytacji nad ludźmi z bagien — znalezionymi w duńskich bagnach, zabalsamowanych w błocie, szczątkach ludzi sprzed dwóch tysięcy lat.

Seamus Heaney — Irlandczyk — nie mógł nie napisać tekstów bezpośrednio odnoszących się i do katolickiego ruchu walki o prawa obywatelskie i do działalności IRA, a jednak nie włączył ich do swoich zbiorów. Znalazły się w nich wiersze (jak słynna „Ofiara”), które mówią o irlandzkim dramacie, skupiają się na pojedynczym człowieku, na osobie ludzkiej.

Seamus Heaney jest wybitnym poetą języka angielskiego, ale w swojej istocie, w odczuciu żywiołu życia, natury, ziemi, ludzkiego codziennego mozołu — jest poetą irlandzkim, wyrosłym na tej samej glebie, co jego wielki poprzednik, także Noblista — William Butler Yeats. O Heaneyu mówi się, że jest „największy po Yeatsie”. To tak — dodaje Stanisław Barańczak — jakby o polskim poecie powiedzieć: największy po Mickiewiczu. W chwili ogłoszenia werdyktu królewskiej Akademii, w księgarniach amerykańskich ukazały się „Treny Jana Kochanowskiego” w przekładzie Stanisława Barańczaka i Seamusa Heaneya. To ktoś nam bliski.

OZNAKOWANIA

I

*Tak wytyczaliśmy boisko: cztery marynarki na cztery
Słupki. I już. Linie boczne i linie bramek
Były jak długość i szerokość geograficzna
Pod wyboistym, porośłym ostem ugorem,
Abyśmy się spierali, kiedy nadszedł czas,
Czy to aut czy korner. Potem podział na drużyny:
Nasze wywoływane imiona wytyczały linię między nami.*

*Chłopacy na polu darli się ze wszystkich sił,
I chociaż dzień się kończył, oni ciągle grali,
Albowiem grali już we własnych głowach,
I piłka kopnięta na jawie, powracała do nich
Ciężka od snu, a ciężar ich własnych oddechów
W zapadającym zmroku, i wślizgi na trawie,
To były dla nich popisy zgoła nie z tej ziemi...
Ta gra, uporczywa i szybka, nie potrzebowała
Wyniku. Została przekroczona pewna granica.
I była jakaś lotność i nieustępliwość
W tym nad-czasie nieprzewidzianym i wolnym.*

II

*Lubiłeś także linie wytyczone w ogrodzie,
Szpadel nacinający pierwszą prostą krawędź wzdłuż
Białego, napiętego sznura. Albo sznur rozciągnięty
Idealnie, by wytyczyć zarys fundamentu domu.
Błade drewno desek pochyłonych pod właściwym
Kątem w każdym rogu, i każdą świeżo odpilowaną
Tarcicę, czystą jak łąka, w dziwnie biernej trawie.
Albo wyimaginowaną linię biegnącą w dół
Pastwiska, aby je, odrzucając pierwszą skibę,
Otworzyć od palika białego w jeden kraniec
Do palika białego w drugi.*

III

*Wszystkie te rzeczy wchodziły w ciebie,
jakby to były drzwi i zarazem to, co przez nie przechodzi.
Wytyczały miejsce, oznaczały czas stale otwarty.
Kosiarz rozdzielał spiżowe morze owsa.
Kołowrót wydobywał z wody jej istotę.
Dwóch mężczyzn z piłą płynęło w głęb
Zwalonego buka, tam i z powrotem, tam i z powrotem.
I wyglądało to tak, jakby wprawiali w ruch solidną ziemię.*

Przełożył: FELIKS NETZ

RÓŻEWICZ w Gliwicach

W IMIENIU
RADY MIEJSKIEJ GLIWIC
— RADNY ALEKSANDER CHŁOPEK

Szczęśliwy naród, który ma poetę i w trudach swoich nie kroczy w milczeniu — tak witał młodego poetę w 1945 roku. Czesław Miłosz w wierszu „Do Tadeusza Różewicza, poety”.

Pierwszy tomik Tadeusza Różewicza „Echa leśne” ukazuje się w 1944 roku i jest holdem złożonym towarzyszom broni z partyzanckiego oddziału AK. Doświadczenia wojny zaciągają na twórczości pisarza w sposób bardzo istotny. Jak wszyscy z tego pokolenia, tzw. pokolenia Kolumbów, dostrzegł w wojnie nie tylko heroizm — dostrzegł także zło. Zło, które niszczy moralnie wszystkich — zwycięzców i zwyciężonych. Dlatego wie, że problemem najważniejszym, z którym naród musi się po latach walki i okupacji uporać jest „rekonstrukcja człowieka”, powrót do prawd pierwotnych, jednoznacznych. Cały kraj usłyszy wówczas w 1945 roku dramatyczne wołanie poety:

„Szukam nauczyciela i mistrza
niech przywróci mi wzrok słuch i mowę
niech jeszcze raz nazwie rzeczy i pojęcia
niech oddzieli światło od ciemności”

(„Ocalony”)

Tak, nie mylił się Miłosz: „Szczeniwy naród, który ma poetę i w trudach swoich nie kroczy w milczeniu”

Tymczasem jest koniec lat 40., nadchodzą czasy, w których naród ma coraz mniej do powiedzenia. I Różewicza się już nie drukuje. Wspomina o tym po latach: „... zaczęli się zajmować ocenianiem i wycenianiem moich wyrobów literackich. A byli to rzeczoznawcy bezwzględni i pełni »świętego zapatu«. Żeby nie brać udziału w dyskusjach i sekcjach literackich, wyniosłem się z Krakowa...”

I tak zaczyna się gliwicki epizod poety. Epizod, który będzie trwać prawie 20 lat. Mieszka Różewicz przy ul. Zygmunta Starego, pod numerem 28. Pracuje, tworzy, cieszy się życiem rodzinnym. Jest częstym gościem Muzeum, Palmiarni... Spotyka się go z synami na długich spacerach poza miasto. Jedną z takich wycieczek utrwalił w opowiadaniu „Niedzielny spacer za miasto”: „Przeszliśmy kawałek ulicą, koło kina »Jutrzenka«, a potem dróżką koło cmentarza. Przed nami leżały pola. (...) Jak zawsze szliśmy w stronę strumyka”. I wzruszające zakończenie: „Wchodziliśmy po schodach. Stanęliśmy przed drzwiami.

Zadzwoniłem. Otworzyła nam babcia. W przedpokoju pachniało rosołem i gotowaną włoszczyzną. Podobnie jak u mnie w domu przed wojną”.

Gliwice mogły się stać drugim domem. Tutaj powstają jedne z najwybitniejszych utworów poety: słynna „Kartoteka”, wiersze z tomu „Twarz trzecia”. Tutaj, nad Kłodnicą, mitologicznym Acheronem, rozstrzygają się dla poety sprawy ostateczne. Znajome nam ulice, domy wchodzą na trwale do polskiej literatury (...)

Tymczasem miasto nie bardzo wiedziało, a może nie chciało wiedzieć, że ma poetę. O spędzonych tu latach notuje we wspomnieniach: „Jak i z czego żyłem? Nie, nie były to ani ciekawe, ani wesołe historie”. Tylko grupa młodych ludzi skupiła się wokół Mistrza: Woj-

tek Pszoniak, Piotr Lachman, aktorzy ze studenckich teatrów STG i „Step”. To wśród nich czuje się Różewicz chyba najlepiej (...)

W roku 1968 opuszcza Gliwicę. Osamotniony, nie zatrzymywany. Zostają przyjaciele, którzy nie zapomnieli. I zostaje poezja. I nie opuszcza już naszego miasta. Żyje w wierszach Piotra Lachmana, Adama Zagajewskiego, Juliana Kornhausera i wielu, wielu innych — tych, którzy skupili się w 1978 roku wokół Gliwickiej Grupy Literackiej i tych najmłodszych (...)

To nie przypadek, że od Pańskich czasów tak gęsto w Gliwicach od poetów. Wszystkim naszym poczynaniom towarzyszyła pamięć o Pańskiej Wielkiej Obecności. Zmienił Pan to miasto. Już na zawsze. I za to jesteśmy wdzięczni.

(skrót — od redakcji)

Przewodniczący Rady Miejskiej dr inż. Tadeusz Grabowiecki, wręcza Tadeuszowi Różewiczowi dyplom Honorowego Obywatela Gliwic oraz wybitą z tej okazji medal — dzieło prof. Krzysztofa Nitscha. Zdjęcie z uroczystości — Jan Suchan.





IV

Śnieg kołował nad czarnym miastem
leży na hałdach senny biały ptak
Cisza jest w naszym domu
w ciszy żona się śmieje
jej śmiech wypełnia ciszę
tak drogo okupioną

Koroną złotych włosów błyska
rękę przyciska do piersi Słyszę jej głos
„Dwa serca teraz biją we mnie”

Słyszę jej głos Słyszę jej śmiech
szczęśliwy śmiech w tej ciszy

(końcowy fragment wiersza:
„W ciszy tak drogo okupionej”)

Z tomu: „Czas który idzie”
(wiersze z roku 1950)

Z żoną Wiesławą.
Zdjęcie
z pierwszych lat gliwickich.
(z domowych zbiorów Poety).

„Oczywiście wkład Żony
w budowanie Gliwic
był dużo większy
od mojego”.

Z żoną Wiesławą obecną
podczas uroczystości:



ACHERON W SAMO POŁUDNIE

A

Ciesząc się dobrym zdrowiem
odwiedziłem brzegi Acheronu

szedłem chyba pół godziny
w kierunku dworca kolejowego
minąłem piekarnię
urząd pocztowy
obok budki z piwem
stali mężczyźni
w przybrudzonych koszulach

spłynęły zeszłoroczne śniegi
gazety były białe
pozbawione liter i tytułów
czy pan lubi śpiew uliczny
— zwrócił się do mnie nagle
jakiś nieznajomy —
ja bardzo lubię kiedy ktoś śpiewa
Przy dźwiękach katarynki
w chłodny ciemny i wilgotny wieczór
jesienny

Katarynka?
jesienny wieczór?
to był jakiś student
Lachman Pszoniak może Raskolnikow
Dejka Władek Karbowicz

zaraz będzie kino Bajka
i zakład pogrzebowy
chodzę dwadzieścia lat
tymi ulicami
mleczne szyby proste litery
wieńce karawany
trumny trumienki
trumienki?

to chyba żart
jakiegoś optymisty

idąc wzdłuż tych murów
kończyłem
czterdziesty piąty rok życia

serce moje było normalnie
była godzina dwunasta
kiedy stanąłem
nad brzegiem kanału

w strugach deszczu
na czarnym błocie
rozkładały skrzydła
bielinki i żałobniki

we wodzie tłustej czarnej
pływały nimfy
igrały jednorożce
fałowały białe wieloryby
oddychały różowe gąbki płuc
widać było serce
żołądek
i macię

w restauracji III kategorii
pryszczaty wyrostek
ogryzał paznokcie
rozgniatał na szybie muchy
chrzęst

nad martwą
zaropiałą wodą
szły do stołu pańskiego
dziewczynki
w zielonych wiankach

(z części I poematu)

NA DOBRE I ZŁE ZAWSZE Z WAMI

Wystąpienie Tadeusza Różewicza



Szanowni Panowie Radni, Panie Prezydencie miasta, Miłe Panie i Drodzy Panowie...

Bardzo proszę z łaski swojej na razie nie podsuwać tych... mikrofonów. Chciałbym wszystkich przemawiających przeprosić, że nie z wszystkimi się całowałem, było ich tak wielu... ale w osobie Pani Dyrektorki Muzeum symbolicznie również jej poprzedników... ucałowałem (śmiech, oklaski).

... Skąd się wziąłem w Gliwicach? Bo skąd się wziąłem w Radomsku, o tym wiedzieli moi rodzice, bo tam się urodziłem w roku 1921, 9 października i wolnym krokiem zbliżam się właśnie do moich urodzin. Jest mi bardzo miło, że dni poprzedzające te urodziny mogę spędzić w jednym z moich bliskich miast. Bliskich mojemu sercu.

Więc skąd się wziąłem w Gliwicach? Otóż zamieszkała tutaj zaraz po wojnie, moja żona z grupą dawnych działaczy, konspiratorów z Armii Krajowej. Oni się tu z różnych powodów przenieśli, organizowali m.in. Czerwony Krzyż, był wśród nich także pan Jan Rozkoszny. Nie wiem czy jest tu na sali. No i jako pracownica Czerwonego Krzyża otrzymała mieszkanie. Oczywiście wkład żony w budowanie Gliwic był dużo większy od mojego. Potem po kilku miesiącach pracy w Czerwonym Krzyżu przeszła do pracy w Politechnice Śląskiej, która się organizowała i rozbudowywała...

Politechnika, w której pracowało wielu sławnych profesorów Politechniki Łwowskiej... Pamiętam, że w rozmowach z żoną ciągle słyszałem takie nazwiska jak profesor Fryze, prof. Joszt i wiele innych. Były to takie czasy, że profesora Fryzego widywano jak gdzieś koło „Ptasiej dzielnicy” z krową rano na postrońku chodził i dzięki temu miał świeże mleko dla siebie i dla rodziny (śmiech).

Były to też takie czasy, kiedy nocami słysząc byłych krzyki i strzały na ulicach; kiedy po trybach, piwnicach, na podwórkach leżały książki, książki z bibliotek niemieckich. Mam trochę tych książek. Były to prezenty od mojej żony. Książki Tomasza Manna, Dostojewskiego, Nietzschego.

Ja sam dojeżdżałem wtedy z Krakowa. Byłem studentem historii sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jechało się z Krakowa ciężarówką, dojeżdżało się do Katowic, tam przesiadało na jakiś tramwaj. Jechało się na Chorzów, na Rudę Śląską, tam gdzie w Zabrze znów się przesiadało, potem na dworcach, w Gliwicach, do tramwaju no i zajeżdżało się już prosto pod „rezydencję”.

Były to lata niełatwe, nie tylko w życiu moim i mojej rodziny, ale w życiu całego społeczeń-

stwa, mieszkańców Gliwic. Była to społeczność bardzo złożona: Ślązacy, rodowici Ślązacy, Niemcy, Polacy, napływowa masa ludzi ze wschodnich kresów Polski, ale także z Polski centralnej. To był tygiel. Tygiel narodów. Z moich kolegów znalazło się tutaj na Politechnice dwóch z naszego dawnego gimnazjum w Radomsku im. Feliksa Fabianiego. To był architekt Mirek Gosławski — nie wiem, nie ma go tutaj na pewno na sali i był inż. Ryszard Pełka, który po latach przeniósł się do Warszawy.

Krąg moich przyjaciół potem rozszerzył się o młodzież Politechniki Śląskiej, która właśnie tworzyła jakieś swoje studenckie teatryki. Przychodzili do mnie Piotr Lachman z jakimś uroczym kolegą, którego nazwiska nie pamiętam, Jan Klemens, przychodził Wojtek Pszoniak, Andrzej Barański, przychodziły ich koleżanki. Pamiętam jeszcze nazwisko bardzo przystojnego chłopca, to był Wiesław Dejka i wielu innych...

Ale moje znajomości i przyjaźnie, to było inne koło a przyjaźnie mojej żony — inne koło. Ona miała swoje koleżanki bardzo bliskie sercu, koleżanki z pracy. Te jej przyjaźnie przetrwały do dnia dzisiejszego, wiem że wymieniają z sobą listy, ale swoje przyjaźnie miała również moja teściowa. Z sąsiadkami z pobliskich domów, z podwórka, z ulicy.

Mieliśmy przyjaciół bardzo bliskich z ludności śląskiej, miejscowej. Pamiętam nazwisko Chroboków... tak, Chroboków... Przede wszystkim z wielką sympatią wspominam Hajoków; to był ślusarz z zawodu. Odstąpili nam kilka grządek na swojej działce, w ogródku działkowym na „Ptasiej dzielnicy”. Byli to sąsiedzi z tego samego właśnie domu, z wietrzyczką.

Perspektywa z moich okien otwierała się na jakieś składy wojskowe. Za murem widziałem komin, bodaj piekarni. Po drugiej stronie rosły jakieś brzoźki, dalej trochę był szpital wojskowy. Za szpitalem jakiś dzieciniec, sierociniec, a potem zaczynało się już „wielkie miasto”.

Kino „Bajka”. Ja raczej chodziłem do kina „Apollo” i do kina „Potęga”, które było chyba jednym z najmniejszych kin w Polsce. W ogóle nazywało się i Mikrus i Potęga (śmiech).

Tu w Gliwicach powstały pierwsze moje sztuki teatralne, wśród nich „Kartoteka”, „Spaghetti i miecz”, „Świadkowie albo Nasza Mała stabilizacja”, „Stara kobieta wysiaduje”. Kontakty z szerokim światem były utrudnione. Jeździć na premiery do Warszawy lub Krakowa, nie było łatwo. Z rozmaitych powodów.

Później otwarto Operetkę. Nigdy nie byłem entuzjastą operetki, ale słyszałem, że były tam gwiazdy dużego kalibru. Pamiętam tylko moje rozmowy ze scenografem Jerzym Kłosowskim. Byłem tylko raz w Operetce, na „Baronie Cyganków”.

Na spacerach chodziło się na Wójtową Wieś, w stronę kościoła św. Antoniego, koło cmentarza. I dalej już w pola, aż do tzw. Grobu Niemieckiego Żołnierza. Był tam daleko, w polach, taki bezimienny grób z krzyżykami bez żadnego nazwiska, na nim wisiał jakiś dziurawy hełm niemiecki. O tym grobie napisałem kiedyś mały wiersz. To była taka „grаницa” spacerów.

Środowisko literackie, śląskie w samych Gliwicach było bardzo skromne. Była (pamiętam) pani Maria Rosińska, która pisała wiersze i bajki dla dzieci. Utrzymywałem bardzo luźne stosunki ze środowiskiem katowickim z rozmaitych względów, o których teraz tu nie będę mówił; najbliższym był mi krytyk, bohemista Zdzisław Hierowski. Właściwie nasza znajomość zamieniła się już pod koniec jego życia w przyjaźń. Została korespondencja. Przychodził też do nas do domu taki młody, różowy, przystojny chłopiec, nazywał się Tadeusz Kijonka. Bardzo sympatyczny, rumieńce miał piękne (śmiech).

Sympatyzowałem też z Janem Pierzchałą. W Katowicach bywałem rzadko. Należałem do oddziału Związku Literatów w Krakowie. Był to jakiś zabieg, trochę higieniczny, bo umożliwiał mi nie branie udziału w zebraniach związku w tamtych latach, stalinowskich. Te zebrania były bardzo nieprzyjemne, składały się z rozmaitych samokrytyk, sekcji twórczych i temu podobnych. Dzięki azylowi w Gliwicach unikałem tego typu „przyjemności”. Spot-

kalem się też z sympatycznym, utalentowanym Andrzejem Wydrzyńskim i raz z Aleksandrem Widerą, z którym zrobiliśmy bodaj rozmowę dla radia. To chyba byłoby już wszystko. Reszta tych tajemnic, nie „tajemnic”, jest częściowo w liście Zdzisława Hierowskiego, które zamierzam przekazać Tadeuszowi Kijonce.

Proszę Państwa, nie chciałbym na Waszych oczach zamienić się w gawędziarza, wujaszka, który będzie opowiadał całe swoje życie. Ale różnie bywało, bywało ciężko, bywało i wesoło. Z „Polski” przyjeżdżał najczęściej z Krakowa, Kornel Filipowicz, który zresztą mi pomógł przy przeprowadzce, ponieważ pożyczzył mi dużą walizkę, w której mój majątek został z Krakowa przewieziony do Gliwic (śmiech)... Pamiętam, jak żeśmy szli z dworca, pomagał mi tę walizkę nieść. Kornel był silny, wysoki... milczący. Dobry prozaik, znakomity, pamiętam jak żeśmy się zbliżali do Zygmunta Starego, mówił, „no to tak, tak sobie wybrałeś, no tak...” Bywał też Julian Przybos.

Mijały lata, zaczęli pisywać i przyjeżdżać z zagranicy tłumacze — Henryk Bereska, zresztą urodzony Górnoślązak, Karol Dedecius, Peter Vujić, mój najbliższy, zmarły w zeszłym roku przyjaciel, serbski tłumacz, Vlasta Dvořáková z Pavlem Bunčakiem, była to para czeskosłowacka, wtedy istniała Czechosłowacja. Wreszcie, z dalekiego New Yorku przyjechał, odwiedził mnie Paweł Majewski, twórca pierwszej polskiej antologii amerykańskiej poezji. Nie dali mu debiutu, (pozwolenia cenzury), na świetny kwartalnik poświęcony literaturze anglosaskiej w polskich tłumaczeniach, on rozczarowany, musiał pismo zamknąć.

Oprowadzałem go po Gliwicach. W tym czasie rozbudowywała się Politechnika. Ja mu to pokazywałem wszystko, wypiliśmy kawę na rogu w „Agawie” i on potem z New Yorku do mnie napisał: „wie pan, panie Tadeuszu, widziałem, z jaką dumą mi pan pokazywał te wszystkie „wielkie” gmachy w Gliwicach. Wprawdzie w porównaniu z New Yorkiem, no nie robiły wrażenia, ale po panu widziałem, że jest pan z tego bardzo dumny”. I byłem, wiecie, dumny, byłem z tego dumny.

Spotykałem się tu z różnymi, oczywiście dziwnymi sprawami, kiedy na kartki dostawało się mięso i jakieś przydziały. Ja jako członek Związku Literatów, a właściwie „kandydat”, (byli „kandydaci” najpierw, potem dopiero stawało się rzeczywistym członkiem). Otóż ja z tą swoją nieszczęsną kartką wysyłałem teściową po sklepach, no to reżownicy mówili: co to jest za związek?... Jaki to związek?... Co to pani za pieczątki pokazuje... Nie chcieli miśa dać, to ja tam interweniowałem w Krakowie.

Nie miałem książeczek i ubezpieczalni. Ja nie pracowałem nigdzie „zawodowo”, byłem po prostu poetą-chałupnikiem, amatorem, więc na podstawie wyciągu z jakiegoś tam „dziennika ustaw” jakiegoś tam paragrafu, przysługiwała mi porada lekarska, ale też nie bardzo można było to wyegzekwować. Tylko dzięki sympatii i uczynności lekarzy nie byłem pozbawiony opieki medycznej. Był dyrektor szpitala, pan doktor Władysław Orlewski, który leczył moją matkę, opiekował się nią. No, wielu innych ludzi uczynnych, ludzi dobrych poznałem w Gliwicach.

Wszystkie te sprawy się pamięta. Pamięta się coraz mniej dolegliwości, a nie pamięta się podłości ludzkiej... Pamięta się wigilie i wielkanocę, pamięta się dyngusy. Do nas zjeżdżała moja rodzina cała, zjeżdżała rodzina żony, siadaliśmy przy stole w dwanaście, w piętnaście osób. Na wódeczkę, kielbasę i jajka starczyło.

Pisywałem do „Kocynadra” i „Szpilek”. Kilka humoresek i kilka satyr gliwických. M.in. opis kąpieliska, które jest tam w lesie koło tego nowego hotelu. Otwarcie jakiegoś żłobka pamiętam dla dzieci, kiedy jeden z „działaczy” do tych dzieci mówił o marksizmie, a i pamiętam do tej pory, że taki chłopczyk krzyknął, że chce siusiu (śmiech).

Chciałbym tym ludziom, którzy już odeszli właśnie, z którymi spędziłem część mojego wieku męskiego, jak wiemy, młodość jest górna, chmurna, durna, a wiek męski to wiek kłeski, ale nie zawsze. Chciałem skorzystać z tej chwili i z Waszego zaproszenia i podziękować tamtym ludziom, i dzieciom tych ludzi, że mogłem wśród nich żyć. Jak wśród rodziny. Dziękuję Państwu! (oklaski)



Tadeusz Różewicz z Teściową, której poświęcił „Dytiramb”. (z domowych zbiorów Poety).

Właśnie tu, w Gliwicach, napisałem „Dytiramb na cześć teściowej”, który uzyskał swego czasu wielką popularność i był przedrukowany nawet w „Mojej Przyjaćcioce”. Było dawniej takie pismo dość ubogie, siermiężne, ale ciekawe. Teraz ono stało się niezwykle kosmopolityczne i kolorowe, i piękne.

Morze atramentu wypisali poeci
Opiewając miłość do dziewczęcia
Które jest czasem jak gęś
A czasem jak cięć majowe

... Wicie, to dawniej były takie wyrażenia, jeszcze po moim tacie odziedziczone. Teraz tego się już w ogóle nie używa, to zanikło.

Były spowijane jedwabiem słów
Żony własne i żony cudze
Lecz żaden rymopis nie wyśpiewał
Pochwały tej która jest matką dziewczyny
Teściowej

To ona zrodziła naszą jutrenkę
O synowie Apollina
Ona jej strzegła jak żrenicy oka
Ona piastuje owoce
Naszej miłości szalonej
Wstaje w nocy cierpliwa
Przewija przewija przewija

... Przepraszam, że będę komentował własny wiersz. Wicie, dawniej były pieluchy. Nie było pampersów (śmiech)... pampersów ani w telewizji, ani w drogeriach tych pampersów nie było. Trzeba było bez przerwy te pieluchy prać, suszyć i przewijać... Komentuję, bo to są już archeologiczne wiersze... (śmiech)... pisane dla „pokrzepienia serc”.

Ona kaczkę upiecze z jabłkami
I zrobi faszerowanego karpia
Ona kalesony upierze

... Kalesony... też już nieznanym reliktem, prawda?... (śmiech). Teraz jakieś slipy się nosi, coś w kwiaty, a to były porządne, ze wstążkami u dołu, długie kalesony... (śmiech).

Skarpetki wyceruje

... nie ma tego „sportu” już, cerowania skarpetek...

I guzik utwierdzi przy koszuli
Na wiosnę pilnuje malowania izb
Trzepie dywany wietrzy materace
Rozliczne nieskończone są jej małe prace

Jesienią robi konfitury i kisi kapustę

... Bywały po domach beczki, prawda, na przykład beczki po piwie, najlepsze drewniane beczki do kiszenia kapusty... tam do tej kapusty wrzucało się jabłuszko, które bardzo było smaczne.

Kiedy spadnie śnieg zaskrzypi mróz
Jabłuszko znajdzie dla wnuka w komodzie

Czasem chmura groźna i mroczna
Przemknie po jej twarzy
Lecz i boskie niebo swe oblicze chmurzy
Spójrzcie na jej siwe włosy
Każdy włos to jeden dzień jedna iza
Jedna jesień jedna wiosna
Ona czujnie patrzy
Pilnuje by nie zgasił płomień domowego ogniska

Kiedy trzeba miotłą odpędzi nocne cmy
Ona oko i ucho domu
Stoi na straży szlachetnych praw i obowiązków

Kroi pieluszki dla nienarodzonego
Jest wysłańcem praktycznego życia

Za wszystkie głupie żarciki
Rzezańców z piśemek humorystycznych
Za dowcipy zięciów
Którzy piją („nasze kawalerskie”)

Przepróście teściową
Starą kobietę która wyciąga ręce
Aby się ogrzać przy ognisku domowym

Pokłońcie się do samej ziemi
Głupie konie rżące na dźwięk
Tego szanownego imienia
I powiedzcie ludzkim głosem
„Chodź matko do nas”

... Więc to był wiersz, który w jakiś sposób odpowiadał mojej „Odzie do młodości”. Symbolicznie... (oklaski).

Minęło 27 lat od czasu opuszczenia Gliwic, miasta, gdzie Tadeusz Różewicz osiadł w roku 1950 w szczególnie trudnym okresie życia. Wybór tego miejsca oznaczał „emigrację wewnętrzną” w obrocie suwerenności pisarskiej — a może nie tylko. Pod jego adresem nasilały się wówczas oskarżenia szczególnie groźne: „o uleganie katastrofizmowi”, „nastrom literatury zachodniej”, czy wejście „w orbitę wielkiej burżuazji”. Dla „poety z lasu” i żołnierza AK takie zarzuty w szczytowym okresie stalinizmu nie miały wymowy tylko literackiej.

Był to akt pełen determinacji. Przecież decyzję tę podejmuje poeta, którego dwa równoległe wydane zbiory: „Niepokój” i „Czerwona rękawiczka” miały rangę wydarzeń literackich o przełomowym dla poezji polskiej znaczeniu. Różewicz, już wcześniej nieskłonny do zbiorowych form działalności literackiej, skazuje się dobrowolnie na izolację i bardzo trudne warunki życiowe. A czas ten nie okazał się przejściowym epizodem. Pytał więc w liście Julian Tuwim: „Ale na miłość Boską, co Pan robi w tych Gliwicach?” Różewicz odpisał: „Co robię? Żyję...”

Kontakty ograniczone do korespondencji, brak nawet telefonu. Pobyt w Gliwicach okazał się emigracją bezterminową i nie zmieni tu nic nawet Październik. Niewiele o tym czasie wciąż jeszcze wiemy, bo i Różewicz niechętnie do spraw trudnych wraca. Po latach jednak wyzna: „Wiek męski, wiek kłeski upłynął mi w Gliwicach”... zaś czas tamten uzna za życiowo bogaty. Ten wielki, nowatorski pisarz, jeden z największych jakich wydała polska literatura w tym stuleciu, nie stał zresztą, wbrew pozorom, na uboczu realnego polskiego życia, choć nigdy nie poruszał się w rejonach i układach oficjalnych. Nieufny, suwerenny, broniący swej pisarskiej niezależności.

Właśnie lata gliwickie okazały się okresem szczególnie twórczym — najważniejszym chyba w biografii pisarza. Jego dorobek rozrasta się z każdym rokiem a wpływ na rozwój literatury jest wyjątkowy już nie tylko jako poety. Właśnie w Gliwicach objawia się kolejno Różewicz — prozaik, eista i nowatorski dramaturg. Gdy tu niespełna 30. letni osiadł — miał w dorobku 3 zbiory wierszy. W latach gliwickich pomnożył poetycką twórczość o 14 nowych tomów, nie licząc wyborów i wierszy zebranych. Wydaje kilka tomów prozy i pisze szereg sztuk o istotnym znaczeniu nie tylko dla stanu dramaturgii polskiej: „Kartoteka”, „Grupa Laokoona”, „Swadkowic”, „Śmieszny staruszek”, „Spaghetti i miecz”, „Wyszedł z domu”, „Akt przerywany”, „Stara kobieta wysiaduje”... W tych latach staje się pisarzem o międzynarodowej pozycji, wydawanym i tłumaczonym na wiele języków.

Lata gliwickie — czas gęsto zapisany. I wielkiego pisarskiego wpływu na obraz polskiej literatury. Już w połowie lat 50. zostaje Różewicz uznany za klasika współczesnej poezji a pojęcia „wiersz różewiczowski”, „poetyka różewiczowska”, wchodzą do pojęć teorii literatury. Powstaje nawet „szkoła poetycka” — zjawisko o skali i zasięgu bezprzykładnym w poezji polskiej tych lat... choć bez bezpośredniego udziału mistrza, który nadal tkwi w swej „gliwickiej samotni”.

Podobnie jak nagle zamieszkanie w tym mieście było decyzją trudną do zrozumienia, również przeniesienie się w roku 1968 do Wrocławia stanowiło zaskoczenie, skoro z miastem tym nie miał Różewicz wcześniej bliższych związków. Dla stanu kultury Górnego Śląska wyjazd ten był ogromną stratą, nawet jeśli Różewicz nie związał się bliżej z miejscowym środowiskiem literackim czy artystycznym. Niemal z dnia na dzień, nie zatrzymywany, wyjechał stąd na zawsze największy pisarz jaki kiedykolwiek tworzył i żył na tej ziemi. Czy musiało tak się stać — to już inna sprawa. W tamtych — i nie tylko tamtych latach była to (niestety) ziemia nie tylko trwałych pisarskich rozstań.

Tym większe znaczenie mają teraz literackie powroty Tadeusza Różewicza. Przed rokiem, po wielu latach nieobecności, zawitał do Katowic z okazji Konferencji Literackiej: „Pół wieku twórczości Tadeusza Różewicza” zorganizowanej przez Górnośląskie Towarzystwo Literackie. Na sali przez dzień cały kilkadziesiąt osób — „Tumy u Różewicza”... zatytułował sprawozdanie jeden z dzienników. Wyprzedane wszystkie tytuły, setki osób w kolejce po wpis dedykacji. No i książka pt. „Świat integralny” zawierająca materiały z tej ważnej konferencji.

Teraz 5 października br., kolejny powrót po 27 latach do Gliwic, w roli Honorowego Obywatela — miasta, które opuścił tak cicho. Akt nadania tytułu miał formę uroczystą i wiele pamiętnych akcentów. Czas teraz na książkę o latach gliwickich Różewicza i upamiętnienie miejsca gdzie żył i tworzył.

TADEUSZ KIJONKA

— Panie Profesorze, czy demokracja sprzyja rozwojowi kultury literackiej w Polsce?

— Dziwi mnie to pytanie, ponieważ odpowiedź jest oczywista. Tak, sprzyja, przede wszystkim dlatego, że demokracja oznacza pluralizm poglądów i wolność ich wypowiedziania, a to jest najważniejszy warunek pomyślnego rozwoju kultury.

— Literaturę polską tworzoną dzisiaj wypierają tłumaczenia, a wydawcy rzadko ryzykują promocję autorów krajowych. Wielu pisarzy mówi, iż wyrzucono ich na margines. Czy nie świadczy to więc o tym, że demokracja jest bardzo surowym sprzymierzeńcem kultury?

— Mówiliśmy o demokracji, a nie o ekonomice wolnego rynku i nie o dzi-



i Edgar Wallace, autor powieści kryminalnych dzisiaj już nie wznawianych, i Michel Zevaco, piszący powieści sensacyjne „płaszcz i szpady”. Nie trzeba więc wydawać okrzyków przerażenia, że coś nowego się stało i to z winy akurat tej demokracji, która teraz nastąpiła.

— Młodzi to rozumieją, wszelako pisarze starsi, mający w pamięci okres PRL-u, czują się pokrzywdzeni. Wielu z nich od kilku lat nie wydało żadnej nowej książki.

— PRL, poprzez system zakazów cenzuralnych i praktykę wydawania książek deficytowych, nakręcał oczywiście koniunkturę dla piśmiennictwa, które dzisiaj w znacznej części straciło swą atrakcyjność. Ale, proszę pana, nie może być tak, żeby literatura rodzima zawdzięczała swoją poczytność temu, iż nie dopuszcza się środkami administracyjnymi literatury obcej. Z punktu widzenia rozwoju kultury, na dłuższą metę jest to działanie samobójcze.

— Pan Profesor mówi o poczytności literatury, a przecież, wnioskując z wysokości nakładów, z każdym rokiem się ona zmniejsza.

— Tak, zmniejszona poczytność literatury wysokiej to jest zjawisko niewątpliwe, ale ma ono wiele przyczyn. Rzecz wymagałaby starannego przemyślenia, formułuję na gorąco to, co przychodzi mi na myśl. Sądzę, że ludzie w ogóle coraz mniej czasu przeznaczają na czytanie. Niezależnie od tego, że większość potencjalnych czytelników, rekrutujących się z tzw. sfery budżetowej, jest zagoniona w poszukiwaniu zarobku, książce odbiera czas także telewizja, która zresztą niekoniecznie musi oznaczać coś mniej wartościowego od książki. Myślę o Teatrze Telewizji. Może przesadą

było to, co napisał Nyczek, że Teatr Telewizji jest dzisiaj Teatrem Narodowym, ale naprawdę dzięki temu teatrowi oglądam teraz w ciągu roku kilkanaście przedstawień na poziomie aktorskim, jakiego w żadnym poszczególnym teatrze nie zobaczę. A wracając do tematu: za całą literaturą piękną rywalizuje często zwycięsko literatura faktu — biografie, pamiętniki, reportaże, wywiady. No i jeszcze jedno: książki stały się drogie, więc większość czytelników, jeżeli w ogóle je jeszcze nabywa, decyduje się raczej na książki wielokrotnego użytku — słowniki, wydawnictwa encyklopedyczne, itp.

Z prof. dr. Henrykiem MARKIEWICZEM Członkiem Honorowym Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego rozmawia Marian Kisiel

O LITERATURZE LITERATACH I BADANIACH LITERACKICH

siejszej polityce kulturalnej państwa. A jeżeli chodzi o negatywne skutki, jakie wynikają z inwazji literatury obcej, to nie jestem zwolennikiem żadnych systemów zaporowych w stosunku do literatur obcych i sztucznego uprzywilejowania literatury rodzimej. Nic dobrego z tego wyjść nie może.

— A jednak, Panie Profesorze, po roku 1989 przeżywamy zalew literaturą komercyjną, a pod jej wpływem zainteresowanie czytelników wysoką literaturą polską maleje...

— Wysoka literatura polska, zapewne, traci czytelników ze względu na konkurencję literatury komercyjnej.

Ale, proszę pana, jest to po pierwsze konkurencja nie tylko obcej, ale i polskiej literatury komercyjnej (czy - od innej strony patrząc - sensacyjnej, rozrywkowej, romansowej, i tak dalej), po drugie — także obcej literatury wysokiej. To nie jest tak, że z Bitnerem czy Chwinem konkuruje tylko Judith Kranz i Alistair MacLean; konkurują z nimi również i Márquez, i Nabokov, czy — z literatury mniej ambitnej, lecz wartościowej — Wharton. A poza tym: nie jest to zjawisko nowe, zawsze tak było. Może nie w tych rozmiarach, ale przecież, jak pamiętam czasy międzywojenne, wówczas także byli i Courths-Mahlerowa, i Pitigrilli,

— Czytelnicy mówią także, że nie rozumieją literatury współczesnej...

— To także istotna przyczyna zmniejszonej poczytności utworów. Literatura wysoka stała się trudna w odbiorze nawet dla znawców. Powiem tak: nawet znawca, ażeby książkę zrozumieć — musi w wielu wypadkach nad nią popracować. Dawniejsza literatura wysoka była — w znacznej swojej części — jednocześnie rozrywką, przyjemnym spędzaniem czasu, prawda? Z przyjemnością i dla odpoczynku czytało się Dąbrowską, Iwaszkiewicza, Tuwima czy Gałczyńskiego. Dziś bardzo rzadko wśród utworów traktowanych przez znawców jako wybitne, znajdziemy książkę, o której można by to samo powiedzieć. A nie mówię już o tym, że coraz częściej ukazują się książki wybitnych autorów, których renomowani krytycy w gruncie rzeczy nie rozumieją, próbują odgadnąć ich znaczenie, lecz czasem stają przed nimi zakłopotani.

— ?!

— Opowiadano mi, że nie można znaleźć recenzenta dla nowego utworu jednej ze znanych poetek, bo nikt z krytyków nie wie, o co w nim właściwie chodzi. Często też dostrzegam, że krytyk cały niemal swój wysiłek poświęca na to tylko, żeby z omawianego tomu poetyckiego wydrzeć jakieś strzępy sensu przez parafrazowanie jako tako zrozumiałych fragmentów wierszy. Ich organizacja artystyczna jest natomiast pominięta, albo skwitowana za pomocą paru zdań. I spotykam się z tym wartykułach nawet wybitnych krytyków.

— Pan Profesor mówi tutaj, chociaż bez wymieniania nazwisk, o twórcach z Panteonu. Wielu autorów jednak nie jest recenzowanych.

— Nie wiem, czy tak jest... Wydaje mi się, że jeśli chodzi o twórczość oryginalną, to jest ona na ogół omawiana. Być może są jacyś utalentowani autorzy nie należący do wpływowych grup w środowisku literackim, i wskutek tego nie dostrzegani przez krytykę. Trudno mi znaleźć przykłady. Z dziedziny eseistyki mógłbym wymienić nazwisko Aleksandra Ziemeny, którego szkice są — w moim przekonaniu — znacznie mniej znane niż na to zasługują.

— Czyta Pan Profesor recenzje?

— Czytam, ale na ogół bez większej satysfakcji. Na ich niekorzyść to przede wszystkim przemawia, że trudno byłoby mi określić, na czym polega indywidualność danego krytyka — tak, jak wiedziałem na czym polega indywidualność Kotta, Sandauera czy Kwiatkowskiego (i to w okresie, kiedy byli oni młodymi krytykami).

— Ale przecież są krytycy, których Pan Profesor ceni?

— Kiedy mnie pytają o krytykę, zawsze wracam do nazwiska Jana Błóńskiego. Oczywiście i wśród młodszych, między innymi wśród jego uczniów, są także autorzy wielkiego talentu, o wyraźnie zarysowanej indywidualności, myślę zwłaszcza o Jerzym Jarzębskim.

— No właśnie, czy to są krytycy literaccy, czy może jednak badacze literatury współczesnej? Dzisiaj ta granica zdaje się być płynna.

— Zacząć trzeba od tego, że różnie można literaturę współczesną rozumieć: albo jako literaturę — dosłownie — czasu bieżącego; albo jako literaturę zachynającą się od ostatniej silnej cezury literackiej, czy — w warunkach polskich — politycznej; albo wreszcie jako literaturę, którą pamięta się we własnym doświadczeniu czytelniczym jako powstającą. Mówiąc prościej: dla mnie współczesność to jest to, co ja jako nowość czytałem, a wszystko, co pojawiło się, zanim ja stałem się czytelnikiem, to dla mnie historia literatury. I tak „Przedwiośnie” dla mnie do niej należy, ale „Granica” Nałkowskiej już nie, ponieważ tę powieść, będąc młodym chłopcem, czytałem, gdy tylko się ukazała. Otóż rzadko kiedy literatura owej współczesności wąskiej staje się przedmiotem oglądu badawczego. To jest jednak dziedzina krytyki literackiej z wszystkimi jej swobodami, ale i ograniczeniami. Nie sądzę, żeby dzisiaj coś się tutaj zmieniło.

— A jednak, Panie Profesorze, o nowościach powstają prace naukowe...

— O nowościach chyba rzadko, ale na pewno literatura w znaczeniu szerszym (a więc — powstała po ostatniej cezurze), dawniej nie stawiała się tak szybko jak dziś przedmiotem badań naukowych. Dawniej pisarz współczesny, zwłaszcza skrajnie eksperymentujący, nie otrzymywał tak szybko jak Białoszewski monografii naukowej. Barańczak wydał o nim książkę już w roku 1974; z kolei — niedawno ukazała się już książka Krzysztofa Biedrzyckiego o Barańczaku. Dzisiaj zapewne pisuje się prace magisterskie o p. Gretkowskiej czy p. Świetlickim. W Dwudziestolecie było to nie do pomyślenia.

— Czy jest to już nauka, czy jeszcze krytyka literacka?

— W zasadzie nic nie stoi na przeszkodzie temu, żeby najnowszą książkę analizować i interpretować metodami uważanymi obecnie za naukowe. Tak samo, jak nic nie stoi na przeszkodzie, żeby np. „Myszeis” Krasickiego opisywać sposobami uważanymi za domenę krytyki literackiej.

— Ale Pan Profesor reprezentuje tutaj bardzo liberalne stanowisko. Są badacze, którzy twierdzą, że literatura wąskiej współczesności w żaden sposób nie może być opisywana w języku nauki.

— Nie, nie. To nie ma żadnych racjonalnych przesłanek. Bez wątpienia: badania literatury najnowszej są z wielu względów trudniejsze i bardziej zawodne niż badania literatury dawniejszej. Dzisiejszy badacz „Myszeidy” może opierać się na dorobku swych poprzedników i wykorzystywać ich ustalenia, pisząc o utworze współczesnym ma do czynienia z nowymi, częstokroć skomplikowanymi chwytami literackimi, jeszcze nie oswojonymi przez interpretację. Stąd znacznie większa trudność — w moim przekonaniu — badań literatury współczesnej w porównaniu z literaturą daw-

niejszą. A poza tym istnieje i to ryzyko, że wysiłek badawczy kieruje się na zjawiska chwilowej tylko aktualności, które nie są tego naprawdę warte.

— To chyba dobry moment, żeby zapytać o kondycję dzisiejszego literaturoznawstwa. Jak Pan Profesor ją ocenia?

— Trudno to ująć w jakąś formułę jednoznaczną. Tak, jak w ogóle w życiu, a szczególnie w naszym życiu polskim po 1989 roku, dzieje się wiele rzeczy dobrych i wiele rzeczy złych, czy przynajmniej budzących niepokój. Niewątpliwie niepokój budzi to, że nie są kontynuowane — lub są kontynuowane z wielkimi trudnościami i opóźnieniami — poważne przedsięwzięcia o charakterze dokumentacyjno-bibliograficznym i edytorskim, i seryjne.

— Powstaje jednak, Panie Profesorze, wiele prac typu konstrukcyjnego.

— Tak, tu do zjawisk bardzo dodatnich należy, po pierwsze, obecność pełnowartościowych syntez obejmujących całość literatury narodowej do 1939 roku. Tym, że nie ma syntez okresu późniejszego — nie należy się przejmować; w dobre przewartościować i tak by uległy w znacznym stopniu dezaktualizacji. Na pewno w niedługim czasie je otrzymamy. W tej dziedzinie uważam więc sytuację za pomyślną. Drugim niewątpliwie pomyślnym zjawiskiem jest podjęcie badań nad twórczością tych pisarzy, o których dawniej ze względów cenzuralnych nie można było pisać, chyba że ktoś decydował się pisać o nich w tonie pamphletu. Chodzi mi przede wszystkim o literaturę emigracyjną. Towarzyszą temu potrzebne przewartościowania literatury krajowej ostatniego pięćdziesięciolecia. Że dyskusje na ten temat się toczą — to jest dobre; że w nich jest wiele zaciętrzewienia — to jest nieuniknione.

— Wspomniał Pan Profesor także o zjawiskach negatywnych.

— Zjawiskiem negatywnym jest na pewno kryzys monografii pisarza czy monografii dzieła. Nie każde dzieło zasługuje na monografię, ale są arcydzieła, które na nią zasługują, a dziś nikt nie ma odwagi, żeby się tego zadania podjąć. Co najwyżej — zmuszony wymogami edytorskimi — pisze mikromonografię jako wstęp do „Biblioteki Narodowej”. Gdyby takich wstępów nie było, to nikt by o „Lalce” Prusa czy „Chłopach” Reymonta w całości nie napisał. Taka mikromonografia jednakże monografii naukowej zastąpić nie może.

— Zmienia się język prac literaturoznawczych. Czy możemy już dzisiaj powiedzieć, jakie strategie badawcze są dominujące?

— Po pierwsze — nastawienie opisowo-analityczne na morfologię obrazów literackich, odnoszące się do określonej idei czy problemu, lub wprost badanie idei i problemów. Po drugie — wykrywanie intertekstualnych związków wytwarzających napięcia semantyczne między różnymi utworami. Po trzecie — hermeneutyczne inter-

pretacje. Na wszystkich tych trzech torach badawczych wiele jest wybitnych osiągnięć, wiele jednak także tego, co można by nazwać, skoro już była metafora torów, niekontrolowanymi poślizgami.

— Czy mógłby Pan Profesor szerzej o tym powiedzieć?

— W studiach o morfologii i ewolucji tematów czy obrazów zauważyć można niekiedy rejestracyjną niwelację omawianych tekstów, nie uwzględniającą różnic ich artystycznego poziomu. W pracach spod znaku hermeneutyki — postawę świadomego prezentystyczną i subiektywną; przekonanie, że bez zakorzenienia we współczesności i bez odniesienia do własnej egzystencji badacza interpretacja jest martwa. W rezultacie w interpretacjach hermeneutycznych, a także intertekstualnych występuje niebezpieczeństwo skojarzeń przypadkowych i nadawania sensów w sposób arbitralny. Sensów nie tylko takich, ku którym tekst nie kieruje uwagi czytelników, ale i takich, które z tym tekstem są wyraźnie rozbieżne. Czasem mamy też do czynienia z upodobaniem do mikrografii kuriozalnej — w bawieniu się szczegółami biografii czy dzieła pisarza. Bardzo dobrze o tych sprawach pisał Aleksander Nawarecki w szkicu „Mickiewicz i robaki” w tomie zbiorowym „Balsam i trucizna”. Zauważał on mianowicie, że w pracach o Mickiewiczu rozpowszechnia się drobniactwo — zainteresowanie szczegółami; dalej, ekscentryczność — nie tylko w sensie upodobania do osobliwości i osobliwego sposobu mówienia, ale także oddalanie się od Mickiewicza centrum, tj. od jego twórczości; wreszcie, wręcz nieobecność, nieobecność samego Mickiewicza w pracach poświęconych jego naśladowaniom, czytelnictwu, kultowi, więc temu, co było i jest wokół.

— Dzisiejsza polonistyka różni się także od dawniejszej innym stylem prac badawczych.

— To naturalne, że — wraz ze zmianami tematyki — zmieniło się i piarstwo historyczno-literackie. Pojawiają się formy sylwiczne i brulionowe. Autorzy eksponują swoją obecność — piszą o swoich wrażeniach, rozterkach, wątpliwościach. Starają się uatrakcyjnić narrację, zbliżając ją do narracji powieściowej. Niekiedy pojawiają się nawet elementy nietajonej fikcjonalizacji. Nastąpiło też swoiste rozchwanie dotychczasowych norm stylistycznych dyskursu naukowoliterackiego. Nas uczono, że powinien on być przezroczysty, maksymalnie precyzyjny, zobjektywizowany. To prowadziło czasem do osłóści i hermetyczności. Teraz wahadło rozpendziło się w stronę przeciwną. Badacz coraz częściej przedstawiając poglądy, czy odgadyując myśli pisarza — imituje jego sposób mówienia, albo też przeskakuje od ironicznego dystansu do poetyckiego uwznioślenia, chętnie posługuje się kolokwializmami, metaforą czy anachronicznymi nawet skojarzeniami.

— Dużo w tym zalet i dużo wad...

— Właśnie: coś za coś. To jest tak: z wielkim upodobaniem czytam książki

Jarosława Marka Rymkiewicza, ale wcale bym nie chciał, żeby takie prace przeważały i nadawały ton historiografii literackiej.

— Pan Profesor jest powszechnie uważany za wzór rzetelności naukowej i jeden z największych autorytetów polskiej polonistyki...

— Ależ, panie kolego!

— Chciałbym zapytać o ostatnie prace Pana Profesora.

— Wydaję, rzecz jest w ostatniej fazie druku, syntezę „Teorie powieści za granicą”, doprowadzoną do schyłku XX wieku. Mam nadzieję, że za kilka tygodni dostanę egzemplarz sygnałny. W opracowaniu redakcyjnym znajduje się drugi, uzupełniający tom „Skrzydlatych słów”, opracowany przeze mnie wspólnie z Andrzejem Romanowskim. Powinno się wkrótce ukazać drugie, znacznie obszerniejsze, wydanie „Zabaw literackich”. Dopisałem kilka nowych tekstów, a kilka dawniejszych do niego włączyłem. Wreszcie — moi młodszy koleżdy, pracujący w wydawnictwie „Universitas”, powzięli projekt, któremu ja sam się dziwię, ale nie jestem takim hipokrytą, żeby mu się przeciwstawiać, kilkutomowego wydania moich prac wybranych. Taka retrospektywna. Oczywiście — z pominięciem opracowań typu syntetycznego czy podręcznikowego. W niedługim czasie mają się ukazać pierwsze dwa tomy, obejmujące prace o Prusie i Żeromskim, i inne rozprawy z zakresu historii literatury.

— Te książki wyjdą niebawem, a nad czym Pan pracuje obecnie?

— Aktualnie — nad teoriami powieści w Polsce. W przedmowie do pierwszej części „Teorii powieści za granicą” napisałem, że temat ten uważam za mniej pilny, ponieważ są dobre opracowania częściowe. Ale skoro udało mi się skończyć tamtą książkę i los mi użyczyl jeszcze trochę czasu, wziąłem się do teorii polskich i w tej chwili jestem już przy Dwudziestolecu międzywojennym. To byłoby rzeczywiście ważne. A tak na bieżąco zajmuję się taką kwestią: jaki był wpływ cenzury na dobór materiału i sposób ujmowania zjawisk literatury polskiej w historiografii literackiej pod zaborem rosyjskim.

— To nie wszystko, Panie Profesorze. Zasiada Pan jeszcze przecież w różnych komitetach redakcyjnych...

— Z „Pamiętnika Literackiego” się wycofałem, między innymi dlatego, że

dość absorbuję mnie praca inna, którą mi powierzono przed kilku laty, a którą bardzo wysoko sobie cenię a zarazem lubię, jestem mianowicie redaktorem naczelnym „Polskiego Słownika Biograficznego”. Jest to wydawnictwo o wielkich tradycjach i wysokim poziomie, a to zobowiązuje. W tej chwili jesteśmy przy literze „S”; na wakacjach napisałem (skoro się jest redaktorem, to od czasu do czasu trzeba i samemu coś napisać) biografię Sienkiewicza do tego słownika.

— „Polski Słownik Biograficzny” jest pomnikiem polskiej kultury umysłowej...

— Ponieważ pracowały nad nim całe pokolenia, więc mogę przytaknąć, chociaż jestem aktualnie jego redaktorem. Rzeczywiście, „Słownik” jest powszechnie uważany za najważniejsze dzieło współczesnej humanistyki polskiej; ogrom wiedzy o historii i kulturze narodu tutaj zawarty trudno przecenić. A przy tym trzeba pamiętać, że „Polski Słownik Biograficzny” z niewielkimi stosunkowo usterkami i przemilczeniami zdołał realizować swoje założenia w PRL-u. Przystał on wychodzić w 1950 roku i na nowo zaczął się ukazywać dopiero w 1958, więc najgorsze lata go ominęły. Później, naturalnie, musieliśmy (mówię: musieliśmy, bo od 1958 roku należałem do komitetu redakcyjnego) liczyć się z pewnymi ograniczeniami. O niektórych sprawach można było pisać tylko skrótowo, np. w jednym czy dwóch zdaniach o udziale danej postaci w wojnie polsko-sowieckiej 1920 roku, choćby to był generał, o którym trzeba było napisać znacznie więcej. Kilka życiorysów wypadło ze względu na cenzuralnych. Były to życiorysy Feliksa Dzierżyńskiego, Bolesława Mołocza — zabójcy Nowotki, i Józefa Kurasia — „Ognia”. Nie wolno było też podać prawdziwej daty śmierci w Katyniu, więc redakcja starała się to omijać poprzez sformułowania typu: „zmarł po roku”. Ale są to usterki, mimo wszystko, marginesowe. Zresztą, najważniejsze z nich sprostowano już w dodanych erratach. W sumie jest to wydawnictwo, z którego i dziś można z pełnym zaufaniem korzystać, także gdy chodzi o tomy wydane między 1958 a 1989 rokiem.

— W ten sposób, Panie Profesorze, do pytania początkowego, o to, czy demokracja sprzyja kulturze, odpowiedział Pan niezwykle ważnym spostrzeżeniem: w demokracji nie ma miejsca na przemilczenie...

— Oczywiście!

— Te przemilczenia nie są wieczne...

— Cenzury państwowej już nie ma, ale istnieje cenzura społeczna, pojawiają się niekiedy naciski zewnętrzne. Ale — po pierwsze — naciski te nie są zbyt silne i pochodzą z różnych stron, więc się po trochu neutralizują, a — po drugie — staramy się im nie ulegać.

— Bardzo dziękuję Panu Profesorowi za rozmowę.

Kraków, 7 października 1995.



Jest to fragment mojej starej próby literackiej (sprzed 20 lat!). Chropowatość tej prozy — poza nieudolnością moją, jest założona, bo bohater opowieści, który po 20 latach wraca na Śląsk — w stanie kalectwa — zaczyna pisać, aby odnaleźć się w świecie. Przeżuwa Śląsk jak starą chorobę, która wraca ku niemu z wysoką gorączką. Słowem — jest to też o tym, jak rodzi się pisarz.

18.09.95
Hej!

Mam dziurę w głowie i głupim się dziś czuję — ja, dolina nietknięta ludzką stopą. Zawsze po upokorzeniu odczuwam taką pustkę i trapi mnie ona jak biegunka; nie przyznano mi właściwej kategorii inwalidztwa. Jeszcze ciągnę za sobą nogę i przyspieszenie mam jak starzec a oni ze mną handlują — urzędnicza ich nacja! — jak z właścicielem straganu. Ale potem, gdy nałykam się do imentu starego języka i głowa wystygnie mi nieco, chodzę ssącą pustkę koić na świeże powietrze. Dziś też tak uczyniłem, ale zmąciły mi umysł młode matki stojące stadami po rogatkach osiedli. Zagadane, pęczkami obok siebie sterczą i pytlują, i każda potrząsa wózek na wysokich kółkach; na słońcu, w letnim śnie, swoje dziecko trzyma. Wszystkie one — jak jedna — dorodne i postawne, z biodrami jak dębowy pień, bo bielizna nie przebija na zewnątrz choćby na włos. Nie tak dawno rodziły — co widać — a z rozchylenia nóg domyślić się można, że już gotowe na nowego karpia. I tak na każdym skrzyżowaniu. Uderzyło mnie to zjawisko, bo jak długo żyję nie widziałem czegoś takiego. Przypuszczam, że musi to mieć ścisły związek z tym nowym miastem. Stadność młodych matek w tym miejscu jest znamię czasu teraźniejszego — jak kępy kwiatów posiane na starych ugorach — świadczą one najlepiej o zachodzących przemianach. Nowe czasy, nowe matki w nowych familokach z żelbetonowej płyty i wszystko twardsze — biodra i ściany. Patrząc na to zjawisko — niezależnie od doznań zmysłowych — żałowałem, że Lucjan i Zenek nie dożyli tej chwili, nie doczekali miejsca i tego widoku, a choćby i mojej relacji i spostrzeżeń tu opisywanych. Byłoby o czym rozprawać jak za najlepszych lat — i niech każdy w tym miejscu pomyśli sobie co chce — to znaczy, pierwszych lat okupacji. Oni obydwaj — których wspominam, których wzywam w tej chwili — mieli oczy i uszy wyjątkowo otwarte na przejawy życia podobne przytoczonemu; godzinami lubiliśmy grzebać w przyczynach spostrzeżonego faktu — gdy odbiegał od normy — sortowaliśmy jego cechy i układali w hierarchię znaczeń, w ekstrakt poznania. Rozdzielaliśmy często przysłowiowy włos na ile się dało zapominając o bożym świecie, a działa się wtedy na nim nie podług naszych chęci. Dla wielu z nas, naszej półkonspiracyjnej grupy, były to lata ostatnie. Przedtem, za nim wojna wybuchła i nasza pierwsza Polska skończyła, rozsypywaliśmy się już dwukrotnie, a nastąpić miało jeszcze trzecie, po którym

Kazimierz Kutz

CHŁOPCY



Rys. Wojtek Łuka

wielu już nigdy drogi do domu nie znalazło, a ci co wrócili, miejsca sobie znaleźć nie umieli — czego Zenek jest najlepszym przykładem. Pierwsza rozsyпка miała miejsce pomiędzy latami 1935 a 1939; nasi ojcowie awansowali w pracy i zamieniali mieszkania, bądź dostawali je zgodnie ze służbowym porządkiem, ale wszystkie przeprowadzki odbywały się w ramach Różdżenia i nas nie dotyczyły; łączyła nas szkoła, bo taki tu ponemiecki rygor pozostał, że jak się już jedną szkołę podstawową zaczęło, to do innej trudno było się przepisać. A i nikt nie chciał. Myśmy w tamtych latach już dwukrotnie mieszkanie zmieniali, oddalając się coraz bardziej od miejsca pierwszego. Drugie rozsypanie przyniosł nam pamiętny wrzesień, zawiął on nad każdą rodziną polską — z powstańczym rodowodem zwłaszcza. Ojciec ostatni transport z rodzinami kolejarzy kompletował — z którego matka wycofała nas w ostatniej chwili — i z racji swego stanowiska konwojował go w stronę Kielc. Niemcy zbombardowali ten pociąg pod Tunelem. W szczerym polu pojawiła się z czystego nieba wataha sztukasów, wyjął opróżniła się z bomb. Dookoła kartofliśka z podschniętą nacią — gdzie się kto położył, widać go było. A oni nie dość, że bomby zrzucali jeszcze do ludzi, jak do sploszonych kaczek, z broni pokładowej siekli. Ludzie bez względu na wiek i jakiegokolwiek inne różnice, w niepojętym strachu wrzynali się w sypkie zagony, w krzyku, ziemię smakowali. Po ojcu wszelki słuch zaginął, ale po dość długim czasie przyszła wieść, że żyje. Wtedy matka po raz drugi wykazała się swoją bezbłędną intuicją, bo jasnym jest, że pierwszy raz dowiodła jej nie wsiadając z nami do ostatniego transportu, który rzeczywiście dla wielu takim się okazał. Któregoś okupacyjnego świtu wyruszyła ojca do Polski szukać, bo dla nas zawsze — bez względu na łamańce historii — wszystko co się na północ od Brynicy działo zawsze Polską było. Uartym zwyczajem — z taką drugą narwaną — przekroczyły mokre i zielone granice, i prosto, jak z bicza strzelił, szły do miejscowości w której ci byli powstańcy — ojculkowie nasi — lepszych czasów czekali. W dziewięć miesięcy później przyszła na świat moja siostra. Poczęta tam lub w powrotnej tułaczce, z czasem — dla upamiętnienia tego faktu — przylgnęło do niej przezwisko Stodółka.

Wszystkich ludzi na Górnym Śląsku podzielono na pięć grup narodowościowych, od najczystszych Niemców do nas — rodzin powstańczych — bo tę część byłego zaboru pruskiego znów do Reichu przyłączono. Cały żywioł powstańczy — a więc i my — znalazł się w grupie ostatniej — piątej — odrzuconych; tysiące osób pozbawionych praw i skazanych na wyniszczenie. Niezła perspektywa! Ojciec dwa razy w tygodniu swoją głębię na policji musiał pokazywać, zamiatął przez kilka miesięcy dworzec — choć już od dwóch lat dyżurnym ruchu był — i współ z innymi powstańcami prowadził ich na publiczne wieszanie złoczyńców, aby jemu i wszystkim w ogóle jakieś parszywe myśli do głowy nie wpadły. Matka siwała w takich chwilach, pod piecem siedziała, w całkowitym odrętwieniu godzinami patrzyła gdzieś daleko i pod sercem kolejną córkę zwiastowała. My — następna dynastia powstańcza — młodociane wyrzutki społeczne przez cały następny rok nie chodziliśmy do szkoły. Potem otworzyli szkoły przejściowe dla takich elementów jak my — brat chodził dwie klasy wyżej, ja niżej — ale nie mieliśmy prawa ani do nauki ani do uczenia się jakiegokolwiek zawodu. Już na

drugiego dnia po ukończeniu szkoły ładowano nas w wagony i transportowano do Niemiec, na jednoroczne roboty czyli tzw. Landjahr. Landowa była nagrodą za insurekcyjną przeszłość ojca. Brat przeżył to dwa lata przede mną, stamtąd — nie pytając — wcielił go do młodocianych hufców pracy — jakieś wyrzutnie w Holandii budował — a potem do Wehrmachtu, dostał się na front wschodni; za pyłowanie po polsku wylądował w karnej kompanii, posłali go w jakieś piekło — Omsk, Kursk czy Stalinograd — i do dziś wszelki ślad po nim zaginął. Ostatni raz widziałem go wtedy na dworcu — w czternastym roku jego krótkiego życia — jak na landowę wyjeżdżał. Nigdy do domu nie zawitał; dostał się w tryby niemieckiej maszyny śmierci i zmielił jego biedne kości w pył. Był chorowitym i małym chłopcem — taka ludzka pacynka — ale niezwykle zażartym i nieustraszoną we wszystkim co robił, i miał też jedną właściwość, której do dziś pojąć nie mogę — nie odczuwał fizycznego bólu. Rany, potłuczenia, sińce i inne uszkodzenia cieleśne miał bezbolesne. Raz rzuciłem za nim w gniewie długim kuchennym nożem, rozrzuć miałem tego dnia dobry, bo stanął mu w tyłku na sztorc i zadyndał, jak na każdym przyzwoitym filmie — w takim przypadku — się widuje; serce stanęło mi wtedy po raz pierwszy ze strachu, ale on wyjął nóż z dupiny chudej, ranę poślinił, wbił narzędzie we framugę i sprął mnie jak nieboskie stworzenie, w tyłek mi tyle nakopał, że na całe życie starczy, i nikomu — nawet matce! — słowem nie pisał. Niewiele mi po nim zostało — poza tym co opisałem — i nadzieją, że jeśli śmierć miał nawet straszną — jeżeli go nawet czołg, zakręcając w miejscu, rozgniatał — bólu może nie odczuwał.

Ja w dwa lata po nim jechałem na zachód, wylądowałem na Dolnym Śląsku — dziś te tereny do Polski należą — trafiłem do przyzwoitych ludzi i na pół roku przed zakończeniem wojny wróciłem w rodzinne strony. Nie podpadałem jeszcze pod wiek poborowy, wojenny moloch nie zdążył mnie jeszcze połknąć, z wojny prawie cały wyszedłem — widać Pan Bóg patrzył wtedy w moją stronę i losu brata oszczędził. Bo szczęście ma kształt nieprzewidywany, wszystkiemu co głupie zaprzecza lub też na odwrót — najbardziej kretyński porządek utwierdza. Szczęście z przypadku pochodzi; w samym sobie przypadkiem jest. Dlatego nie wiem, do którego ciągu siebie zaszereżować, ale moje szczęście z całą pewnością w tym, że jako drugi łono matki opuściłem.

Tak więc te dwa-trzy krótkie lata po rozsyppce wrześniowej — nim Niemcy starzy mi z nas nie zaczęli dowolnie gospodarować — mieliśmy najlepsze. Zlecieliśmy się tutaj, w pobliże domostw, w których każdy po raz pierwszy światło ujrzał na ojcowiznę Lucjana, bo tylko on jeden z nas ją miał, mimo, że każdy mógł się swojej pod

niejedną hutą czy ewaldem doszukać. Zlecieliśmy się tutaj zwiedzeni instynktem zwierząt, niezmówieni, niczym bociany przed odlotem w cieplejsze kraje. Spotykaliśmy się prawie codziennie w budce, która stała na emeryturze w ogródku Lucjana. Budka ta, coś w rodzaju dzisiejszego prywatnego kiosku z warzywami; ciupka małeńka o wymiarach dwa na trzy metry, mieściła niejednokrotnie i osób dwadzieścia, przeróżne graty, żelazniok i całe półki książek. Z zewnątrz przypominała domek sierotki Marysi z dziecięcej ilustracji i stała na dwóch okrągłakach, na których ją od ulicy swego czasu odciągnięto, nadal gotowa w każdej chwili do dalszej podróży. To miejsce było naszą Polską — pomniejszoną do kropki — i wyspą niezależną jak stopa Piętaszka, którą Cruzoe na piasku po raz pierwszy dojrzał, w tym morzu czarnym, które nas — już w wolnej Polsce urodzonych — od nowa zalało. Przewinęło się tutaj wiele osób, nawet kilku Francuzów, którzy potajemnie z okolicznych obozów pracy do nas wpadali; spragnieni fermentu umysłowego i nowych wiadomości ze świata — tutaj go znajdowali, a nas niejako w rwaną, uczyli języka francuskiego; te swoje komsi-komsa i różne kurdebalanse.

Kadra podstawowa — jak się to w języku sportowym mówi — była dość wąska, ograniczona naturalną regułą światopoglądową, świadomością narodową i skłonnościami do abstrahowania; byliśmy dziedzicznie postępowi — przeważnie z rodzin spod znaku PPS — fanatycznie polscy — jako synowie powstańców — i z rozbujanymi zapędami intelektualnymi — jako przedstawiciele tej szczęśliwej generacji, której dane było liźnąć po wiekach nareszcie polskiej szkoły. Aby nie być gołosłownym przedstawie ich w skrócie. Lucjan Czarnynoga — największy mózg i idealista, maszynka do polykania drukowanego słowa, miał przezwisko Kanold, co w języku niemieckim oznacza cukierek mleczny, czyli Krówka po naszymu; od dziecka przepadał za słodyczami, a za kanoldami zwłaszcza i stąd to przezwisko. Ale najbardziej podniecały go książki, każdą dotykał z największą czułością i zanim zabrał się do jej zawartości długo rozkoszował się jej kształtem, pieścił ją, a potem otwierał i wachał farbą drukarską z największą przyjemnością. Zenek Buła miał przezwisko Charboł — a więc mocny trzewik — bo miał twardą nogę w pilce nożnej, niespodziewanie mocny i celny strzał z obu nóg, niebywały ciąg na bramkę i wrodzoną technikę. Zygmunt Pniok był z nas najstarszy; przezwisko Żymlok, ale przylgnęło ono do niego niedawno, wymieniło się z poprzednim. Buła przezywano go za młodu, bo grubawym był do wojny. Żymlok jest bratnią kielbasą Krupnioka, kaszanki śląskiej w cienkich jelitach. Krupniok jest mieszaniną krwi i krup — czyli kaszy po polsku — zaś Żymlok mieszaniną krwi i zymły — czyli bułki — też w jelitach cienkich — które zjada się z zawartością, zwłaszcza jeśli jest dobrze podsmażony. Przezwisko Żymlok nie przylgnęło do niego przez skojarzenie do spraw kulinarnych a przez jego słabość do dziewcząt, która ujawniała się nagle; obalał je jak chciał i nieomal w dowolnym miejscu, codziennie jedną, i nigdy po raz drugi do żadnej nie wracał. Traktował je jak jednodniowe motyle, one — przeleciane — żyć mu nie dawały, czatowały na niego gdzie się dało — lażyły za nim i za łby się często brały i o jeszcze prosiły. Jedyny z nas był w konspiracji — w Polsce rzecz jasna, czyli w Sosnowcu — o czym nie wiedzieliśmy, a co wydało się jednego dnia. Byłem akurat sam w budce z Lucjanem, gdy chłopczek

Kazimierz Kutcz

CHŁOPCY

mały w okno zastukał i powiedział głośnym szeptem — „Żymlok prosi do Rawy z nożem”. Pobiegliśmy tam bez noża i zastaliśmy go w trawie pod wałem ochronnym z rękami złożonymi pomiędzy kolanami. Odpędził chłopca i wyciągnął ku nam dłonie splecione w przegubach. Polecałem po noż do Czarnynogów i uwolniliśmy go. Okazało się, że wpadła cała grupa w akcji na kasę kopalni „Mortimer”, kilku zabito, a jego jedynego pojмали, torturowali noc całą i z rana dwóch konwojentów — skutego właśnie — wiozło w pośpiechu w stronę Krakowa. Wciąż chyba do Oświęcimia. Odczekał aż pociąg nabrał prędkości w lasach za Jęzorem i gdy jeden z dwóch poszedł za potrzebą, kopnął w podbródek drugiego, wyskoczył przez okno, sturlał się po nasypie i umknął w scherlałe sosenki, wertepami przeszedł granicę — bo wtedy Zagłębie nie było jeszcze przyłączone do Altreichu — i tutaj się zjawiał. Rodzina Pnioków słynęła nie tylko z polskości, ale i przekonania komunistycznych, dlatego starego Pnioka zataszczono jako jednego z pierwszych do Oświęcimia i nawet roku tam nie przeżył. Toteż nie zdziwiły nas kajdanki Zygmunta — dalej swoje robił i po roku w głąb Polski pojechał z jakimś ważnym poleceniem konspiracyjnym, potem przeprowadził się podobno do Rosji, ale też z wojny do domu nie wrócił. Los jego jest tajemniczy. Pewien jestem, że wiele dziewcząt z naszej okolicy — które wtedy na świeżo sobie z tym interesem poczyniały — do dziś w marzeniach go pięści. Każdy chce po sobie coś zostawić, w czyjejs pamięci się zapisać — ślad Żymloka wydaje się być jednym z najszlachetniejszych i nie podlegających dyskusji, jak pamięć po widoku Niagary u tych, co wodospad ten na własne oczy widzieli. Następnie to Hubert Richter, przed wojną miał przezwisko Sieka, co w świecie królików oznacza mieszańca czyli króliczego kundla. Hubert, rzeczywiście, był niewyraźny z domu, bo ojciec powstaniec a matka przysięgła Niemra, działała jawnie w Volksbundzie. Po wojnie przylgnęło do niego przezwisko Słypko, bo z wojny wrócił z jednym okiem, był w rosyjskiej niewoli — budował elektrownie za Uralem — i dopiero w dwa lata po zakończeniu wojny powrócił. Największy wesołek z nas wszystkich, stary kawaler po dziś, mieszka w tej samej izbie na poddaszu — czyli na tak zwanym giblu — w której się narodził. Praktykujący katolik, przeszedł wszystkie szczeble ministrantury, ale bigotem czy hipokrytą nigdy nie był. Uczył się fryzjerstwa, strzygł nawet parę lat, ale oko mu słabło i przekształcił się na zaopatrzniowca. Z okiem ma coraz większe kłopoty, szanuje je jak może, telewizji prawie nie ogląda a jeśli musi — w przypadku transmisji piłkarskiej — siada tyłem do telewizora i w odbiciu kieszonkowego lusterka — które w dłoni trzyma — ogląda co trzeba, i sypie śląskimi dowcipami, rzeczywistość nam okrasza, sam je wymyśla, bo oko na śmieszności ludzkie ma niepopolite i do tego śmiech epidemicznie zaraźliwy, przez co prawie do kina chodzić nie mógł — zwłaszcza na filmy poważne, które śmieszyły go najbardziej — przez co nader często bywał z niego wypraszany. Przez tę przywarę znają go wszyscy w Rożdżeniu, a są i tacy co bilety w kasie oddają gdy on na widowni siedzi. Zwłaszcza chorzy, bo śmiech ma tak zaraźliwy, że boją się komplikacji. Hubert jest rzadkim okazem ludzkim; wszędzie wnosi pogodę, smutek przepędza. Jest niepowtarzalnym wdziękiem Śląska, gwarą władą cudownie i zawsze oryginalnie — jak Słowacki wierszem. Dla nas jest dobrodziejstwem losu i Bogu dzięki, że życie mu darował, bo prawdziwą ozdobą natury jest. Frydek Orendosz prze-

zywany jest Remizą, bo mu zawsze w brzuchu burzało i pocił się łatwo, a ponieważ uwielbiał tańczyć — a co soboty w budce były tańce w jesienne i zimowe wieczory — dwa razy do wieczora wyżywał koszulę. Z Jorgiem Braiterem — o którym zaraz wspomnę — tworzyli nieodłączną parę o niewyczerpanej inwencji do zgryw i wygłupów. Kiedy tutejszym zwyczajem wyjeżdżaliśmy w letniej porze — w co drugą sobotę — na niedzielny wywczas gdzieś na wieś, ale przeważnie do Dzieńkowic koło Imielin — z dziewczynami rzecz jasna! — oni w samym centrum wsi, gdy ludzie z niedzielnej sumy wychodzili, swój popisowy numer przedstawiali — hiszpańską coridę! Było to widowisko kompletne i fabularne, wielokrotną improwizacją utrwalone, ale przez to zawsze żywe i zawsze z nowymi improwizacjami, w których Frydek był toreadorem a Jorg bykiem. Ludzie schodziło się sporo a ich śmiech rozchodził się na kilka kilometrów, bo oni zawsze byli wspaniali i tylko w niektórych filmach Waltera Disneya taką sprawność i poczucie humoru u zwierząt widziałem. Po przedstawieniu chodzili z kapeluszem dookoła; pieniądze zbierali, ale wstydzieli się, więc i temu nadawali formę zgrywy. Obydwaj pochodzili z bardzo biednych rodzin a przez te lata żyli w nędzy. Frydek był bez ojca — stary Orendosz zginął w 32 na kopalni Gischego — a Jorg swego ojca w ogóle nie znał a jego matkę pierwszym transportem odstawiono do Oświęcimia, bo zażartą działaczką antyniemiecką na tym terenie była. Czciła równie gorąco i Marksa i Korfante. Obydwaj mieli talenty aktorskie, zwłaszcza Jorg a jego Mata Hari w tańcu brzucha była czymś co ludzkie pojęcie przechodziło. Na wspomniane wycieczki każdy swoje marmeladowe buterysznity brał a oni torby mieli puste. Jorg wioził w swojej akentasi długi lejek, który szpadę imitował a Frydek chustę czerwoną. Ot i wszystko. Dopiero za zebrane pieniądze kupowali w Dzieńkowicach chleb i jaja, i z powrotem wieźli je nieco pełniejsze. Obydwaj mieli też wielki ciąg do dziewcząt, wyglupiali się przed każdą nową i zawsze któremuś przypadła. Nie było takiej, która oparła by się ich wdziękowi. A w noc wigilijną szli w niewiarygodny zakład — rok w rok — o to, któremu uda się podczas pasterki w kościele nieznana dziewczęcinę uwieść, co przynależało zawsze tylko Jorgowi się udawało. I to zawsze w tym samym miejscu — na spiralnych schodach wiodących na chór! Wtedy Frydek wypełniał drugą część zakładu; bezpośrednio po pasterce pod najjaśniejszą lampą vis a vis głównego wyjścia, gdy wierni świątynie opuszczali, zdejmował z siebie wszystko do bielizny, na ziemi w kostkę układał i w samych tylko gaciach arie włoskie śpiewał z kamienną twarzą i bez najmniejszego wyglupu, głosem pięknym, bo chodowanym w miejscowym chórze imienia Stanisława Wyspiańskiego. Jorg — jako tryumfator — stawał przed nim i wyl z śmiechu, rechotał na cały Rożdżień — bo nikt go tak nie bawił jak Frydek — w końcu, aby mu klęskę osłodzić zdejmował swoje spodnie i ostatnią frazę razem kończyli. Potem przewieszali swoje galoty przez przedramię i odprowadzali się wykwinnym krokiem i prowadzili konwersację w języku francuskim, wymyślonym po drodze. Z czasem więc ich nieco osłabła, bo Jorg nie honorując zasady lojalności bez obciachu podkraść Frydkowi dziewczyny. Frydek był rozpieszczony przez matkę, która z miłości dla niego po raz drugi za męża nie wyszła — życie jemu poświęciła — stąd czuły był na punkcie własnym, narcyzował i obrażał się na Jorga, zwłaszcza, że urodziwy był

i na oko nie miał pod tym względem konkurentów w okolicy. Ale Jorg się z tym nie liczył; do dziewcząt miał stosunek żywiołowy i szedł za wężem — ojciec był podobno Argentyńczykiem — gębę miał smagłą jak Cygan, nos jak stara flinta i oczy czarne, błyszczące. Każdą traktował jak swój kasek; oswajał się w kilka sekund — normalny człowiek jeszcze nie zdążył by się przyjrzeć a on już robił wrażenie jakby w piaskownicy zaczynali. Pamiętam, któregoś zimowego wieczoru, mój kuzyn, najlepszy akordeonista w całej okolicy przeprowadził dziewczynę z Giszowca, czarną jak mulatka z piękną twarzą madonny, ciałem nabitym jak opona powietrzem i każdą częścią ciała godną oddzielnego przestudiowania. Jorg dostał fioła — jak każdy z obecnych — zauroczył ją tańcem brzucha, bo był to jego popisowy numer na stoliku wielkości czterech dłoni, omamił i potem wioził ją przez zasypany pięciokilometrową trasą — nie wiadomo co tam po drodze było — ale ledwo rankiem do domu wrócił poskręcał go w supel z reumatyzmu. Zawieźli go do szpitala poskręcane go jak sparaliżowaną ośmiornicę i gdy ordynator go zobaczył krzyknął na nim postawił, bo po księdza posłać kazał, siostry czki zakonne nacierały go jakimś smalcem a on wyl jak głodny wilk i o rewolwer prosił. Złorzeczyliśmy krasnolicej, która nam przyjaciela do grobu doprowadziła a w kolejną sobotę posłaliśmy się z nim pożegnać na zawsze. Wyglądał okropnie — powykręcany jak średniowieczna maszkara i cały szerniał. Leżał w izolacie, z której już tylko do kostnicy dostać się było można. Nawet nie był w stanie oczu otworzyć, ale zamiast na pogrzeb, na wesele nas zapraszał, a potem poprosił Frydka, aby mu nad grobem słynną arie „Śmieję się pajacu” zaśpiewał, bo ją lubił najbardziej w jego wykonaniu, ale koniecznie w obecności księdza, żeby jeszcze weselej było, potem zamilkł, odsapnął parę razy i powiedział — „Alech się nadupiał jak alpejski osiołek”. Zabrzmiało to jak słowa ostatnie, bo po nich dostał dreszcy i resziste lzy spłynęły mu spod powiek. Opuściliśmy go w majestacie śmierci. Ale już w poniedziałek wieczorem przeprowadził się przez mur szpitalny i przez następne dwa tygodnie nikt go na oczy nie widział. U niej, u tej pięknotki z Giszowca się zaszły i wszystkie członki widać prostaowały, bo gdy potem zapytaliśmy go z głupia frant gdzie był, odparł — „U Anici na biglowaniu”. A biglować znaczy prasować. Frydka i Jorga Wehrmaht i te inne rzeczy ominęły. Frydek ukończył po wojnie Akademię Hutniczo-Górnica w Krakowie, ale jeszcze przedtem zaszynał jako sportowiec, — biegał na 5 i 10 kilometrów w reprezentacji Polski przed objawieniem się Chromika, który też stąd a dokładnie ze wspomnianych Brzęczkowic pochodzi. Być może z tego trenowania i biegania nabawił się nowotworu w stawie biodrowym. Chorobę tę rozpoznał Lucjan, który już wtedy był znakomitym lekarzem, radził mu amputację jako jedyne uniknięcie przed śmiercią, ale on — pieszczoł na własnym punkcie — wolał męczyć się latami, i u innych, krakowskich specjalistów się leczył. Z czasem na amputację było już za późno i zmarł pięć lat temu w okropnych bólach, bo już żadne narkotyki nie działały. Śmierć Frydka — jak mi się dziś wydaje — była jedną ze spraw, które zaważyły również na śmierci samego Lucjana. Jorg z racji swej urody i chudości nosił przezwisko Hindus, już w tamtych latach odkrył w sobie talent do rysunków, bez matury przyjęli go na Akademię w Warszawie, ale przemysławszy los swój, matki, dziadów i całego Górnego Śląska, nas wszystkich — których tu opisuję — nie

nikomu nie mówiąc przeprawił się na Zachód. Zrejterował, wycofał swe akcje, czy jak to nazwać, w każdym bądź razie zaskoczył nas wszystkich swym krokiem, miał z tego powodu poważne powikłania moralne, bo do dziś z nikim kontaktu nie nawiązał. Dał nura w inny świat. Z latami wypłynął jednak w Ameryce jako bożyszcze nowego malarstwa i postać barwna. Jest w Nowym Jorku — Jorg w Yorku! — artystycznym przywódcą tej zbajerowanej — choć sympatycznej — młodzieży w kwiatkach, hippisów amerykańskich. Dowiaduję się o nim z gazet. Ostatnio przyszła wieść, że pan George Breit, taki tam a taki, został we własnej pracowni postrzelony przez panią Samantę Webst, aktorkę, przyjaciółkę i ulubioną modelkę. — dokonała na nim aktu zemsty na tle osobistym i sama oddała się w ręce policji. To jest on, Jorg, w całej swej krasie babskich powikłań, nie wiadomo tylko czy żyje, bo prasa nie nie podaje, ale jest to raczej niemożliwe, on jest nie do dośięcia, nawet po trzech dniach z grobu wyskoczy i księdzu, który z nim na ostatni spacer szedł poleci rękę uściśnąć a panience bukiet krwawych róż zanieść. Jego ucieczka wtedy — w pierwszych miesiącach po wojnie — nie była czymś osobliwym czy niezwykłym; było to zjawisko nagminne, wielu chłopców stąd to zrobiło i miało to charakter atawistyczny, tak jakby z ziemią tą zaczęły działać się rzeczy niedobre. Wtedy było to dla mnie niepojęte, dziś jestem daleki od bagatelizowania ich pędu do uciekania, bo to, co było ich przecuciem, potwierdziło się i nadal się potwierdza. Poza Jorgiem, nieodżałowanym przyjacielem, uciekło jeszcze trzech chłopców z mojej klasy: Bolek Rurarz, Erwin Pająk i Józek Deja. Do dziś nie powrócili. Bolek jest górnikiem w Belgii, Erwin nauczycielem matematyki i fizyki w Kalifornii — podobno wynarodowił się całkowicie — a Józek zawędrował aż do Australii, gdzie się fermy dorobił. Ciekawe, że wszyscy Zachodnie Niemcy ominęli. Pozostałoby jeszcze napomknąć o dwóch braciach Fickach, którzy razem z nami — moim bratem i mną — stanowili dwa bratnie dublety. Pozornie mniej atrakcyjni, przyglądający się wszystkiemu z większą ciekawością niż inni, z natury nieruchawi i przyćmiewani, inteligencję mieli jednak czułą jak sejsmografy na wszystko, nieskończonej prawdy i rzetelności, mówili wolniej od pozostałych przez co przylgnęło do nich przezwisko Langsam, od niemieckiego „landsam” — powoli. Był więc Langsam starszy i Langsam młodszy. Starszy Langsam jest dziś wielkim dygnitarzem partyjnym w hucie „Warszawa”, którą zakładał swego czasu ze specjalną brygadą fachowców z Chorzowa i tam już pozostał. Był przez nas traktowany w sprawach dotyczących Polski jak biskup w sprawach kościoła i najważniejsze — nie umniejszając mu w niczym — nigdy nie mógł nam udzielić zadowalających odpowiedzi. Na nim odbijaliśmy sobie żale do rządzącej partii. Na nim wieszczyliśmy psy — jeszcze z Lucjanem i Zenkiem — za to, że nie podłożyła ona w 1945 roku podwalin pod wyższe szkolnictwo humanistyczne — uniwersytet! — na Górnym Śląsku, rzecz w naszym przekonaniu tej wagi dla nas, co chrzest dla Polski tysiąc lat temu. Z Langsamem starszym traciłmy z czasem kontakt — zwłaszcza on z nami — a od kiedy został wybrany członkiem KC nikt go już na żywe oczy nie oglądał, bo nawet nie zjeżdżał z Warszawy na Święto Umarłych. Langsam młodszy jest lutownikiem, ale nie takim od skrzypiec a od lutowania olowiowych kadzi w hucie kwasu siarkowego na Uthemanie w Starych Szopienicach — a więc w sąsiedztwie swego miejsca

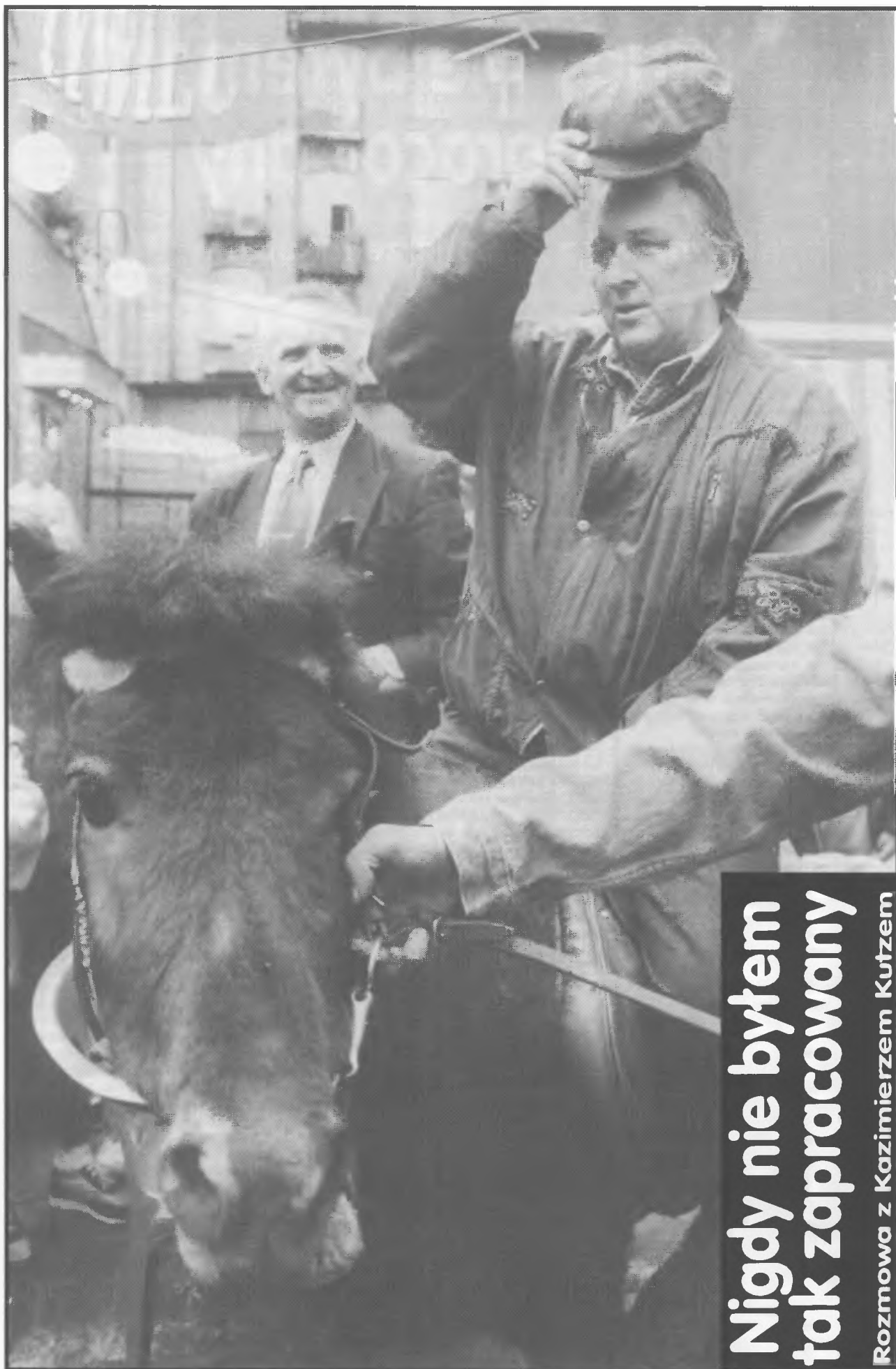
urodzenia. Ale dokładnie mówiąc był lutownikiem, bo przez wieloletnie babrzenie się w ołowiu nabawił się tej choroby, którą olów akurat gwarantuje. Jeszcze wcześniej parę lat spadł w pracy z drabiny i uderzył się w plecy, ból przeszedł, ale przeleciało pięć kolejnych lat i któregoś dnia — ku własnemu zdumieniu — nie mógł podnieść się z łóżka, a co więcej ani ręką ani nogą ruszyć nie mógł. A jak długo żył, dnia na chorobowym nie zabawił, zęby miał wszystkie i bez jednej dziurki, kąpał się raz na tydzień i obcinał wszystkie paznokcie. Dziecięcego perfumu używał. Toteż przestraszył się i od razu po Lucjana posłał. Ten opukał mu kręgosłup i wymacał trzy zetłale kręgi w krzyżu — te właśnie, na które swego czasu upadł — rozmiękle gruźlicą, której dzięki zaawansowanej ołowicy się dochrapał. Lucjan powiedział mu jasno — ma jedną szansę na tysiąc, jeśli uwierzy w ozdrowienie; dwa lata leżenia w gipsowym korycie, możliwość powikłania nerek, prawdopodobieństwo impotencji i potem gorset do końca życia. Skierował go do najlepszego szpitala w Piekarach Śląskich i tam, i nie tylko tam, dwa lata przeleżał — jak się rzekło — różni profesorkowie-specjaliści go obmacywali, eksperymenty robili, bo umrzeć nie chciał i przez to był pacjentem wdzięcznym dla potwierdzania różnych medycznych hipotez. Nie przejmował się, balona z nich robił, bo w słowo Lucjana uwierzył, swoim humorem obdzielił wszystkich stekających, a jednemu co mu dren z głowy wystawał tak rośmieszył, że pyrkało mu z głowy jak z fontanny, ale po siedmiu kwartałach profesorowie postawili na nim krzyżyk i wyekspediowali go do gruźliczego szpitala pod Bielsko — na ostatni kwartał do skonań — bo tu gruźlicy wszelkiego asortymentu finiszowali; marli jak muchy po trzydziestu na miesiąc. Langsam młodszy wytrzymał i to, w wyliczonym czasie — ku osłupieniu personelu — zabrał się do gimnastyki, pogwizdywał przy tym skocznice i w dniu wizyty profesorka z Krakowa, który ostatnim razem pożegnał się z nim na zawsze — „Panie Ficek żegnam się z panem na zawsze, umrze pan do trzech miesięcy, mogę to panu powiedzieć, bo polubiłem pana jak mało kogo a pan przecie i tak wszystko wie”. — W dniu wizyty tego profesorka kazał siostrzyczkom rozłupać gipsowy pancierz, postawić się pod okno i kule podać. I gdy profesorek wszedł na salę i puste łóżko po Langsamie zoczył, powiedział — „No, pan Ficek już u pana Boga, szkoda go” — wtedy on mu spod okna zwyczajnym głosem odpowiedział — „Tu jestem, panie profesorze” — ten zaniemówił i wtedy Langsam młodszy do zdębiałego uczonego ruszył, w połowie drogi kule odrzucił, doszedł do niego o własnych siłach i w ramionach mu zemdlał, potem przez dwa tygodnie zmagał się ze śmiercią, ale i jej dał radę, bo niedługo potem opuścił szpital w skórzanym gor-

seciku — od szyi do pasa — tyle, że kosztem dwunastu centymetrów wzrostu. Złilipuciał nieco i spadł poniżej głowy własnej żony a jako jedyny z nas ożenił się z Gorolką w Sosnowcu — oryginalną powieść można — ale tu mieszka i całą jej rodzinę zesłał do tego stopnia, że można by ją po odpustach obwozić i nienawidzi do swoich oduczać. Jest teraz gospodarzem szkoły nr 12 — ciociem po prostu — na Burowcu pod Małą Dąbrówką. Ale co ciekawe w tym wszystkim — od śmierci Lucjana pić zaczął, przedtem nie znał smaku alkoholu, a na jego pogrzebie płakał głośno, łkał jak wrażliwa kobieta — na co żaden mężczyzna tutaj sobie nie pozwala — czemu ja się nie dziwię; ze śmiercią swego wybawcy nie mógł się pogodzić. A nas — mnie i mojego brata — przewasno Mamlakami, przez naszą niezwykle silną, prawie chorobliwą, braterską solidarność jaka nas łączyła, ale o moim bracie zwłaszcza, który był silnym punktem tej paki, wspominać nie będę. Nie wygastał on we mnie na tyle, by z równą swobodą co o tamtych — o nim opowiadać. A ja — jak to ja — choćby z uwagi na wiek w tamtych latach w wielu sprawach byłem mimo — beniaminkiem byłem — do roli kibica się ograniczałem, podobnie jak teraz, odrącony przez los od normalnego życia, z boku na nie patrzę — jak wtedy na nich, na tych jaskrawych chłopców z chorej ziemi — nasładam się nim, smakiem dotąd nie znanym. Inaczej nie odkryłbym ich w swojej pamięci i nie zobaczył tych młodych matek, ponętnych jak dojrzwały owoc; w pół rozcięty i rzucony na uliczny stragan. Życie. Nie byłbym też świadkiem nienajwzruszającego wypadku, po którym ogarnął mnie prawdziwy smutek. Oto żuraw wysoki — podciągnięty pod dziesiąte piętro budującego się bloku — zakręcając z ciężarem na dziobie uderzył przeciwwagę w ósme piętro i posypały się płyty jak frytki z tytki za ziemię, łomotnęło, zakurzyło się i na moich oczach powstał wielki wyłom w szarej ścianie, i w ten sposób ziszcilo się moje stare podejrzenie do wielkopłytowego budownictwa na uderzenie poziome, spodnioki mi się zatrzęsły pod galatiami, i prawdziwy strach poczułem przed trzecią wojną światową, bo gdyby, nie daj Boże, jednym pociskiem w taką chałupę z czołgu bluznąć, rozsypałaby się jak kopnięta sterta pomarańczy; ułożona w stożek na neapolitańskim straganie. Strach zadawać się w takiej sytuacji z przecuciami co do przyszłości. Ale gdyby nie mój czas zastygł — mierzony zrastaniem się tkanki kostnej — nigdy nie dostrzegłbym na niebie wydarzenia, które zrównoważyło mi te wojenne lęki. Oto wysoko, pod burzową chmurą, młody bocian — pod okiem starych — ćwiczyl wysokościowe loty, co czas jakiś — matka przypuszczam — z wznoszącego kręgu dopadała nurkowym lotem małego, poszturchiwała go od tyłu i znów w górę się wzbijała, do kołującego partnera. I tak wkręcili się — z minuty na minutę — w olowiową chmurę, niebezpieczną dla małego bociana, aż z pierwszą kroplą deszczu pochłonęła ich doszczętnie; teraz tam, ponad nią, szybowali ku słońcu — niewidocznemu z ziemi — z potrzeby nieodzownej, małemu jeszcze nie znanej bo niedoświadczonej. Ptak, jak ten bocian młody, co rok będzie stąd odlatywał, ale w wiosennym cieple będzie też tu wracał. Odloty niedorostków stąd inne są — nigdy już nie wracają.

Z pól — co nowych bloków dotykały — zżęte zboża dawno w stodolach, rżyska bładły z dniem każdym, żółcie na drzewach już w czerwien szły, dymy też niżej sunęły niż onegdaj, a do każdego dźwięku echo przylgnęło. Jesień w drzwi pukała.

Kazimierz Kutcz

CHŁOPCY



**Nigdy nie byłem
tak zapracowany**

Rozmowa z Kazimierzem Kutzem

Nigdy nie byłem tak zapracowany

Rozmowa z Kazimierzem Kutzem

JFL: — Zdaje się, że jest pan ostatnio szalenie zapracowany...

KK: To prawda. Nigdy nie byłem tak zapracowany, jak tej jesieni. Jestem właśnie po realizacji filmu fabularnego „Pulkownik Kwiatkowski”, skończyłem kolejne widowisko teatralne dla telewizji, a mianowicie „Rodzinę” Antoniego Słonimskiego, niedługo zabieram się do serialu opartego na „Sławie i chwale” Jarosława Iwaszkiewicza. Jednocześnie dojeżdżam do Katowic na kolejne nagrania z cyklu „Wesoło czyli smutno”. To są sprawy, które mnie trzymają w ryzach. A do tego mam ostatnio mnóstwo propozycji wyjazdów zagranicznych, które odrzucam prawie wszystkie. Wybieram się tylko z tygodniową wizytą do Japonii, gdzie pokażę moje ostatnie filmy.

— Czy nie za dużo tego wszystkiego? Czy wytrzyma pan takie tempo?

Na razie nie jest tak źle. Z chwilą, gdy wróciło mi zdrowie, czuję same przypiły energii. A poza tym mam taką naturę, że lepiej się czuję w trudniejszych warunkach. Jeszcze mam na tyle wigoru, że mogę wiele rzeczy łączyć.

— Nie wspomniał pan o dyrekcji artystycznej Teatru Narodowego...

No właśnie. Na szczęście, ta sprawa nie wymaga w tej chwili żadnych empirycznych działań. Ale muszę już o programie myśleć... Ta propozycja była na tyle atrakcyjna, że byłbym chyba dumiał, gdyby jej nie przyjął.

— Czy ma pan już jakieś wyobrażenie swej roli w tym teatrze?

Chciałbym, żeby z tego potencjału, który jest w Polsce, stworzyć scenę narodową. W tym sensie narodową, żeby na niej wystawiali najlepsi, i to spektakle na wielką skalę. Bo w tej chwili już prawie nie ma teatru w Polsce (może poza Teatrem Starym w Krakowie), który mógłby sobie pozwolić na wielki, klasyczny repertuar, będący po prostu kosztowny. Wszędzie działa presja komercji. Tymczasem są jeszcze w tym kraju ludzie utalentowani, tyle tylko, że nie mają możliwości pokazania się na wielką skalę. W Teatrze Narodowym te możliwości będą jednak większe niż gdzie indziej. Na początek chcę zaprosić najlepszych reżyserów i po prostu zapytać ich, co chcą wystawiać, ujawnić ich marzenia teatralne, a potem na tej podstawie przystąpić do formowania programu. Zamierzam zwrócić się zatem do marzeń i profesjonalnych niespełnień, z myślą, że Teatr Narodowy powinien

stworzyć warunki tym, którzy potrafią i którym się chce.

— Powróćmy jeszcze do kina, a mianowicie do „Pulkownika Kwiatkowskiego”...

Tę historię wyciągnął Jerzy Stefan Stawiński, z którym mam żywsze kontakty, i zaproponował mi scenariusz oparty na faktach z okresu tuż po wojnie. To historia człowieka, który — podając się za wiceministra spraw wewnętrznych — podróżował ze swymi ludźmi po Polsce i wypuszczał z aresztów więźniów politycznych, głównie akowców. Z czasem został zdemaskowany, zamknięty i wszelki śluch po nim zaginął. Dla mnie jest to opowieść i śmieszna i poważna, rozpięta między tragedią i komedią. Jest to także film akcji, w którym wiele się dzieje. Rolę tytułową gra Marek Kondrat, a towarzyszy mu Zbigniew Zamachowski...

— Kiedy film pojawi się na ekranach?

Po raz pierwszy ma zostać pokazany na listopadowym festiwalu w Gdyni.

— To kolejny sygnał, że festiwal zapowiada się w tym roku ciekawie...

Ponieważ przewodniczącym jury będzie Andrzej Wajda, to podobno — jak mówią złośliwcy — ja mam przechłapanie.

— Co pociągnęło pana w potężnej powieści Iwaszkiewicza? Przecież to będzie straszliwa mordęga...

Myślę, że to bardzo przywoity tekst na serial. To właściwie jedyna powieść ujmująca polskie losy w XX wieku w epickim stylu, a przy tym niesłuchanie osobista, mogąca służyć refleksji o Polsce. Jest to przecież powieść o zagładzie dawnej Polski szlacheckiej, powieść o gasnącym pięknie, rozegrana w scenarii czterech wojen, od wojny bolszewickiej do powstania warszawskiego; powieść o straszliwej rzezi, która dotknęła młodzież tamtego czasu.

— Rozumiem, że będzie to serial epicki, jakiego dawno już nie było...

Jak najbardziej. Siedmiogodzinny. W tej chwili trwają intensywne prace dokumentacyjne. W grudniu, najpóźniej w styczniu, muszę nakręcić plenery zimowe. A wszystkie zdjęcia zakończę zapewne do lata przyszłego roku.

— A co z powieścią „Piąta strona świata”, której fragment drukujemy?

Zacząłem ją pisać wiele lat temu, kiedy powróciłem na Śląsk, i zacząłem się ze Śląskiem szarpać. W tej powieści, która rozgrywa się poza konkretnym czasem, chodzi właśnie o Śląsk. Mój zamiar był taki, żeby przedstawić Śląsk w jakiejś całości, na przykładzie pewnego robot-

nika, który powraca na Śląsk po latach. Jest to człowiek, który wcześniej odciął się od Śląska, a teraz doznaje szoku i postanawia wszystko z siebie wyrzucić, napisać, a pisać nie potrafi. I wreszcie, po wielkiej męce, zaczyna przemawiać własnym językiem, który wyrasta z gwary. Jest to powieść o tym, jak rodzi się pisarz, lecz zarazem powieść o Śląsku, z konstrukcją pozwalającą na mieszanie wszystkiego ze wszystkim: postaci, czasów, wydarzeń.

— Czy rzecz jest skończona?

Dociągnąłem do jakiejś jednej piątej, a zamierzałem tę powieść na tysiące stron. To moloch, łączący formę eseju, medytacji i wspomnień. Zarzuciłem pisanie przed 20 laty i nawet o tej księdze zapomniałem. Dopiero teraz Jerzy Illg, który organizował śląski numer „Na Głosu” przypomniał mi o niej i wyciągnął z mojej szuflady.

— Można powiedzieć, że działa pan ostatnio dwutorowo. Z jednej strony „Sława i chwała” z polskimi problemami, a z drugiej wywołuje pan sprawy Górnoślazaków, chociażby w telewizji. I widać w tych programach poczucie misji. Co pan chce osiągnąć?

● Wszystko to robię, żeby przynieść Górnoślazakom pociechę, żeby ich wesprzeć w poczuciu godności własnej, bo tylko ludzie z takim poczuciem są naprawdę silni. A Górnoślazakom, jak mało komu, potrzebna jest dawka pozytywnej energii. Na tym polega to moje społecznikostwo. Wiem, że nie wszystkie te programy się podobają, ale przecież Polska będzie musiała się regionalizować, tyle tylko, że polscy politycy do regionalizacji nie są przygotowani, i po prostu jej się boją. Jednak musimy przygotowywać się do stworzenia nowocześniejszej, europejskiej konstrukcji państwa zdecentralizowanego; w tym sensie regionalność jest jak najbardziej na rzeczy. Tymczasem na Śląsku potrzeba regionalizacji już jest utrwalona.

— Rozmawiamy przed wydaniem pierwszego numeru naszego miesięcznika. Jak pan sobie wyobraża takie pismo, jak „Śląsk”?

Powinnością towarzyszyć sprawie regionalizacji i tworzyć dla niej głębię. Nie tylko stawiać pytania, ale i próbować na nie odpowiadać. I powinnością przynosić Ślązakom po prostu godziwą refleksję nad Śląskiem.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:

JAN F. LEWANDOWSKI

Pajonkowa

A więc czy to warto —
po tych wszystkich latach
kubeczkach na mleko plackach z jagodami
dziecięcych uśmiechach porządkach wielkanocnych
niebieskich i ziemskich
układnych ukłonach gestach dziennych i nocnych
koszulach krochmalonych cierpliwie i z wiarą
przeciwko rozszalałej nad blokami burzy
— wychodzić na puste pokryte lodem podwórze

Daleko w chmurach w wysokich
rusztowaniach światła
wisi ptak
Niebo jest zbyt duże rośnie
spomiędzy palców jak obce zwierzę przeciska się
pomiędzy drzewami wisi tuż przy ciele duszące i
lepkie Mróz je twarz

I stoisz tak owinięta potarganym szalem
w śmiesznej włóczkowej czapce
zsuniętej na lewe ucho
czarna spódnica cieniutkie nogi
wargi drżą —

stara Pajonkowa znów sterczy na dworze
czeka
na nie-wiadomo-co:
na aniołów z harfami takich błękitnych
jak niezapominajki z tej grządki nagrzanego słońcem
tuż spod okna (wilgotny zapach ziemi pieścił twarz)
na psa z kulawą nogą najpewniej tę tłustą suczkę
co ją przejechało zeszłego roku
na syna sokoła
męża co go żal po małym ogródku
na śmierć udusił

Ulica Domy
wydeptana ścieżka trzy kroki
w lewo cztery kroki w prawo i tuż nad głową
pełny
okrąg świata
gwiazdy kontynenty drapieżne
orchidee w subtropikalnych lasach
nocne harce antylop
w mrokach sawanny okręty łagodnie
wiozące pieprz i pomarańcze
przez modrą wełnę morza —

powietrze jest ogromne
niesie twój starczy oddech daleko poza bloki
szare sklepy osiedla chłód chodników
pozamknięte drzwi

Patrzę z okna
W mroku sypie mokry puch
W białych strugach śniegu twoja niska postać
rozdziela się na dziesiątki drżących
wykrzykników...

Bezradny lament
niepotrzebnych liter próżny
krzyk blaknącego
słowa
podmuch ciszy



Wielkie Morze Piasku

W roku 1591 Sen—no—Rikyu, pierwszy
w historii Japonii mistrz herbaty, popełnił
samobójstwo na rozkaz swojego władcy,
dyktatora Hideyoshi. Przed śmiercią po
raz ostatni przygotował herbatę dla swych
przyjaciół.

Klony są ciche i żółte
W miękkim powietrzu dłoń
czarka z herbatą rzuca cień
na wytarte kamienne schodki twoich
ogrodów, Sen—no—Rikyu

To tutaj
czekasz klęcząc
w popołudniowym słońcu
w fałdach żółtobrazowej szaty
zawieszanej bezpiecznie pod kolanami
by nie upadło
w tył
twoje ciało

Two ciemne japońskie oczy
z bolesnym zdziwieniem przepatrują
niekończące się wysokie zwoje powietrza
puste parawany ciszy

szytlet tnie głęboko
otwiera i zamyka czas
dzwonienie cykad
zrasta się z litą skałą
papierowe ptaki obłoków
już zawsze nieruchomo
rozświetlają niebo
krew trwa

lecz ja
przechodzę
turytka w pożyczonym kimonie
i zdartych adidasach
dzisiaj czterysta lat później
roześmiana nad spodeczkiem lodów
(tylko ten kształt ta chwila
to jedno życie)
nie chciałam
przykładać do tego nieuważnej ręki
męcić gestu
wyjmować z dłoni skrwawionego ostrza
obmywać ran
pytać

To tylko piasek
chłodny lekki i niepojęty
(kto nakreśli granicę między ziarnem
a pustynią)

rozsywał mi się nagle
u stóp



Radość tworzenia

niech nie gśnie

w myślach i sercach



ROK W GRONOSTAJACH

Od 1364 roku tworzenie uniwersytetów w Polsce jest procesem obłożonym zagadkową kłutwą. W 1364 roku powstaje, pierwszy nad Wisłą, Uniwersytet Jagielloński, który natychmiast monopolizuje „rynek” szkolnictwa wyższego i to tak stanowczo, że konkurencyjną uczelnię uda się założyć dopiero za dwieście lat — w dalekim Wilnie. Kiedy — kolejne sto lat później — pomysł uniwersytecki zaświta Janowi Kazimierzowi, lokacja jego akademickich apetytów we Lwowie spotka się z kategoryczną opozycją. Królewską decyzję przyjęto w kraju, ale papież — dysponujący ostatecznym słowem — zgody nie podpisał i przez wiek Uniwersytet Lwowski działał „piracko” — bez watykańskiej koncesji, którą zablokowało ponoć lobby krakowskie w Stolicy Apostolskiej. I dziwić się, że cztery wieki później w Opolu znów wszystko otarło się o możliwości i konfiguracje...

Do czasów II wojny — poza trzema wymienionymi — powstał Uniwersytet Warszawski (stolica środkowoeuropejskiego państwa doczekała się uczelni tego kalibru dopiero w 1816 roku!), Katolicki Uniwersytet Lubelski (1918) i rok później Uniwersytet Poznański. Sześć uniwersytetów przez prawie sześćset lat.

W rzeczywistości powojennej uniwersytet stał się obszarem szermierek politycznych. Dla przeciwwagi KUL-u — czym prędzej — jeszcze w 1944 roku, utworzono Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, dzięki czemu Lublin — mizerne przedwojenne miasto

MACIEJ SIEMBIEDA

Oddech nowego roku akademickiego natychmiast sprowokował przeświecenie płuc Uniwersytetu Opolskiego: Czy potrzebny? Czy środowisko na niego zasługuje? Czy prymat wydziału teologicznego, kształcącego pięciuset studentów, nie czyni zeń przypadkiem uczelni wyznaniowej? Więc ledwo przebrzmiało w Opolu drugie uniwersyteckie „Gaudeamus” — znów podjęto analizy i zaryzykowano diagnozy. Znów obudzono wirusa prowincji i przypominano choroby, na które opolska idea uniwersytecka miała zapaść nieuleczalnie i skutecznie — aż do zgonu. Stało się inaczej. Od roku Uniwersytet Opolski jest zdrowym faktem.



— stał się potentatem dwóch uniwersytetów. Równie osobliwe wydarzenia zachodzą w dziejach polskich uniwersytetów rok później. W 1945 r. tworzy się Uniwersytet Łódzki — niejako w towarzystwie innych instytucji adoptowanych z wykrwawionej Warszawy. Uniwersytet Lwowski — wocalnym wymiarze — zostaje przeszczepiony do Wrocławia i — dla równowagi politycznej — ochrzczony imieniem Bolesława Bieruta, co ktoś kiedyś celnie skomentował, że patronat ten pasowałby raczej do wrocławskiej... rzeźni miejskiej. Również w 1945 Uniwersytet Wileński — kalką lwowską — wędruje do Torunia. Anegdota, w której jest ponoć cień prawdy, mówi że „Wilno” wraz z księgozbiorem i profesorami jechało wówczas pociągami do Szczecina, ale w Toruniu rozkręcono szyny i tak już zostało: gród Kopernika stał się po wojnie jedynym polskim miastem powiatowym z własnym uniwersyteciem.

A potem znów następuje impas. Uniwersytet Śląski w Katowicach — natychmiast zyskujący w Polsce miano „czerwonego” — powstaje dopiero w 1968 roku. Gdański — w 1970, a Szczeciński — w 1986. Osiem lat później po uniwersyteckie gronostaje sięgnie Opole.

Odkurzona idea

Pomysł powołania uniwersytetu tu właśnie ma swoje lata. Bodaj pierwszy zgłosił go

w XVI wieku. jeden z najwybitniejszych Piastów Śląskich — Jerzy II, nie bez kozery noszący przydomek: Wspaniały. Niestety. Zakusy sławnego mecenasa nauki spełży zaledwie na założeniu Gimnazjum Piasztowskiego w Brzegu i przez trzy następne wieki nikt o nich nie wspominał. Dopiero w 1932 roku w niemieckim Oppeln, pomysł podjęli działacze Socjaldemokratycznej Partii Niemiec, ale — zanim zdążyli przekonać do niego władze — poległ w kampanii wyborczej wygranej przez zwolenników Hitlera, których uniwersyteckie apetyty raczej nie obchodziły.

Dalszy ciąg historii znamy aż nazbyt dobrze: do wybuchu wojny wyjałowiano Opolszczyznę z inteligencji z nazistowską skutecznością, potem nastąpiła era obozów koncentracyjnych, frontów i wysiedleń, aż w 1945 roku — po powrocie miasta do Polski, okazało się, że nie mieszka w nim ani jeden człowiek z doktoratem.

Na własną uczelnię wyniszczone Opole czekało jedenaście lat. Mimo naukowych grymasów, otrzymało wówczas upominek od władzy w postaci Wyższej Szkoły Pedagogicznej, która miała kształcić nauczycieli i być krynicą polskości. Na to drugie kładziono nawet mocniejszy akcent, mierząc lokalne apetyty akademickie... długością dróg żelaznych. Chce wam się doktoratów, katedr i habilitacji? Proszę bardzo: do Wrocławia pociąg jedzie niecałe dwie godziny (wówczas), do Krakowa niewiele dłużej. Siadać i korzystać z uniwersyteckich zdobyczy PRL.

Nic więc dziwnego, że pomysł powołania uniwersytetu na miejscu, odkurzony w 1956 roku przez państwową archiwizację — wydał się anachronizmem. Profesorów mieszkających w Opolu liczyło się na palcach jednej ręki, a gmach dzisiejszej uczelni był w stadium fundamentów. Nie pomógł autorytet wybitnego filologa prof. Stanisława Kolbuszewskiego, pracującego wówczas w Opolu i gorąco popierającego ideę uniwersytetu, nie pomogła przychylność szefa Wojewódzkiej Rady Narodowej — Ryszarda Hajduka, ani byłego wojewody śląsko-dąbrowskiego Aleksandra Zawadzkiego. Przez następnych kilkanaście lat ideę spowiła cisza.

Przerwał ją zgłęb przygotowań do dwudziestolecia WSP. Podczas spotkania władz uczelni z Arturem Starewiczem — sekretarzem KC PZPR odpowiedzialnym za sprawy nauki i kultury — 8 maja 1970 roku memoriał uniwersytecki głośno i wyraźnie odczytuje ówczesny rektor opolskiej uczelni — prof. Jan Serejda. Towarzysz sekretarz wydaje się przekonany, ale wkrótce przechodzi do lamusa powojennej historii wraz z całą ekipą Gomulki. I znów dziesięciolecie ciszy.

Na fali Sierpnia

W 1980 roku dyskusja o powołaniu uniwersytetu w Opolu wybucha z natężoną siłą i po raz pierwszy wyprowadza się z murów uczelni. Ożywieni wydarzeniami sierpniowymi — podejmują ją dziennikarze, twórcy, architekci, nawet robotnicy, postulując stworzenie uczelni tego kalibru z myślą o przyszłości swoich dzieci. W mieście powstaje Klub Inteligencji Twórczej — głośno propagujący ideę przebudowy społecznej i poprawy kondycji polskiej kultury. On właśnie jest inicjatorem ponad stuosobowej debaty 8 maja 1981 roku, podczas której ścierają się fale orędowników i przeciwników uniwersytetu.

Siła polityczna jest po stronie tych drugich, pewnie dlatego w debacie uczestniczy zaledwie dwójka opolskich profesorów. Dorota Simonides i — nieżyjący już wybitny językoznawca — Henryk Borek. Z pozostałych — zaproszonych osobście — nie przybył nikt, co zostało jednoznacznie odebrane jako aprobata nagonki na ideę uniwersyteckie; że to megalomania, że środowisko jest zbyt słabe, że uczelnia posiada mizerny kapitał umysłowy i status amerykańskiego college zupełnie jej wystarczy. Dokładnie tak samo myślało — w odległym od kilkaset metrów od miejsca debaty — Komitecie Wojewódzkim.

On zawsze uważał dążenia WSP za przerosz ambicji. Kiedy w latach siedemdziesiątych Andrzej Żabiński — opolski I sekretarz, powszechnie uznawany za ulubienca Edwarda Gierka — zaangażował się w tworzenie uniwersytetu, dyskretnie wytłumaczono mu, że nie postępuje właściwie. Zdążył zbudować osiedle willowe — magnes dla profesorów, którzy skuszeni wizją eleganckich domów — mieli przeprowadzić się do Opolu, ale uczynić więcej — nie był w stanie. W KC reagowano na sprawę o kryptonimie „uniwersytet opolski” niemal histerycznie, czego dowodem chociażby gwałtowna interwencja Zdzisława Grudnia (I sekretarz KW w Katowicach), który osobiście dławil apetyty opolskiej uczelni u Jaremy Maciszewskiego — kierownika Wydziału Nauki KC PZPR.

Pomysł — podgrzany dzięki poparciu „Solidarności” — wystudił stan wojenny i to na kilka lat. Owszem — od czasu do czasu — powoływano mało konkretne komisje i zespoły, które w programie działania wpisywały sobie „powołanie uniwersytetu w Opolu”, ale wpisy te miały ciężar papieru, na którym ich dokonywano. Sejmograf kronikarza idei — prof. Stanisława Nicieja — odnotował największy z tego typu „wstrząsów” w lutym 1985 roku, kiedy dążenia WSP poparła Rada Wojewódzka PRON — niebagatelna wówczas siła poli-

tyczna, ale i one na niewiele się zdały. Już trzy miesiące później I sekretarz KW — Eugeniusz Mróz asekurował się na plenum KC w Warszawie: „*Narodziła się w naszym regionie idea powołania w Opolu — w bliższej czy dalszej perspektywie — uniwersytetu. Od razu też powiem — w żadnej mierze nie idzie o zaspokojenie niewczesnych partykularnych aspiracji*”.

Chociaż „nie szło”, to pomysł oczywiście został wykpiiony. Towarzysz sekretarz otrzymał zadanie partyjne bycia rozsądniejszym, a uniwersyteckie marzenia zahibernowano w lodzie nieprzychylności. Przelamano go dopiero 10 marca 1988 roku podczas spotkania w zamku Piastów Śląskich w Brzegu (miejsce wybrano ku czci Jerzego II Wspaniałego — prekursora idei), gdzie doszło do spotkania orędowników nadania WSP większej rangi i proklamowania Społecznego Komitetu do Spraw Powołania Uniwersytetu w Opolu. Sygnatariuszami dokumentu nasilenia dążeń byli m.in.: ówczesny wojewoda opolski Kazimierz Dzierżan, prof. Maria Nowowska — szefowa RW PRON, prof. Grzegorz Białkowski — rektor Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Jacek Fisiak — minister Edukacji Narodowej, prof. Bogdan Suchodolski — przewodniczący Krajowej Rady Kultury, prof. Jan Szczepański oraz poseł Ziemi Opolskiej — Edmund Osmańczyk. Z tymi nazwiskami nie można się było nie liczyć.

Pewnie dlatego kręgi partyjne zrygnęwały z dotychczasowych polajanak i rozpoczęły otwartą wojnę z uniwersyteckimi aspiracjami opolan. Prasę zaalała powódź artykułów o niewybrednych tytułach w rodzaju „W każdej wsi WSI” i komentarzach kwalifikujących się do wszczęcia procesu karnego z art. 178 — definiującego oszczerstwo. Bodaj najbardziej efektywnym fechtmistrem „strony opolskiej” — który kłut ostrym piórem autorów nagonki na uniwersytet — był prof. Stanisław Nicieja. Pisał w „Trybunie Opolskiej”, walczył w „Gazecie Robotniczej” z prof. Januszem Pawlikowskim — niezwykle wpływowym I sekretarzem KW PZPR we Wrocławiu, polemizował na łamach „Polityki”.

Uniwersytet pojednania

Tymczasem mijały lata i koncepcje. Bodaj pierwszą z nich zakładała stworzenie uniwersytetu drogą symbiozy naukowej potencjału Wyższej Szkoły Pedagogicznej, Wyższej Szkoły Inżynierskiej i Instytutu Śląskiego. Projekt zakładał osiem wydziałów: filologiczno-historyczny, pedagogiczny, społeczno-ekonomiczny, matematyczno-fizyczny, chemiczno-biologiczny, bu-



dowlany, mechaniczny, elektryczny oraz 25 branżowych instytucji. Na szczęście nigdy go nie zrealizowano (choć w 1990 roku było to dość realne) i jedyny w Polsce uniwersytet humanistyczno-mechaniczny nie ujrzał światła dziennego.

Kolejny anachronizm wydumała Rada Główna Szkolnictwa Wyższego, która na posiedzeniu w dn. 17 września 1992 roku, stwierdziła — omawiając wniosek o powołanie uniwersytetu w Opolu, że... powinien się tu znaleźć przynajmniej wydział z wykładowym językiem niemieckim. W protokole posiedzenia, potajemnie dostarczonego do redakcji „Gazety Opolskiej”, czytamy m.in.: „*Tworzenie tego typu uczelni dla najsłabszych mniejszości narodowych wpłynęłoby na likwidację antagonizmów i stanowiłoby wkład w przyszłą zjednoczoną Europę*”.

Pomysł — za sprawą ostrego reportażu w gazecie — leżał pod lawiną merytorycznych kontrargumentów, z którymi Rada nie mogła polemizować. Oto jeden z nich: „*Obawiam się — skomentował projekt opolski historyk — że idea uniwersytetu z niemieckimi katedrami czy wydziałem będzie prowadzić do konieczności jakiegoś wyboru, a z tym zawsze wiąże się przymus. Już dziś walczy się na tej ziemi o symbole na pomnikach. Czy jutro mamy walczyć o książki, pisarzy, itd.? Nie sztuka przywieźć autokarem studentów czy wykładowców z Hanoweru czy Moguncji i kształcić w Opolu Niemców. Sztuka stworzyć uniwersytet prawdziwego pojednania*”.

Próba zbudowania za pomocą przyszłego uniwersytetu swoistego „mostu z paęcyny”, po którym mieliśmy maszerować do nowej Europy, tym bardziej podcinała skrzydła orędownikom idei. Uświadamiała jak naprawdę traktowane są ich wysiłki, jak naprawdę odnoszą się do pomysłu duże ośrodki akademickie, jak naprawdę postrzegane są opolskie sprawy na polskiej mapie. To mogło wywołać gorzkie zwątpienie i ono właśnie towarzyszyło pomysłowi na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy to Ministerstwo Edukacji Narodowej po raz kolejny okazało stanowczość, oświadczając, iż „*WSP ma ciągle powiększający się, ale nadal za mały, potencjał intelektualny by stać się uniwersytetem*”.

I kiedy zdawało się, że pomysł powędruje do lamusa na kolejnych kilka, nigdy nie skończonych lat — zaszło coś zupełnie niespodziewanego: w sukurs idei uniwersyteckiej przyszedł Kościół, który ofiarował uczelni nie siłę swoich możliwości — ale ważniejszą siłę intelektu: konkretne tytuły profesorskie, działającego w Opolu Diecezjalnego Instytutu Pastoralnego — filii lubelskiego KUL. Gdyby doszło do połączenia WSP z naszym instytutem — zakładał ks. dr Helmut Sobeczko — potencjał naukowy mógłby być przekonujący...

Tytuły profesorskie — najważniejsza moneta w handlu o uniwersytet — okazała się przekonująca. Kiedy patronat nad Społecznym Komitetem do spraw Powołania Uniwersytetu w Opolu objął ordynariusz opolski — biskup Alfons Nossol — profesor etyki KUL — prace nabrały tempa i szybko wystosowano do Rady Głównej pismo z prośbą o konkretne określenie warunków jakie miałyby spełniać połączone lokalne placówki naukowe. Rada — licząc na ostateczne wymazanie opolskich mżonek z akademickiej mapy kraju — sformułowała niezwykle ostre kryteria. Na jej kolejnym posiedzeniu większość autorytetów reprezentujących największe polskie uczelnie, nie potrafiła ukryć zdumienia, że Opole spełnia rygorystyczne warunki z nawiązką — dysponując profesorami, kierunkami kształcenia z uprawnieniami na-

dawania tytułów magisterskich, doktorskich i habilitacyjnych oraz taką ilością samodzielnych pracowników naukowych, że mogłby jej pozazdrościć niejeden ośrodek akademicki. Próby utracenia tutejszego uniwersytetu — prowadzone od czasów Jerzego II — legły w gruzach i 1 października 1993 roku po raz pierwszy na Uniwersytecie Opolskim zabrzmiało „Gaudeamus”.

Autorytet i wiedza

Przez rok przyglądano się uczelni niezwykle bacznie. Najwięcej kontrowersji budził — jedyny w świeckiej uczelni w Polsce — Wydział Teologiczny. „*Nigdy nie dostrzegłem powodów do jakichkolwiek niepokojów z powodu prymatu tego wydziału — prymatu polegającego na jego rozmiarach i potencjale naukowym — mówi prof. Stanisław Sławomir Nicieja. Jeżeli gdziekolwiek odzywają się głosy o klerikalizacji uniwersytetu, to są zwykłą histerią, a histeria nie potrafi i nie chce dostrzec olbrzymiego taktu biskupa Nossola, który — przekraczając próg uniwersytetu — zastrzegł, że jego rektorem nigdy nie zostanie profesor w sutannie. Wielkie wyczucie opolskiego ordynariusza, podziwiane zresztą nie tylko przy tej okazji, powinno przekreślić jakiegokolwiek komentarze*”. Symptomatyczne, że „klerikalny” uniwersytet nie trafił dotąd pod pręgierz tygodnika „NIE”, a zarzuty stawiane przez adwersarzy, mają rzeczywiste kaliber historii. Symptomatyczne, że ustawa sejmowa powołująca uniwersytet, przyjęta została przy... trzech głosach przeciw, a ideę akademickiej unii z Kościołem gorąco poparli

ludzie lewicy: prof. Jerzy Wiatr, prof. Aleksander Krawczuk czy minister kultury — Kazimierz Dejmek. Czy dziś — w czasie ostrych potyczek rządowo-kościelnych — powołanie uniwersytetu w Opolu byłoby możliwe?

Rok to zbyt krótki okres na inwentaryzację sukcesów uczelni pod nowym szyldem. Kulturotwórczą rolę uniwersytetu można będzie ocenić za dziesięć, dwadzieścia lat — patrząc na miasto tak, jak patrzono na nie w pierwszych dwóch dziesięcioleciach istnienia WSP; obserwując pączkowanie potencjału intelektualnego Opolu, obrastanie uczelni w pomysły inicjatywy i wydarzenia nobileitujące środowisko. Drożdżami tych zjawisk zawsze byli ludzie uczelni.

Uniwersytet to nazwiska: symbolizujące autorytet i wiedzę, brzmiące i znaczące w ośrodkach akademickich kraju i zagranicy. Jest wśród nich prof. Dorota Simonides — wybitna polska folklorystka, jest znakomity językoznawca — prof. Stanisław Gajda, jest znany sławista — prof. Stanisław Kochman. Rosnącą popularność zyskują opolscy historycy: zespół historii parlamentaryzmu prof. Jana Seredyki i książki świetnego biografisty — prof. Stanisława Nicieja, znanego z prac lwowskich (główna monografia Cmentarza Łyczakowskiego) i londyńskich. Bodaj nikomu w akademickiej Polsce nie obce jest nazwisko rektora Uniwersytetu Opolskiego — prof. Franciszka Antoniego Marka, którego rozległy śląski ród od wieków walczył o polskość regionu i otrzymał dziejowe zadośćuczynienie za swoją bezkompromisowość.

Dwunasty uniwersytet w Polsce rozpoczyna w Opolu drugi rok działalności.

MACIEJ SIEMBIEDA



Rys. Eugeniusz Rzeźucha

Masło

na stole kulka masła
mała piąstka masła

nie śmieje się nie krzywi
nawet nie pachnie

kiedyś masło śpiewało
na całą kuchnię
człowiek robił się od rana wesóły
chciało mu się żyć

teraz patrzę na masło
w czarnej błyszczącej maselniczce
i wiem że
niczego mi nie powie
jest uśpione
śpi twardym lodówkowym snem
nie budzi go
ani dzwonek noża

ani ciepły oddech chleba
odwrócone plecami do ściany
nieczułe na płomień gazu
zimne naburmuszone
masło maślane

Bucik

bucik dziecka
jest taki małutki słodziutki

wygląda jak łódka
wyływająca na czyste spokojne je-
zioro

kiedy stoi przy drzwiach
odstrasza nieproszonych gości

kiedy leży na brzuchu
tuż przy tapczanie
pokazuje na podszwie
ślady wędrówek po trawie

bucik dziecka raczej milczy

zwykle jest potwornie zmęczony
i chce mu się ziewać
szeeeroko

Ołówek

leży przed domem
wśród śmieci

niczego nie napisze
nie podkreśli i nie przekreśli

leży nieważny
i zapomniany

a tak chciałby jeszcze
coś powiedzieć
od siebie

dawniej hasał po papierze
litery stawiał jak babki z piasku
lśniły mu oczy

był niezastąpiony
co może teraz
najwyżej zapamiętać
to co widzi dookoła

srebrny papierek
dziobany przez wróbla
skórkę pomarańczy
w płytce kaluży

chciałoby się go podnieść
ale trzyma się mocno ziemi

Guzik

no cóż
nie da się o nim powiedzieć

nic ciekawego
został pozbawiony nici
która wiązała go
z rzeczywistością

dawniej trzymał się mocno
chodził dumnie wyprostowany
i zapięty

a teraz
aż żal patrzeć

odtrącony
wciśnięty w kąt
próbuję wygwizdać jakąś melodię

ale przez jego dziurki
wydobywa się cichy szelest
przypominający modlitwę
pętelki

Szkiełko

ma krew na sobie

ledwie widoczną kropelkę
krwi

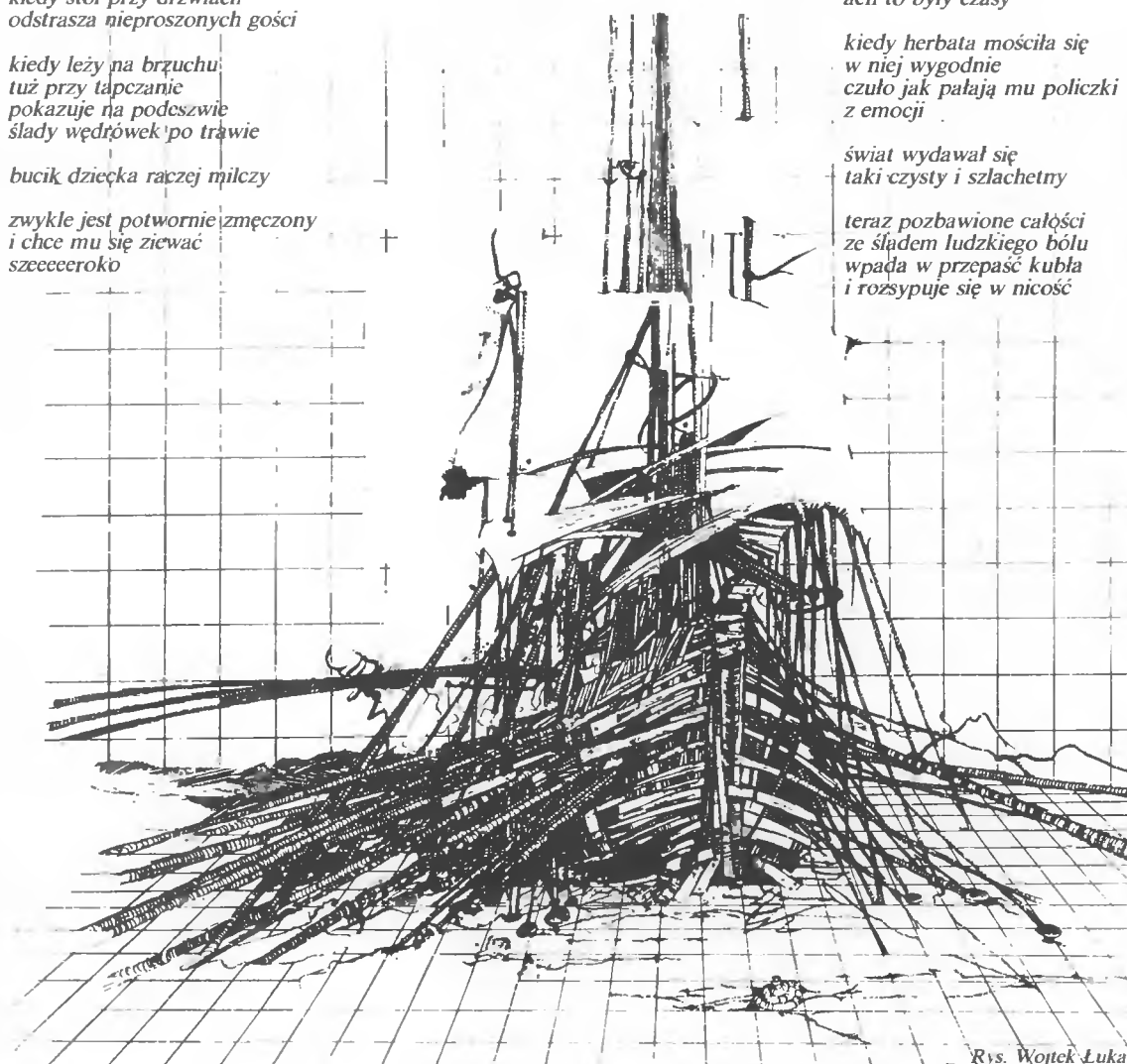
podniesione z podłogi
zaciska zęby

należało do szklanki
ach to były czasy

kiedy herbata mościła się
w niej wygodnie
czuło jak pałają mu policzki
z emocji

świat wydawał się
taki czysty i szlachetny

teraz pozbawione całosci
ze śladem ludzkiego bólu
wpada w przepaść kubła
i rozsypuje się w nicłość



Rys. Wojtek Łuka

W Lucernie, jednym z piękniejszych i najbardziej osobliwych miast, jakie udało mi się zobaczyć, znajduje się niezwykła katedra o dziwnych wydłużonych wieżach. Na niektórych zdjęciach, robionych u podnóża stromych schodów wiodących do jej wnętrza, owe dwie bliźniacze wieże sprawiają wrażenie dwukrotnie wyższych od samego kościoła. Ale nie to okazało się najbardziej zaskakujące.

Tuż obok znajduje się kaplica św. Leonarda, do której przylegają prostopadle poprowadzone ciągi wybudowanych w połowie XVII stulecia arkad. W ich mur wmontowano dziesiątki tablic, epitafiów, grobowych płyt. Jedno z nazwisk, kilka razy się powtarzające, wydało mi się znajome. Jakaż szkoda, że nie zanotowałem imion, dat urodzin i śmierci! Tiele-Winckler. Tyle zapamiętałem. Mielizby to być krewni Franciszka Wincklera, jednego z budowniczych Katowic, właściciela kilkunastu kopalń węgla, galmanu i rudy żelaza oraz kilkunastu hut żelaza i cynku, dziadka Ewy von Tiele-Winckler, której poświęciłem swego czasu sporo uwagi i tyleż artykułów prasowych?

Tak, na pewno się nie pomyliłem, choć wielu faktów z życia tej rodziny nie znam, bo pewnie to nie ja jestem powołany do zgłębiania jej dziejów. We wnętrzu świątyni znalazłem w końcu to, czego nie szukałem. Tam, gdzie zwykle w kościołach na Zachodzie wystawiane są na sprzedaż dewocjonalia i religijne wydawnictwa, zwróciła moją uwagę niewielka książeczka niemieckiego pastora Alexa Funke, wydana w Hamburgu i jednocześnie szwajcarskim Freiburgu. Tytuł wszystko wyjaśnia: „Ewa von Tiele-Winckler. Mutter Ewa”. Jestem — jak się to mówi — w domu! I to dosłownie. Otwieram książeczkę i rzeczywiście widzę, jakby napisał śląski wieczech ks. Norbert Bonczyk, „raj mej młodości, śliczne (ozdobione zielenią jak wiankiem dziewczęce) Miechowice”.

Fotki rzeczywiście wzruszające. Na jednej z nich, a jakże, stoi Schloss Miechowitz, ten sam, którego jedna ocalała wieża do dziś straszy, od czasu, gdy tę oryginalną budowlę postawioną w stylu pseudogotyku angielskiego, a będącą siedzibą rodu, wysadzili w powietrze dzielni czerwonoarmiejcy, mimo że jej przecież nikt nie bronił. Tak wyzwały się podbytomskie Miechowice. Za ten akt zwycięstwa kilkunastu Ślązaków zapłaciło życiem, w tym kapelan z pobliskiego kościoła katolickiego, tego samego, który fundowała Valeska von Winckler, córka wspomnianego Franciszka, dziedziczka ogromnego majątku, no i rodzona matka najbardziej nas tu zajmującej — Ewy.

Tak, świat jest mały. Jak Miechowice, jak Lucerna, jak te azjatyckie wioski, w których urodzili się wyzwolicieli, z czerwonymi gwiazdami na wojskowych czapach.

ścieżki i rozdroża

SZWAJCARSKI ŚLAD

Katedra w Lucernie wybudowana została jako świątynia katolicka. Dziś, jak widać, otwarta jest też przed protestantami, bo przecież Ewa von Tiele-Winckler była ewangeliczką, rzekłbym — świętą tej konfesji, choć, jak wiadomo, luteranie hagiografii nie znają. Ktoś informuje mnie, że przychodzą się tu modlić także prawosławni. Swoją drogą, skąd ci się tu wzięli? Emigranci polityczni, z tych samych czasów, gdy schronienia w szwajcarskich górach szukał niejaki Włodzimierz Ilicz Lenin? Nie mogę tego zgłębić, zresztą po co. Wiadomo — Szwajcaria. Kraj, w którym nikogo nie dziwi, że ludzie mówią różnymi językami, różnie się modlą, a mimo to stanowią nierozdzielny jędr.

Aż się boję takich porównań. Czyż jednak kiedyś Śląsk nie scalał tych samych wartości, powiedzmy wprost, choć dziś pobrzmiwa to dziennikarską sztampą — wartości europejskich? Czyż właśnie Ewa von Tiele-Winckler ich nie symbolizuje?

Kim była, że pamiętają o niej tylko w Lucernie? Przede wszystkim stworzyła w rodzinnych Miechowicach całe miasteczko domów charytatywnych, dla samotnych, starców, chorych i przede wszystkim dzieci. Niewiele, w sensie materialnym, dzisiaj z tego zostało. Rozpadają się, podminowane przez szkody górnicze, kolejne budynki, na ogół od dawna już służące innym celom.

Ale jednak ewangelicka diaspora, choć niewielka na współczesnym Śląsku, nie zapomniała o tym dziedzictwie, który wniosła skromna, choć z arcybogatemu domu wyrosła boża służka. Na tym samym obszarze stoi już teraz wyjątkowo okazała budowla. Na razie jeszcze nie jest do końca przygotowana na przyjęcie tych, dla których została wzniesiona. Niedługo znowu trafią tu ci, którzy łakną dobra najcenniejszego — domu. Szlachetna idea więc nie umarła. Czy również w tych najodleglejszych zakątkach świata, gdzie kiedyś — z inicjatywy Ewy von Tiele-Winckler — docierały miechowickie „mateczki”, niosąc pomoc najbardziej potrzebującym?

Nieraz siluję się z myślą, że może czasem warto wyjechać daleko, choćby właśnie do takiej bogatej Szwajcarii, by zrozumieć coś, co jest blisko, a co tak łatwo ominąć, prześlepić, co każe myśleć — proszę wybaczyć patos — o nas, współczesnych, jako dziedzicach dorobku naszych przodków, których wprawdzie czasem idealizujemy, ale tylko po to, by więcej rozumieć z tego, co dzisiaj nas otacza.

Tak jest właśnie z Matką Ewą. Była Niemką w pruskim drylu wychowaną, a jednak nauczyła się języka polskiego, bo inaczej nie znalazłaby kontaktu ze swoimi sierotkami. To ją otwierało, kazało widzieć w zabiedzonych mieszkaniach Śląska — po prostu ludzi, a nie „element narodowo podejrzany”. Na kwestie wyznaniowe też patrzyła bez fanatyzmu. Na Górnym Śląsku katolicyzm wcale nie musiał być polski, a luteranizm — niemiecki. Ten stereotyp był poza jej myśleniem. I na pewno nie tylko dlatego, że jej matka, która notabene wcześniej ją osierociła, była żarliwą katoliczką.

Na koniec nie mogę pozbawić się przyjemności i zacytować fragment dziennika Ewy von Tiele-Winckler z roku 1890, będący zapisem uroczystości otwarcia i poświęcenia pierwszego domu „działa miechowickiego”: „Zaproponowano na nią 90 najstarszych i najbardziej potrzebujących obywateli naszej wioski. Byli wśród nich autentyczni żebracy i żebraczki, jakich się już dzisiaj prawie nie spotyka (...) Na zakończenie wszyscy obecni odśpiewali psalm 91 w polskiej wersji Jana Kochanowskiego i po zmówieniu krótkiej modlitwy, goście bardzo zadowoleni z przyjęcia, rozeszli się do domów”.

Oto mamy śląską mozaikę, przy której nawet szwajcarska błednie.

KRZYSZTOF KARWAT





Ksiądz Emil Szramek jako student

Pochodził z Tworkowa w powiecie raciborskim, gdzie urodził się 29 września 1887 roku. Gimnazjum ukończył w Raciborzu, a studia teologiczne we Wrocławiu, gdzie w 1911 roku otrzymał święcenia kapłańskie. Był duchownym, lecz także wytrwałym badaczem spraw śląskich, wreszcie polskim działaczem narodowym. Jego pierwszą parafią były Miechowice, potem pełnił posługę kapłańską w Tychach, Zabrze i Mikołowie. Jednak najdłużej był proboszczem parafii Najświętszej Marii Panny w Katowicach, którą objął w 1926 roku. Należał do najważniejszych postaci życia naukowego i kulturalnego na Górnym Śląsku w okresie międzywojennym. Wybrano go prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku (w 1927 roku). Zarówno w działalności duszpasterskiej, jak i naukowej, ksiądz Szramek unikał narodowego zacietrzewienia, szanując tak samo Ślązaków niemieckich, jak i polskich. Z tego powodu przedstawiciele władzy, z wojewodą Michałem Grażyńskim na czele, widzieli w nim germanofila. Z kolei Niemcy, gdy zajęli Katowice w 1939 roku, spostrzegli w nim wroga narodu niemieckiego i zesłali do obozu w Dachau, gdzie zginął 13 stycznia 1942 roku. Z pewnością ksiądz Szramek to postać tragiczna, także i dlatego, że jego antynacjonalistyczne przekonania nie odpowiadały wówczas nikomu, chociaż tylko one mogły zapobiec nienawiści. JFL

W pierwszym numerze „Śląska” nie sposób wprost nie odnieść się do najsłynniejszej pracy o charakterze regionu, jaką po polsku napisano. Rozprawa księdza Emila Szramka, opublikowana w czwartym tomie Rocznika Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku w 1934 roku, przywoływana jest dzisiaj stale w dyskusjach o Górnym Śląsku, chociaż znają ją w gruncie rzeczy tylko specjaliści. Wznowiono ją wprawdzie w postaci osobnej broszury, lecz nie sposób jej znaleźć w katowickich księgarniach. Stąd nasz zamysł, by rozprawę tak fundamentalną po prostu udostępnić szerszym kręgom czytelników. Z powodu jej objętości wybieramy kilka fragmentów, które wydają się najważniejsze. Z tego samego powodu opuszczamy także przypisy. Drukujemy fragmenty za oryginalnym, pierwszym wydaniem w Roczniku Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku, pozostawiając nie zmienioną pisownię oraz interpunkcję autora.

Wydano nam się też rzeczą interesującą, by zastanowić się, co w rozprawie księdza Szramka pozostało aktualne. Jak można dzisiaj, po sześćdziesięciu latach, ją oceniać. Zapytaliśmy o to kilka osób, które mają na ten temat własne zdanie, z myślą, by poprowadzić dalej dyskusję, jeśli tylko wyniknie taka potrzeba.

EMIL SZRAMEK

ŚLĄSK jako problem socjologiczny

I Narożnikowy charakter Śląska

W ciekawej dysertacji dyrektorskiej Rudolfa Vogla z Bytomia, ogłoszonej pt. „Deutsche Presse und Propaganda des Abstimmungskampfes in Oberschlesien”, jest pierwszy obszerny rozdział poświęcony socjologii Górnego Śląska, poczem następuje rodzaj analizy niemieckiej propagandy plebiscytowej. Nauka polska dotąd nie skontrolowała, ani analizą polskiej propagandy plebiscytowej nie uzupełniła zasadniczych wywodów młodego autora. To jednak nie ulega wątpliwości, że na Śląsku mamy przed sobą dziwny spłot najróżniejszych starych i nowych antagonizmów.

Było, a według Partscha jest zadaniem Śląska w dziejach świata, służyć bądźto za pokojowego pośrednika, bądźto za bojo-wisko, bądźto za nagrodę w walce wielkich przeciwników, które w nim się stykają. „Oberschlesien, das Land der Gegensätze” brzmi tytuł broszury I. Weinsteina, wydanej w 1931 r. w Paryżu. „Gegensätze u. Uebergänge, wohin der Blick fällt”, mówi o całym Śląsku i o Łużycach profesor uniwersytetu wiedeńskiego Nadler, powszechnie ceniony historyk literatury niemieckiej. Lud opuszczony jak na wyspie, a jednak tak zrośnięty z sercem narodów sąsiednich, „dass die Wagschalen der Grossmächte im Süden und Westen und Osten sanken und stiegen, wie eben das Gewicht dieser Landschaft zum Schwert auf die Wage fiel”. Jedyny może wyjątek stanowi rok 1683, kiedy Jan Sieski z rycerską bezinteresownością spieszył pod Wiedeń niemieckiemu cesarzowi na pomoc, nie żądając Śląska za nagrodę za czyn chrześcijański.

Znany historyk Polski i Śląska Ezechiel Zivier zauważył kiedyś słusznie, iż Śląsk stanowi pod względem geograficznym rodzaj narożnika i od wieków dzieli los wszystkich narożników, że się mianowicie o nie zawadza i w nie uderza. — Każde zderzenie zaś i ciśnienie powoduje ruch bądźto zewnętrzny, czyli zmianę położenia, bądź to wewnętrzny, wytwarzający ciepło, które albo wiąże albo rozsada. (...)

XIII Symbolika krajobrazu

Cóż więc pozostaje Ślązakom naprawdę wspólnego oprócz matki ziemi, tej urozmaiconej niwy śląskiej, która w sobie kryje skarby i tajemnice a cierpliwie znosi wszystkie, którzy ją „w cieniu brzoź i komi-

nów” tak gęsto zaludniają. Ta ziemia śląska należy i pod względem krajoznawczym do najciekawszych zakątków świata; jest to kraj największych wyobraźalnych kontrastów. „Obok równin ornych i leśnych nie-brak tu wysokich gór; mistyka średnio-wiecznych kapliczek z prymitywnymi wizerunkami świętych sąsiaduje z najbardziej racjonalistyczną rzeczywistością współczesnych urządzeń kopalnianych i przemysłowych; na drogach śląskich śmigają auta i motocykle, a opodal, w lesie, pasą się żubry; w olbrzymich stalowniach i głębokich kopalniach działa potężny rozmach masowej produkcji, a na zboczach gór pasterz, okryty prostą gunią, zwoluje owce, jak jego towarzyszy z Ewangelii, zwolował je przed wiekami”.

Toteż w miłości do ziemi śląskiej zgodni są odrazu Polacy, Niemcy i Czesi, prostacy i inteligencja, katolicy i protestanci, bogacze i biedni, a po krótkim czasie *alienigenae* narówni z tubylcami. Żadna kraina nie jest tak wychwalana jak Śląsk, choć o nim w „Pieśni o ziemi naszej” całkiem zapominał Wincenty Pol. Któż policzy pieśni o Śląsku? Na Parnasie śląskim zlewają się w akordach penegiryk łaciński z pieśniami polskimi, wiersze niemieckie z dźwiękami czeskimi, pieśń ludowa z poezją wykwi-tną.

Lecz niestety zgoda to pozorna, bo tylko w przedmiocie materialnym. Formalnie jest zbiorowa dusza śląska rozbita i rozpryskuje się w niezliczonych pismach i pismkach o najróżniejszych tendencjach na wszystkie kolory tęczy. Jej konsolidacja należy do przyszłości. Tymczasem obok szaryzny dnia z odwieczną troską o chleb jaśnieją żywe i niezgodne jeszcze kolory narodowe: polski, niemiecki i czeski — a pod gwiazdździem niebem idealów religijnych migoczą kusząco światła kultury materialnej.

„Śląsk dzisiejszy”, mówi Morcinek, „to nie tylko kominy, kopalnie, ziemia szczeni-ła, Beskidy i uroczyska leśne. To tylko wtórny obraz jego człowieka”. Podobnie mówi Lasowski „vom Mythos der Landschaft”. Ten mit skupia się nie w Beskidzie, lecz w Sobótce, starym „mons Silesiae”, a na Górnym Śląsku w Górze św. Anny (Heiliger Berg). Według ks. Bonczyka „tu ma Śląsk swoją Wandę, tu swój Wawel św.”, Góra Chelmska jest „piastowskich ziem stróżem wieczystym”, stąd „wypatrzył Chrobry drogę na zachód, do sławy”, stąd św. Anna Śląskowi po wsze czasy błogosławi i pięknie jako „samotrzecia” symbolizuje katolicką symbiozę Górnoślą-zaków.

Lecz sama Góra św. Anny nie wystarczy nam jako symbol Górnego Śląska. Uzupeł-nia ją dopiero trójkąt przemysłowy Tarnow-

skie Góry — Mysłowice — Gliwice, który wywiera, czy we dnie czy w nocy, potężne wrażenie na przyjeźdźnych i obcych, ale także na tubylcach i swoich. „Ilekoć widzę wieczorem tę lunę zdaleka” — zapewnia kaznodzieja śląski ks. Kapica — „tobym mógł godzinami patrzeć i patrzeć. Patrzeć ze smutkiem; bo gdy się pytam, co się tam pali na niebie, to mi się nasuwa odpowiedź: tam się pali pot tysiacy robotników, tam się spala młodość, zdrowie, życie niezliczonych robotników. Patrzeć z radością i dumą; bo gdy widzę ten blask i pytam się, co się tam świeci na niebie, to mi się nasuwa odpowiedź: tam się świeci pracowitość ludu górnośląskiego, tak się świeci pobożność i wiara górnośląska na firmamencie narodów”. — Hasłem Górnego Śląska jest więc: *Ora et labora* — módl się i pracuj!

W pięknym dziele zbiorowym „Oberschlesien, seine Entwick — lung und seine Zukunft” (Berlin 1925) rozwija Alfred Hein pt.: „Die Seele des Oberschlesiens” ciekawe a poczęści i głębokie myśli i wskazuje również obok Góry św. Anny na trójkąt przemysłowy jako na krajobrazowy symbol Śląska Górnego: tam szczyt uczuć katolickich — tu bezbrzeżność ciężkiej pracy (der Annaberg Gipfelung der katholischen Gefühle, das Industriedreieck Begriff einer meerhaften Endlosigkeit schwerster Arbeit).

Nasuwa się w tym związku pytanie, czy stwierdzona krajobrazowa symbolika Śląska Górnego znalazła gdzie swój wyraz w poezji.

Na Śląsku niemieckim forsuje się kult romantyka Józefa Eichendorffa, który się urodził (1788) w Lubowicach pod Raciborzem a umarł (1857) w Nysie. Lecz w poezji jego niema szczególnego zamięłowania do Górnego Śląska. Żył i pracował poza Śląskiem wogóle i tęsknił raczej za Bawarią. Ani Góra św. Anny, ani okręg przemysłowy nie dawały mu żadnego natchnienia tak, że jego związek z Górnym Śląskiem pozostał luźnym, a nie był serdeczny.

Inaczej rzecz się ma z ks. Norbertem Bonczykkiem (1837—1893), którego główne utwory, „Stary Kościół Miechowski” i „Góra Chełmska” (ofr. Roczniki P.T.N. II, str. 1—62) są właśnie poetyckim ujęciem obu krajobrazowych symbolów Górnego Śląska i dla kulturalnych mieszkańców tej ziemi od tych symbolów nieodłączne. Że oba dzieła tak mało są spopularyzowane, jest dowodem, że Ślązacy tymczasem sami nie wiedzą, co posiadają. „Stary Kościół Miechowski” jest dostępny także dla zniemczonych Górnoślązaków, bo istnieje dobry przekład na język niemiecki, dokonany z zamięłowaniem przez Ludwika Chroboka, nauczyciela w Miechowicach. — Któryż Górnoślązak zabrałby się samorzutnie do tłumaczenia na język polski wierszy Eichendorffa!

Katowiczanie ks. Eryk Przywara, niemiecki jezuita, filozof i publicysta, podchodzi do zagadnienia duszy śląskiej także z analizy krajobrazu. Lasom śląskim, wśród których się urodził (nota bene) i romantyk niemiecki Josef von Eichendorff, przeciwstawia obwód przemysłowy z racjonalistycznie trzeźwym technicyzmem hut i kopalni. W lasach słyszy echo dawnej przeszłości i wiatr od wschodu, w przemyśle widzi żelazną siłę bezwzględniego prusactwa i industrializm zachodu, nie, jak wielu innych, powierzchowniejszych „das hohe Lied deutscher Arbeit”.

Zdaniem Przywary jest Górnoślązak właściwie bezdomny (heimatlos). Z wyraźnym duchem wschodu walczy w nim trzeźwy obrachunek i energia technicznego zmysłu zachodu, a wyraźny duch zachodu sprzecza się w nim z miękkim marzycielstwem i płynną przepaściastością wschodu. Jako konsekwencja ujemna wynika z tego, że kultura górnośląska ma coś z lotnego piasku (Flugsandcharakter), dodatnią zato konsekwencją są

szerokie możliwości dostosowania się (Weite der Anpassungsmöglichkeiten). Jeżeli naogół Ślązak wrósł jak mimoza w ziemię, to Górnoślązak bynajmniej nie jest ograniczonem dzieckiem gleby. Dlatego jest w nim spotęgowana a nieraz nawet przesadna czujność posterunku — niestety czujność, co wygląda i wpatruje się w noc. Oto dosłowne zakończenie głębokich uwag ks. Przywary, zatytułowanych „Zwischen Ost und und West”: „Dlatego wskazuje przeznaczenie Górnoślązakowi zadanie daleko poza granice krajowe a nawet poza granice narodowe. Mimo że jego energia osadnicza uzdolnia go do jednostronności partyjnej, to jednak żyje on zbyt głęboko w kraju przełomu kultur, żeby mógł z lekkim i spokojnem sumieniem prowadzić taką walkę. Czuje bowiem we własnej krwi zawsze równocześnie stronę przeciwną. Właściwie istnieje dla niego albo — albo. Albo ludzi się co do zadania swego i staje się bezwzględny bojownikiem partyjnym. Wtedy jednak, prędzej czy później, objawi się bezdomność jego negatywnie: w duchowej płytkości zapalczywych tendencji; stanie się niepohamowanym, krzykliwym Górnoślązakiem, który już nie zastanawia, jak jego głos obraża słuch delikatniejszy. Albo poznaje i uznaje swe zadanie i rezygnuje z siebie na korzyść nadpartyjności (i nadnarodowości), by być tylko pomostem. Wtedy może się stać drzewem, z którego możnaby wyrzeźbić nie tylko „europejczyka” ale nawet „człowieka”. Wtedy stanie się nietylko milczącym i oczekującym, ale sam nabierze słuchu delikatnego”.

W przedmowie do książki Morcinka o Śląsku porównuje b. minister Eugeniusz Kwiatkowski Ślązaków do spiżowych postaci sławnej rzeźby Rodin’a „Les Bourgeois de Calais”, ludzi, stojących bez pozy wielkości, bez teatralnego bohaterstwa, a ważących w duszy i w sercu, w myśli i w milczeniu konieczność największej ofiary na rzecz swej Ojczyzny. — W podobnym obrazie myśli ks. Przywara, tylko że zamiast na narodowej, stawia Ślązaków na ogólnoludzkiej płaszczyźnie.

Stoją więc Ślązacy po obu stronach sztucznej granicy, zaszuchani w przeszłość i zapatrzni w przyszłość. Głos mają i historia i profetja: „Czas przeszły równie od nas, jak przyszły, daleki: ten tylko pojmię przeszłe, kto zgadł przyszłe wieki” (Mickiewicz).

Spoza grobu jeszcze zgłasza się do słowa Jan Długosz, który zanotowawszy w Dziejach Polskich pokój toruński z roku 1466, wyraził swą radość z przyłączenia Prus do Polski i dodał: „Teraz szczęśliwym mienię i siebie i swoich współczesnych, że oczy nasze oglądają połączenie się krajów ojczystych w jedną całość, a szczęśliwym byłbym jeszcze, gdybym doczekał odzyskania za łaską Bożą i zjednoczenia z Polską Śląska, ziemi Lubuskiej i Szlupskiej, w których są trzy biskupstwa, od Bolesława, wielkiego króla polskiego, i ojca jego Mieczysława założone, to jest: wrocławskie, lubuskie i kamieńskie. Z radością zstępowałbym do grobu i słodszy miałbym w nim odpoczynek”.

Lecz odrazu odzywają się głosy przeciwnie tych, coby chcieli „allen Gewalten — zum Trutz sich erhalten”, i, również wskazując na historię wytykają Polakom ich wiekowe kulturalne zaniedbanie Śląska aż do najnowszych prawie czasów, tak, że Śląsk stał się „ein Land deutscher Kultur, auf deutsch: eine Musterkolonie, die so gut kolonisiert vor Jahrhunderten wurde, dass sie dem Mutterlande ähnelte” (Alfred Hein) — a że nawet reszty polskości ostały się tu tylko dzięki oświacie rodzimej i swojskiej, przez przedługi czas wyłącznie religijnej.

W takich okolicznościach byłoby spełnienie życzenia Długoszewego już tylko możliwe w Polsce jako państwie uniwersalnem.

misja ŚLĄSKA

Motto:

*Wie im Turm der Uhr Gewichte
Rücket fort die Weltgeschichte,
Und der Zeiger schweigend kreist;
Keiner rät, wohin er weist.*

Eichendorff

Cytowane na wstępie syntetyczne zdanie Partscha przydziela Śląskowi w dziejach świata misję służenia: bądźto za pokojowego pośrednika, bądźto za bojownika, bądźto za nagrodę. Jeżeli nie mylą oznaki, kończy się bierna rola Śląska. Nietylko, że problematyką swoją przyciąga coraz więcej głosów i serc. Ciepło, nagromadzone w nim w całych stuleciach „narodzińskich” dziejów jego, zaczyna promieniować nazewnątr. Ślązak dochodzi do wymodlonej przez ks. Bonczyka „męskiej dojrzałości” i poczyta ekspansywnie działać jako przykład. Świeżo wskazuje na to ogłoszony niedawno (1934) przez Polski Instytut Socjologiczny w Poznaniu konkurs na najlepszy życiorys Ślązaka, napisany przez niego samego. Ale symptomów jest więcej.

Poważnie na Śląsku satyryk Kornel Makuszyński i w „cichem wspomnieniu” wyznaje, że patrzył już przed wojną z niezmiernym podziwem na tutejszych ludzi: potem w r. 1922 pisze prześliczny „list dzieci warszawskich do dzieci na Górnym Śląsku”, w którym każde słowo „ma kształt sarduszka, a pocałunkiem każda jest litera”. — „Dziłem najżywszem z żywych... siedliskiem nowoczesności... istnym obrazem futurystycznym... retortą kolosalną, gdzie się ma wygotować wielkie życie potężnej Polski” — nazywa Śląsk Stefan Żeromski, narzekając w książce „Snobizm i Postęp” (1923, str. 75), iż, „to dzieło boskie nie obudziło w artyście polskim ani jednego westchnienia, równożędnego mu co do wielkości siły”.

W pięknych „akordach ze Śląska” uderzył śp. Teodor Tyc pod koniec w taką strunę: „W Niemczech nad Śląskiem czuwa tylko mózg i wola narodu. Obyśmy i my umieli w stosunek nasz do Śląska włożyć więcej tego skupienia. Polskość Górnego Śląska nie jest piropuszem uczuć wiotkich i powiewnych, jest ona wynikiem długiej doby, płynącej z pracy i ucisku. Śląsk nie jest krajem smutnych zamczysk ani szumiących sztan-darów spłowiłych — jest krajem dnia dzisiejszego, w większej jeszcze mierze krajem jutra. Szarzyzna trudu, nie karmazyn używania, że Śląska uczynił perłę korony polskiej. Jeżeliby ta Polska nie zrozumiała, że perłę tę oprawić można tylko w stal pracy, wtedy Śląsk stałby się dla niej kłatwą. Pracę mu, nie sentyment tylko dać musimy. Górny Śląsk nie jest cukrową sielanką. Nie jest pełnym gestu dramatem. Jest prozą, pełną życiowej mądrości”.

Przeto „uczmy się Śląska!” — woła były minister Eugeniusz Kwiatkowski, a docent

Uniwersytetu Jagiellońskiego dr Wiktor Ormicki głosił (1931) przez radio katowickie: „Mało tego, jeśli każdy obywatel polski będzie wiedział, czym Śląsk jest dla Polski pod względem ekonomicznym; mało, jeśli go traktował będzie wyłącznie pod kątem jego wartości produkcyjnej i konsumpcyjnej; mało, jeśli widział w nim będzie tylko rezerwar skarbów przyrodzonych, obszar fabryk, hut i kopalń, i ziemię szczerbiącą od sadzy, o niebie, zaciągniętym dymami; mało, jeśli wyrobi sobie przekonanie, że to dziedzina bogata, gęsto zamieszkała, o żywym tętnie gospodarczym i gorączkowym tempie pracy; mało, jeśli oceniał będzie Śląsk jedynie pod kątem znakomitych dróg, pięknie utrzymanych lasów i starannie uprawianych pól; mało, jeśli ograniczy się do zwiedzania kolonij fabrycznych lub koszar robotniczych. Niewątpliwie każdy Polak powinien poznać Śląsk ze strony materialnej. Dużo jednak więcej starannej uwagi należy się życiu duchowemu i kulturze Śląska. Nigdy nie wolno zapominać, że duszą Śląska jest Ślązak. Najdziwniejszy i najciekawszy z mieszkańców Polski! Człowiek o stalowych nerwach, żyłastych rękach, o niewyszukanym, może nawet rubasznym słowniku, z duszą, chociaż sękatą, ale gorącą!”

Gdy z okazji tygodnia propagandy zagadnień polsko-niemieckich miała Zofia Kosak-Szczucka w Poznaniu wykład (1932) na temat „Śląsk a Polska”, przypisała typowi współczesnego Ślązaka z własnej obserwacji takie cechy zasadnicze: „Przedewszystkiem, rzeczowość istotna, nie dająca się ponieść nierealnym marzeniom. Idealizm w czynach, nigdy w słowach. Słowa są twarde, szorstkie i treściwe. Oszczędności i pracowitość, o jakiej w innych dzielnicach Polski nie ma się pojęcia. Wytrwałość. Wytrwałość jest może cechą najbardziej charakterystyczną w psychice śląskiej. Głęboka szczerza religijność. Jako zaś proste uzupełnienie tych zalet, silne życie rodzinne, przywiązanie do starego obyczaju. Brak Ślązakom gładkości, wdzięku, umiejętnego prześlizgiwania się po powierzchni życia, ale nie temi zaletami buduje się państwa, jeno tamtą twardziłą, w której czyni dzwiczka lepiej od słów”.

Pomnika nieznanego Ślązaka domaga się Adolf Nowaczyński, wysuwając jako model gotowy ks. Józefa Szafranka, a Emil Zegadłowicz, syn pobliskiego Beskidu, osiadłszy tu codopiero, apostrofuje naszą dzielnicę w pełnej zachwytu „Pieśni o Śląsku”:

*Czytamy z twojej twarzy
Jak z biblijnych kart
Psalm wieczystej pracy
I stalowy hart;
Z wnętrza twego — ziemi!
Z żaru twoich hut
Rodzi się wieczysty
Odrodzenia głos;
Z rytmu twardych godzin,
Z iskrzeń twoich i lśni —
Z łoża nocy wstaje
Nowej ery dzień!*

Obecny zmierzch materializmu i kapitalizmu zapowiada, iż Śląsk przestaje być złotym jabłkiem niezgody i premją dla najbrutalniejszego konkurenta. Lecz pozostanie doświadczałą dziejową, na wschód otwartą bojującym antagonizmom społecznym, narodowym i kulturalnym. „Piemontem nowoczesnej pracy polskiej, a ludność jego, zaharowana na kowadle historii” (cfr. tytuł wierszy Hayduka „Volk unterm Hammer” albo tytuł filmu „Land unterm Kreuz”), a od wewnątrz zasilana i kierowana szczerą i rozumną religijnością, jak dobry pływak, zwycięży piętrzące się fale nienawiści społecznych, narodowych i dzielnicowych i spełni swoją pokojową misję pośrednictwa, które budująca się w Katowicach katedra pod wezwaniem Chrystusa-Króla jest rosnącym symbolem.



Szramek jako prałat (portret W. Duzmańskiego)

W historii Śląska Górnego nie przestaje budzić podziwu prosty fakt, że lud tej dzielnicy, „od swych zaniedbany, od obcych wzgardzony”, w ciągu kilku wieków pozostawiony samemu sobie i wydany bezapelacyjnie na wszystkie skutki kulturalnej, językowej i gospodarczej germanizacji, przetrwał przy swej kulturze ludowej, zgruntu polskiej, a w znacznej części sobie nawet poczucie narodowe, wyprzedzając i prześcigając w tem lud okolic innych, które zawsze były złączone z „narodem”. Niedorozwój jego językowy i zewnętrzno-kulturalny obciąża konto tych, co go zaniedbali.

W „Wiadomościach Literackich” (1934, nr 6) pisze o Górnym Śląsku Paweł Hulka-Laskowski: „Mieszkaniec tu, w kraju tak przemysłowym jak Śląsk i tak przenikniętym duchem obojętnej międzynarodowości, powinien być stać się czemś teoretycznym, internacjonalnie-socjalistycznym, a tymczasem lud śląski, istniejąc całe wieki zdala od wszelkiego ruchu umysłowego swego narodu, sam wykrzesał z siebie nieugięty patriotyzm, dał mu swoiste formy, stworzył mu instytucje. A to wszystko wbrew żandarmom pruskim i kapitalistycznym, którzy chleb i prawa ludzkie odmierzali według wymagań imperialistycznej i kapitalistycznej racji stanu”.

Jest to mimowolne uznanie dla katolicyzmu, który Ślązakom, o ile zostali katolikami, nie pozwolił zubożeć narodowi, a równocześnie utrzymał ich na wysokiej płaszczyźnie uniwersalnych horyzontów katolickich. To też jest powód, dla którego mimo warunków napozór pomyślnych nie mógł się na Śląsku rozwinąć socjalizm. W walce kulturalnej utonął tu w katolicyzmie, potem w polskim nacjonalizmie (cfr. Roczniki T.P.N. II, str. 300—304) a dopiero

postępy germanizacji otworzyły mu lepsze widoki, co na partyjnym zjeździe śląskiej demokracji socjalnej w Wrocławiu (14.IV.1911) wyraźnie stwierdzono; na to samo wskazuje jeszcze w roku 1918 broszurka „Staropolanina” (?) „O przyszłość Śląska polskiego”. — „Szrytmacherem” socjalizmu i komunizmu na Górnym Śląsku nazwał germanizację ludu polskiego ks. Jan Mele z Starego Koźla, gdy na walnym zebraniu Polskiego Katolickiego Towarzystwa Szkolnego w Opolu, dnia 14.III.1932 r. mówił o ważności nauki religii w języku ojczystym.

Niedopuszczenie tu do rozwoju czerwonej międzynarodówki, która wszak później wszędzie zrobiła fiasco, i piękny, choć częściowy tylko, triumf nacjonalizmu polskiego w plebiscycie i powstaniach obok równoczesnego częściowego zwycięstwa pruskiej czy niemieckiej racji stanu, ciągle teraz zderzanie i ścieranie się na terenie Śląska wspólnot interesów rasowych, narodowych i gospodarczych ze wspólnotami państwowymi, kulturalnymi i kościelnymi — wskazuje na to, że odbywa się na Śląsku pod naszymi oczami eksperyment transformizmu gigantyczniejszy od plebiscytu, choć nie tak terminowy. Jak sztaby żelaza w ogniu kuźni, schodzą się na narożniku śląskim kończyny t.zw. totalności, zwłaszcza państwowych, narodowych i kulturalnych, aby się tu zapalić i rozżarzyć a potem młotem historii nabrać na kowadle śląskiem nowej formy.

Odnosi się to do obu Górnych Śląsków. Alfred Hein widzi zadanie Górnego Śląska niemieckiego w tem, by znalazł „einen Breslau und das Riesengebirge übertrumpfenden Ausdruck” dla swych dwóch właściwości, mianowicie dla katolicyzmu i dla przemysłowej energii, które Hein uważa za dwie

najwspanialsze rzeczy stulecia. „Zostań Górny Śląsk, krajem środka Europy, zostań krajem wzorowym dla dwóch idei, które dziś panują na świecie”. — „Gdzież katedra górnośląska?” — pyta — „gdzie wielki gmach przemysłu (Bauhaus der Industrie)?”. Żali się, że Górnoślązacy uczyli się dotąd wiele, lecz w Rzeszy, i wracali jako koloniści swych stron ojczystych. Teraz powinno być naodwrot, i na miejscu należy stworzyć wiekie centra kulturalne.

Na Śląsku polskim katedrę się buduje, a już stanęły w Katowicach imponujące Śląskie Zakłady Techniczne jako pokaz, warsztat i szkoła energii przemysłowej. Lecz jest tu dziwów jeszcze więcej a, jak za czasów Sofoklesa, największym z dziwów, to człowiek.

Wszak tu lud pierwiej niż gdzieindziej stał się narodem (cfr. Roczniki T.P.N. II, str. 37—38); tu też przedziej niż gdzieindziej przewyżczył nacjonalizm i etatyzm, czyli ekskluzywną „totalność” narodu i państwa. Ustosunkowanie bowiem już tych dwóch wspólnot, narodowej i państwowej, stanowi dziś jedno z najpilniejszych zagadnień współżycia europejskiego. W epoce wynalazków jak radio ani marzyć nie można o hermeticznym zamknięciu i duchowym uniformowaniu obywateli w państwie nacjonalistycznym. Rzeczowy wódz Volksbundu dla Niemczyzny zagranicznej dr Hans Steinacher podkreślił w mowie z dnia 21 lutego 1934 o postulatcie narodowo-niemieckim (volksdeutsche Forderung) wszem wobec, że Niemcy — a więc także inne narody — trójką mają granicę, która się nigdzie albo rzadko gdzie pokrywa; granicę narodową (Volksgrenze), państwową (Staatsgrenze) i obronną (Wehrgrenze). „Jeżeli dawniej państwo było sprawą pierwszą i jedyną, to dziś znowu naród ma pierwszeństwo. Być Niemcem, jest czemś głębszem i bardziej niezmiennem, aniżeli sama przynależność państwowa”.

To samo się odnosi do Polaków na Śląsku czeskim i pruskim, tylko że tam niema takiej symbiozy samorządowej jak na Śląsku polskim, a właśnie dobrze funkcjonująca autonomia jest hamulcem przy nowych, niebezpiecznych rozpadach ideowych, zwłaszcza w okresie słabego jeszcze prawa międzynarodowego. Nie ma to nic wspólnego ze separatyzmem lub irredentą.

Podczas uroczystości otwarcia gimnazjum polskiego w Bytomiu (8.XI.1932) wygłosił Szwajcar Calonder, prezes Komisji Mieszaney na Górnym Śląsku, przemówienie, które wielka część prasy polskiej i niemieckiej niesłusznie przemilczała. Powiedział: „W Niemczech i w Polsce dają się czasami słyszeć głosy najczęściej w prasie, które wskazują na niebezpieczeństwo irredenty, tkwiącej rzekomo w dążnościach mniejszościowych, zwłaszcza wtedy, gdy dotyczą one rozbudowy szkolnictwa mniejszościowego. Płonne i całkiem nieuzasadnione są tego rodzaju obawy... Ludność po obu stronach granicy, którą znamionuje zamiłowanie do pracy, skromność i głęboka wiara, zupełnie inne ma życzenia i troski. Życzeniem i dążeniem mniejszości jest: równe prawo wobec ustawy i równe traktowanie przed władzami, zwłaszcza także w kwestjach, które dotyczą bytu gospodarczego mniejszości, współdział w wypełnianiu zadań publicznych i prawo pielegnowania i zachowania swego języka i swej kultury według swobodnego przekonania... Zarówno w świadomości prawnej narodów jak też odnośnie faktycznego stosowania chodzi tu o nowe prawo międzynarodowe, które przedtem ani uznawane, ani praktykowane nie było; chodzi o nowe przekonanie międzynarodowe, które wymaga nowego ustosunkowania się i nowych metod wobec mniejszości, o przekonanie, które przedziej czy później wywalczy sobie uznanie

dzięki tkwiącej w niem prawdzie i sprawiedliwości”.

Koncepcja Stanisława Grabskiego mimo tytułu „Państwo Narodowe” (1929) zmierza już do uzgodnienia w państwie różnych narodowości. Myśl prowadzi dalej Adolf Klisiewicz, który głębokie studium swoje o „Współczesnym Kryzysie Państwowości” (1929) kończy tezą, że ratunek demokracji jako typu państwowości nastąpić może tylko przez jej ponowne uchrześcijanienie. I pozatem prowadzi się już dyskusję naukowopolityczną o chrześcijańskim ustroju państwa. Uczony biskup Linzu Gföllner wydał w styczniu 1933 osobny list pasterski o prawdziwym i fałszywym nacjonalizmie, gdzie przypomina ciekawe powiedzenie św. Stefana Węgierskiego: *unius linguae et unius moris regnum imbecille et fragile est*.

Chrześcijaństwo przyszło do Polski przez Śląsk. Tu zanotowano w Księdze Henrykowskiej pierwsze zdanie polskie; tu wydrukowano w wrocławskich statutach apodyktalnych pierwszy „Ojczenasz”, pierwsze „Zdrowaś” i pierwsze „Wierz w Boga”, w języku polskim. Ze Śląska wyruszyła w roku 1245 po bitwie lignickiej z rozkazu Stolicy Apostolskiej pierwsza wyprawa na daleki wschód, której żywy opis nie dał później spokoju Kolumbowi.

Ślążakiem był pierwszy wielki misjonarz Polski, św. Jacek. Cóż dziwnego, że i w nowej Polsce jako pierwszy „o chrześcijańskie zasady życia państwowego” upomina się osobnym listem pasterskim (1932) kardynał-prymas Hlond, Ślązak.

Tę misję ma Śląsk wspólnie z Polską. Śląsk jest „starą Polską” i „młodą Polską” en miniature. Jak przez kilka wieków był czołem kultury polskiej, tak obecnie jest punktem, około którego nowa Polska się krystalizuje, nie tylko gospodarczo, przyjmując teraz z konieczności jedynie możliwą strukturę rolniczo-przemysłową, ale także religijnie i moralnie przez kardynała-prymasa, Ślązaka. Jeżeli dziś Polska stoi na baczność, ma „na zachód oczy, nie na wschód, na zachód oczy, skąd nasz ród!”. Słusznie, zdaje się, napomina A. Świętochowski, iż „należy zmienić hasło naszych dążeń i bojów: nie na wschód, lecz na zachód”. Kossak-Szczucka nazywa Śląsk dla jego walorów moralnych „zwornikiem duchowego sklepienia Ojczyzny”.

Wielkie wrażenie zrobiła powieść Augusta Scholtisa „Ostwind” z podtytułem „Roman der oberschlesischen Katastrophe” (1932). Książka kończy się poetyckim porówna-

niem Odry do wahadła na zegarze dziejowym. „Tarczą tego olbrzymiego zegara, tego wahadła odrzańkiego jest ona: moja mała Ojczyzna „Górny Śląsk”. Scholtisowi się zdaje, iż pod naporem wiatru od wschodu wszystko się chwieje, a wahadło Odry przechyla się za zachód, a Śląsk przytula się do Rzeszy Niemieckiej. — Bez poezji siłą się uczeni niemieccy udowodnić to samo z punktu widzenia gospodarczego, nazywając prostą linię Śląsk — Gdynia gwałtownym przełamaniem logiki geograficznej. Ich zdaniem należy Śląsk „raumpolitisch” bezwzględnie do Odry, a nie do Wisły lub Dunaju.

A jednak są ziemie plemienne śląskie jak ścięciwa łuku Polan, Mazowszan i Wiślan, łuku, napiętego w stronę przyszłej roli dziejowej na wschodzie, a Śląsk nietylko w rozumie pomyślanym układzie gospodarczym Europy należy do Polski, nie do Niemiec, ale jest także kulturalnym obliczem swoim, zgodnie z położeniem gospodarczym, wbrew pozorom powierzchownym, zwrocony raczej na wschód aniżeli na zachód.

Przodowy niemiecki historyk Śląska Grünhagen stwierdza zaraz w przedmowie do dzieł tej w ciągu wieków po wielkiej części zniemczonej ziemi piastowskiej, iż dzieje Śląska upływają wśród stosunków z państwami wschodnimi: Polską, Czechami i Węgrami a w odwróceniu do Rzeszy Niemieckiej. Głogowianin a jednak rektor Akademii krakowskiej Andrzej Schoneus w liście dedykacyjnym do Geryna, biskupa wrocławskiego, jeszcze w 1587 r. nazywa Akademię krakowską „całej Sarmacji i naszego Śląska szczytnicą”.

Zapatrzone na wschód, pisze quasi-Ślązak Józef Strzygowski, profesor we Wiedniu, epokowe dzieła o początkach sztuki wsłazkiej i otwiera przed historykami i krytykami sztuki perspektywę iście uniwersalną. Autor literatury niemieckiej, uporządkowanej według szczepów i krajów, profesor wiedeński Nadler, przypisuje Śląskowi i Łużycom „twórczą obronę przed wydaniem Niemców rozumowej nauce o martwej materji” i widzi w Śląsku i Łużyczach wał obronny „przeciwko światopoglądowym niebezpieczeństwom ziemi macierzystej”.

Niewyraźnie czuje to samo młody poeta Alfons Hayduk, któregoby przestrzec można własnymi jego słowami „und sind auch Ideale eitel: dein Antlitz trübt nicht. Heimatland!”. Oto jego wyznanie wiary w przyszłość Górnego Śląska:

*Ich glaube, / wie einen Gott erkenne
Und ihn den Sieg der Seele nenne,
Dass meinem Volke sich die Tore spreizen,
Bald schafft es mehr, als nur Europa einzuheizen.*

*Frühroten vor der grossen Völkersonne,
Ist mein Geschlecht, ist Wegberäiter;
Ich aber bin die Stimme, bin Begleiter,
Um in des Menschseins Not und Sünden
Ein neues Dasein zu verkünden.*

Śląsk i Łużyce stanowią węzeł, nie związek, czterech narodów i ich kultur; czeskiego, niemieckiego, polskiego i serbskiego. Tego odwiecznego węzła niema już co rozwiązywać, lecz trzeba go umiejętnie i artystycznie ująć jako zwornik w strukturze Europy.

★

Kto ma służyć za pośrednika, musi obie strony rozumieć a sam być wolnym od namietności obu stron. Jest więc problem śląski problemem ogólnoludzkim, a ideał Ślązaka, jak rzeka w morzu, rozplywa się w ideale człowieka. Tym ideałem jest umiarowanie, względnie opanowanie namietności i uznanie szczytniej tezy Krasińskiego, że „najwyższy rozum — cnota”. Pięknie powiedział Cyprjan Norwid, że „szlachetny człowiek nie mógłby wyżyć dnia jednego w ojczyźnie, której szczęście nie byłoby tylko procentem od szczęścia ludzkości”. (...)

EMIL SZRAMEK Katowice

misja

ŚLĄSKA

Inspiracja dla historyka

Praca księdza Emila Szramka jest dla historyka w pierwszym rzędzie niezastąpionym źródłem historycznym. Nieocenionym, bo jest jedyną tego rodzaju propozycją socjologiczną, powstałą przed drugą wojną światową, chociaż wyjątkowość Śląska pobudziła w tym okresie socjologiczne badania empiryczne, które zaowocowały między innymi pracami J. Chłasińskiego (Antagonizm polsko-niemiecki w osadzie fabrycznej „Kopalnia” na Górnym Śląsku, Warszawa 1935) czy P. Rybickiego (O badaniu socjologicznym Śląska, Katowice 1938). Ale to co może ważniejsze, opracowanie Szramka otworzyło nowy etap w badaniach nad najnowszymi dziejami Górnego Śląska, w których już nie chodziło o prostą odpowiedź na pytanie „jak było”, ale „dlaczego tak było”.

Propozycja Szramka, bo tak ją jako pewien głos w dyskusji nad fenomenem tego regionu, należy rozumieć, od początku budziła liczne kontrowersje, żeby wspomnieć burzliwą polemikę, jaką rozgorzała na łamach prasy górnośląskiej na przełomie lat 1934/35 (szczególnie krytyczną w recenzjach publikowanych w sanacyjnej „Polsce Zachodniej”). Ale stąd jej inspirująca rola, która zaowocowała szeregiem prac historycznych, wykorzystujących narzędzia badawcze socjologii oraz ustalenia tej dziedziny. Najbardziej owocne okazały się prace uczniów prof. Józefa Chłebowicza skupionych w Instytucie Historii Uniwersytetu Śląskiego. Warto tu wspomnieć przede wszystkim o opracowaniach pióra Eugeniusza Kopcia (Południowo-zachodnie kresy Rzeczypospolitej 1918—1939. Społeczne warunki integracji, Katowice 1981) i Marii Wandy Wanatowicz (Ludność napływowa na Górnym Śląsku w latach 1922—1939, Katowice 1982; Inteligencja na Górnym Śląsku w okresie międzywojennym, Katowice 1986). I będzie praca Szramka pełniła tę funkcję nadal, bo przecież badania i dyskusja nad historią Górnego Śląska nie jest zakończona.

Pojawia się pytanie na ile ustalenia Szramka są użyteczne dla badań nad najnowszą historią Górnego Śląska, tej już powojennej, kiedy zmieniły się prawie wszystkie warunki funkcjonowania tego regionu: geopolityczne, ludnościowe i polityczne. Ale czy takie problemy analizowane przez Szramka jak Antagonizm tubylców i przybyszów, Zagadnienia narodowe czy Katolickość Górnoślązaków straciły w tym okresie swą aktualność? I pytanie całkiem współczesne na temat Misji Śląska, o którym przecież dyskutujemy szczególnie intensywnie po 1989 roku. Jako odpowiedź posłużymy się cytatem księdza Szramka: „Śląsk (...) stanowi węzeł, w związku czterech narodów i ich kultur: czeskiego, niemieckiego, polskiego i serbskiego. Tego odwiecznego węzła nie ma już co rozwiązywać, lecz trzeba go umiejętnie i artystycznie ująć jako zwornik w strukturze Europy”.

PIOTR GREINER

Po 60 latach

Zaskakujące, jak dalece problemy socjologiczne na Górnym Śląsku nie straciły na znaczeniu, choć z diametralnie różnych przyczyn. Dla przedwojennego publicysty polski Śląsk kojarzył się przede wszystkim z ówczesnym województwem śląskim. Z tego to właśnie okresu przyzwyczajenie do postrzegania regionu tylko przez pryzmat jego wschodniego skrawka, pokutuje do dziś. A przecież za państwową granicą pozostało z górą trzy czwarte ziem górnośląskich i więcej niż połowa naszych ziomków. A jednak mimo podziału na polskim Górnym Śląsku, najistotniejsze problemy społeczne skupiały się wokół problemów narodowościowych.

Podział Śląska, usankcjonowany w 1922 roku, nie rozwiązał żadnych kwestii polsko-niemieckich, nie zamroził ich nawet. Ba, kto wie, czy dzięki niemu nie uległy one zaostrzeniu. Tym samym, na dalszy plan zeszyły problemy socjalne i typowe dla ludzkich kłębów dylematy rozwoju. Wprawdzie już przed wojną mieliśmy do czynienia na wschodnim Śląsku ze wszelkimi symptomami masowych migracji za chlebem i pracą w przemysłowych aglomeracjach, jednak zawsze stały one w kolejce za kwestiami narodowymi. Zabrzmi to może dziwne, ale wszelkie fobie, uprzedzenia i konflikty były wówczas o wiele bardziej widoczne niż dziś. Współcześnie rykoszetem wracają do nas wszystkie lata, w których o tamtych uwarunkowaniach nie chcieliśmy pamiętać. Coraz mniej mamy do czynienia ze sprawami socjalnymi, coraz bardziej dają się we znaki problemy kulturowe, tragicznie zaniedbane i niedoceniane. I one są największym echem problemów sprzed lat sześćdziesięciu.

MICHAŁ SMOLORZ

Bez uniesień

Czy myśli Emila Szramka zawarte w artykule z 1934 roku są nadal aktualne?

Sytuacja geopolityczna Górnego Śląska jest dzisiaj całkiem inna niż w latach trzydziestych, dlatego nie wszystkie myśli Szramka są aktualne. Górny Śląsk nie ma charakteru „narożnikowo-peryferyjnego”, konflikt polsko-niemiecki dawno już wygasł, a kryteria bycia Górnoślązakiem są mniej ostre. Analizując specyficzność górnośląską nie odwołujemy się już do powszechnego sumienia religijnego, a „wartości narodowe” stają się częściej elementami retoryki przedwyborczej, niż instrumentem analizy socjologicznej. Nie posługujemy się mistycznymi kategoriami „misji Śląska”. Staramy się opisywać i tłumaczyć fenomen górnośląski bez uniesienia, bez zbytniej emfazy, po prostu normalnie.

Pewne problemy pozostały jednak do dzisiaj. Sądzę, że nadal aktualny jest postulat Szramka o konieczności badania i poznawania „duszy Śląska - tj. Górnoślązaków”, w której dostrzec można „nawarstwienia ciągnące się przez pokolenia”. Oczywiście dzisiaj posługujemy się już innym językiem i innymi metodami, poszukujemy tożsamości regionalnej, jej specyfiki. Temu właśnie problemowi poświęcona jest ostatnio wydana publikacja Kazimierza Wódczaka „Wokół śląskiej tożsamości”. Jest to zbiór artykułów i refleksji o tożsamości górnośląskiej, czyli jakby to powiedział Emil Szramek „o duszy Górnoślązaków”. Wydaje mi się, że porównanie tych dwu publikacji, zbliżonych formatem i grubością, pozwoliłoby na bliższe określenie przedmiotu analizy socjologicznej, jego dynamiki przemian i specyficzności.

Współczesne elity górnośląskie, zubożone o sporą liczbę emigrantów, nie stanowią już, jak za czasów Szramka, tak istotnego i dominującego w społeczeństwie lokalnym elementu. W latach międzywojennych „dusza Śląska” uwikłana była na polu walki polskości i katolicyzmu z niemieczyzną, z narodowym socjalizmem (na „flance narożnikowej”). Dzisiaj, wydaje mi się, że przeciętny Górnoślązak żyje w poczuciu własnej krzywdy i bezradności. Wrogiem nie są już obcy z innego państwa, lecz „oni”, władza, która doprowadziła do upadku cywilizacyjnego i kulturowego Górnego Śląska. Cechą wyróżniającą dzisiaj górnośląskość jest z jednej strony tolerancja i otwartość kulturowa oraz poczucie wolności i równości stanowej, a z drugiej dyscyplina, lojalność i respekt wobec prawa i władzy, a nawet rodzaj pokory przerażający się w bierność zbiorową. Współcześnie mówimy dosadnie o „dupawatości” jako o jednej z cech mieszkańców Górnego Śląska, nastawionych bardziej na narzekanie, niż działanie. Sądzę jednak, że duch działania nie zaginął i dzisiaj, czego przykładem jest podpisany kontrakt regionalny dla województwa katowickiego.

JAN RZYMELKA

W narożniku Europy

Od kilku lat jesteśmy na Górnym Śląsku świadkami odżywiania lokalizmów i regionalizmów, ożywienia ruchów samorządowych, mniejszości etnicznych czy nawet wyznaniowych. Przejawy sanacji i renesansu małych społeczności czy zbiorowości można dostrzec bez trudu we wszystkich niemal częściach Polski. Są one jednak szczególnie widoczne w historycznych regionach pogranicza, czyli w obszarach narożnikowych — jak określił je niegdyś ksiądz Emil Szramek. To niezwykle, rzadko dzisiaj używane pojęcie „region narożnikowy” zapożyczył autor z opracowań historyków i historyków niemieckich, podobnie zresztą jak kilka innych idei zawartych w jego socjologicznym eseju z 1934 roku. Brak oryginalności nie przeszkadza wszakże w poszukiwaniu w Szramkowym szkicu — czytany sześćdziesiąt lat później — inspiracji do rozważań nad narożnikowym charakterem Górnośląska.

Termin region narożnikowy czy też region pogranicza kulturowego odnosi się do takich obszarów państwa — ułożonych zazwyczaj peryferyjnie — w których istnieje wyraźna świadomość społecznej odrębności, a regionalny układ kultury stanowi wynik wieloletniego przenikania licznych kultur i tradycji różnicowanego pochodzenia. Regiony pogranicza zmieniły w ciągu wieków przynależność państwową i administracyjną, znajdowały się w kręgu oddziaływania rozmaitych systemów polityczno-administracyjnych, kulturowych oraz gospodarczych. W rezultacie — zamieszkującą je ludność cechują niejednoznaczne i zróżnicowane opcje narodowe, a narodowy indyferentyzm nie jest zjawiskiem marginalnym. „Wynikiem długiej infiltracji czyli mieszaniny narodowej — pisał w odniesieniu do śląskiego regionu pogranicza ks. Szramek — są jednostki nie tylko dwujęzyczne, podobne do kamieni

granicznych, które z jednej strony noszą znaną polską, z drugiej niemiecką, albo też gruszy granicznej, która na obie strony rodzi. Nie są to ludzie bez charakteru lecz ludzie o charakterze granicznym”. Ten typ społecznej świadomości określany również bywa mianem świadomości kresowej, charakterystycznej dla polskich regionów pogranicza.

Używając literackich określeń i metafor można powiedzieć, iż typowy człowiek regionu pogranicza urodził się w Gleiwitz, lecz dorastał w Gliwicach, po II wojnie światowej pozostał w tym mieście lub został przymusowo z niego wysiedlony czy też dobrowolnie wyjechał do Niemiec; dla Niemców pozostawał wtedy zbyt polski, dla Polaków zbyt niemiecki; wiodąc żywot przesiedleńcy lub emigranta odbywał czasami podróże sentymentalną do swojego heimat'u lecz tylko sporadycznie wracał doń na stałe; niekiedy jednak — używając terminów Siegfrieda Lenza — spalił na zawsze „muzeum ziemi ojczystej”. Ten zaś, co pozostał na Górnym Śląsku miewał kłopoty z narodową autoidentyfikacją i autodefinicją; jedynie przynależność do regionu i lokalnego świata społecznego była bezproblemowa.

Górny Śląsk był dla Szramka — i pozostaje do dziś — dobrym przykładem regionu narożnikowego czy też obszaru pogranicza. Przez wiele stuleci poddany był silnym oddziaływaniom kulturowym, społecznym, politycznym i ekonomicznym płynącym z Czech oraz Moraw, Austrii, Prus, Niemiec i Polski. Na jego historyczne losy pewien wpływ miała także żyjąca tutaj ludność żydowska. W ciągu wieków Górny Śląsk i poszczególne jego krainy, zmieniały przynależność państwową, był miejscem spotkania czy zderzenia wielu kultur, pozostawał w kręgu oddziaływania rozmaitych systemów politycznych i gospodarczych. Te historyczne uwarunkowania nie mogły pozostać bez wpływu na obecny kształt i charakter Górnego Śląska.

Region pogranicza jest bowiem jednostką terytorialną i społeczno-kulturową, w której wyrażają się długotrwałe procesy historyczne, polityczne, kulturowe, społeczne i gospodarcze. W przestrzeni górnośląskiej istnieją do dzisiaj i posiadają własną dynamikę skutki przyspieszonej urbanizacji i industrializacji regionu, organizowanej przez Niemcy na przełomie XIX i XX wieku. Była ona obliczona na szybką oraz efektywną eksploatację lokalnych i regionalnych zasobów surowcowych, zwłaszcza zaś węgla. Do dzisiaj też, w jakimś przynajmniej stopniu, zwłaszcza wśród ludności rodzimej, funkcjonują historycznie ukształtowane wzory kulturowe, schematy ruchliwości społecznej i awansu zawodowego oraz elementy krystalizujące regionalny czy lokalny etos kultury, o których pisał Emil Szramek.

W polskich regionach pogranicza, na Pomorzu, w Wielkopolsce czy na Śląsku podjęto po raz kolejny — zwłaszcza u schyłku lat osiemdziesiątych — debatę nad istotą „nowego regionalizmu” nad skomplikowanymi układami etnicznymi tych ziem i krain, zadaniami regionalnych i lokalnych ruchów rewindykacyjnych, nieodzownymi procesami restrukturyzacji gospodarczej i społecznej. Powstały również lokalne organizacje konsolidujące poczynania owych ruchów i nadające im zinstytucjonalizowany wymiar (np. Związek Górnoszląski; Unia Wielkopolan; Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie). Czasami ich liderzy sięgają selektywnie do szkicu księdza Szramka i w bieżących polemikach czy sporach politycznych przytaczają najcelniejsze akapity. Im to właśnie w pierwszej kolejności polecam krytyczną i refleksyjną lekturę całego eseju, przypominając że taki Śląsk o jakim pisał ksiądz Emil Szramek już nie istnieje. A może w ogóle nie istniał?

MAREK S. SZCZEPAŃSKI

PIOTR GREINER jest doktorem w Instytucie Historii Uniwersytetu Śląskiego;

MICHAŁ SMOLORZ jest publicystą, jednym z szefów „Anteny Górnoszląskiej”;

JAN RZYMELKA jest wiceprzewodniczącym Sejmiku Samorządowego Województwa Katowickiego;

MAREK S. SZCZEPAŃSKI jest profesorem, dyrektorem Instytutu Socjologii Uniwersytetu Śląskiego.



Foto: Bogdan Kulakowski

Czy przyszłość bez przyszłości?

JACEK WÓDZ

Pytania o przyszłość Górnego Śląska pojawiają się od kilku lat z narastającą troską i lękiem. Rzecz idzie o to, jak ten dominujący do niedawna region będzie wyglądał za lat 10 czy 20. Wymowa faktów jest bezwzględna i nie ma się co łudzić, że jest inaczej niż jest. Gołym okiem widać, że jest się czego bać!

Powiedzmy od razu: region ten niezbyt szczęśliwie wszedł w procesy demokratyzacyjne po 1989 roku. Z pojawieniem się gospodarki rynkowej ujawniły się olbrzymie kłopoty z opłacalnością głównych tutejszych przemysłów, a nowe sposoby gospodarowania napotykały na opór potężnych lokalnych lobbies. Musiało minąć trochę czasu, by zdano sobie sprawę z faktu, że pozycja Górnego Śląska — ponad wszelką wątpliwość wyjątkowa — ufundowana była w latach powojennych na podstawach funkcjonalności tego regionu dla gospodarki planowej, a więc nierynkowej, zamkniętej. Toteż demokratyzacja życia publicznego i przejście na gospodarkę rynkową tu właśnie wymagały szczególnego wysiłku. Stąd dzisiejsze poczucie bezradności, ucieczka w masowe protesty, ideologizacja życia (bazowana często na poszukiwaniu winnego) brak spokojnej i wyważonej analizy własnej sytuacji.

Poczucie lęku

Beżradność da się ocenić prosto, jako postawę wynikającą z braku umiejętności skutecznego działania i pewnej niemożności przełamania lęku przed tym, co ma nastąpić. Stąd łatwy już krok do działań chaotycznych i poczucia frustracji. Może te sformułowania są za ostre, ale czyż nie tak najlepiej wyjaśnić te stany psychiczne, które dziś ujawniają się w wielkich grupach zawodowych, wśród mieszkańców starych dzielnic robotniczych i młodzieży kończącej zasadnicze szkoły zawodowe.

Spróbujmy zastanowić się nieco głębiej nad owym poczuciem lęku. Zapytajmy więc najpierw, czy faktycznie jest się czego bać? Skoro degradacja regionu postrzegana jest powszechnie a przyszłość nie jest pewna — to można się bać. Jeśli dodatkowo mechanizmy zmiany są mało czytel-

ne, to trudno dla jakiegś wizji mobilizować szersze grupy społeczne. Jeśli do tego dodać, że wysiłki zbiorowe, nie przynoszące spodziewanych rezultatów, zwykle pogłębiają stany lękowe, to sam mechanizm społeczny powstawania lęków da się łatwo zrozumieć.

Górny Śląsk miał przez wiele lat pozycję wyjątkową, którą utracił w pierwszych latach 90. Nie można dziwić się powstającym tu lękom i frustracjom, skoro gra idzie o życie. Przy okazji warto zwrócić uwagę na pewien fakt, systematycznie pomijany w dyskusjach nad rolą tego regionu w Polsce powojennej. Otóż często słyszymy, ile to dochodu narodowego wytwarzał Śląsk i ile jeszcze wytwarza, a ile z „centrali” dostaje. Natomiast zapomina się, że wszystkie te statystyki mówią o województwie katowickim, lecz nie tylko o jego rdzennej, górnośląskiej części. Także o Zagłębiu, które w dyskusjach o Śląsku — nie wchodząc w złożoność tych powikłań — spełniało w ostatnim czasie rolę „czarnego ekranu”, a więc sposobu na odreagowanie wielu własnych kompleksów zarówno historycznych jak i politycznych świeżej już daty. Ten fakt najlepiej dowodzi do jakiego stopnia lęki, o których mowa mogą brać się też z ideologizacji problemów. Takie podejście zawsze oddala od trzeźwych ocen pozwalających szukać pragmatycznych rozwiązań.

W takiej sytuacji kumulują się dwa zjawiska: faktycznie doznawane poczucie pogorszenia warunków bytu oraz natężenia frustracji płynących z poczucia lęku i beznadziei. Może to prowadzić do racjonalnych refleksji, częściej jednak prowadzi do poszukiwania rozwiązań radykalnych. Stąd przecież zrodziła się, moim zdaniem bardzo dla Śląska szkodliwa, praktyka grania tym regionem przez polityków, partie, związki zawodowe — vide wielka demonstracja górników w Warszawie z wybijaniem szyb i skandalicznymi, faszystowskimi hasłami. Czy takie akcje mogą rozładować lęki? Na pewno nie. Mogą tylko wzmacniać poczucie krzywdy, prowadząc w sumie do psychologicznie nierozwiązywalnych sytuacji, w których nawet agresja może jawić się jako ewentualne rozwiązanie. Tymczasem dobrze wiadomo, że wyjście jest jedno — trzeba przezwyciężyć lęk, popatrzeć prawdzie w oczy, porzucić myślenie ideologiczne i szukać pragmatycznych rozwiązań. Okazuje się jednak, że to właśnie jest najtrudniejsze, oznaczać może przecież utratę pozycji tych,

którzy dziś Śląskiem grają. Mamy więc pewien rodzaj zapętlenia interesów, którego rozwiązanie wymaga czasu, a tego czasu jest już coraz mniej.

Czas przegrany, czas do odzyskania?

Przemiany następujące po 1989 roku oznaczały dla Górnego Śląska wyjątkową wręcz szansę wykorzystania swej poprzedniej pozycji dla odegrania roli wiodącej w rysowaniu kształtu przyszłej Polski i zaznaczenia swego szczególnego w niej miejsca. Tak się nie stało, toteż dziś możemy się tylko silić na zrozumienie przyczyn tego stanu rzeczy. To pewne, iż tamten czas już się nie wróci i została zmarnowana, niepowtarzalna szansa historyczna, nie bez własnej tym razem winy!

Rok 1989 oznaczał powszechną demokratyzację życia. Na Górnym Śląsku przeżywano renesans tożsamości regionalnej. To zupełnie zrozumiałe, skoro przyszedł oczekiwany czas odreagowania lat zakazów, częstego poniżania za samo bycie Ślązakiem. Nastąpił oto moment, w którym można było nareszcie mówić własnym głosem. Ale też szybko dały znać o sobie różne tendencje do etnicznego definiowania regionu; powstały zręby staroświecko pojmowanej ideologii regionalnej, z przewagą sentymentów nad pragmatyzmem.

Wierzę w najlepsze intencje działaczy regionalnych tamtego czasu, ale dostrzegam i dostrzegam niestety nadal brak chłodnych analiz skutków tego, co czynią. Nie zapominajmy, że w ślad za ideologizacją (która zawsze dzieli na „swoich” i „obcych”) poszła polityzacja, która co prawda, w znacznie większym stopniu dotyczyła Ruchu Autonomii Śląska niż Związku Górnośląskiego, ale i on nie był od niej wolny. W praktyce powstały regionalne i lokalne układy „swoich”, na co większość mieszkańców regionu (nie mówiąc o całym województwie) patrzyła z obojętnością wykluczającą jakże wówczas potrzebną powszechną mobilizację.

Ale przecież przemiany po 1989 roku to nie tylko demokratyzacja życia społecznego, to także gwałtowne przejście do gospodarki wolnorynkowej. Oznaczało to zmianę gospodarczej roli Górnego Śląska

w polskiej gospodarce. Tego faktu regionalni działacze, pochłonięci „robieniem polityki” jak gdyby nie zauważyli. A czas tu właśnie uciekał bardzo szybko. Czasem myślę, że tę prostą prawdę najpierw pojęli ludzie o cwaniackim sprycie organizując wiele procesów tak, by służyły (dokąd się da) ich własnym interesom. Można zrozumieć te wojewódzkie władze i tych działaczy regionalnych, którzy uznali, że trzeba szybko dokonywać rewindykacji tożsamości regionalnej, pozostawiając na boku głęboką debatę o gospodarce, choć żał, że podjęli się władzy bez dostatecznej refleksji nad wielkim tych spraw skomplikowaniem.

Czy czas ten da się jeszcze nadrobić? Pewnych rzeczy na pewno nie można cofnąć, ale można... trzeba, właśnie poprzez skonstruowanie realistycznej i pragmatycznej wizji przemian gospodarczych, budować podstawy dla mobilizacji do działań zbiorowych mających racjonalne podstawy. Do tego trzeba jednak wcześniej jasno odpowiedzieć sobie na pewne zasadnicze pytanie.

Czy jest Górny Śląsk?

Samo takie pytanie to już prowokacja, ale prowokacja zamierzona. Tak stawiając pytanie chcę wskazać na absurdalność etnicznych koncepcji regionu, według których mieliby tu być „swoi” oraz ich „goście”. Otóż niezależnie od poczucia wcześniejszych krzywd, właśnie w okresie budowania demokracji i społeczeństwa obywatelskiego, które musi uznać pierwszeństwo wszystkich praw obywatelskich przed prawami do podkreślania swej takiej czy innej odrębności kulturowej, nie można dokonywać tak pojętych podziałów. W sytuacji Górnego Śląska takie etniczne podejście jest podwójnie niebezpieczne. Powoduje narastające podziały i konflikty w ramach wspólnego z ziemiami niegórnośląskimi województwa katowickiego, ale także w ramach ziem śląskich stawia przybysz w sytuacji ludności o „gorszych prawach”. Każda ekskluzywistyczna koncepcja regionu redukuje też jego szanse na optymalny rozwój, prowadzi do blokady energii społecznej. Trzeba przyznać, że Związek Górnośląski w deklaracjach uznawał zasadę otwartości, lecz praktyka władzy z pierwszych lat 90-tych często tej zasadzie przeczyła, zaś fakty że pozostały w społecznej świadomości powodując reakcję zagrożonych kręgów, środowisk i grup społecznych.

Ale owo prowokacyjne pytanie ma też szerszy sens. Nikt i nigdy nie podważał przynależności Górnego Śląska do Polski. Walczono jednak, i to jest zrozumiałe, o takie miejsce Górnośląska w Polsce, w ramach którego zrealizowałaby się regionalna tożsamość. Jednak sposób w jaki to czyniono de facto, raczej mobilizował przeciwników tej idei niż stwarzał realne szanse na jej powodzenie. Dajmy najpierw przykład polityczny. Nie uważam za niemożliwy do realizacji pomysł uzyskania przez wszystkie, czy niektóre województwa, szerszych uprawnień i niezależności od centrum, co dawałoby im faktycznie pewną autonomię. Uważam jednak, że w Polsce pierwszych lat 90-tych, kiedy bardzo mocne były romantyczne elementy tożsamości narodowej, wysuwanie politycznego postulatu autonomii tylko w odniesieniu do Górnego Śląska (Ruch Autonomii Śląska) było błędem politycznym, uruchamiającym wiele bardzo niesprawiedliwych procesów.

W sferze gospodarczej sprawy są jeszcze bardziej skomplikowane, ale nie sądzę, by na dłuższą metę służyły regionowi plany specjalnego traktowania województwa. Właśnie ze względu na dokonujące się dziś zmiany w tożsamości narodowej Polaków (odchodzenie od wyłączności wzorca romantycznego, ciśnienie w kierunku decentralizacji władzy, domaganie się zmniejszenia politycznej, ale i symbolicznej roli Warszawy itd.) jedyną szansą wydaje się intensywna praca nad nowym kształtem administracyjnym i gospodarczym kraju, w ramach którego Górny Śląsk — ale i inne województwa czy regiony, mające charakter wyraźnie odrębny od reszty kraju — zyskałyby status dający im możliwość realizacji samorządowych aspiracji. Nikt wtedy nie powie o egoizmie górnośląskim, nikt nie będzie miał prawa postawić pytania — czy jest Górny Śląsk?

Czy Górny Śląsk musi upaść?

Takie pytanie, choć brzmi okrutnie, wcale nie jest pozbawione sensu. Trzeba jednak najpierw zapytać, który Górny Śląsk? Jeśli spojrzeć na podobne naszemu regionowi stare regiony przemysłowe w Europie (choć odrębności zawsze są znaczne) to wszystkie one w zasadzie musiały upaść. Oznaczało to ni mniej, ni więcej, lecz stopniowy zanik, albo znaczne zmniejszenie znaczenia starych przemysłów, zanik starych struktur osiedleńczych, przemiany w strukturze zawodów, a w konsekwencji także szybkie zmiany w kulturze. Ten los z pewnością pisany jest także Górnemu Śląskowi. Tak się złożyło, że w wyniku odradzania się tożsamości regionalnej szczególne miejsce odzyskały te jej cechy, które mają wyraźnie tradycyjny, antymodernistyczny charakter, i które w minimalnym tylko stopniu mogą być przydatne dla budowania przyszłości wymagającej otwartości, ichłonności na nowe informacje.

Tak więc Górny Śląsk, oparty na tradycji funkcjonalnej dla warunków pracy i życia sprzed lat, na strukturach osiedleńczych i strukturze rodzin powstałych przed laty, wspierany instytucjonalnie przez specyficzną rolę parafii w osiedlach robotniczych może okazać się wnet niezdolny do podjęcia wyzwań przyszłości. W śląskiej ideologii regionalnej bardzo mało jest elementów mobilności, otwarcia na konfrontację z nowością, stąd owa ideologia — pełniąc rolę spajającą zbiorowość górnośląską — nie ułatwia tej ludności stawiania czoła wyzwaniom czasu w celu rychłych i głębokich przemian. Tym bardziej, że wielkie grupy zawodowe — zwłaszcza górnicy — których i liczba i rola społeczna będą musiały w przyszłości ulec redukcji posiadają ten typ reprezentacji związkowej, która preferuje podniecanie w nich ducha walki o obronę status quo zamiast czynnie przygotowywać ich do nadchodzących przemian. Także i z tego względu sąd, iż taki tradycyjny i antymodernistyczny Górny Śląsk musi upaść, nie jest pozbawiony sensu.

Może nawet dojść do tego, że sprzegną się konieczności przemian struktury przemysłu oraz degradacja struktur zamiesz-

kania (a więc i skupienia) z interesami tych ruchów, organizacji czy instytucji, które nastawione antymodernistycznie, walczyć będą o ów tradycyjny Górny Śląsk. Narastać mogą więc najpierw masowe stany frustracji (dowodów na to już wiele) potem objawy beznadziejnej walki a w końcu upadek. Nie trzeba się więc obrażać na wskazywanie takiej ewentualności, lecz należy poważnie ją brać pod uwagę, choćby po to, by w miarę szybko diagnozować objawy i ewentualnie kontrolować pewne procesy upadku. Upadek wcale nie musi bowiem oznaczać ostatecznej klęski. Znane są scenariusze rozwoju uwzględniające pozytywną rolę upadku.

Odrodzenie przez upadek

Świadomość nieuchronności zmian, przynajmniej dla części ludności regionu, może oznaczać porzucenie przywiązania do dzisiaj bronionego status quo i przejście do walki o nowy kształt regionu. Z doświadczeń europejskich wynika, że kluczem jest tu dokonanie się szczególnej zmiany sposobu rozumienia regionu, z tradycyjnego, etnicznego, ekskluzywistycznego i zawsze koncentrującego się (co w takiej sytuacji logiczne) na przeszłości na sposób nowy, opierający się na poszanowaniu wartości obywatelskich (a więc nie dzielący ludności regionu według ich pochodzenia) w efekcie zaś mobilizujący wspólnotę regionalną do solidarnych działań poprzez wskazywanie jej identycznych zagrożeń i wyzwań. Ten sposób definiowania regionu nie lekceważy w niczym tradycji i odrębności kulturowych, przesuwa je jednak do sfery symboli, natomiast wspólnotę działań buduje pragmatycznie, wskazując wspólny dla całej ludności regionu interes. Przy okazji rozwija się wówczas poczucie „obywatelskości” (Francuzi mówią *civilité*), to znaczy świadomość sensu aktywności społecznej na poziomie regionalnym i lokalnym i świadoma naganność bierności.

Takimi wyzwaniem na Górnym Śląsku są na pewno sprawy przyszłości głównych tutejszych przemysłów, zagrożenia ekologiczne, degradacja struktur osiedleńczych, infrastruktury miejskiej w całej aglomeracji i wiele innych. Jest więc wokół czego skupiać ludzi. Powstaje jednak bardzo ważne pytanie. Jest jasne, że przejście do owego perspektywnego widzenia regionu oznacza podjęcie ryzyka pojawienia się nowych problemów, duże prawdopodobieństwo powstania licznych grup ludzi, przynajmniej czasowo niezadowolonych, wreszcie utratę pozycji przez te ruchy społeczne, stowarzyszenia czy instytucje, które dziś swą pozycję uzyskały dzięki podtrzymywaniu tradycyjnej wizji regionu. Czy owi „aktorzy społeczni” potrafią zrozumieć, że tkwienie w obecnej sytuacji prowadzi wcześniej czy później do klęski a ich szansą jest zmiana ich roli i podjęcie się funkcji animatorów przemian? I tu chyba jest pies pogrzebany.

Nie można nie rozumieć racji ani związków zawodowych, ani aktualnych lobbies tradycyjnego przemysłu, ani wreszcie Kościoła w podtrzymywaniu tradycyjnych struktur, można natomiast liczyć na to, że w sytuacji „gry o wszystko” (a taka gra

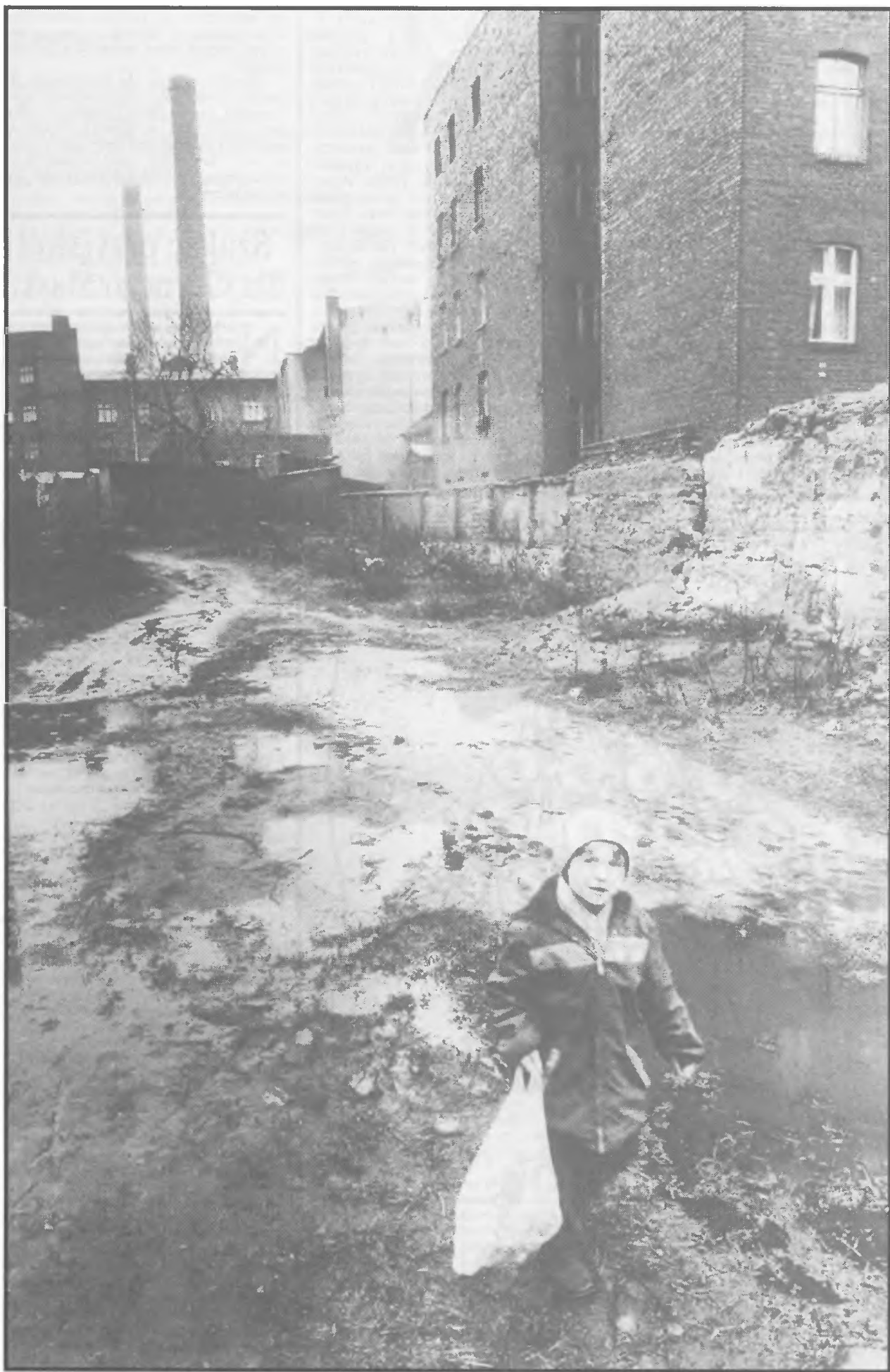


Foto: Bogdan Kułakowski

nastąpi, bo nikt nie ma pieniędzy na utrzymanie dzisiejszego status quo na dalszą przyszłość), jasnym stanie się dla wszystkich, iż ten kto pierwszy podejmie ryzyko zmiany swej dzisiejszej pozycji stanie się leaderem przemian i w pewnym sensie dyktował będzie warunki ich przebiegu. By nie być gołosłownym wskażę, iż jeśli roli takiej podejmie się instytucja czy organizacja, której na sercu leży tradycja regionalna, to ona faktycznie kontrolować będzie proces przechodzenia poszczególnych elementów tradycji do sfery ważnych symboli regionalnych, będzie więc w perspektywie stroną wygraną.

Trzeba przy tym zatrzymać się na moment nad rolą węgla w przyszłości Górnego Śląska, gdyż sprawa ta budzi i budzić będzie jeszcze długo wiele emocji. Według wiarygodnych szacunków ekonomicznych, wydobywanie węgla będzie jeszcze przez wiele lat zajęciem tutaj ważnym, choć skala eksploatacji, warunki i organizacja pracy zmieniają się radykalnie. Nastąpi też stopniowe zmniejszenie się społecznego znaczenia zawodu górnika. W najbliższych latach nastąpi więc specyficzna konkurencja i walka o utrzyma-

nie zatrudnienia, dla której jednak przesłanką będą przede wszystkim racje ekonomiczne, a nie — jak to dziś się projektuje — lęk polityczny władzy przed zwolnieniami i ewentualnymi demonstracjami dużych grup niezadowolonych. Taka zachowawcza polityka ma krótkie nogi, wystarczy przypomnieć rezultaty „logiki związkowej” w Anglii. Z drugiej jednak strony ważnym argumentem jest niewątpliwie bezpieczeństwo energetyczne kraju, oparte w przeważającej mierze na węglu i ten argument musi być wygrany dla Śląska.

Aby podjąć próbę sprostania wyzwaniom przyszłości trzeba uczynić zbiorowość regionalną o wiele bardziej mobilną. I to w podwójnym sensie, horyzontalnym, gdy idzie o otwarcie na zmiany miejsca pracy i wertykalnym, gotowości do nauki nowych zawodów, nabywania nowych umiejętności, ogólnie motywacji do nauki. W obu wypadkach konieczne jest odejście od myślenia tradycyjnego. Z drugiej strony region dysponuje dużą (aczkolwiek niedocenianą) infrastrukturą szkolnictwa, w tym i wyższego, i jego szansą jest możliwość w miarę taniego zbudowania struk-

tur kształcenia na potrzeby przyszłości. Wspomagającymi instytucjami mogą być w tym procesie liczne instytucje kulturalne i media.

Jeśli więc udało się doprowadzić do zmiany mentalności reprezentantów tych instytucji, stowarzyszeń i ruchów społecznych, które dziś na Górnym Śląsku są swoistymi gwarantami opcji tradycyjnej, to z kolei ich, i nas wszystkich tu mieszkających, szansą byłoby uzyskanie liderów przemian.

Szukać przyjaciół dla Górnego Śląska

Nie miejsce tu, by wylewać żal czy szukać winnych, ale koniecznie wskazać trzeba na bardzo przykrą prawdę. W Polsce wiedza o Górnym Śląsku jest znikoma, a i sympatię dla naszego regionu też nie łatwo znaleźć. Trzeba przyjąć ten stan rzeczy i zastanowić się, co trzeba szybko zrobić, by zyskać dla Śląska przyjaciół. Tak się bowiem składa, że przemiany, te absolutnie konieczne dla dalszej egzystencji regionu (wszak wiele elementów infrastruktury przemysłowej, miejskiej degraduje się w szalonym tempie), są bardzo kosztowne, a wszelkie sensowne pomysły na przyszłość regionu wymagać będą organizacyjnego i finansowego wsparcia. Trzeba definitywnie skończyć z infantylną polityką obrażania się na resztę kraju i szukać wsparcia tam gdzie je można znaleźć. Słuszne i zrozumiałe argumenty typu — przez lata „ciągnięto” ze Śląska, a teraz nie chce mu się przyjść z pomocą, jak dowodzą doświadczenia nie tylko lat ostatnich, do niczego przecież nie prowadzą. W świecie polityki i gospodarki konkretne wsparcie jest zwykle efektem wskazania na realność proponowanych projektów, wiarygodność partnerów oraz ewentualne zyski (tak jest, interes!) wspierającego. W tych trzech płaszczyznach trzeba rozwijać działania, unikając przy tym efektów jawnie negatywnych, dających broń w ręce przeciwników, a jak wiemy było ich i jest немало. Myślę wtedy, że bardzo ostrożnie trzeba używać wszelkich argumentów emocjonalnych a tym bardziej gróźb, w tym i strajkowych, raczej trzeba wskazywać na wspólnotę interesów regionu i kraju.

Polityka przyszłościowa musi dawać też odpowiedź na pytanie za pomocą jakich środków społecznych i politycznych może Górny Śląsk zrealizować to gigantyczne przedsięwzięcie, jakim jest kontrola upadku tradycyjnego regionu i zbudowanie nowych struktur gospodarki nowego Górnego Śląska. Konieczne jest zbudowanie licznych lobbies prośląskich, wpływowych grup interesu, które wspieraliby gdzie można interes regionu.

Czy jest to jednak możliwe przy zachowaniu tradycyjnego myślenia ekskluzywistycznego, obrażaniu się na innych, egoizmie i czasem śmiesznym poczuciu wyższości (były wysoki urzędnik mówił w wywiadzie prasowym o „państwie azjatyckim” i pewnie spodziewał się z Warszawy pomocy i wyrazów sympatii). Nie, na pewno nie! Czekaj więc nas wielka praca, przede wszystkim w grupach, które mają na temat regionu coś do powiedzenia, by nie używać tu nieco pretensjonalnego terminu elita.

JACEK WÓDZ



Rys. Eugeniusz Rzeżucha

Szminka

widział na filiżance ślad jej szminki,
widział pieczęć jej ust,
napelniał filiżankę kawą lub herbatą,
tak by pieczęć jej ust została nienaruszona,
on sam kładł usta na śladzie jej ust,
całował ją poprzez filiżankę,
ta filiżanka była jakby grobowcem,
całując ślad jej ust jakby płytę grobową odsuwał
i jej umarłe usta całował,
ale martwił się tym, że całując je unicestwia,
czuł zapach jej ust,
w całym pokoju czuł zapach jej ust,
woń jej duszy unosiła się nad grobowcem,
brał filiżankę, starannie owijał w papier,
szedł na cmentarz i nad jej grobem
wyjmował filiżankę, całował jej usta,
i widział jej duszę, jak na to patrzy,
jak uśmiecha się smugami słońca
przenikającymi przez drzewa,
jak zamysła się długimi cieniami,
jak włosy zdziwione tą radością
nagle między liśćmi drzew rozsypują się
i burzą,
widział, jak jej dusza jest coraz bardziej wzruszona,
drżą jej uśmiechy i cienie,
on czuje nagły powiew wiatru,
to jej dusza podeszła do niego tak blisko,
że dotyka filiżanki chcąc mu coś pokazać,
on nagle czuje na filiżance cały
niewidzialny ciężar zaświatów,
i filiżankę upuszcza,
jej dusza pochyla się nad szczątkami filiżanki,
rozrzuca je daleko,
i wtedy on czuje na ustach jej muśnięcie,
tak jakby wiatr na chwilę na jego ustach
przystanął,
w domu patrzy w lustro i szuka śladu szminki,
na swoich ustach,
ale już wie, że pieczęć ust umarłej
jest na całym jego życiu



Rys. Wojtek Łuka

JANUSZ STYCZEŃ

Splecione listy

matka umarłej dziewczyny przegląda listy,
które do córki pisali mężczyźni,
zatrzymuje się dłużej nad listami
ukochanego córki,
czyta je wreszcie swobodnie,
za jej życia czytała ukradkiem,
w słowach ukochanego córki matka widzi
wieniec na grób córki,
matka sama splata ten wieniec,
splata starannie, długo czyta listy,
powtarza zdania, stara się, by wieniec
był piękny,
nie może czytać tych listów,
ten mężczyzna od córki odszedł,
matka patrzy na całą górę listów,
ta góra listów w wieczornym świetle
wygląda jak córka,
matka widzi twarz córki,
córka tymi listami się uśmiecha,
a potem uśmiech zasłania wielkim cieniem,
spuszcza powieki,
matka wie, że córka nie chce, żeby w jej twarz
patrzono, nawet matka nie może patrzeć
w jej twarz,
matka chowa listy do szuflady,
nie ma siły, żeby je spalić,
niech w podziemnym mroku szuflady czekają
na ogień albo na księżyc

Hafty i dźwięki

dziewczyna gra na pianinie,
jej opiekunka haftuje serwetkę w rytm muzyki,
dziewczyna zmienia muzykę, by opiekunka
haftowała coś innego,
opiekunka jest w czarnym swetrze i cień
od tego swetra pada na dziewczynę w bieli,
dziewczyna gra teraz cienie,
wszystkie cienie, o jakich marzy,
marzy o jeszcze większym mroku,
który by opiekunkę oddalił,
dziewczyna gra w sposób szalony,
stara kobieta haftuje też nagle szalenie,
dziewczyna w białej sukni marzy, żeby być
białą muzą,
dziewiczą, rozmarzoną,
chce, żeby stara kobieta nie haftowała starości,
niech haftuje światła i dziewczęce biele,
coś mówi do starej kobiety,
ta nic nie rozumie,
dziewczyna gra wciąż, nieprzerwanie,
będzie długo grała,
gra już bardziej w sobie,
wychodzi z siebie, chce spotkać swoją biel,
chce popatrzeć na swoją duszę,
więcej duszy nie znajdzie, może tyle wystarczy,
dziewczyna na to, co napotkała,
patrzy zachłannie, przestaje grać,
ale stara kobieta nie przestaje haftować,
haftuje czas, samą wieczność

KŁOPOTY Z TOŻSAMOŚCIĄ ALBO

JAK BYĆ Polakiem W NIEMCZECH?

KRZYSZTOF KARWAT

Po roku 1918 w Niemczech mieszkało ponad 1,5 miliona Polaków.

Odzyskanie przez Polskę niepodległości, później zaś przyłączenie do niej wschodniej części Górnego Śląska nakazały obu państwom inaczej widzieć problem mniejszości narodowych. Stawał się on coraz częściej kartą przetargową w politycznych sporach czy — po dojściu Hitlera do władzy — próbach rewizji granic. Niestety, już traktat wersalski w roku 1919 niekorzystnie sytuował polską grupę narodowościową, gdyż — w przeciwieństwie do Polski — nie narzucał Niemcom żadnych zobowiązań wobec mniejszości. Reakcją było powołanie w sierpniu 1922 roku Związku Polaków w Niemczech, który walczył o prawa narodowe tym silniej, że rząd w Berlinie podważał istnienie mniejszości polskiej. Ponadto w roku 1924 utworzono Związek Mniejszości Narodowych w Niemczech, w którym Polacy odgrywali dominującą rolę. Jednocześnie nie podważano konieczności zachowania lojalizmu wobec kraju zamieszkania.

Związek Polaków w Niemczech w roku 1930 oceniał swe wpływy na 700 tysięcy osób. Opiekował się spółdzielczością, organizacjami gospodarczymi, ruchem młodzieżowym. Wspierał inicjatywy kulturalne, oświatowe i wydawnicze. W okresie międzywojennym w Niemczech ukazywały się dziesiątki polskojęzycznych gazet, pism i biuletynów, z wychodzącym w nakładzie 30 tysięcy egzemplarzy „Polakiem w Niemczech” na czele. Tylko w takich warunkach mogło dojść w roku 1937 do ogłoszenia słynnych „Pięciu prawd Polaków”, będących rodzajem katechizmu a jednocześnie wyzwaniem wobec „brunatnej fali”, która rozlała się po całym kraju. Ogromną rolę nadal pełniło duchowieństwo polskie, nie tylko podtrzymujące „wiarę ojców”, ale również krzujące wśród rodaków ducha patriotyzmu.

Po roku 1945 stan prawny właściwie się nie zmienił, mimo że Republika Federalna Niemiec jest dla wielu, europejskim wzorcem rozkwitającej demokracji. Polacy nadal nie osiągnęli

statusu mniejszości narodowej

Rząd niemiecki wprawdzie podpisał międzynarodową konwencję w sprawie

Na przełomie wieków XIX i XX w Berlinie mieszkało więcej Polaków niż w Krakowie, Poznaniu czy Lwowie. W tym czasie działało tam

200 organizacji polskich,

wprawdzie bardzo nieraz drobnych, to przecież liczba to imponująca. Także w Saksonii, Turynii, Szlezewiku-Holsztynie czy Hanowerze stałe przebywały setki tysięcy Polaków, pochodzących nie tylko z zaboru pruskiego, ale także austriackiego i rosyjskiego.

Największym skupiskiem polonijnym, liczącym w tym czasie co najmniej pół miliona ludzi, stała się Nadrenia-Westfalia, a zwłaszcza jej przemysłowa część — Zagłębie Ruhry. W Gelsenkirchen na przykład ponad połowę załóg górniczych stanowili przybyli tu w poszukiwaniu pracy Mazurzy. Podobnie było w Bottrop, gdzie dominowali Górnoślązacy, a także w wielu innych miastach i osadach robotniczych dynamicznie rozwijającego się okręgu przemysłowego. Zjednoczenie Zawodowe Polskie, które szybko powoływało filie także w innych regionach kraju, było wtenczas organizacją, z którą władze pruskie musiały się liczyć.

Przez długie okresy Polacy poddawani byli dwóm, wzajemnie wykluczającym się siłom. Z jednej strony — wysłał ich przymysł a wcześniej rolnictwo (przysłowiowe wyjazdy „na Saksy” czy „na Pomry”), bo stanowili pożądaną przez junkrów i przemysłowców siłę roboczą, której na miejscu brakowało, z drugiej — narażali się na niechętną czy wręcz wrogą politykę władz (tzw. rugi pruskie z lat 1885-87 czy późniejsze zakazy osiedlania się całych rodzin). Ekonomia walczyła więc z polityką, a przez raz węższe, raz szersze szczeliny i tak przepływały potężne strumienie już nie tylko robotników, ale także inteligentów polskich czy działaczy politycznych, zwłaszcza o socjalistycznym rodowodzie. Część emigrantów, bo to tak zawsze bywa, prędej czy później asymilowała się i topiła w niemieckim morzu, ale przecież pozostawała cała reszta, która w różnym stopniu poczuwała się do związków z Polską.

Oficjalne statystyki niemieckie nigdy nie obejmowały mieszkających nad Renem Polaków. Nie zauważały ich ani w roku 1910, ani 1925, ani podczas kolejnych spisów ludności. Tak jest do dzisiaj, choć te same rejestry notują na przykład stałą obecność... Szwedów. Nic więc dziwnego, że szacunki są tak rozbieżne. Urzędnicy niemieccy mówią o 200 tysiącach Polaków, środowiska polonijne — o co najmniej 2 milionach.

Nie trzeba być badaczem stosunków narodowościowych w Europie Środkowej, by łatwo uświadomić sobie, że Polacy mieszkali w Niemczech „od zawsze”. Już pierwszy rozbiór Polski sprawił, że miliony naszych rodaków znalazły się poza politycznymi granicami ojczystego kraju. Kolejne dziesięciolecia i stulecia jedynie wzmogły procesy migracji naturalnych i „sztucznych”, wynikających z przesuwania granic.

Z perspektywy śląskiej rzecz się jeszcze bardziej komplikuje. Kraina, która tak wcześniej odpadła od Macierzy, z jednej strony w fenomenalny sposób zachowała związki z językiem i polskością, z drugiej — stanowiła przecież część potężnego państwa pruskiego, w którym różne żywioły narodowe mieszały się, lecz nigdy nie zdołały wzajemnie się zneutralizować. Jednocześnie, zwłaszcza w dobie gwałtownej industrializacji a także w latach międzywojennych, przepływ ludzi i idei między Niemcami a etnicznie polskimi ziemiami przybrał na sile, niosąc konsekwencje odczuwane do dzisiaj. To zaś, co stało się ze Śląskiem i na Śląsku po roku 1945, a co wiązało się z bezprecedensową „wędrownką ludów”, nie tylko, że nie „wyczyściło” kwestii narodowościowych, ale jeszcze bardziej je zagmatwało. Po upadku komunizmu okazało się, że nie tylko mamy silną liczebną niemiecką mniejszość w Polsce, ale również — o czym tak łatwo zapominamy — potężną Polonię w Niemczech, niepodobną do innych, o statusie wyjątkowo skomplikowanym, wymagającym wyjaśnień historycznych.

ochrony praw mniejszości narodowych, ale wyłączył z niej polską grupę narodowościową, co jest zresztą zgodne z pewną linią myślenia i prawnej tradycji niemieckiej, łączącej — mówiąc w uproszczeniu — kategorie narodowe z przynależnością państwową, obywatelstwem i „dziedzictwem ziemi”. Innymi słowy — prawodawstwo niemieckie dawnych obywateli polskich, dzisiaj posiadających niemieckie paszporty, uznaje za Niemców, niezależnie od ich pochodzenia i deklarowanej tożsamości. Polaków zaś, którzy nie mają z tych czy innych powodów obywatelstwa niemieckiego, uznaje się za obcokrajowców, nawet gdyby oni i ich dzieci na trwałe związały się z nowym krajem. Jak się wydaje, „najtwardszym” argumentem jest brak etnicznych związków z „ziemią zamieszkania”, dlatego tak często przeciwstawia się mniejszość niemiecką w Polsce, zamieszkałą w historycznych i zwartych siedziskach, polskiej mniejszości w Niemczech, rozsiadanej dosłownie po całym kraju i nie mogącej jego skrawków nazywać „małymi ojczyznami”.

Ale przecież jest też odwrotna strona tego samego medalu. Pytanie o Niemców mieszkających w byłym ZSRR czy Rumunii, a więc też poza „Heimatem”, napotyka zwykle na wymowne milczenie. Jest to mniejszość narodowa czy też — jak oficjalnie uważa się Polaków w RFN — tylko grupa „niemiecka logika” pęka a argumentację niemieckich Polonusów nabierają siły.

Inna rzecz, że w różnych krajach różnie definiuje i określa się mniejszości narodowe, co powoduje zamęt w stosunkach między państwowych i nieraz nie pozwala uzyskać zadowalającego consensusu nie tylko w kontaktach między poszczególnymi państwami, ale także przy opracowywaniu, na przykład na forum Rady Europy, jednolitych regulacji prawnych. Tym trzeba tłumaczyć, że ani Polska, ani Niemcy nie ratyfikowały dotąd wspomnianej konwencji o ochronie praw mniejszości narodowych. Nic więc dziwnego, że mimo podpisania w czerwcu 1991 traktatu polsko-niemieckiego, w którym artykuły 20-22 regulują interesujące nas kwestie, nadal „iskrzy”, gdy obie strony próbują po swojemu i doraźnie interpretować pojęcie mniejszości narodowej i przysługującej jej praw.

Niektórzy socjologowie wyszczególniają aż

utrzymali polskość. Najłatwiej spotkamy ich w Westfalii. Ich korzenie sięgają do Poznańskiego, Galicji czy Śląska. Porozumiewają się między sobą już niemal wyłącznie w języku niemieckim, lecz śpiewają i modlą się po polsku. To oni zasilają polonijne chóry czy zespoły taneczne. Są i czują się — rzecz jasna — obywatelami niemieckimi, lecz pielęgnują w sobie sentyment do „starego kraju”.

Jest oczywiście również wielka grupa Polaków (także na obszarze byłej NRD), którzy trafili do Niemiec z powodów rodzinnych, najczęściej poprzez mieszane małżeństwa. Są też dawni więźniowie obozów koncentracyjnych i stalagów (oraz ich potomkowie), którzy z powodów losowych bądź politycznych nie powrócili do kraju. Często z podobnych motywów zakorzeniali się w Niemczech żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którym nie udało się wyjechać do Wielkiej Brytanii, Ameryki czy Australii. Pamiętać na przykład wypada o kombatantach z dywizji generała Maczka, która kwaterowała w Niemczech i pomagała siłom brytyjskim zachowywać porządek na terenach zajętych w roku 1945 przez aliantów. Do dzisiaj istnieją stowarzyszenia, grupujące uczestników II wojny światowej, jak na przykład Klub Byłych Polskich Żołnierzy w Armii Renu.

Trudno również pominąć całą masę „uciekinierów” z lat 70. i 80., motywowanych głęboką niechęcią do ustroju politycznego i warunków życia w PRL. Wielu z nich korzystało ze statusu azylantów politycznych bądź obcokrajowców z prawem stałego czy czasowego pobytu. Inni od dawna mają już paszporty niemieckie, lecz nie w każdym przypadku jest to równoznaczne z wyrzeczeniem się swego pochodzenia.

Przyjmując optykę śląską, nie sposób prześledzić setek tysięcy Ślązaków, a wielu z nich miało przecież

ewidentnie polskie rodowody,

którzy wyjechali na prawach niemieckich przesiedleńców, korzystających z mocy 116 paragrafu konstytucji niemieckiej, stanowiącej, że wszyscy obywatele Rzeszy w jej granicach z roku 1937 obywatelstwa nie utracili, a prawo to przenosi się również na potomków.

Fakty są jednoznaczne: zdecydowana większość z nich zachowała polskie obywatelstwo i polskie paszporty. Prawo Rzeczypospolitej zaś zakłada, że obywatelstwa trzeba się zrzec, tak więc ci ludzie — a przynajmniej jakaś ich część — będąc Niemcami, w jakimś sensie nadal pozostają Polakami. Kwestię tożsamości muszą już tylko rozstrzygać w głębi swych dusz, tym bardziej, że ani jedno, ani drugie państwo nie uznaje podwójnego obywatelstwa, choć z politycznej konieczności i Polska, i Niemcy „przymykają oko” i zdają się nie dostrzegać tego problemu.

Powie ktoś: przecież ci ludzie, emigrując z Polski do Niemiec, musieli zdawać sobie sprawę, że staną się Niemcami, a już na pewno ich dzieci. To był w końcu ich wolny wybór. Tę retorykę można jednak odwrócić i zadać pytanie, czy wszyscy wyjeżdżali dlatego, że chcieli zrzucić z siebie ciężar polskości i odnaleźć w sobie korzenie niemieckie, i czy to był ten pierwszy motyw prowadzący do wyjazdu z kraju urodzenia?

To kwestie bardzo skomplikowane i niejednoznaczne, w przeciwieństwie wszak do wymowy prawnej. Otóż przesiedleńcy ze Śląska, będąc obywatelami niemieckimi — przynajmniej teoretycznie — stanowią najlepszy „surowiec” pod rozszerzającą się Polonię. Regulacje międzynarodowe stanowią bowiem, że członkiem mniejszości można być tylko wówczas, gdy ma się obywatelstwo kraju zamieszkania. Przecięcie się dwóch porządków prawnych, polskiego i niemieckiego, prowadzi do zaskakujących paradoksów. Oto bowiem „stuprocentowy” Polak, który z tych czy innych powodów znalazł się w Republice Federalnej i nie może odwoływać się do wspomnianego 116 artykułu konstytucji, aby otrzymać nowe obywatelstwo, musi zrzec się obywatelstwa polskiego, a tym samym — pozbawić się przywilejów i praw przynależnych polskiej grupie narodowej, gwarantowanych chociażby w traktacie polsko-niemieckim. Rzecz można ująć dosadniej: najlepiej było być Niemcem w Polsce, by później — już w kraju nad Renem — móc ubiegać się o status Polaka w Niemczech.

Ta efektowna retoryka, choć nie mija się z prawdą, w przypadku Ślązaków, przy-

12 grup pochodzenia

współczesnych Polaków w Niemczech. Z pewnego punktu widzenia najciekawszą z nich stanowią potomkowie dawnych emigrantów zarobkowych, którzy w trzecim, a nawet czwartym i piątym pokoleniu

KŁOPOTY Z TOŻSAMOŚCIĄ ALBO

JAK BYĆ
Polakiem
W NIEMCZECH?

znajmy — częstego zastosowania nie ma. W Niemczech pozostają oni grupą aktywną społecznie i politycznie. Dotyczy to zwłaszcza przesiedleńców z ostatnich 15 lat. Równie trudno zachęcić ich do udziału w życiu organizacyjnym ziemkostw śląskich, jak i do przystąpienia do któregoś z licznych stowarzyszeń polskich. Wybierają pełną integrację z narodem niemieckim, nierzadko starając się być bardziej niemieccy od rdzennych Niemców, co na ogół się nie udaje, rodząc frustrację i nowe kompleksy.

Ginie dwujęzyczność,

w której nie widzi się źródła bogactwa duchowego, lecz zagrożenie. W skrajnych przypadkach rodzice, choć sami kalectwem język niemiecki, zakazują swym dzieciom używania języka polskiego. Dążenie do integracji równoznaczne jest z przyspieszoną asymilacją, ale i ona nie może być od razu pełną, stąd poczucie bolesnego wykozerzenia i wewnętrznej pustki.

Najistotniejsze, że procesy te bynajmniej nie dotyczą tylko Ślązaków, z których część zawsze była indyferentna narodowo i skłonna do wyborów dyktowanych „potrzebą chwili”, co oczywiście nie wynikało z jakichś wrodzonych cech, lecz ciężaru dziedzictwa historycznego. Równie często dotyczą one przybyszów z innych regionów kraju. Unikanie jawnych a nawet najprostszych manifestacji polskości, zupełnie zrozumiałe w epoce Kulturkampfu czy nazizmu, w demokratycznych Niemczech musi budzić głębokie zastanowienie. A zjawisko to jest faktem bezspornym. Dlatego w środowiskach polonijnych w Niemczech tak ostry jest spór o granice integracji i asymilacji i dlatego też niemiecka strona tak łatwo może podważać fakt istnienia mniejszości polskiej.

Obecnie w całych Niemczech działa co najmniej 80 organizacji i stowarzyszeń o rodowodzie polskim. Wydawać by się mogło, że taka masa musi stanowić jakąś realną siłę. Także polityczną. Jest jednak

inaczej. Związek Polaków w Niemczech, czyli Związek Polaków „Zgoda”, najstarsze, najbardziej zasłużone i ciągle najliczniejsze organizacje, tracą na znaczeniu i wpływach. Wprawdzie powstały inne centrale polonijne, jak na przykład Kongres Polonii Niemieckiej, będący zrzeszeniem ok. 40 małych na ogół stowarzyszeń, to jednak trudno mówić o realnej sile. Środowiska polonijne pozostają rozbite a nawet skłócone.

Podziały mają charakter polityczny, światopoglądowy i pokoleniowy, a także — niestety — personalny. Przypomina to nieco stan rozbicia sceny politycznej w Polsce; w Niemczech Polacy też najlepiej czują się na własnych kilkuosobowych „kanapach”.

Dominują dwa nurty programowe, które jakoś nie mogą złączyć się w jedną rzekę, choć są poważne zapowiedzi takich prób. W pewnym uproszczeniu tamtejszych Polaków da się podzielić na grupy:

„narodowych patriotów” i „europejskich pragmatystów”.

Ci pierwsi, głównie zjednoczeni w Kongresie Polonii Niemieckiej, przyjmują postawę roszczeniową zarówno wobec administracji niemieckiej, jak i władz w Warszawie. Boli ich, że w traktacie polsko-niemieckim nie uzyskali statusu mniejszości narodowej (w RFN cieszą się nim Duńczycy, Fryzowie, Romowie, Serbowie Łużyccy). Mają o to pretensje głównie do rządu polskiego, uznając, że podczas negocjacji zachował postawę ugodową i przyjął punkt widzenia Niemców.

Druha grupa, właśnie się konsolidująca w ramach Rady Polaków w Niemczech, uważa, że warunkiem zachowania polskiej tożsamości jest wyrazistsza integracja (lecz nie asymilacja) ze społeczeństwem niemieckim, pełne uznanie prawodawstwa niemieckiego i wykorzystanie go dla własnych

interesów ekonomicznych, bytowych, zawodowych etc. Ta grupa uznaje argumentację urzędników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych RFN, domagających się jednego, poważnego partnera w rozmowach. Stąd tyle — niestety jednocześnie i ostro konkurencyjnych w ramach tych samych nurtów programowych — prób powołania nowych, jak to tu zwykło się określać, organizacji dachowych.

„Narodowi patrioci” silnie akcentują potrzebę stworzenia własnego systemu oświatowego i wydobywają przeszkody, jakie stawiają na tej drodze urzędy niemieckie. Domagają się dostępu do środków masowego przekazu i pomocy finansowej ze strony obu państw, głównie na działalność kulturalną, rozumianą jednak na ogół tradycyjnie jako aktywność amatorską Polonusów. Twierdzą, że nie osiągną tych celów bez nadania im przywilejów, należnych im jako mniejszości sensu stricte. Do tego dochodzi stafaż narodowej symboliki i silne przywiązanie do tradycji, także religijnych, katolickich.

„Europejscy pragmatycy” uważają, że takie rozumienie miejsca Polaków w Niemczech pachnie anachronizmem i nie liczy się z realiami. Nie wystarczy zaśpiewać rotę czy odtańczyć polkę na jakimś spotkaniu rodaków — twierdzą — a odwoływanie się do nawet najpiękniejszych tradycji, choćby „Pięciu prawd Polaków”, nie ma absolutnie żadnego sensu. Liczy się posiadanie pracy i mieszkania, perfekcyjna znajomość języka niemieckiego, wysoka pozycja społeczna, bo tylko to gwarantuje, że urzędy niemieckie liczyć się będą z obywatelami polskiego pochodzenia. Musimy być poważnymi partnerami dla Niemców — powtarzają „pragmatycy” — a wtedy i pieniądze na nasze potrzeby się znajdą, pod warunkiem jednak, że nie damy się zepchnąć do getta, że zapomnimy o „cepeliadzie” i tych wszystkich pustych gestach i słowach, których nie da się zamienić na marki.

Ten spór ma również wymiar praktyczny. „Narodowi patrioci” na każdym kroku pokazują, jak liczna, choć „utajniona” siła

za nimi stoi. „Europejscy pragmatyści” przeciwnie — nie przywiązują wagi do statystyk i szacunków, twierdząc, że nie ma szans powodzenia budowanie masowych organizacji członkowskich, bo i tak jest się z góry skazanym na porażkę. Liczy się działanie w ramach struktur państwa niemieckiego i liczą się tylko dobrze obudowane i przygotowane projekty przedsięwzięć kulturalnych, edukacyjnych.

Niemcy, także ci przychylnie nastawieni do polskich aspiracji, powtarzają, że Polacy niejako sami są sobie winni, gdyż nie tylko, że nie potrafili się zjednoczyć, ale również obierają niekorzystną dla siebie taktykę postępowania. W tej argumentacji są ziarna prawdy. Na przykład dostępu do wolnych mass mediów nie otrzymuje się z „nadania”. Jak dotąd zrobiono niewiele, by

stworzyć propolskie lobby,

a szanse takie są. Dziwi to tym bardziej, że wśród Polonusów nie brakuje ludzi dobrze wykształconych (głównie emigracja „solidarnościowa”, ale nie tylko) i o ustabilizowanej pozycji w społeczeństwie niemieckim. Najboleśniejsze, że Polaków nie ma w żadnych właściwie gremiach politycznych czy samorządowych. Tymczasem na przykład Turcy stanowią poważną siłę polityczną, odgrywającą dużą rolę zwłaszcza przy okazji wyborów municypalnych, przede wszystkim w miastach i gminach Północnej Nadrenii-Westfalii. Ba, mają nawet swego przedstawiciela w Bundestagu, choć ordynacja wyborcza, w przeciwieństwie do realiów polskich, nie likwiduje progów procentowych dla narodowych mniejszości. Są to fakty godne zastanowienia.

Pouczający jest zwłaszcza przykład Bremy, gdzie życzliwość tamtejszych władz i równoczesny upór Polaków sprawił, że polskie klasy w niemieckich szkołach dynamicznie się rozrastają, mimo że początki tego nie zapowiadały i zdawały się potwierdzać niemiecką argumentację o tym, że

Polacy sami nie chcą posyłać swych dzieci na lekcje języka ojczystego. Okazuje się więc, że można pokonać sztywne przepisy niemieckie i korzystać z praw wynikających nie tylko z zapisów traktatu polsko-niemieckiego z czerwca 1991, ale i konstytucji federalnej.

I w tym przypadku istnieje druga strona tego samego medalu. Biurokracja niemiecka jest wyjątkowo bezduszna. Nad wyraz łatwo odrzuca konkretne projekty polonijne, za którymi stoją żądania finansowe. Zwłaszcza na poziomie lokalnym urzędnicy dają dowody, że nic nie wiedzą o traktacie polsko-niemieckim i płynących z niego zobowiązaniach. Uzyskanie statusu mniejszości narodowej musiałoby wymusić zmiany i uruchomić nowe mechanizmy finansowe.

Tymczasem w warszawskich kołach rządowych i parlamentarnych nie myśli się o próbach renowacji traktatu z czerwca 1991 roku. Nikt nie wierzy w ich powodzenie. Poza tym — a to są argumenty, które trzeba brać poważnie pod uwagę — istnieje obawa, że nadanie Polakom statusu mniejszości musiałoby się odnosić wyłącznie do obywateli niemieckich, bo takie są normy przyjęte w Europie, i wyrzuciłoby poza nawias setki tysięcy Polaków, którzy na innych zasadach przebywają w tym kraju i nie posiadają paszportów niemieckich. Obecne zapisy traktatowe — gorzej bądź lepiej — ale chronią tę grupę.

Spojrzenie na tę złożoną problematykę z perspektywy krajowej co rusz napotyka na przeszkody, których racjonalnie wyminąć się nie da. Na usta cisną się pytania, prowokujące do odpowiedzi niepełnych, obciążonych grzechem uogólnienia czy uproszczenia. Nie można ich jednak tutaj nie zadać. Najważniejsze z nich musiałoby brzmieć tak: dlaczego Polacy, i to bynajmniej nie tylko ci wywodzący się ze Śląska, mają takie kłopoty z tożsamością? Dlaczego polskość stanowi dla większości z nich obciążenie? Czy decyduje o tym tylko „specyfika niemiecka”, surowe prawa panujące w RFN? Co sprawia — a słyszy się o tym na każdym kroku — że obywatelom niemieckim, których korzenie sięgają nad Wisłę czy Odrę, z takim trudem przychodzi przyznać się do swojego pochodzenia,

dlaczego i czego ci ludzie się boją?

W dzisiejszej Republice Federalnej Niemiec mieszają się języki, kultury, obyczaje. Kraj ten z jednej strony traktowany jest jako najbardziej w Europie przyjazny dla obcokrajowców, z drugiej — w struktury państwa, a i w świadomość społeczną, wbudowane są zapory bądź to „zmuszające” do przyspieszonej asymilacji, bądź odrzucające wszelkich przybyszów, ustawiające ich na trzeciorzędnych pozycjach społecznych. Polacy, i to z wszystkich grup osiedleńczych, wyjątkowo silnie podlegają tym właśnie wzajemnie wykluczającym się tendencjom. Budzą się w nich stare kompleksy odziedziczone po przodkach. Sytuacja narodowa i społeczna Polaków jest tak bardzo zróżnicowana, że nie sposób traktować ich jak jednolitą masę, którą bądź to „ugniata” niemiecka machina państwowa, bądź — według odwrotnego założenia — która nie może z powodu wewnętrznej inercji utrzymać swej „inności”.

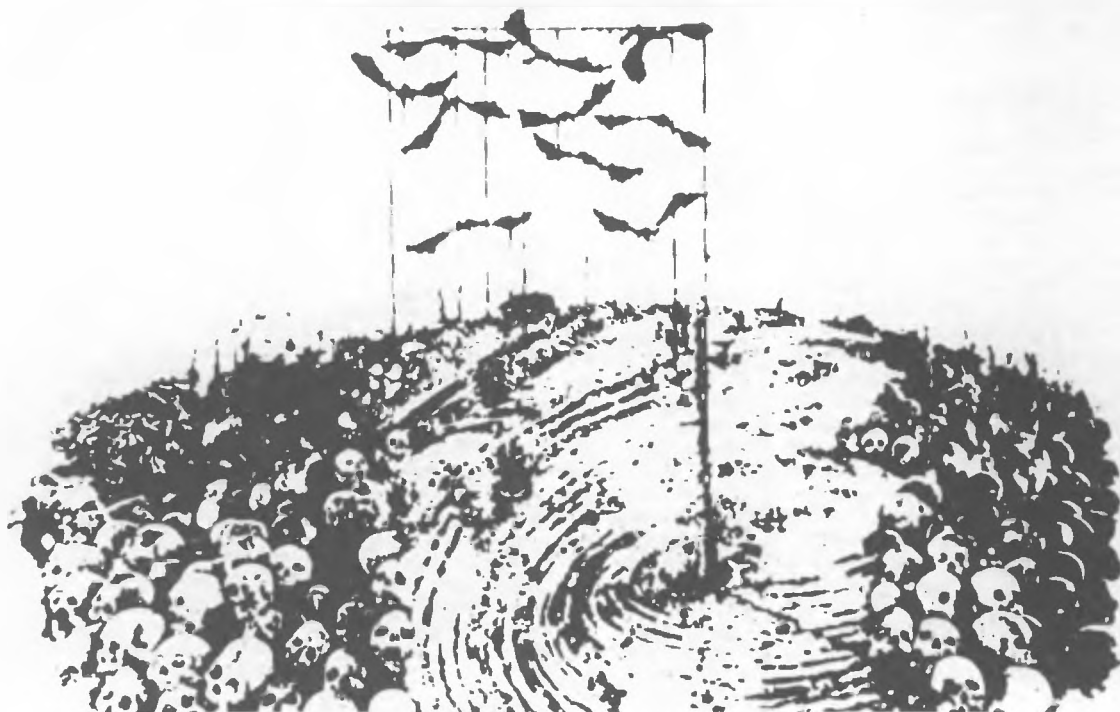
Najłatwiej byłoby powiedzieć, że wszystkie cząstkowe prawdy i odpowiedzi na wcześniej zadane pytania najpewniej „leżą w samym środku”. I chyba tak rzeczywiście jest. Problemy to niebanalne nie tylko z powodów politycznych, które są oczywiście i które trzeba widzieć w perspektywie polsko-niemieckiego pojednania. One są ważne, by tak rzec, również z ludzkich powodów. Jest bowiem coś niepokojącego, że tak wielu Polaków w Niemczech — i to drugorzędne, jak, kiedy i po co się w tym kraju znaleźli, a także jaki jest ich prawny status — ma kłopoty z tożsamością, z samookreśleniem się, że jest to źródłem wewnętrznych i najczęściej skrywanych przed światem cierpień.

Właśnie dlatego trzeba o tych sprawach chcieć mówić. I to na wielu płaszczyznach. Muszą ten wysiłek podejmować przede wszystkim sami Polacy w Niemczech, bo tylko w ten sposób wymuszają na sobie uwagę. Również urzędników w Bonn czy Warszawie.

KRZYSZTOF KARWAT

Wielka i rozległa jest śląska, wojenna nekropolia. Przypomina jednak ponurą układankę, w której brak bezpowrotnie wielu ważnych fragmentów...

Nie można się zatem dziwić, że dzisiejsza wiedza reszty kraju na temat wydarzeń II wojny światowej na Śląsku jest nie tylko nieobecna, ale także pełna krzywdzących stereotypów.



GRAFIKA: WOJTEK ŁUKA

BARBARA POREMBA-WOLKOWA

ŚLĄSKIE NEKROPOLIE

CO O NICH WIEMY — CO WIE POLSKA?...

Historia nigdy nie jest prosta. Ta jednak, która kształtowała dzieje naszej ziemi, należy do szczególnie zawiłych. Gmatwała się podczas całych stuleci. Związana ściśle z pokretnymi mechanizmami polityki, wdzierала się w ludzkie losy. Region, wciąż w specyficzny sposób izolowany od reszty Polski, pozostawał nieznany lub obrastał

w narodowej świadomości w nieprawdziwe mity.

Po II wojnie światowej historię tej ziemi zaczęto świadomie i celowo fałszować, zakłamywać, wymazywać z niej pewne fakty i dokonania. Nie dziw więc, że wszystko, co odziedziczyliśmy po okrutnej, stalinowskiej „amputacji” tamtych lat to głównie drobne przyczynki i rzadkie wspomnienia. Wszak wielu uczestników walk narodowowyzwoleńczych zginęło. Ci zaś, którzy zostali — jak pisze Paweł Dubiel — *lepiej władali bronią niż piórem*. („Wrzesień

1939 na Śląsku”, Wyd. „Śląsk” 1956). Upłynie więc jeszcze wiele czasu, by w miarę współczesnych możliwości uzupełnić obraz tamtych lat, a także oddać sprawiedliwość poległym. Trudno się zatem dziwić, że dzisiejsza wiedza reszty kraju na temat wydarzeń II wojny światowej na Śląsku, jest nie tylko nieobecna, ale także — a może właśnie dlatego — pełna krzywdzących stereotypów.

To prawda, że np. harcerski, śląski epizod wojenny nie daje się porównać z Powstaniem Warszawskim. Nie znaczy to

jednak, by miał zostać skazany na zapomnienie, skoro np. dokładnie znane są i udokumentowane inne epizody września — jak choćby obrona Poczty Gdańskiej... Na razie jednak tylko ci, co pamiętają, bądź badacze śląskich dziejów, pojmą prawdę zawartą w słowach P. Dubiela: *W żadnej, innej części Polski — poza Warszawą — udział ludności w obronie ziemi ojczystej nie był tak masowy i spontaniczny, jak na Śląsku.*

NIKT GROBÓW NIE ZLICZY

Patriotyzm — nie pozwólmy na postępującą dewaluację tego słowa — wszędzie jest taki sam i wyraża się w gotowości nawet do ofiary życia. Duchowość narodowa przez wiele lat kształtowała powstańcze i następne pokolenia Ślązaków. Obie natomiast generacje zmagać się musiały z trudną współobecnością jakże agresywnej wówczas mniejszości niemieckiej. A jednak bronili — każdego miasta, najmniejszej gminy, ulic i budynków... Poległych w walce można liczyć na setki. Wystarczy wspomnieć wielką mogiłę zbiorową na polu bitwy pod Woźnikami, czy grób kryjący ciała 21 poległych w Gostyni, położony na skraju wsi. Najboleśniejże śląskie nekropolie to jednak te, które powstały w wyniku morderczych egzekucji, tortur, katowania — germańskiego aktu bezwzględnej zemsty.

Już wkrótce droga śmierci wiodła masowo śląskich patriotów do obozów koncentracyjnych. Z samego tylko Mikołowa, jeszcze we wrześniu, wywieziono ich 57. Inni ginęli żywcem, z rąk hitlerowskich podpalaczy, w płomieniach własnych domów, jak m.in. 5 powstańców z Mikołowa, czy ranni obrońcy Tychów. A jak traktować miejsce pochówku 6 ofiar egzekucji w Łędzinach, strąconych po rozstrzelaniu w nurt Przemszy, w okolicach Brzezinki? Wreszcie, gdzie szukać większości grobów tych, co skatowani zostali w hitlerowskich więzieniach?

Wielka i rozległa jest śląska wojenna nekropolia. Przypomina jednak ponurą układankę, której brak bezpowrotnie wielu ważnych fragmentów. Nie na każdym grobie można zapalić zniczy. Nie nad każdym wzniesie imię zamordowanego ku niebu. Bo groby patriotów śląskich są wszędzie tam, gdzie szlaki narodowego męczeństwa i walki do ostatka — w Afryce, na Zachodzie i na bezkresnych obszarach dawnego ZSRR, skąd się rzadko wracało. Po zakończeniu kampanii wrześniowej liczni powstańcy śląscy powędrowali przez Rumunię, Węgry, Jugosławię i Grecję na Zachód. Walczyli w regularnych szeregach na wszystkich wojennych frontach. Inni udali się do Generalnej Guberni, by tu przyłączyć się do działalności podziemnej. Ci, którzy nie potrafili przewidzieć rozwoju sytuacji, załamani klęską powrócili do domów. Stali się też wnet kolejnymi ofiarami. Niemal wszyscy działacze niepodległościowi z lat 1919 — 1921 oraz wrześniowi obrońcy zginęli. Już samą przynależność do Związku Powstańców Śląskich uznawano za przestępstwo. Rozstrzeliwano, ścinano, zsyłano na obozowy szlak śmierci.

Nikt także nie zliczy grobów tych, którzy przepadli, wcieleni przymusowo w obcy mundur. Tysiące spośród nich przeszło jednak do polskich sił zbrojnych. Ci, którzy padli, wtopieni zostali na zawsze w wielką bohaterską liczbę żołnierzy spoczywających w polskich nekropoliach.

BEZIMIENNE TABLICE

Wrzesień 1939 roku postawił śląskich harcerzy wobec wyboru walki do ostatka, jak w piosence tylekroć śpiewanej przy ognisku.

W Katowicach bronili niepodległości w dwóch punktach miasta: na wieży spadochronowej w Parku Kościuszki oraz w 14-piętrowym budynku przy ulicy M. Skłodowskiej-Curie. Ginęli w walce, lecz się nie poddali. Gdy zakończona została obrona wieży spadochronowej, na jej szczycie pozostały ciała 5 poległych harcerzy. Wróg nie uszanował ani intymności, ani godności śmierci. Zwłoki dziewcząt zrzucono na ziemię... Podobny los spotkał obrońców wspomnianego wieżowca. Jak ustaliła profesor Krystyna Heska-Kwaśniewicz (nieustrudzona w odkrywaniu śladów obrony Śląska), obrońców wieży pochowano prawdopodobnie przy ścianie północnej cmentarza na ul. Sienkiewicza. Ciała dzieci zwieziono tu pod nadzorem hitlerowców. W zbiorowej mogile, o wymiarach 2,5 x 2 m., spoczynek znalazło od 8 do 12 ofiar. Wiadomo też, że pochowany został między nimi powstańca z Chorzowa — Apostel oraz 12-letni harcerz z Katowic — Wilczewski. Teren wyrównano i pokryto chłosem.

W czasie wojny mogiłą opiekowała się Olga Wiśniewska. Modlił się także nad nią ks. Bolesław Kominek — późniejszy biskup wrocławski. Miejsce to, jeszcze po wyzwoleniu, otoczone było polnymi kamkami i porośnięte zielskiem. Dziś trudno je odnaleźć. Niemożliwe jest oddanie nad grobem czci młodemu poległemu, czy postawienie w jego miejscu pamiątkowej tablicy.

Pozostała wieża spadochronowa. I odsłonięta przed kilkoma laty — w miejscu poprzedniej — tablica na katowickim Rynku, poświęcona poległym we wrześniu 1939 roku harcerzom i powstańcom śląskim. Tablica bezimienna, upamiętniająca miejsce zbiorowej egzekucji.

Tak naprawdę jednak — z braku dokumentacji — obrona wieży spadochronowej pozostała bardziej tematem literackim, niż faktem historycznym. Wystarczy wspomnieć znaną powieść Kazimierza Gółby, czy Wilhelma Szewczyka „Ptaki ptakom”. Prawdziwe wydarzenie zostało, nie bez przyczyny, skazane na los opowiadanej, opisywanej, wreszcie — filmowanej legendy. Paweł Wieczorek pisze: *Od czasu, gdy Urząd Bezpieczeństwa skonfiskował i zniszczył archiwum K. Gółby, dziwne jakieś fatum zaciążyło nad wszelkimi dokumentami z tych lat. ...zaginięły nawet rejestry cmentarne i protokoły ekshumacji przeprowadzonych po latach w lasach Panewnik... Chodziło w tym również o to, aby przedstawić Ślązaków jako ludzi serwilistycznie nastawionych wobec każdej władzy. („Z głębokości”, „Gość Niedzielny”, 48/1994)...*

Harcerze ginęli także podczas licznych egzekucji, jakie wróg zgotował śląskim obrońcom. Wielu z młodych do dziś pozostaje bezimiennymi. Wiadomo np., że po walce pod Wyrami, w grupie rozstrzelanych znalazło się dwóch harcerzy. Podobnie niepełną wiedzę posiadamy na temat zbiorowych grobów na terenie Podlesia. Paweł Dubiel wspomina, iż miejscowi twierdzą, że wraz z rozstrzelanymi powstańcami pochowano tu także harcerzy. Ile więc jeszcze znanych i nieznanymi mogił kryje szczątki ofiar z Szarych Szeregów?

Hitlerowcy dokonywali egzekucji również publicznie, na pokaz, by sterroryzować społeczeństwo. Do historii przeszły tragiczne dzieje podziemnej organizacji harcerskiej w Gotartowicach. Spośród 38 jej

członków — 33 zginęło. Ich groby pozostaną już na zawsze nieznane. W rodzinnej miejscowości miała miejsce egzekucja braci Pawła i Franciszka Buchalików. Poddani wcześniejszym torturom byli tak odmienieni, że — jak zapisał w reportażu Tadeusz Kijonka („Szubienice gotartowickie”, „Przemiany”, nr 20/1957) — nie poznali ich nawet rodzice.

Śmierć dzieci jest najokrutniejsza. Pozostaje — trudny do ogarnięcia wyobraźnią — ból matek. Śląskie Matki-Polki przeżyły i doświadczyły wiele. Losy niektórych z nich nieodparcie kojarzą się z wątkami znanymi z literatury. Matka chorzowskiego harcerza — Waltera Urbanka — poszukiwała wszędzie śladów po synu. Pytała na gestapo — nie powiedziano jej tu niczego. Odchodziła, niby Pani Rollison z mikiewiczowskich „Dziadów”, bez wiadomości, ale nie bez nadziei. Dopiero podczas ekshumacji grobu w panewnickim lesie rozpoznała swoje dziecko. Podobny był los Klary Oswaldowej z chorzowskiej rodziny dotkniętej okupacyjną gehenną (o Oswaldach jeszcze nieco dalej). I ona, jakby śladem Rollisonowej, czy P. Soerensen z „Niemców” Kruczkowskiego, chodziła na gestapo, wypytując o los swoich synów. Niczego się nie dowiedziała. Dopiero w grudniu, wezwana przez okupantów została powiadomiona o rozstrzelaniu... Odeszła z krzyżykiem jednego z synów i aktami zgonu, które nazwać należałoby raczej aktami zbrodni.

Oprócz wspomnianej tablicy na katowickim Rynku (położonej na rogu dawnej ulicy Zamkowej, a więc tam, gdzie odbywały się egzekucje) oraz wieży spadochronowej, pełniącej rolę pomnika, jest w Katowicach jeszcze jedno miejsce pamięci poległych harcerzy — naprzeciw hotelu „Silesia”. To pomnik-symbol, choć w komponowane w monument twarze i postacie nie są anonimowe i posiadają swe, historyczne już, pierwowzory. Odnajdujemy tu wizerunek Stanisława Sołtysa z Zabrzeża, związanego z AK, szkocka spadochronowego w bitwie o Anglię — pochowanego w Londynie. Kolejna podobizna to Józef Pukowicz — pierwszy komendant Tajnej Śląskiej Chorągwi Harcerskiej. Następny chłopiec z pomnika to Henryk Kot — zginął jako pierwszy spośród Szarych Szeregów. Wreszcie w twarzy dziewczyny odnajdujemy Olę Kamińską-Prokopową, która zamordowana w Berlinie, osierociła maleńkie dziecko...

Natomiast pamięć bohaterskiej młodzieży z Radlina-Bierdułtów i okolic uczczono niedawno, bo 3 maja. W tamtejszym kościele p.w. Wniebowzięcia N.M.P. odsłonięto tablicę poświęconą harcerzom poległym lub pomordowanym na tej ziemi w l. 1939 — 1945.

SPOJRZEĆ W OCZY MORDERCY

Nie mogły tego zrobić ofiary wielu egzekucji. Matka Boska Katyńska tuli do siebie ludzką głowę z czaszką przetrzealoną od tyłu. Tak samo powinien wyglądać wizerunek Matki Boskiej Śląskiej.

W Katowicach, prócz punktów obrony harcerskiej, było oczywiście wiele innych. Walczących w Domu Powstańca wyprowadzono na ulicę. Było ich 17, w tym 2 żołnierzy polskich. Ustawieni zostali pod murem przeciwnego budynku. Strzelano do nich z ckm-ów, dobijano z pistoletów. Pozostałych 30 rozstrzelano na podwórzu kamienicy (wówczas w rozbiórce), na rogu Rynku i Zamkowej. Zginął tu m.in., wraz

z synem Józefem, jeden z najpopularniejszych działaczy powstańczych — Nikodem Renc, aresztowany przez gestapo 4 września. Obaj — jak wspominają świadkowie — padli w uścisku, z okrzykiem „Niech żyje Polska!” Fakt, że zostali pochowani w lesie panewnickim dowodzić może, iż swoje miejsce w zbiorowych mogiłach znaleźli tam i inni, rozstrzelani na ulicach Katowic. Nazwiska wielu z nich wciąż pozostają nieznane. Grób 40 obrońców znajduje się też na cmentarzu żydowskim przy ul. Kozielskiej. Wszyscy pochowani tutaj, rozstrzelani zostali 4 września.

Dla wroga było wówczas niepojęte, że mimo zdobycia miasta, będącego już w „mocnym posiadaniu wojsk niemieckich” (cytat z gliwickiego „Oberschlesische Volksstimme”), obrona trwa. Nastąpiły kolejne egzekucje. Zwłoki gromadzono w kostnicach cmentarnych. Niektóre wywożono i palono w krematorium gliwickim. Inne chowano w zbiorowych mogiłach. Te znajdują się m.in. na cmentarzu w Ligocie, czy na wspomnianej już nekropolii przy ul. Sienkiewicza. Ogromną liczbę ofiar wywieziono do lasów panewnickich (o tej nekropolii jeszcze nieco dalej). Tu skazani sami kopali swe groby. Dane, dotyczące liczby ofiar wciąż wydają się nieścisłe, bo różne w zależności od źródła lub pamięci przypadkowych świadków. P. Dubiel podaje, że największa mogiła mieściła 105 ciał, inna — 16, dwie — po 15. Ci, których ominęła ta egzekucja, trafili do więzień i obozów. Wielu straconych wciąż pozostaje bezimiennymi.

Hitlerowcy rozwścieczeni zacięłą obroną ziemi cieszyńskiej i zaolziańskiej, w pokazowych aktach zemsty rozpoczęli egzekucje. Wielu patriotów stracono „pod Wałką” innych na cmentarzu żydowskim w Cieszynie. Masowych rozstrzeliwań dokonano także w wielu innych miejscowościach tego regionu. Zachowały się wstrząsające zdjęcia egzekucji w Ustroniu, znalezione w mieszkaniu niemieckiego wachmistrza Teubera, w Miasteczku Śląskim. Na pierwszym z nich widzimy stojących w oczekiwaniu na śmierć. Patrzą przed siebie. Ich sylwetki są proste. Ramiona opuszczone. Tylko w pozornie spokojnym ułożeniu głów (wszak fotografia unieruchamia) wyczuwa się, niemal fizycznie, niepokój, jakby niedowierzanie, że to może nastąpić... Wyraźnie widać 9 postaci, za nimi inne. Drugie zdjęcie to właśnie ta chwila. Mur. Pod nim drobne sylwetki tyłem do plutonu egzekucyjnego. Dym wystrzałów... Uchwycione pierwsze pochylenie ku ziemi. Trudno, umierającym na stojąco, odwrócić się, spojrzeć w tamte oczy...

W Gierałtovicach skatowano na śmierć powstańca — Emila Jójko oraz znanego z okresu niewoli, działacza narodowego-ks. radcę Robota. Pozostałych obrońców wywieziono pod straż do obozu w Nieborowie. Tu, już 2 września, jego komendant

kazał rozstrzelać 15 powstańców oraz kpt. Kotucza — dowódcę rybnickiej kompanii regularnego Wojska Polskiego. Wszyscy pochowani zostali w zbiorowym grobie, obok drogi polnej, nie opodal obozu. Miejsce to, jak wiele innych zrównano z ziemią.

Po zajęciu Nowego Bytomia skatowano na śmierć kilkunastu obrońców. Trudno znaleźć w źródłach informację dotyczącą miejsca ich pochówku. Dziś, w centrum miasta — obecnie dzielnicy Rudy Śląskiej — widnieje tablica upamiętniająca ich śmierć.

Obronę Chropaczowa (wówczas osobna gmina) także zakończyły egzekucje. Sześciu powstańców z lat 1919 — 1921 rozstrzelano i pochowano na polach pod Chropaczowem. I im nakazano kopać własne groby. Natomiast 23 uczestników walk zginęło w obozach. W sąsiednich Łagiewnikach, spośród aresztowanych obrońców tej gminy, zginęło 14. Natomiast walczący o Michałowice, po załamaniu się obrony, ruszyli w stronę Sandomierza. Zemsta niemiecka skupiła się więc na ludności cywilnej — wielu patriotów nie powróciło z obozów i więzień.

Po zajęciu Dąbrówki Wielkiej Niemcy aresztowali, a następnie zamordowali, 25 obrońców — powstańców i harcerzy. Część zginęła w więzieniach i obozach śmierci. Pozostałych rozstrzelano w lesie pod Józefką. Nazwiska wszystkich znajdują się na tablicy pamiątkowej w tej miejscowości.

Gdy załamała się samoobrona Lublińca, jej komendanta — Jarkulisa i powstańca — F. Kielbasę rozstrzelano. W miejscowych więzieniach skatowano na śmierć kilkadziesiąt. W Koszęcinie, tuż po zdobyciu miejscowości, z rąk Niemców zginęło 7 patriotów. Po wrześniu 1939 — jeszcze wielu innych. Wyjątkowo zacięła walka toczyła się pod Woźnikami. Hitlerowcy, po wkroczeniu do nich, aresztowali i wywieźli w nieznanym kierunku 11 powstańców. Po tych ofiarach wrześniowej zemsty wszelki ślad zaginął.

Mikołów, już 3 września był świadkiem rozstrzelania powstańców z okolicznych miejscowości. Tego dnia zginęło ich 14. W dwa tygodnie potem, w tzw. Groniach, podczas egzekucji śmierć poniosło 8 osób. W Tychach rozstrzelano także ludność cywilną — znanych pozostaje 14 nazwisk ofiar, w tym 2 mężczyzn w wieku... 76 lat.

Szczególne miejsce spoczynku, swą nietypową i nie istniejącą już nekropolię, znaleźli obrońcy Pszczyny, ci którzy ostrzelali wojska niemieckie z wieży kościoła św. Jadwigi. Nie reagując na wezwania do poddania się, zostali zlikwidowani przez zapalające granaty. Spłoneli wraz z zabytkową, z 1501 r. świątynią, w jej wnętrzu wypełnianym przez wieki modłami.

a teraz będącym świadkiem burzliwego zdarzenia dziejów.

GEHENNA RODZINY OSWALDÓW

„Rzekomo niemiecki” — jak pisze P. Dubiel — Chorzów, wraz z przyległymi dzielnicami, bronił się długo i zaciekle. Do powstańców dołączyli harcerze i miejscowe grupy ochotników. Atakowano, opanowany przez Niemców, Ratusz. Toczono walki uliczne. 4 września rozstrzelano 4 harcerzy — obrońców miasta. Tablica poświęcona ich pamięci znajduje się w centrum Chorzowa. Publicznych egzekucji dokonywano na ulicach: Wolności, Rostka i Jacka. Kilku powstańców rozstrzelanych zostało w ówczesnych Hajdukach (Chorzów Batory). Aresztowano aptekarza, a zarazem dowódcę hajduckiej Straży Obywatelskiej — Edmunda Baranowskiego. Rozstrzelany został w Katowicach, podczas wspomnianej już zbiorowej egzekucji na ul. Zamkowej. Zachowało się zdjęcie z owego tragicznego dnia — właśnie Baranowski podąża na czele szeregu maszerujących na śmierć, z rękami podniesionymi do góry, wzdłuż torowiska tramwajowego. Inni uczestnicy obrony Chorzowa wpadli w ręce Wehrmachtu lub oddziałów Freikorps i także zostali rozstrzelani w Katowicach. Po wkroczeniu do Chorzowa wojsk niemieckich rozstrzelano jeszcze 15 innych obrońców miasta. Wielu, w tym burmistrza, Pawła Dubiela, wywieziono do obozów śmierci. Niektórzy z zamordowanych znaleźli miejsce spoczynku w lesie panewnickim.

Z obroną Chorzowa wiąże się, obok wielu tragedii, gehenna rodziny Oswaldów. O przeżyciach Klary Oswaldowej wspomniano już powyżej. Dokładnej rekonstrukcji losów tej rodziny dokonała profesor Krystyna Heska-Kwaśniewicz („Oswaldowie”, „Gość Niedzielny”, nr 14/1995). Po załamaniu się obrony do mieszkania Oswaldów wkroczyło gestapo. 30 jego funkcjonariuszy otoczyło dom. Wyprowadzono ojca — Jana i 19-letniego syna — Pawła. Zatrzymano ich w Domu Powstańca (dziś budynek „Konstalu”). Następnego dnia, posługując się podstępem, aresztowano pozostałych synów: 20-letniego Jana i 18-letniego Kurta. Bracia rozstrzelani zostali w lasach panewnickich. Ich stryj zginął w obozie, w Oranienburgu. Ojciec natomiast, co szczególnie zasługuje na uwagę, z powodów o których za chwilę, znalazł się w gmachu gestapo, na ul. Rostka.



Poddany najpierw torturom, został następnie rozstrzelany w Domu Powstańca i pochowany w zbiorowej mogile (z kim jeszcze?) na nie istniejącym już cmentarzu żydowskim, przy ul. Krzywej. Osobiście pamiętam w tym miejscu zarośnięte ścieżki. Zapomniano o pochowanych w tej ziemi obrońcach miasta. Kiedy przystąpiono do budowy rozległego osiedla „Różanka”, teren zniwelowano...

Dziś pamięć pozwala zlokalizować tamto miejsce mniej więcej w okolicy skweru otoczonego ławkami, przy alejce prowadzącej na osiedle od ul. Krzywej. Nie uszanowano w żaden sposób pamięci pochowanych tu onegdaj chorzowskich obrońców. Nie ma też (!) żadnej tablicy upamiętniającej ich zbiorowy grób. Po pokrytych asfaltem szczątkach spacerują ludzie. Trudno cofnąć czas i jego błędy. Ale na skandal zakrawa, że pamięć miasta o tym miejscu wciąż pozostaje milcząca. Jedynie chorzowska ulica Oswaldów oddaje hołd tej zasłużonej rodzinie.

LASY WSTRZĄSANE SALWAMI

Lasy w czasie II wojny światowej — także na Śląsku — były często świadkiem wielu zbrodni. Zbiorowe mogiły Polaków pomordowanych na początku wojny, pochodzących z Chorzowa, Katowic, Szopienic, Siemianowic i ówczesnego powiatu pszczyńskiego, znajdują się wśród lasów, na terenie Podlesia. Po wojnie odkryto kilka grobów ze szczątkami 29 ofiar. Jak twierdzili miejscowi — co przytacza w swej książce P. Dubiel — nie są to wszyscy pomordowani. Podobno hitlerowcy zaorali tu półmorgowy grób, kryjący ciała innych rozstrzelanych, w tym zwłoki harcerzy.

Krwia nasycona jest ziemia lasów pszczyńskich. Na tym terenie, w pierwszych dniach września zginęło 4 obrońców wiośki Zawisz i 2 nieznanych studentów warszawskich, przebywających na praktyce w Łaziskach Górnych. Przed egzekucją znęcano się szczególnie nad działaczem niepodległościowym, Ludwikiem Pisarkiem. Torturowanemu przed egzekucją, przestrelano obie ręce, a następnie kazano wzniesć okrzyk... „Heil Hitler!”. Zamiast tego w powietrzu popłynęły słowa: „Niech żyje Polska!”

Po załamaniu się obrony, lasy pszczyńskie dały schronienie partyzantom. Stąd, zwłaszcza nocą, dokonywano ciągłych ataków na wroga. To spowodowało aresztowania zakładników. Z mowy oskarżycielskiej C.A. Collingwooda (II Proces Hamburski, sierpień 1949 r.) dowiadujemy się, że z rozkazu Ericha von Mansteina, szefa sztabu armii „Siid” 15 września 1939 r. rozstrzelano 13 obywateli cywilnych i jednego żołnierza. Natomiast od 20 września do 20 października, w lesie pod Murckami, zbiorową mogiłę znalazło 79 rozstrzelanych patriotów polskich. „Katowitzer Zeitung” nazwał to... „akcją oczyszczania terenu” (!)

Las Jaśkowicki, okolice Orzesza — i w nim pozostała rana dawnego cierpienia. Rozstrzelano tu 21 znanych działaczy narodowych. Skazani — oczywiście bez sądu — wyprowadzeni zostali do lasu, ku małej, podłużnej kotłowni, na tzw. Pasternak. Przed śmiercią byli kopani i bici kolbami. Dopiero po dwóch tygodniach (!) pozwolono wyznaczonym mieszkańcom gminy na dokonanie pochówku ofiar, w dwóch wspólnych mogiłach.

Obrońcy Brzozowic-Kamienia, harcerze i powstańcy, ci którzy śladem pozostałych nie udali się w kierunku wschodnim, zostali aresztowani przez miejscowych „freikorzystów”, skatowani i wywiezieni do lasu w Lasowicach (dziś dzielnica Tarnowskich Gór). Tu rozstrzelano ich i pochowano. Znający ten teren nie napotkali obecnie, jak dotąd, na żaden ślad tej mogiły, ani obelisk, który upamiętniałby miejsce pochówku...

Największą, śląską nekropolię kryją, wspomniane już, lasy panewnickie i ziemia cmentarna tej miejscowości. Przez 50 lat mogiła pozostawała bezimienna. Pomimo ekshumacji widniał na niej jedynie napis: „Tu spoczywają prochy 105 bohaterskich powstańców śląskich, harcerzy i harcerzy zamordowanych w 1939 roku na ulicach Katowic i w lasach panewnickich. Przechodniu, powiedz Polsce, żeśmy polegli posłuszni jej sprawie”. Zagadkową pozostaje wymieniona tu liczba 105 pomordowanych...

Podczas ekshumacji w 1947 roku, dokonanej na zlecenie Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, z 3 mogił wykopano 46 zwłok, które przeniesiono na cmentarz panewnicki. W dokumentach teże Komisji znajdują się zeznania Rafała Wiczorka, z 1967 r. Wydarzenia obserwował przez lukę w płocie. Widział zajeżdżającą furmankę, a na niej zwłoki w mundurkach harcerskich i parę w ubraniach cywilnych. Ciała zrzucano do przygotowanego grobu i — co nie jest, jeśli polega na prawdzie, w tej kwestii bez znaczenia — przysypano chlorem. Następnego dnia sytuacja się powtórzyła. Ów świadek ocenia liczbę ofiar na około 80. Zeznająca w tej samej sprawie Janina Koczy twierdzi, że było ich około 200... To tylko ułamek zeznań zamkniętych w archiwach. Opisy tragedii, którą ukryć chciało przed ludzkim spojrzeniem i zapisy zawodnej — zwłaszcza w sytuacjach dramatycznych — pamięci.

Wspomniana, bezimienna tablica, znajdująca się na panewnickim cmentarzu, dzięki akcji zainicjowanej przez Redakcję „Gościa Niedzielnego” i Radę Miejską Katowic została ostatnio zmieniona. Znalazły się już na niej nazwiska ofiar. Pierwsze dwa — Nikodema i Józefa Renców wyryto 10 listopada 1994 r. Obecnie jest ich już 29.

ŚLĄSKA ROLLISON

W panewnickim lesie natomiast, w którym — jak wiemy — nie tylko rozstrzeliwano



Foto: Stanisław Jakubowski

no na miejscu, ale do którego zwożono także ofiary okolicznych egzekucji, widnieją obeliski upamiętniające tamtą tragedię. Tu napotykamy ponownie końcowy szlak wojenny śląskich harcerzy... A także znów na śląsko-mickiewiczowską Panią Rollison — matkę Jurka Scheidta, aresztowanego 5 września. Wypytyując o syna, była przez trzy godziny przetrzymywana w Sądzie Wojewódzkim. Potem dopiero otrzymała (co czuła wówczas?) zegarek syna, jego portfel i różaniec. Pokazano jej także listę skazanych na śmierć.

Swoje dziecko rozpoznała dopiero po wojnie, podczas ekshumacji. Jurek otrzymał strzał w tył głowy. Jego czaszka była pęknięta, jak od uderzenia siekierką. Ręce połamane... Podobne ślady stwierdzono u innych ofiar. Leżące obok zwłok ubrania dowiodły, że skazanym polecono się najpierw rozebrać. Nie starczyło okrucieństwo zbrodni. Trzeba było dopełnić je upokorzeniem i podeptaniem intymności. Ekshumacja odkryła także drobiazgi towarzyszące ofiarom: medaliki, różaniec, listy, podręczne drobiazgi... podziemne, bolesne muzeum po pomordowanych. Tylko jedna z ofiar posiadała przy sobie dokumenty. Był to Paweł Musialik z Szopienic i on jeden ma dziś swój osobny grób.

Istnieje pośrednia relacja o egzekucji w panewnickim lesie inż. Jana Kozyry, tuż po wojnie nadleśniczego lasów panewnickich przekazana przez bezpośredniego świadka tamtej zbrodni: „W połowie września 1939 roku wyprowadzono z ciężarowych samochodów w głąb panewnickiego lasu wielu więźniów — powstańców i harcerzy wziętych do niewoli podczas obrony miasta. Pusty las, hitlerowcy wiodą 47 skazanych. Na pierwszej polance wszyscy kopią dół. Najpierw wybrano trzydziestu i ustawiono twarzą do dołu. Padły strzały mierzone w tył głowy. Pozostali przy życiu musieli zakopać grób i zatrzeć ślady mordu. Potem poprowadzono ich w inne miejsce, gdzie znów kazano im kopać dół. Tak jak poprzednio rozstrzelano szesnastu. Ostatni, którego zachowano na koniec, zagrzebał ten zbiorowy grób a potem, odprowadzony w inne miejsce, zabity padł do mogiły, którą sam przedtem musiał sobie wykopać.

Las nie był jednak pusty. Gajowy Augustyn Góra właśnie przechodził tamtędy. Kiedy usłyszał ludzkie głosy podszedł bliżej a potem ukrył się w zaroślach wokół pierwszej polany. Widział wszystko i zapamiętał miejsca zbrodni... Augustyn Góra — jedyny świadek — przekazał potem prawdę o tragedii w panewnickim lesie. (Tadeusz Kijonka: „Katowickie palmiry”, „Poglądy”, nr 17/1975 r.). Co widział, zapamiętał i poświadczył na miejscu zbrodni.

★ ★ ★

18 września br. odbyło się w lesie panewnickim uroczyste odsłonięcie i poświęcenie kolejnego obelisku nagrobnego obrońców Katowic, którzy w tym miejscu ponieśli śmierć a spoczywają na cmentarzu panewnickim w Katowicach-Ligocie. Tego roku listopadowe, zaduszone płomyki rozświetla imiona i nazwiska bohaterskich obrońców Katowic, wydarte niepamięci, nieliczne spośród wielu — z woli nieludzkiej obu sprzyśniętych totalitaryzmów, którym przyswiecał ten sam cel: by zatrzeć prawdę.

Czy jednak nasza pamięć o bezimiennie zgładzonych nie powinna trwać i przetrwać?

BARBARA
POREMBWA-WOLKOWA

Czy wiesz, że mieszkasz na magicznej ziemi? W fantasmagorycznym mieście? Obok miejsc ukrywających niezwykle skarby? Z pewnością nie.

Nie ulega wątpliwości, że wraz z tradycyjnie rozumianym folklorem gwałtownie zanika i bezpowrotnie odchodzi w niebyt dziś już prawie całkowicie zapomniany fascynujący świat wyobrażeń ludu, doskonalnie ongiś funkcjonujący obok zawsze tu twardej rzeczywistości i mało wadzący wierze. Istniał nie tylko w gadkach ciotek i sąsiadek, które co roku przed Bożym Narodzeniem i każdym weselem jeszcze w latach 50-tych zbierały się w kolejnym domu na oszkubki, albo zasiadały wraz z przysłowiowymi górnikami emerytami z fajką na ławkach przed familokami.

Na pastwę głodnych oczu naszej fantazji rzucono przedziwne szczątki dawnych mitologii, ułamki archaicznych wierzeń, wszystko pomieszczone z przywłaszczonymi przez lud tworamii fikcji literackich. Ale było wśród nich też mnóstwo materiału świeższej daty: historie o sławnych rozbójnikach Eliasz i Pistulce, których na własne oczy oglądali jeszcze rodzice naszych dziadków. Niektórzy wiedzieli, gdzie są zakopane ich skrzęce się złotem i klejnotami łupy.

Chyba najbardziej uwielbialiśmy podania o strachach. Przerazały wychodzące z grobów upiory, błędne ogniki i oczywiście utopce. Demony te, a zwłaszcza Skarbnik, traktowane były niezwykle serio. Dziadek i wszyscy wujkowie przynajmniej raz, jeśli nie więcej (ba, niektórzy wielokrotnie!) spotkali na swej drodze utopca, a Skarbnika widział kumpel z tego samego przodka na dole kopalni. Świat zjaw, demonów i dusz pokutujących nie istniał gdzieś daleko, za nieprzeżytym chińskim murem. Unosił się tuż obok. Był za drzwiami wielkiej, zawsze chłodnej, z reguły zamkniętej izby w familoku u Babci na Richterze.

W kuchni było przytulnie, w piecu buzował ogień, a tymczasem za drzwiami sypialni czaił się mrok. A gdy już ładowaliśmy w niej, w zimnym w pierwszej chwili jak diabli łóżku, kłębił się tuż za cienką powierzchnią wielkiego lustra, ozdobnego barokowego „tremo”, które stało naprzeciw, na honorowym miejscu między oknami. Często powiew owego mroku odczuwało się nawet w białym dniu, w samo południe na Końskiej Szachcie, w drżącym od upału powietrzu, w przelatującej tuż obok nas w milczeniu jaskółce, albo obrzydliwie skrzeczącej sroce.

Druga strona rzeczywistości tak była oswojona przez rozliczne opowiadania z nieodłącznym, sakramentalnym: „Niech mnie Ponbócek skoro (skarże, u.m.), jak to niy jest prowda”, że przyjmowaliśmy istnienie owych zrodzonych z mroku widm jako rzecz naturalną i raczej oczywistą. W gruncie rzeczy nie baliśmy się ich. W imaginations żyliśmy z nimi za pan brat. Nie wahaliśmy się kąpać w żadnym z pobliskich

pejzaż mitologiczny

ANTONI HALOR

stawów, których było w naszej okolicy kilkanaście, na wszelki jednak wypadek pilnie wypatrując wodnika. I choć nigdy ani utopca, ani tym bardziej Skarbnika nie udało nam się zobaczyć, wywoływany przez dorosłych powidok z pewnością nie należał do banalnych.

Gdy potem, jako starszy nieco chłopiec, kupiłem sobie za uskładane pieniądze jakieś literackie opracowanie „bajek śląskich”, przeżyłem ogromne rozczarowanie. Skarbnik i utopiec, znani z konkretnych miejsc, zagubili się w magmie powszechnie znanych z maminych dobranoczek „bojek” i bezimiennych anegdot dziejących się wszędzie i nigdzie. Pamiętałem przecież dokładnie jak starannie znani mi z oszkubków i spotkań w pralni i piekarnioku osiedlowym, ludowi opowiadacze i opowiadaczki oddzielali świat wierzeń, miejsca niezwykle i związane z nimi postacie demoniczne od żywiołu baśni, a tym bardziej od anegdoty, a zwłaszcza lubianego przez wszystkich żartu.

Treści przekazywane w podaniach odbierane były z zasady jako fakty z życia wzięte, wprawdzie burzące spokojne lustro wodne realności, ale harmonijnie z nią spojone i w jakiś dziwny sposób oczywiste, przyjmowane bez wstępnych uzgodnień, mrugania okiem, i bez (na ogół) dyskusji i wątpliwości, jako może nie najbardziej widoczna na pierwszy rzut oka, ale niepodważalna część ogromnego kosmosu, którego wielkości mogliśmy się zaledwie domyślać. Była w nim wszak obecność wszystkich pokoleń, które były przed nami.

„Dziś w powszechnej opinii świat podań i legend wydaje się czymś niezbyt stosow-

nym — pod koniec wieku, który, jak nas tego uczyli w szkole, wyjaśnił wszystkie prawie tajemnice natury... Tymczasem podanie, legenda, utkane są z materii ulotnej i płochliwej, przy tym jak owe skrzaty i elfy... dawno odeszły, bo nie mogły znieść hałasu nowych czasów”. Nie wytrzymały konkurencji rozjarzonych prawie w każdym domu kineskopów. Razem z nimi odeszły dokumenty bardzo starej tradycji ustnej opowieści mitologicznej, służącej ongiś nie tylko rozrywce przy kominku...

„...Wielu biada nad upadkiem tradycyjnego Śląska; równie wielu się z tego cieszy. Czy jednak racja nie jest raczej po stronie tych, którym żal odchodzącego archipelagu przodków, mitycznej historii i geografii bliskiego sercu miejsca, jego osobliwości, charakterystycznych budowli i niezwykłych postaci?”

I nie trzeba się odwoływać do autoritetów, by zauważyć, że żaden, najbardziej nawet spektakularny rozwój myśli naukowej nie wykorzenił w człowieku potrzeby fantazji — w obszarze sięgającym od zabobonu do najprawdziwszej poezji. Warto o tym pamiętać, choć cały zakres owych zjawisk dziś interesuje już prawie wyłącznie historyka kultury i etnografa-folklorystę.

Zachowane tu i ówdzie na powierzchni naszej ekumeny relikty dawnego pojmowania świata tylko pozornie stanowią marginalny element czegoś, co w grubym uproszczeniu (i z denotacją pejoratywną) nazywać moglibyśmy „krajoznawstwem antropologicznym”. Nieznajomość natury tych zjawisk i lekceważenie, jakiego doznawały do tej pory, przyniosły marne skutki nie tylko np. w dziedzinie planowania przestrzennego, czy w urbanistyce, ale także tam, gdzieby się ich najmniej można było spodziewać, w praktyce społecznej — w polityce. A przecież mądrzy ludzie od dawna o tym, ukrytym wprawdzie, ale wcale nie tajemniczym związku przyczynowym wiedzieli.

Na Górnym Śląsku punktów i obszarów nasyconych szczególną treścią lub związanych z niezwykłymi, historycznymi, z pozorów fantastycznymi, a często wybitnymi postaciami, jest o dziwo zaskakująco wiele. Niestety, prawdą jest też, że miejsca te są już dziś w dużej mierze mało czytelne, zwłaszcza w pejzażu tak zdewastowanym jak krajobraz konurbacji górnośląskiej.

Ale są, ciągle jeszcze. Może warto i o nich pamiętać — gdy zostanie podjęta próba uzdrowienia tej ziemi. Za każdym razem gdy słyszę, że powstał kolejny film lub serial o Robin Hoodzie, uświadamiam sobie z żalem, jak bardzo zaprzepaściliśmy własną, podobną legendę.



Irena T. Sławińska: — Redakcja „Odry” była kilkuosobowa, ale w istocie przygotowywaniem numerów zajmowali się tylko redaktor naczelny i sekretarz redakcji, czyli Wilhelm Szewczyk i pan. Wasza współpraca, w której zresztą uzupełnialiście się znakomicie, nie zaczęła się przy „Odrze” — jak wiem doszło do niej jeszcze przed wojną.

Aleksander Widera: — Byłem w ostatniej klasie gimnazjalnej, kiedy odkryłem wydaną w tym czasie w Katowicach „Kuznicę”. Pewnego dnia wybrałem się pod wskazany w stopce adres, czyli na Dąbrowskiego, pod numer chyba trzeci. Za biurkiem siedział szczupły równolatek, od czoła już mocno łysiejący, z tyłu w czarnych lokach, który po tej rozmowie wciągnął mnie do „Kuznicy”. Był to Wilhelm Szewczyk. Odtąd, aż do wybuchu wojny redagowaliśmy „Kuznicę” później także „Fantanę”, której zdążyło się ukazać 13 numerów. Za pracę nie dostawaliśmy grosza, żeby się utrzymać, zarabiałem korepetycjami. Po wybuchu wojny urządził się w lokalu redakcyjnym „Kuznicy” krawiec Orszulik, który pozwolił nam wynieść po kryjomu świeżo wydane tomiki poetyckie Szewczyka i Baranowicza. W ten sposób ocalały.

— Kruche środowisko literackie, które te dwa pisma budowały, brutalnie rozproszyła wojna. Co się z wami wszystkimi działo przez pięć lat?

— Ci z nas, którzy mieli rodziny w Generalnej Guberni, przed wkroczeniem Niemców opuścili w pośpiechu Śląsk i zadekowali się na różnych prowizorycznych posadach. W ten sposób przetrwali wojnę Zdzisław Hierowski w Miechowie, Jan Baranowicz pod Tarnowem, jak również Kobiela, Gołba, Żelechowski i Zaremba. Ślązakom, którzy nie mieli wyboru i musieli zostać na Śląsku, przynależnym odtąd do III Rzeszy, było znacznie gorzej. Zgilotynowano Pawła Musioła, Morcinek i ja wyładowaliśmy w obozach koncentracyjnych. Tylko Jana Wyplera jakoś nie ruszono, choć miał porządną haczyk z okresu powstania śląskich i plebiscytu. Ten wybitny poliglota i człowiek wielkiej wiedzy utrzymywał się z korepetycji.

— Pierwszy wrócił do Katowic Szewczyk, który po perypetiach więziennych i ucieczce z Wehrmachu ukrywał się pod Krakowem w Opatowcu, a po pacyfikacji tego miasteczka przez własowców — w Rędzinach pod Częstochową, zajmując się tajnym nauczaniem. Miał dobre, lewe papiery na nazwisko Władysław Kret. Gdy tylko Rosjanie zajęli 17 stycznia 1945 roku Częstochowę, śledził pilnie ich Drang nach Westen a po przesunięciu się frontu poza Katowice, spakował plecak i w lichej kurteczce, pieszo i okazją, wyruszył na Śląsk. A pan — kiedy powrócił pan do Katowic? Za co pana aresztowano?

— Należałem do Tajnej Organizacji Niepodległościowej, którą z Żywca kierował Antoni Studencki i była wielką wyspą. Od września 1942 roku cały rok przesiedziałem w myślowickim więzieniu, a potem wywieziono mnie do Oświęcimia i kolejno do Mauthausen i Gusen. 5 maja 1945 uwolnili nas w Gusen Amerykanie, ale wycierciony złapałem zapalenie płuc i nie od razu mogłem wrócić do kraju. Nie było też transportu. Po dwutygodniowej, koszarnej podróży z Austrii w dniu 13 lipca 1945 roku dotarłem wreszcie do Katowic i jeszcze tego samego dnia odszukałem Szewczyka. Pracował już nad pierwszym numerem „Odry”, początkowo — dwutygodnikiem. Zaciągnął mnie od razu do drukarni i obaj wspólnie robiliśmy korektę. Po paru miesiącach zostałem sekretarzem redakcji.

wyroki zapadł zaocznie

Z Aleksandrem Wierą, współredaktorem pierwszej katowickiej „Odry” rozmawia Irena T. Sławińska



— Ile pan zarabiał?

— Na razie nic. Etat dostałem dopiero od stycznia 1946. Skoro jednak 13 października ożeniłem się, musiałem myśleć realnie, toteż zaczęłem się w przedsiębiorstwie hutniczym oraz udzielałem korepetycji, w czym byłem, nie chwałąc się, specem.

— Linia pisma była od początku jasna.

— Tak. Nastawiona na objęcie i zagospodarowanie dawnego Nadodrza. Przytoczę fragment wstępnej deklaracji pisma, bo to ważne: „Chcemy spowodować, by myśląc o Śląsku, każdy myślał o zlewisku »Odry« i wybiegał daleko na zachód poza to, co jako Śląsk ugruntuowało się w powszechnych pojęciach przed rokiem 1939. (...) W »Odrze« ma się wypowiedzieć Śląsk cały (...) muszą tu znaleźć odbicie problemy społeczne, ogólnokulturalne i literackie Śląska i całego polskiego Nadodrza po obu stronach Odry”. Taki był zręb programu.

— Jak wyglądała wasza redakcja, wchodząca w skład imperium „Czytelnika”, choć pismo raczej biedowało?

— Mieściła się przy ul. 3 Maja 36a, na drugim piętrze, razem ze Związkiem Literatów, gdzie później narodziło się Wydawnictwo „Śląsk”, a jeszcze później zainstalowała się Krajowa Agencja Wydawnicza. Mieliliśmy dwa pokoje. Stały tam ciężkie biurka niemieckie i potężne regały. W jednym urzędowała sekretarka, piękna Irena Wolfowa, w drugim załatwiała się wszystkie sprawy redakcyjne. Redakcja szybko stała się klubem literackim, odwiedzali ją wszyscy, przenosząc się później wesołą ferajną do knajpy na Stawową. Styl biesiadnego życia był po wojnie potrzebą nas wszystkich, niezależnie jak się sprawy miały. Środowisko artystyczne Katowic było zresztą bardzo barwne; nigdy już później nie było w nim fascynujących tyłu wybitnych osobowości i to z pamięcią wielkich lat przedwojennej bohemy. Lwowiacy i warszawiacy, ale i krakuszy ściągali tu licznie. Boże, jeśli przypomnieć, jaki mieliśmy wtedy teatr — i kto w nim grał. A jaką operę! Pisarze też zaliczali się do mocnych środowisk, podobnie dziennikarze, gdzie nie brakowało pióra wysokiej klasy. Katowice były wówczas mocne — niestety zmarłoby wówczas szanse, by stały się wielkim centrum kulturalnym.

— Z numeru na numer powiększał się zestaw autorów „Odry”, w większości znakomitych. Jak ich odnajdywaliście?

— Pismo, specjalizujące się w problematyce śląsko-niemieckiej i Ziemi Zachodnich, przyciągało samo. Zgarnęliśmy najwybitniejszych specjalistów w tej dziedzinie, także wielu profesorów — należeli do nich Stanisław Rospond, Tadeusz Mikulski, Odmund Osmańczyk, który pisał pierwsze reportaże z odzyskanej Opolszczyzny, germanista Jan Berger, Egon Naganowski, Stanisław Kolbuszewski, Anna Kowalska, Stanisław Helsztyński, Henryk Barycz, samouk Rafał Urban, Ludwik Brożek i wielu innych.

— W początkowym okresie tworzyli „Odrę” trzydziestolatkowie, którzy zdążyli z debiutami literackimi, czy naukowymi przed wojną. Gdzie była młodzież?

— Nie mieliśmy jej na razie. Albo wyginęła w Wehrmachcie, albo spóźniona w naukę, nadrabiała zaległości, studiując w Krakowie i Wrocławiu. Ale już w pierwszych numerach drukowaliśmy Tadeusza Różewicza, który zaglądał do redakcji. Od Jana Twardowskiego, jeszcze wtedy nie w sutannie, Wojciech Zukrowski podzukał... erotyki, w których ten wybitny dzisiaj poeta pod pseudonimem Antoni Derkacz wspominał melancholijnie: „Płynie walczyk, fruwają spódnice pod plafonem na wysokim piętrze”. Ogłoszony w 1948 roku konkurs literacki wyłonił czterech laureatów: Stanisława Piastowicza, inż. Stefana Balickiego, Marutę Stobiecką, przywiezioną przez Galczyńskiego z wojennej tułaczki i Stefanię Wierzejewską, której już nie pamiętam. Fala młodych ujawniła się dopiero z początkiem lat pięćdziesiątych i — już po Październiku — wsparły ją „Przemiany”, tygodnik redagowany z rozmachem, który padł w tym samym czasie co „Po prostu”.

— „Odra” ogarnęła stopniowo całe Ziemie Zachodnie, aż po Szczecin, może tylko Poznań był literacko bardziej niezależny w tej części Polski. Mieliszcie na bieżąco recenzje teatralne nawet z Jeleniej Góry i Olstyna. Jak to się organizacyjnie udawało, skoro pociągi kursowały wtedy jak chciały, a nawet do Krakowa jechało się towarzami aż sześć godzin?

— Zaczęto nas systematycznie pouczać. Pamiętam naradę u literatów z Aleksandrem Zawadzkim, na której m.in. zabrał głos dr Roman Lutman. Zawadzki go zdyskwalifikował i ostro zaatakował za brak upolitycznienia. To stało się potem na Śląsku stałą praktyką, bez względu, jaki to był czas.

-- Był czas, gdy wynosił kilkanaście tysięcy. Później tygodnik ukazywał się w pięciu tysiącach egzemplarzy. Ale prenumerowały go biblioteki i księża, co znacznie rozszerzało krąg czytelników. Pewnego dnia jednak papież Pius XII rzucił klątwę

— Pomimo niezbędnych ustępstw i wymuszanych kompromisów. Już w trzecią rocznicę pisma wydawało się, że dla „Odry” nie ma w Katowicach miejsca. Miała zostać niemal z dnia na dzień przeniesiona do Wrocławia. Z końcem czerwca 1948 roku Zdzisław Hierowski w artykule „Pożegnanie” zapowiadał roztanie się tygodnika z Katowicami. Miesiąc później ukazał się pożegnalny, jakże gorzki artykuł Szewczyka „Na wydmuchu”. Ten 139 numer „Odry” miał być ostatnim przed zmianą siedziby redakcji na adres wrocławski. Ale do tego nie doszło i „Odra” do samego końca wychodziła w Katowicach — Do trwała do numeru 216 z dnia 29 stycznia 1950 roku, który ukazał się akurat w pięciolecie oswobodzenia Katowic. Historia miała się powtarzać. Każde nowe pismo literackie po jakimś czasie przekazywało i znajdowano preteksty, żeby je z dnia na dzień zlikwidować. Tak było z „Przemiannami” później z „Poglądami”. Może teraz „Śląsk”, nowy katowicki miesięcznik, będzie miał więcej szczęścia.

W numerze: Rafał Urban „Sprawa diabelska“

KATOWICE — WROCLAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 25 LIPCA 1948 R.

[illegible]

Literatów trafi w Szczecinie -
po tam na się on odbył -
przychylna i zorganizowana pi-
abstynencja. Zainteresowania pi-
ry Szczecinem są coraz więcej
ale byłobyśmy na to akro-
gdybysmy nie przyniśli im
pewnego udziału w organiz-
nie życia literackiego w Sz-
cyjny ODRY, kierownik
ODRY grupa pisarzy
Szczecina, z których kil-
dzięki sążniskom ODR
szo. Literatów. Drugi o-
dotyczy ODRY znają-
Olsztynie, po dziś dzień
dolał najpięknym
literacka o Warmii
literacka okazała się
gru-

[illegible][illegible]

znal był wówczas bratni-
szachabach radkowskich, gdyż był wy-
pisał jakiej szerszej echo, może
byłbyśmy uniknęli wielu pomy-
lek w planowaniu: kulturalnym
byłbyśmy Odrzeczany, może nie
byłbyśmy krajem, a wszystkim
regionalnymi ogólnymi odrzecz-
nej ziemi.
Dad jest już co prawda naczel-
nie zachodnie Środkowe literac-
nie katowickie wygłosze się śliski
w cała odrzeczana Opalczernym
w samym Opolu mierzka i pr-

...byli, nie p...
...byliśmy nie p...
...wamy udziału w zorganiz...
...nizacji literackiego w Sz...
...nizacji literackiego oddział...
...nie. Szczeciński oddział...
...cyjni ODRY, kierowan...
...Stanisława Telega, akupl...
...ODRY grupę pisarzy z...
...Szczecina, z których kilk...
...dzięki związkowi z ODR...
...talo do katowickiego...
...Zw. Literatów. Drugi o...
...dakcyjny ODRY znajdo...
...Olizynie, po dziś dzień...
...przez pisarzy. Pierws...
...dotąd nasłupu powo...
...literacka o Warmi...
...ukazała się

[illegible]

NUMER 30 (139)

WILHELM SZEWCZYK

46 SLASK

W tych dniach mijają trzy lata od powstania Olsztynskiego Związku Weteranów i uczestników wybitnych miast i terenów w naszym kraju. To było wielkie wydarzenie, które miało miejsce w dniu 15 października 1945 roku. W tym dniu w Olsztynie odbył się wielki zjazd, na którym wzięło udział około 1000 osób. W tym dniu w Olsztynie odbył się wielki zjazd, na którym wzięło udział około 1000 osób.

uchronnego sasiedstwa niemiec-
kiego i odradzania sie zywota
Niemiec powojennych, wzmawia-
no ODRZE, ze jest antyniemiec-
ka, ze nie widzi w narodzie nie-
miecskim tych demokratycznych
duszy, na ktore zawsze ODR
pismem zalam - swawano w jery-
polakim. I jeden, ze sp
glad, byl krzywdzacy, ze sp
dzal jedynie faktu, ze sp
czestkow polskie wial jest
znalo i nie rozumialo spraw
Mysle, ze do
rozumiem wiele przyucz
ostatnia zwlaszcza dyskusa

ace, tak jak politycy
 Ziemie Odzyskane porwał
 czy polychylnych. Ale było to sta-
 romodne słudzenie, jak prowadzą
 poeta. Dyskusja nazła, urwała
 na silami własnymi, nie zanotowa-
 po trzech głosach, nie zapowia-
 nawet w preglądach pisy
 lowych pism literackich. Po-
 Nie larnach tych pism twórcy
 tomiast od czasu do czasu
 kowe zapasy słowne, ale
 podawanie nieoparte, al-
 mniej zajmujące czas, p-
 i uwagę. O gdybym do-

byłbyłym planowaniu: „Ktoś
lek w planowaniu, może to
dla Ziemi Odzyskanych, a wszystkim
byłbyłym krajem, a wszystkim
regionalnymi ogniwami odzyska-
nej ziemi.
Dziś jest już co prawda inaczej
na zachodzie. Środowisko hierar-
kie całkowicie wygryzło się śliski
w całą odzyskana Opolszczyznę
w samym Opolu mieszka i pro-

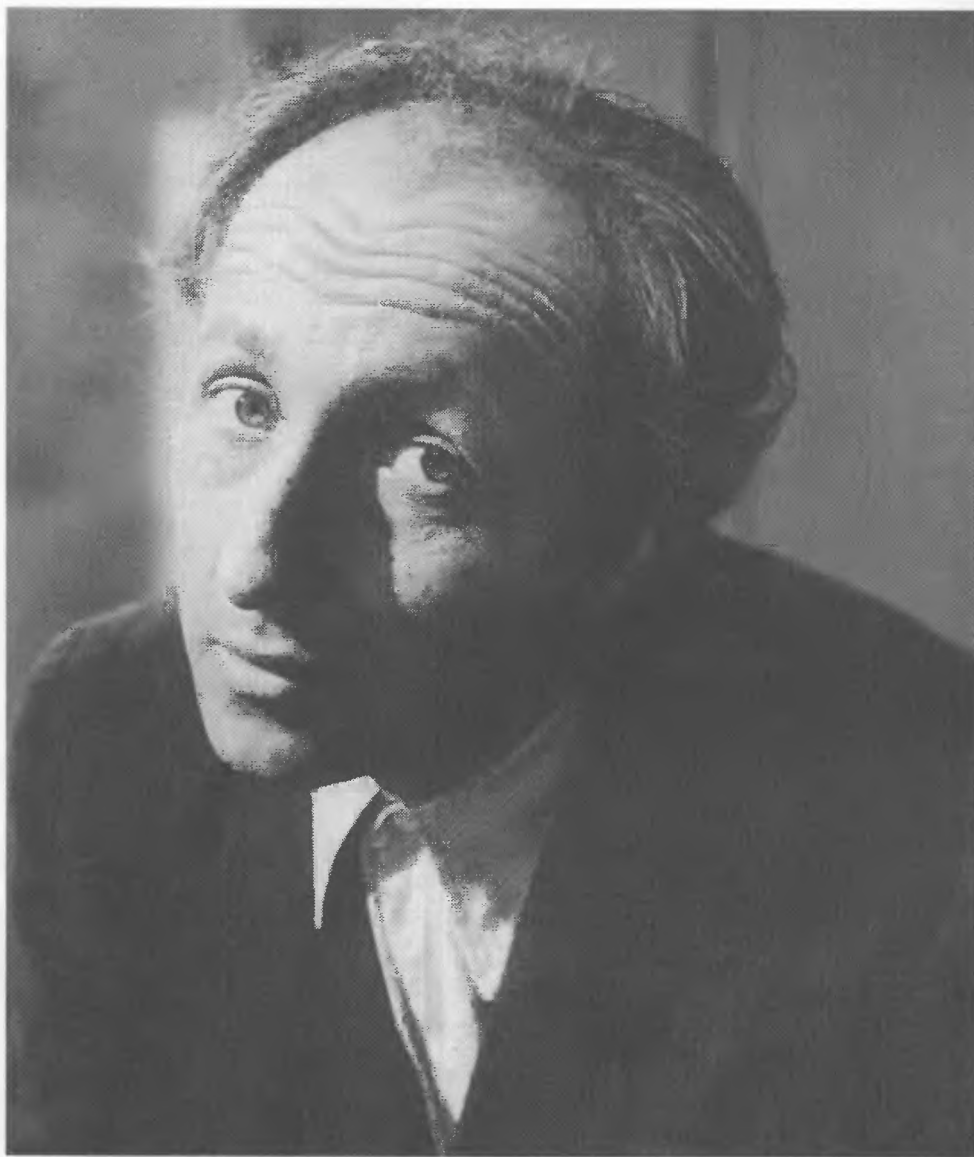
cyjny ODR...
Stanisława Telega.
ODR grupę pisarzy z
Szczecina, z których kilku
dzięki gwiądkom z ODR
tęło do katowickiego
Zw. Literatów. Drugi o-
dakcyjny ODR znalazł
Olsztynie, po dziś dzień
przez pisarzy. Pierws-
tolać najlepsza powo-
dająca o Warmi-
naka ukazała się
drugą

przewodzący, przywrócić im
prawy, przez innych
tolerancją radykalnym
tożsamość. Władze ODRA
nie są inny, nie są twórcami
rozporządza. Ktoś ma
sukces. Ktoś ma
przeprowadzić dokładną pracę
niedzielną, nie Niemiec, tak
XII do biskupów i kardynałów
pewnego widzenia i kłopotów
z swymi. Stwierdzić należy
siedzą. Nie są udane, nie są
zmieć, nie są udane, nie są
ODN skupić, którzy by
rozumieli, że nie są
razali totali swoje powody
właściwie sprawę oparte
jakoś, nie są udane, nie są
pomoc mechanicznych danych
Niem. Nie udało nam się
rytych. Nie ODRE, nie
nym, nie francuskim, nie
która umocniła by porządek
katalizacji z rep



BOBEK

czyli
kaskader
śmieszności



Film „Zezowate szczęście” A. Munka

Cmentarz w Tenczynku. Jest późna jesień 1994 roku. Stoje w miejscu gdzie opowieść ta powinna się w zasadzie kończyć, nie zaczynać. I tak też się stanie, zgodnie z nieubłaganą konsekwencją rzeczy dokonanych. Teraz jednak najważniejsza jest nieobecność, pustka po człowieku, którego śladów szukam. I pytanie: czy w ogóle można go z niej przywołać?

Koniec października, mokre liście lepią się do kamiennej płyty. Dwadzieścia pięć lat temu usypano tu skromną, ziemną mogiłę z brązowym krzyżem, dzisiaj dwie banalne płyty z granitu i lakoniczny napis: **BOGUMIŁ KOBIELA — AKTOR — 1931—1969...**

Przyjechałem bez żadnych gwarancji, że ktokolwiek powie mi coś istotnego. Stąd coraz bardziej napięta czujność, ale i pomieszane z melancholią rozdrażnienie. Bo trudno w tej chwili nie pamiętać słów, które wypowiedział na rok przed śmiercią:

„nie wiem, nie wiem, nic...
no tłumaczę ci, że nie wiem,
stał tu. był. rozplynął się
— nie ma go!”

W taki oto sposób w filmie Andrzeja Wajdy „Wszystko na sprzedaż” — wykrzyczał swoją bezradność wobec innej nieobecności, pustego miejsca po Zbyszku Cybulskim. I teraz tamte słowa znaczą dla mnie dokładnie to samo. Tyle tylko, że dotyczy już Bogumiła Kobieli.

★ ★ ★

Wciąż mało faktów. Mimo wszystko. I Tenczynek taki małomówny. Czemu się zresztą dziwić?

Od śmierci Bogumiła Kobieli minęło dwa-dzieścia pięć lat, ćwierć wieku...

Ja jednak błędnie uparcie po tej sennej osadzie, z nadzieją, a właściwie przekonaniem, że ślady jakieś zostały. Ważne ślady. A miejsce, z którym wiąże nadzieje największe jest cały czas tuż obok. Dosłownie o rzut kamieniem.

Krązę więc wokół, zbliżam się, potem znów oddalam. Dotychczasowe próby wejścia do środka spełzyły na niczym, a najbardziej wiarygodny świadek interesującego mnie losu — znowu wyjechał i coś mi mówi, że nie ma zbyt wielkiej ochoty na rozmowę.

Zniechęcenie staram się pokonać uporczywym powtarzaniem w myślach fragmentów filmowych kwestii. Czyż takie zdanie na przykład było jedynie wyuczoną rolą Kobieli?

„.... to ty jesteś taki tępy, naprawdę nic nie rozumiesz?

to chyba dosyć jasne, nie ma

człowieka z nikąd

człowiek z nikąd jest tylko w tych waszych salonowych filmach,

a jak w życiu przychodzi jakaś kariera, jakieś festiwale, to rzeszowskie i kieleckie trzyma cię za nogi, pozwala ci stać na tych nogach, bo tam było twoje dzieciństwo, rozumiesz...

twoja młodość, jakiś wujek stary, przyjaciel, ksiądz katecheta... oni tę karierę śledzą, słuchają radia, mówią to jest nasz, nasz BOBEK!!!!”

Włóczę się więc po jesiennym Tenczynku. Wszechogarniająca melancholia osady „z boku”. Bez nadziei na lepsze jutro, bez większych wstrząsów.

W parafialnej salce chłopcy grają w ping-ponga. — Kobiela? Bogumił Kobiela? Nie, nie słyszeli. Aktor? Acha, leży tu jeden aktor... Ale kto to był?

— A jak życie w Tenczynku? — pytam bez przekonania.

— Spokojnie, spokojnie jest... Nic się nie dzieje.

— Pieniądzy nie ma, ot co! — kobieta w szafirowej chustce wraca właśnie z cmentarza. Na plebanię wstąpiła odpędzić wnuka od ping-ponga. — Nic tu nie ma żeby gdzie iść..., ani kina, ani nic. Było kino w Krzeszowicach, to zamknęli. A do Krakowa? Żeby do Krakowa jechać? Panie kochany, a skąd pieniądze brać..., teraz człowieka nie stać na nic.

— Smutno tu trochę...

— Ano smutno, smutno.

★ ★ ★

Na stole gościnnej plebanii dymiąca herbata z różą. Obok stare, nikomu już chyba

niepotrzebne księgi parafialne, żółtkie roczniki gazet, mała kolekcja dagerotypów. Ksiądz proboszcz dyskretnie pielęgnuje pamiętki minionej świętności Tenczynka.

Już ponad godzinę rozmawiamy o miejscu, które choć takie „z boku” (mój gospodarz uśmiecha się leciutko przy tym sformułowaniu) to jednak jak by nie spojrzeć, przez bok ów przechodzi mnóstwo ludzi.

Ciągną zwłaszcza w soboty i niedziele na pobliski zamek, Wrótnię... — *To są wszystkie bardzo historyczne i bardzo piękne tereny!* — słyszę pełne przekonania słowa księdza, który wyszukał oto w stosie żelaznych czasopism niebawale stary numer „Odrodzenia” z 1945 roku i pokazuje mi artykuł Kazimierza Wyki.

A pana Kobięłę to owszem, nieraz miałem okazję tu spotykać — mówi ksiądz proboszcz z lekko zakłopotanym uśmiechem. — *On przyjeżdżał często...*

Tyle tylko, że młodziutki wówczas kapłan czuł oniesmielenie wobec aktora z Warszawy. Zresztą „różnie o tych artystycznych środowiskach się mówiło”. Więc tylko dzień dobry — dzień dobry, jak wypoczynek?, pięknie tutaj, prawda? Ale nie, żadnej zarozumiałości, żadnych sympatyczny człowiek. „*On sprawiał wrażenie cieszącego się życiem szczęśliwca. Kogoś kto tutaj — jest po prostu u siebie*”.

Dom w Tenczynku. Stoi opodal stawu plebańskiego w rozległym sadzie, który niepostrzeżenie i łagodnie przechodzi w park, a po chwili wtapia w gęstą ścianę lasu. Dom od pierwszego wejrzenia zapadający w pamięć. Dom nie do przeoczenia i nie do zapomnienia...

Silne — choć spękane — mury, rdzewiejące werandy, dzikie wino po rynnach i starych tynkach. Krzepka dawność, bez śladu makijażu, modernizacji itp.

Mieszka tutaj jedyny brat Bogumiła — Marek Kobiela. — Tak podobny, że aż sobowtór — myślę — patrząc na profil,

a po chwili słysząc wysoki, wpadający nieco w falset głos gospodarza. Umawialiśmy się na to spotkanie dość długo. I dużo by mówić na temat większych i mniejszych przeszkód, które je odwlekały.

Więc teraz kiedy wreszcie przekraczam próg tego domu, kiedy czuję jego lekko gorzki zapach — emocje są czymś oczywistym. To przecież z tym miejscem wiąże od dłuższego czasu największe nadzieje i oczekiwania.

Siedzimy w salonie pełnym starych obrazów, luster i bibelotów. Na ścianie dwa duże portrety bliźniaczo podobnych chłopców. Charakterystyczne wydatne nosy, lekko uniesione brwi.

— *To robota naprawdę dobrych malarzy* — mówi Marek Kobiela — *Lenczowski i Hallter. Zgadnie pan, na którym jest brat? Zgaduję, nie trafiam. Dokładnie na odwrót. Bobek to ten na sofie, Marek z białym pudłem.*

— *Nic się właściwie nie zmieniło. Ustawienie mebli to samo, te same obrazy. Chcę żeby tak było, przynajmniej tutaj.*

Marek Kobiela już po chwili okazuje się człowiekiem niezmiernie wrażliwym i... ironicznym jednocześnie. Ale jest to ironia — by tak rzec — „liryzmem podszyta”. Rozmowa zatem jakby łatwiejsza.

Słyszę, że dom był od początku zdecydowanie letniskowy. Od wiosny do jesieni. Przyjeżdżali z mamą w kwietniu i siedzieli do listopada. W ogrodzie stanął basen, teraz w rozsypce i gęsto porośnięty czeremchą, a dalej — już bardziej pod lasem — kort tenisowy. Bardzo dobry. Ziemny, ale ze wszystkimi szykanami.

Po obiedzie, jeśli tylko była pogoda, wszyscy zabierali kocz, leżaki — i szli do ogrodu. — *To takie zwyczajne, kłaść się na kocu po obiedzie i czytać* — Marek Kobiela mruży oczy — *jeśli zastanowić się głębiej, to taka czynność jest czymś najnaturalniejszym, czymś zgodnym z porządkiem wyższego rzędu, a jako taka winna być szczególnie pielęgnowana. Ba! egzekwowana być może, nie uważa pan?*

Wyrażam całkowitą solidarność z tą ideą. Po sjeście tradycyjnie wyprawa nad Staw Wroniński. Wspaniałe kąpielisko, gdzie jeździli bryczką, choć to tak niedaleko. Dziesięć minut piechotą raptem.

Wszystko miało tu swoje wyrażenie, mocno osadzone w czasie i przestrzeni miejsce. I wszystko było jakoś tak realnie przyjazne...

★★★

Wąska twarz Marka Kobieli odbija się teraz w starym lustrze stojącym przy oknie. Widać też fragment jego dziecięcego portretu z białym pudłem. Nagle zdaje sobie sprawę, że mój rozmówca już od dłuższego czasu milczy, jakby zaskoczony własną otwartością sprzed chwili. Teraz miesza w zamyśleniu herbatę, chyba nieco speszone.

Ja tymczasem nie mam już najmniejszych wątpliwości, że to miejsce musiało stać się w życiu Bogumiła Kobieli centrum. Takim centrum, które nosi się w sobie bez względu na wielkość oddalenia, którym mierzy się własne życie, skalę wywyższeń i upadków.

Jakby czytając w moich myślach — Marek Kobiela mówi teraz ściszonego głosem, ale z wyraźnym naciskiem, że dom i Tenczynek to miejsca najważniejsze. Z czasem zresztą coraz bardziej i bardziej.

— *Proszę tylko pomyśleć: byliśmy tutaj na wsi, w takim oto olbrzymim starym domu, w dużym ogrodzie i — mali z mamą... Raj utracony. Dokładnie. I to się później pojawia we wszystkich reakcjach mojego brata. W jego wyznaniach i listach.*

★★★

„... tutaj byliśmy zawsze dziećmi, i tak już chyba zostało...” — ciągle kołocze mi się w pamięci ten strzęp wypowiedzianego przez Marka Kobięłę zdania... Dzisiaj Marek Kobiela ma lat 59, wykłada na Politechnice w Gliwicach, a z mieszkania na Poniatowskiego w Katowicach przeniósł się kilka lat temu, już na stałe, do Tenczynka. Powrót na zawsze. Te same mury, meble, lekko dziczejący sad. Wroniński Staw, biblioteka na piętrze, to samo skrzypienie drzwiczek. Te same zapachy. Pielęgnacja zrudzeń? Że czas tutaj płynie inaczej? Że nie niszczy, nie zaciera, nie zużywa?

Inżynier Marek Kobiela wyciąga nagle z szuflady kredensu... flet i przez chwilę ciszę saloniku przeszywa ostry, a potem miękko-tęskny dźwięk. Moment trochę niesamowity i jakby z lekka surrealistyczny, ale patrząc na zmrużone kpiąco oczy grającego gospodarza — odnajduję raptem smak niektórych sytuacji z filmów jego brata.

Jest w tym odrobina szaleństwa, ale też sprzymierzonej z liryzmem ironii.

„Czas płynący inaczej”. Za Markiem Kobięłą znów przyciąga wzrok jego portret sprzed z górą pół wieku. Białe rajtuzy, biały pudel, płowa grzywka, a obok — już na swoim portrecie — Bobek: białe rajtuzy, płowa grzywka... Słowa o czasie nie muszą być wcale retoryczną figurą. W tym miejscu odczuwa się to bardzo wyraźnie, a chodzi nie tylko o podkreślany tylekroć już nastrój. Także o coś znacznie bardziej konkretnego.

Oto — całkiem nieoczekiwanie — pan Marek decyduje się poszukać (co czyni z imponującym powodzeniem) pewnej sterczanej czasem książeczki. Książeczki z wierszykami o... swoim bracie.

Jeszcze jeden ślad ważności Tenczynka w tym odgadywanym życiorysie.

★★★

Raz po srogiej wielce ziemie
Chłopczyk co miał cztery latka
— Boguś było mu na imię
Na wsi znalazł się u dziadka





*Dziadzio mu uradowany
Tenczynkowy świat przedstawia
Konie, krowę, dwa barany,
I napuszonego pawia*

*Serce nam radością płonie
Zacny Panie Bogumile
Tu, w Tenczynku, bez wątpienia
Błogie Wać Pan spędzisz chwilę (...)*

*Boguś, chociaż taki młody
Był to figlarz jakich mało
Więc też różne miał przygody
Lecz z nich zawsze wyszedł cało (...)*

*W czerwcu dzień świętego Jana
Czeka dzieci radość rzadka
Wszystkim wam Sobótka znana
Oraz imieniny dziadka!*

*Najpierw Bobek składa różę
I życzenia swe najszczerze
Dziwią się osoby duże
Że tak pięknie mówi wierszem! (...)*

Takie oto rymowanki napisał dla pierworodnego i wydał przed wojną u Gebethnera i Wolffa w Krakowie — ojciec Bogumiła i Marka — Ludwik Kobiela. Z Polskiego Słownika Biograficznego (PAN, TOM XII/1 1967) — przepisuję kilka fragmentów gwoli poszerzenia informacji:

KOBIELA LUDWIK (1897—1945), nauczyciel gimnazjalny, badacz folkloru i literat. Ur. 22.I. w Zarzeczcu w woj. bielskim na Śląsku Cieszyńskim. (...) 1917—1922 student Wydziału Filozoficznego UJ. Magister filozofii. 1938 — członek Związku Zawodowego Literatów Polskich. Od 1927 zam. w Katowicach, nauczyciel gimnazjów państwowych. Liczne publikacje na temat folkloru śląskiego (ważny tom opowiadań „Żabi kraj” — Cieszyn 1935). Od 1945 kierownik Oddziału Literackiego w Wyd. Kultury i Sztuki Województwa Śląsko-Dąbrowskiego. Wybrany prezesem utworzonego z jego inicjatywy oddz. Związku Literatów Polskich organizuje głośny Zjazd ZLP na Górze Św. Anny (...) Umiera

30.12.1945 w Katowicach, pochowany został na cmentarzu przy ulicy Sienkiewicza. Pożostawił żonę Krystynę z domu Bajda (u. 1906) i synów: Bogumiła (ur. 1931), aktora i Marka (ur. 1935), inżyniera.

★ ★ ★

Wpływ ojca na synów musiał być — nawet bez specjalnych starań z jego strony — przemożny.

— Te wszystkie rozmowy, długie spacery, wspólne wycieczki, sposób żartowania, dobroduszny a jednocześnie podszyty wyraźnym nieraz sarkazmem. I łagodność. Jakby wszystko co dotyczyło Bogusia i Marka zasługiwało na nią w sposób naturalny.

To co teraz panu powiem charakteryzuje nasze stosunki z ojcem... — słucham kolejnego wspomnienia. Mieszkanie na Poniatowskiego w Katowicach, goście, jakiś rodzinny zjazd, atmosfera uroczysta i solenna. Czteroletniemu BOBKOWI, którego pozostawiono na chwilę w gabinecie ojca, udaje się w niespełna pół godziny za pomocą nożyczek pociąć dokładnie dwa klubowe fotele i oparcie kanapy („tak mocno, że nawet oderwał skórę od ram”). Wchodzą babki, okrzyk zgrozy, zupełnie nieprzytomne biegają po ojca.

— Ojciec przyszedł, obejrzał z uwagą najpierw synka, czy się nie skaleczył, potem meble — i uznał, że owszem, robota ciężka, wykonana solidnie, „sam syneczek potrafił, taki trud i ani jednego zadrażnienia na rączkach”. — Niech to będzie przykładem reakcji ojca na coś, co dotyczyło Bobka i mnie, a niekoniecznie musiało budzić entuzjazm.

Z dalszego ciągu rozmowy, rozmowy pełnej anegdot i zabawnych zdarzeń — wnioskuję, że Ludwik Kobiela, postać jawiąca się czytelnikowi biograficznej notki raczej belfrowato i oschle, musiał posiadać duży wpływ zwłaszcza na starszego syna.

Trochę Pickwick trochę Falstaff, umiejący cieszyć się życiem, także jego absur-

dami, kpiarz, człowiek czasem niefrasobliwy, a przy tym najprawdziwszy erudyta, wykształcony gruntownie i dogłębnie przedwojenny nauczyciel.

I jeszcze jedna oryginalna postać z tamtego świata. „Cudowna nasza, zachwycająca babeczka” jak mówi o niej Marek Kobiela, dama nieco wyniosła i surowa, a jednocześnie ekscentryczna i lekko nieobliczalna.

— Pamiętam, wybierała się do kościoła, siedziała dokładnie w tym miejscu przy tym lustrze, poprawiała włosy i nagle wstaje, idzie jakoś dziwnie takim męskim krokiem na ugiętych nogach — mówiąc: „pan Jacek! pan Jacek!”... Parodiowała w tym momencie jednego z członków naszej rodziny, nie wiadomo właściwie dlaczego to czyniąc... (śmiech). Jakiś fragment myśli ilustrowała taką właśnie reakcją. Fantastyczna!

★ ★ ★

Przybywa wspomnień i anegdot. Jedne zasłyszane i spisane skrzętnie, inne odnalezione w rozsypanych publikacjach. Ale wrażenie prawdy „z drugiej ręki” jest dojmujące. Jaki był? Co myślał? W jakich małych i dużych sprawach zanurzał?

Te pytania coraz częściej nie dają spokoju, kiedy przerzucam kolejne książki i prasowe artykuły sprzed lat.

Jest wczesna wiosna 1994 roku. Poranny telefon od Marka Kobieli. Ważna sprawa, umawiamy się na spotkanie wieczorem.

— To też nie będzie wiarygodną odpowiedzią na pańską, niemiłosierną, przysługę, dociekliwość, ale pomyślałem sobie o „jego prawie głosu we własnej sprawie”...

— Przeglądałem to wszystko w nocy — mówi brat Bogumiła Kobieli — wstrząsających wynurzeń raczej pan nie znajdzie, no ale kto wie, czy te wszystkie codzienności nie świadczą lepiej?

Zauważam, że ta lekko ironiczna celebrycja wyjmowania z dużej torby pękatej koperty ma pokryć przejęcie, z jakim mój gość oznajmia, iż oto zdecydował się w końcu przejrzeć rodzinne archiwum, wydobyl z niego jeszcze kilka zdjęć. doku-

mentów, a wreszcie... listy Bogumiła do rodziny, od czasów Bim-Bomu poczynając!

Nikt poza adresatami ich dotychczas nie czytał, zachowały się w Tenczynku, może teraz właśnie nadzedł ich czas?

Otwieram wolno grubą brązową kopertę. Ze środka wysuwają się mocno już pożółkłe kartki.

Zetłwały papier, ostre, w pośpiechu chyba stawiane litery...

Sopot 2.VI.1955 r.

Moi Kochani!

Za 2 godziny wyjeżdżam do Poznania. Od mojego ostatniego listu do Was bardzo wiele się zmieniło.

Dlatego jeszcze przed wyjazdem z Wybrzeża piszę, bo potrzeba mi pomocy i rady.

O ile pamiętam w ostatnim liście wspominałem o sukcesie, jaki odniósł nasz Teatrzyk w Warszawie. Pierwsze miejsce! Ten sukces po naszym powrocie przerósł znacznie najsmielsze oczekiwania... Więc po pierwsze **ODBIÓR PUBLICZNOŚCI**. — Stoją ludzie na wiele tygodni (dosłownie) przed przedstawieniem, żeby tylko dostać bilet. Sala zawsze tak zatłoczona, że straż pożarna nie zgadza się na rozpoczęcie. Po przedstawieniu poniedziałkowym ani jedna osoba nie opuściła sali i wszyscy skandowali — („od początku! od początku!”).

Teraz wszyscy, najzgorzalsi nawet wrogowie, zasypują nas oczywiście komplementami i wkładają się w laski.

Pod koniec maja była tu na Wybrzeżu Rada Kultury z Warszawy, cały aktyw kulturalny Polski z ministrem Sokorskim na czele. Nikt z nich nie był na żadnym przedstawieniu w Teatrze Wybrzeże, natomiast w sobotę zajęli przed nasz Teatrzyk wytworne samochody, z tych zaś wysiedli (uwaga-uwaga!): Min. Sokorski, Vce-min. Motyka, Vce-min. Wilczek, Dyrektor Centr. Zarządu Teatrów — W. Bałicki, Vce — dyr. Centr. Zarządu Teatrów — W. Pański — i jeszcze z piętnastu facetów, w tym najwybitniejsi aktorzy i reżyserzy, jak Akser, Kreczmar, plastycy — m.in. Studnicki, Wnukowa itd., wszystko laureaci nagród państwowych, tak tak! Zasiedli w pierwszych rzędach (zresztą na cudem dostawionych miejscach) — no i zaczęło się przedstawienie.

Wyobrażacie sobie chyba jaką mieliśmy treść. Ja na każdej przerwie wybiegałem zza kulis zobaczyć czy przypadkiem nie odjeżdżają, a Zbyszek siedział zamknięty w wychodku, żeby nie denerwować aktorów.

Przedstawienie się skończyło i cała ta dostojna ferajna przyszła za kulisy. Byli tak wzruszeni, że Sokorski nie mógł nic z sensem powiedzieć, tylko strasznie w imieniu dostojności wszystkim gratulował i powiedział, że to jedyny moment, który z całej

tej rady kultury i pobytu na Wybrzeżu długo zapamięta, że nasz Teatrzyk jest „młody, świeży, wzruszający, ambitny, problemowy, dojrzały zawodowo, i że można go wszędzie na świecie pokazać” — cytuję.

Na drugi dzień zostaliśmy wezwani do Ministra. Zaproponował nam objęcie dyrekcji tego typu teatru eksperymentalnego na Wybrzeżu. Na razie przeznaczył 150 tysięcy złotych subwencji i kazał zastanowić się i przyjechać lub przysłać odpowiedź.

Rany Boskie! — radźcie co zrobić! Z Poznania zaraz napiszę kartkę z adresem hotelu,

— BOBEK.

13.IX.1958 r.

Rodzino Moja Ukochana!!!

Pewno wieszacie na mnie jamniki i wymyślacie od ostatnich. Słusznie! Ale wy też jesteście trochę dogi — bo Zbyszek był i mówił co z nami, a Wy nie piszecie ani słowa. (...)

To co się dzieje teraz u nas, to absolutny obłęd. Piszemy scenariusz — zdaje się będzie genialny, gramy co 5 dni Sartre'a, przygotowujemy nowe sztuki — Coctou „Mężczyzna”, Jonesco „Improwizacja”, Jareckiego „Globus”. Trzy złożą się na jeden wieczór. Nareszcie mamy własne pomieszczenia w klubie studenckim, ale grozi nam obłęd z powodu rozpiętej dumy. (...) Wczoraj — premiera akademii na 15-lecie ZWM. Całkowicie przez nas przygotowanej. Próby codziennie w nocy po 10 godzin, sukces straszny. Oczywiście nie artystyczny, ale — że tak powiem — partyjny, bośmy zatkali gęby wszystkim kacykom. Straszne komplementy natychmiast i gratulacje ze strony tzw. „czynników”, na bankiecie bez przerwy kontredans przy naszym stole, piruety przewodniczącego WRN, I sekretarza partii. (...) Więc oczywiście wszystkie liski chyc! — do nas, i komplementy, zachwyty, entuzjastyczne artykuły itd. Słowem zrobiliśmy świetną robotę dla Bim-Bomu i Teatrzyku „Rozmów” (tak się nazywa). Też po 4 tys. za reżyserię, co dodatkowo wzmacza euforię rzecz jasna. (...)

Mam propozycję do 3. filmów. W międzyczasie wrywałem się co tydzień do Łodzi do „Zamachu na Kutcherę” (próbne zdjęcia), a jeszcze umówiony jestem z Haselem na nieduży, ale świetny epizod w „Pożegnaniach” Dygata. To wszystko nie koniec, bo — uwaga! uwaga! — podpisałem umowę już — na dużą rolę (18 dni) — w „Popiele i diamentach” Andrzejewskiego! Wyśrubowałem stawkę na ryczałt — 20 tys. złotych! Jadę w poniedziałek na pierwsze zdjęcia i cieszę się jak dziecko. (...) Postaram się wpaść choć na parę godzin do Tenczynka, jednak nie obiecuję (...). Wszys-

kiego i tak nie dam rady pogodzić, ale uparłem się żeby teraz pokazać co naprawdę potrafię. Żeby też dużo zarobić i w jesieni kupić samochód, załatwić mieszkanie, i ściągnąć Was.

Całuję w rozpędzie

— BOBEK.

Bruxelles 24 — V — 1960 r.

Rodzino Ukochana,

jestem już prawie tydzień w Brukseli i pewnie jeszcze tydzień zostanę. Wszystko dlatego, że zapomniałem wyjeżdżając z Cannes załatwić wizy na powrót do Francji, a tutaj okazało się, że trzeba czekać 6 tygodni! Cała Bruksela jest postawiona na nogi sprawą mojej wizy, interwencji w ministerstwie spraw zagranicznych itd. Ja patrzę na wszystko pogodnie. Tym bardziej, że choćby załatwili natychmiast to przed przyjazdem Bim-Bomu nie widzę sensu ruszać się z Brukseli, Bim-Bom ma być 30, dziś 24 maja. Poza tym całkiem tu miło. Filmy nasze są w Belgii tak znane, że na ulicy jeszcze gorzej niż w Warszawie. Przejść zwyczajnie nie można, wszyscy dają nam autograf, wywiady dajemy do telewizji, w gazetach też pełno artykułów o polskim filmie, sława — sława upojna... Stąd też mamy trochę jeszcze pieniędzy żeby poczekać na Bim-Bom. Wszyscy nas zapraszają, stawiają obiady i kolacje, więc grosza na życie nie musimy wydawać. A w Paryżu mamy propozycję pisania scenariusza. Została tam też większość rzeczy i bilet na samolot do Warszawy. (...) Piszcie do mnie do Paryża na adres Katelbachów, Paris XX 3 vila Ameline, natomiast gdybyście chcieli jeszcze do Brukseli to Palais des Beaux-Arts Bruxelles, madame Mulard, directrice de festival du theatre experimental. To jest Polka, która cały ten festiwal organizuje. (...)

Potwornie już za Wami tęsknię, za Polską. Gdyby to było możliwe — bardzo ale to bardzo bym prosił, żeby Allan albo ktoś z Bim-Bomu przywiózł mi „Szarotkę”. Spróbujcie to jakoś mi zorganizować, dwuzakresową „Szarotkę”, dobrze? Ścisłam mocno i czekam na list

— BOBEK.

SOPOT 8.VIII.1963

Moi Kochani, Najdrożsi!

Śnił mi się dziś Tenczynek. I tak mi się smutno zrobiło, że jakoś w tym roku nie nie posiedziałem z Wami i absolutnie nie wiem — co u Was słychać. Przede wszystkim nie mi Mama nie pisze jak się — czuje? Co książdz Profic? Czy są wielkie narady rodzinne? Co u Stapińskich?!

Ja wczoraj film skończyłem nareszcie, bo już strasznie byłem zmęczony, rano zdjęcia a wieczorem „Wagabunda”. (...)

Byliśmy z Maruniem na rakach. Nałapał mi się ze sto i potem było przyjęcie u Tadzia Chyły, bo Chyłowie też z nami owe raki raczyli łapać.

Mają śliczne mieszkanie na 6 piętrze. Piliśmy koniaczki i pojadali rakami racząc się tak do rana, jest tutaj w Jastarni Duda Dziewoński, strasznie się o Manię dopytuje i pozdrowia. (...)

Już wiem, że zagram w filmie „Upał” według Kabaretu Starszych Panów, w sumie 15 dni zdjęciowych. Cieszę się, bo nareszcie jakaś szansa dla mnie, coś innego i coś na co zawsze bardzo czekam. To powinien być zresztą ładny film. Przybora, Wasowski, Michnikowski, Golas, Kraftówna, reżyser pierwsza klasa — więc już dni liczę do tych zdjęć.

Piszcie, co w Tenczynku!

— BOBEK.

MACIEJ M. SZCZAWIŃSKI



TRADYCJE „WYSOKIEJ”, profesjonalnej twórczości muzycznej na Śląsku sięgają dwudziestolecia międzywojennego. W 1929 roku powstało z inicjatywy Witolda Friemanna katowickie konserwatorium. Skupiło ono w swoich murach wybitnych artystów takich, jak Bolesław Szabelski (uczeń Karola Szymanowskiego), Adam Mitscha, Stefania Alinówna, Wanda Chmielewska, Władysława Markiewiczówna i in. W 1945 roku dołączył do ich grona Bolesław Woytowicz, aby wspólnie z Szabelskim stanąć na czele pierwszej „śląskiej szkoły kompozytorów”. Słowo „szkoła” wyjątkowo dobrze określa charakter związków łączących pierwszych pedagogów i wychowanków katowickiej uczelni. W przyjętym ogólnie znaczeniu, sugeruje wspólnotę postaw, która wynika z podlegania podobnym wpływom i orientowania się w stronę tych samych ideałów. W znaczeniu dodatkowym uzmysławia tożsamość rozwiązań artystycznych, układającą się w pojęcie „stylu”.

Styl przedwojennej generacji kompozytorów śląskich reprezentuje odmianę neoklasycyzmu — kierunku obowiązującego wówczas w Polsce i w Europie (z wyjątkiem ościennych Niemiec i Austrii, gdzie kwitła w tamtych czasach awangardowa twórczość spod znaku dodekafonii czy hindemithowskiej „nowej rzeczywistości”). Niesione przez neoklasycyzm sugestie dyscypliny warsztatowej, „obiektywnego” spojrzenia na muzykę jako rezerwat ładu i harmonii biegnęły się u Szabelskiego i Woytowicza ze szczególnym pojmowaniem twórczości jako rzemiosła o ustalonych od dawna regułach i „cenniku”. Owocem tego nałożenia stała się sztuka o bardzo „twardych”, stabilnych konturach: solidna, unikająca eksperymentowania i ideologicznych ekscesów, chociaż otwarta na zmiany przynieszone przez „ducha czasu”.

Ten model twórczości przekazali przedstawiciele pierwszej „śląskiej szkoły” swoim uczniom, ci zaś następnemu pokoleniu. Główne jego elementy są nadal rozpoznawalne u większości tutejszych artystów, jako że śląska kultura muzyczna jest kulturą bardzo zasiedziłą. Jej ewolucja odbywa się przy minimalnej „rotacji personalnej”. W katowickiej Akademii Muzycznej, która jest kontynuacją przedwojennego konserwatorium, pracują dziś głównie jego wychowankowie oraz „wychowankowie wychowanków”. Ten stan rzeczy tłumaczy także do pewnego stopnia trwałość występujących tu postaw i dziedziczość zdobytych, które w innym, bardziej zróżnicowanym środowisku, dawno by już pozurły jakiś efektowny konflikt pokoleń.

POKOLENIE „51”

Sugerowana „trwałość” i „ciągłość” dotyczy oczywiście tylko sfery ogólnych nastawień wobec twórczości, nie determinuje natomiast jedności języka i technik, które spożytkowywały kolejne generacje artystów. Przykład otwartości na walory nowszych technik kompozytorskich dał Bolesław Szabelski, asymilując w latach dojrzałych (podobnie jak inny wielki neoklasyk — Strawiński) dodekafonię. Uczniowie Szabelskiego (Edward Bogusławski, Henryk Mikołaj Górecki, Jan Wincenty Hawel) i Woytowicza (Wojciech Kilar, Witold Szalonek, Józef Świder) kontynuowali poszukiwania awangardowe, wypróbowując ściśle techniki lat 50.: serializm i strukturalizm, jednocześnie zaś poddawali się sugestiom nowszego prądu, jakim był popularny w latach 60. aleatoryzm.

MAGDALENA DZIADEK

Trwałość i ciągłość — to szczególnie uchwytne cechy „śląskiej szkoły kompozytorów”, na którą składa się już twórczość czterech kolejnych generacji.

Czwarta generacja

Przełom lat 60. i 70. był „złotą epoką” śląskiej muzyki współczesnej. Charakteryzowała go dynamika działalności środowiska skupionego w katowickim oddziale Związku Kompozytorów Polskich. Staraniem Związku zainaugurowano wówczas cykle koncertów nowej muzyki w ramach „Śląskich Trybun Kompozytorów”. Organizowano je nie tylko w Katowicach, lecz także w Warszawie — co dowodzi nie tylko ogromnych ambicji śląskich twórców, oraz ich dobrego samopoczucia, mającego źródło w świadomości, iż sztuka ich dosięgła poziomu ogólnopolskiego. Błyskotliwe kariery Góreckiego i Kilara na kolejnych „Warszawskich Jesieniach” dowiodły, że ów optymistyczny nastrój nie był bynajmniej nieuzasadniony.

Symboliczna data 1976, oznaczająca rok powstania dwóch ważnych dzieł znamiennych przełom w ówczesnej muzyce polskiej: „Koncertu skrzypcowego” Krzysztofa Pendereckiego i III Symfonii („Symfonii pieśni żałobnych”) Góreckiego stanowi także orientacyjną cezurę w dziejach twórczości muzycznej na Śląsku. W roku 1976 klasę kompozycji Góreckiego w katowickiej Akademii Muzycznej opuścił Eugeniusz Knapik. Rok wcześniej dyplom w klasie tego samego pedagoga uzyskał Andrzej Krzanowski. W 1979 roku absolwentem klasy Józefa Świdra został Aleksander Lason. Wszyscy ci twórcy byli rówieśnikami. Nazwano ich (od daty urodzenia) „pokoleniem 51”. Drogi twórcze trzech młodych artystów były zrazu dość podobne. Pozostawali oni pod przemożnym wpływem neoromantyzmu (prądu, którego głównym przedstawicielem jest w Polsce Penderecki). Inspiracje neoromantyczne dotyczyły sfery ich warsztatu (widoczny u Knapika i Lasonia zwrot do konsonansowości i tonałności), czytelnego

stylu (asymilującego rozmaite sugestie muzycznej przeszłości), przede wszystkim jednak postawy estetycznej, w obrębie której przywrócony został walor ekspresyjności muzyki i jej niegdysiejszy, romantyczny wymiar „wielkości”.

Zwrot neoromantyczny — jeden z aspektów dokonującego się w latach 70. przełomu postmodernistycznego, stanowił szok dla publiczności, mało obytej z poza-awangardowymi kierunkami muzyki współczesnej (antycypujące postmodernizm nurty takie, jak minimalizm, czy „muzyka medytacyjna” były w Polsce słabo znane). Nowy rodzaj twórczości został jednak szybko zaakceptowany, częściowo dzięki oddziaływaniu magii nazwisk Góreckiego, Kilara, Pendereckiego, częściowo zaś także dlatego, że muzyka neoromantyczna przynosiła słuchaczowi upragnione wytchnienie: swoją bezpośredniością, ekspresyjnością i (pozorną) konwencjonalnością komponowała abstrakcyjność, przeintelektualizowanie i obojętność muzyki awangardowej.

Lata siedemdziesiąte były okresem wielkiej przyjaźni między kompozytorem i słuchaczem. Przyjaźń owa miała swój wymiar „idealny” i „materialny”. Wielkości tego ostatniego nie oddaje oczywiście ilość biletów sprzedanych na koncerty muzyki współczesnej, uzmysławia jednak inne charakterystyczne dla ówczesnej „epoki dobrobytu” zjawisko — rozrastanie się festiwalu nowej muzyki, które stanowiły wielkie forum spotkań twórców i odbiorców. W panoramę znanych polskich festiwali takich, jak „Warszawska Jesień”, „Poznańska Wiosna”, „Musica polonica nova” we Wrocławiu, „Młodzi Muzycy Młodemu Miastu” w Stalowej Woli, organizowanych regularnie, bez oszczędzania pracy organizacyjnej i państwowych funduszy, wpisywał się od 1984 roku „Śląskie Dni Muzyki Współczesnej”. Ten „pogrobowiec” dobrych (dla muzyki) czasów zdążył mieć w kryzysowych latach osiemdziesiątych pięć edycji (1984—88). Impreza, powołana do życia przez katowicki oddział Związku Kompozytorów Polskich, miała na celu prezentowanie publiczności śląskiej dorobku rodzimego środowiska. O tym, że festiwal był potrzebny świadczy fakt, iż ostatnio został wznowiony. VI „Śląskie Dni Muzyki Współczesnej” odbyły się w Katowicach w 1994 roku. Obecnie środowisko ZKP-owskie czyni starania o zdobycie funduszy na organizację następnych, planowanych na październik 1996.

POKOLENIE „STANU WOJENNEGO”

Już podczas pierwszych „Śląskich Dni” ujawniła intensywnie obecność kolejna grupa młodych kompozytorów — pokolenie „stanu wojennego” (użyta nazwa ma sugerować jedynie historyczne usytuowanie tej grupy, nie zaś jej związki polityczne czy ideologiczne!). W trudnych latach kartkowych studiów w katowickiej Akademii Muzycznej ukończyli: Piotr Radko (1981, u Edwarda Bogusławskiego), Sławomir Olszanowski (1982, u Edwarda Bogusławskiego), Andrzej Dziadek (1986, w klasie Józefa Świdra), Jolanta Zdechlikiewicz (1988, w klasie Edwarda Bogusławskiego), Wiesław Cienciala (1989, w klasie Józefa Świdra), Henryk Grzesło (1989, u Edwarda Bogusławskiego).

Moment debiutu tej grupy, dzieło wkraczającej w artystyczną dojrzałość, był trudny nie tylko z powodów ekonomicznych, takich, jak upadek państwowego mecenatu

pociągający za sobą rozpad rynku koncertowego i wydawniczego, drastyczne skurczenie się funduszy stypendialnych, zawieszenie możliwości wyjazdów zagranicznych, itp. Czynnikiem w równym stopniu obowiązującym była dla pokolenia, o którym mowa, kryzysowa sytuacja muzyki światowej. Ekstremizm postmodernistów spod znaku „minimal music”, czy „New Simplicity” — kierunków odrzucających europejską tradycję sztuki kompozytorskiej na rzecz „powrotu do źródeł”, „czystej świadomości” czy też „terapii absurdu” — podał w wątpliwość sens kontynuowania Sztuki muzycznej (przez wielkie S). Ponadto, rozmaitość propozycji artystycznych doprowadziła do destabilizacji ogólnej koncepcji tworzenia. Współczesna sztuka muzyczna rozpadła się na mnóstwo jednorazowych, sprzecznych ze sobą działań. Nowa muzyka przestała być rozpoznawalna jako estetyczna i stylistyczna całość, podzieliła się już nie na prądy, tendencje czy koncepcje, ale po prostu na pojedyncze realizacje (starych) pomysłów, wyposażone w wymowę autoironiczną, surrealistyczną lub wręcz — psychotyczną. „W dzisiejszej muzyce młodej współistnieją wiele tendencji” — mówi włoski kompozytor Luciano Berio — „niekiedy wydaje mi się, że młodzi tracili poczucie historii. Entuzjazm dla pluralizmu, wielotorowości i decentralizacji świata muzycznego spowodował brak zrozumienia dla podstawowej prawdy, że język muzyki może być komunikatywny. Utraciliśmy wizję uniwersalnego języka, który pozwala muzyce i muzykom mówić i być powszechnie rozumianymi”.

Podstawowe hasła muzyki naszych czasów: „wszystko wolno” i „wszystko jest dobre” nie stanowią pewnej podstawy, na której mogłaby się rozwijać sztuka młodych. Ideologia postmodernizmu (jeśli takowa istnieje), przeczy zasadzie rozwoju, tym samym zaś uniemożliwia konsolidowanie się artystów w szkoły, grupy, pokolenia. Skoro jednak programowo odwołujemy się w tytule naszego szkicu do pojęcia pokolenia, znaczy to, że odkrywamy w twórczości młodych Ślązaków pierwiastki spójności i stabilizacji, pozwalające ukazać ją, wbrew presji „momentu historycznego” jako fenomen estetycznie i stylistycznie określony, wyodrębniający się z tła postmodernistycznej rzeczywistości.

Jako syntetyczne określenie twórczości młodego pokolenia lat 80. narzucają się takie terminy, jak konstruktywizm, obiektywizm, „nowy klasycyzm” — te same, których używaliśmy poprzednio do ogólnej charakterystyki „śląskiej szkoły kompozytorskiej”. Zbieżność ta nie jest zapewne przypadkowa, nabiera przy tym szczególnej wyrazistości w kontrastowym zestawieniu z „duchem czasu”, niosącym kryzys postaw i koncepcji twórczości. Bliższe wyjaśnienie tendencji występujących w muzyce młodych Ślązaków przynoszą poniższe szkice, poświęcone muzyce Piotra Radki, Sławomira Olszamowskiego, Andrzeja Dziadka, Jolanty Zdechlikiewicz i Wiesława Cienciały — kompozytorów wyróżniających się aktywną działalnością i sporym dorobkiem w postaci wykonanych i nagranych utworów oraz nagród kompozytorskich.

PODOBIENSTWA I RÓŻNICE

Od pierwszych swoich utworów dąży Piotr Radko konsekwentnie do budowy własnego świata dźwiękowego

zrządzającego się prawami ścisłej konstrukcji. Prawa te obowiązują u niego na różnych poziomach, począwszy od doboru materiału dźwiękowego, który systematyzuje kompozytor w skale własnego pomysłu, skończywszy zaś na kształtowaniu formy opierając się na zasadzie ewolucyjności lub kontrastu. Utwory Radki stanowią stylistyczny monolit. Można je rozpoznać po specyficznym rysunku motywów, wykorzystującym efekt powtarzalności i przesuwania struktur interwałowych, po sposobie „tkania” muzycznej faktury (w którym wielka rola przypada linearyzmowi), po predylekcji do operowania dużymi składami instrumentalnymi (Radko to urodzony symfonik) i posługiwania się tradycyjnymi formami muzyki późnoromantycznej (symfonia, poemat symfoniczny, oczywiście bez programowej treści, cykliczne formy kameralne).

W spisie utworów Piotra Radki brak niemal zupełnie pieśni (jedyne cykl do słów Leśmiana powstał w 1985 roku). Potwierdza to tezę, iż jest to twórca stawiający nie tyle na ekspresję, komunikatywność, „granie nastrojami” itp., ile na doskonalenie warsztatu, potrzebnego do objęcia form szeroko zakrojonych, dynamicznych, rozwojowych. W swojej dotychczasowej twórczości przeszedł artysta ewolucję techniki dźwiękowej. Punktem wyjścia był dla niego strukturalizm — zarzucony przez poprzednie pokolenie sposób komponowania oparty na dyscyplinie skalowej, która wyznacza rysunek motywów, bieg fraz i rodzaj współbrzmień.

Przemysłane, dojrzałe utwory Radki z lat 80. charakteryzują się także ścisłym zapisem. U progu lat 90. nastąpił u artysty zwrot w kierunku aleatoryzmu. Był on efektem fascynacji muzyką Witolda Lutosławskiego, której poddał się nie tylko on, lecz ogromna większość młodych. Dom Lutosławskiego na warszawskim Żoliborzu był dla początkujących kompozytorów miejscem regularnych pielgrzymek. Tu otrzymywali oni od wielkiego artysty cenne rady, a nierzadko i pomoc materiałną. To właśnie Lutosławski namawiał młodych do przeciwstawienia się postmodernistycznej destrukcji i powrotu do koncepcji tworzenia zakotwiczonej w tradycji europejskiej stawiającej sobie za cel budowę własnego, spójnego świata dźwiękowego, wypełnionego nie tylko samymi „pomysłami”, lecz konsekwentnymi wypracowaniami posiadającymi idee, cel i odpowiednio dobrane środki.

Najbardziej widocznym efektem spotkań Piotra Radki z Lutosławskim jest przejście od mistrza jego techniki „kontrolowanego aleatoryzmu”. Stosuje ją w połączeniu z elementami strukturalizmu (jak to zresztą czynił sam Lutosławski). Utwory Piotra Radki napisane w ostatnich latach nabierają jednak nieoczekiwane cech postmodernistycznych. Ten nowy akcent zawdzięcza on zetknięciu się na emigracji z kulturą muzyczną kręgu niemieckojęzycznego. Wyraźnie widoczne w „Utworach lirycznych” (1992) czy „Cantabile. Allegro con fuoco” (1993) elementy tradycyjnej melodyki i faktury, uwzględniające teraz większy udział pierwiastka wirtuozowskiego, a przede wszystkim nowy u Radki pierwiastek śpiewności i liryzmu (patrz tytuły!) każą myśleć o związkach artysty z popularną w Niemczech ideologią „Die Neue Einfachheit”, proponującą właśnie powrót do romantycznej ekspresyjności oraz czerpania bez kompleksów z zasobu dawniejszych środków. W najnowszym utworze Piotra Radki — „Sinfonietcie” (nagrodzonej na tegorocznym konkursie z okazji 50-lecia Związku Kompozytorów Polskich) nie dostrzegamy tak wyraźnych znamion fascynacji „nową prostotą”. W utworze tym, pełnym rozmachu, błyskotliwym, wirtuozowskim rozpoznajemy

dawny styl artysty i wcześniejszą technikę, opartą na dialektyce dyscypliny i umiejętności dozwolanej wolności.

Twórczość Sławomira Olszamowskiego, skromniejsza ilościowo niż Piotra Radki, nie odbiega od tamtej poziomem ani ogólną koncepcją. Świat dźwiękowy Olszamowskiego to także świat indywidualny — rezerwat introwertyczności, subtelnej liryzmu i refleksyjności, ujęty w formy drobne, kameralne oraz technikę prostą, pozbawioną ambicji rewolucyjności. Ogólną orientację dotychczas wykonanych utworów Sławomira Olszamowskiego nazwalibyśmy „poetycką”. Trudno ocenić, w jakim kierunku rozwinię się dalej twórczość młodego artysty. Wiadomo, że po wyemigrowaniu do Niemiec zajął się on ostatnio muzyką komputerową.

Nieco inaczej, niż w przypadku dwójga opisanych wyżej autorów rozwijała się twórczość Andrzeja Dziadka. Kompozytor ten najsilniej uległ wpływom postmodernizmu. W utworach sprzed 1990 roku realizował założenia polskiego neoromantyzmu spod znaku Pendereckiego. Pisał rzeczy zakotwiczone w romantycznym etosie twórczości nastrojonej na wysoką, patetyczną nutę, wydobywając na plan pierwszy walor ekspresyjności zabarwionej subiektywnie. W 1990 roku, wygrawszy Konkurs Młodych ZKP, artysta wyjechał na dwuletnie stypendium do Wiednia, gdzie zetknął się z kulturą muzyczną zupełnie odmienną od polskiej. Wiedeń jest, jak wiadomo, kolebką nowej muzyki. Tutaj Schonberg i jego uczniowie stworzyli sztukę dodekafonii, tu następcy „drugiej szkoły wiedeńskiej” położyli podwaliny pod ekstremalny nurt awangardy — totalny serializm. Przez Wiedeń przewinęły się wszystkie kierunki muzyki współczesnej — oprócz nurtów „neo”.

Na współczesnych wiedeńskich cechach neostylów, takie, jak celowa czy przypadkowa banalizacja pomysłów, tradycyjnosc melodyki i harmonii a nade wszystko (neoklasyczna) zasada symetrii układów metrycznych i formalnych, połączona z regułą powtarzalności, nie robią najlepszego wrażenia. W wiedeńskiej Hochschule für Musik kulturuje się muzykę przefiltrowaną przez intelekt, niezwykle wyrafinowaną w konstrukcji. Konfrontacja z tego typu muzyką zapoczątkowała u Andrzeja Dziadka poszukiwanie nowej metody tworzenia, która by spełniała warunek racjonalności bez potrzeby porzucenia stylu ekspresyjnego, subiektywistycznego. Utwory napisane przez młodego kompozytora w Wiedniu charakteryzują się jak dawniej intensywnym wyrazem. Pozostało też zamiłowanie artysty do gęstych współbrzmień i myślenia linearnego. Nowym akcentem technicznym są w nich elementy strukturalizmu.

W mniejszym stopniu niż Radkę pociąga Andrzeja Dziadka aleatoryzm. Nowe utwory tego artysty stanowią dość rzadkie połączenie wątku ekspresjonistycznego z racjonalistycznym dążeniem do odświeżenia języka dźwiękowego w sensie „pozytywnym” — bez dekonstruowania jego zacerpniętych z tradycji elementów. Silnie wpisane w obraz muzyki XX wieku dążenie do eksperymentowania skumulowało się w twórczości kolejnego przedstawiciela młodych kompozytorów śląskich — Wiesława Cienciały. Jego dotychczasowe prace naznaczone są piętnem permanentnych poszukiwań w sferze techniki i brzmienia. W ostatnich czasach uwaga Cienciały skupiła się na muzyce elektronicznej i komputerowej, jednej z najmłodszych, w zasadzie jeszcze raczkującej tendencji w muzyce współczesnej. Na Śląsku powstały ostatnio sprzyjające warunki do zajęcia się tą dziedziną twórczości: przy

katowickiej Akademii Muzycznej otwarto bowiem Studio Muzyki Elektronicznej i Komputerowej. Pracując w owym studio Wiesław Cieniało kształcił jej przyszłych adeptów. Sam upodobał sobie pogranicze muzyki komputerowej — metodę łączenia dźwięku wytwarzanego przez komputer z muzyką wykonywaną „na żywo” przez instrumentalistów. Owa pograniczna technika daje, według przekonania młodego artysty, największe szanse „zhumanizowania” muzyki komputerowej oraz przezwyciężenia tkwiącego w niej elementu technicyzacji poprzez dopuszczenie udziału gry przypadku ze strony wykonawcy, który staje się współtwórcą dzieła. Pod względem technicznym muzyka Wiesława Cieniało reprezentuje różne odmiany aleatoryzmu (tradycyjnie towarzyszącego muzyce elektronicznej). Pod względem estetycznym jest to sztuka „mentalna”, zaangażowana w dzieło badawczego eksperymentu, otwarta na inspiracje płynące z nauki.

Z dala od typu postaw artystycznych prezentowanych przez wyżej wymienionych kompozytorów sytuuje się postawa **Jolanty Zdechlikiewicz**. Jej utwory kojarzące się nieodparcie z fenomenem „twórczości kobiecej” (przepraszam feministki!) — przyciągają kapryśnością, wrażliwością, tajemniczością tego samego gatunku, który zawiera np. poezja Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej (choć sama kompozytorka, pytana o inspiracje, powołuje się raczej na malarstwo Marca Chagalla i Paula Klee). Jolanta Zdechlikiewicz pisze najchętniej drobiazgi: pieśni, utwory kameralne na małe składy. Nadaje im często poetyckie tytuły wiążące się z pejzażem, kształtami i barwami przestrzeni („Płynność, płynność, falistość”, „Sploty”, „Niebieskie łaki bez granic”), co samo w sobie wskazuje na właściwy jej poetycki sposób traktowania wypowiedzi muzycznej.

Kompozytorka interesuje się odmianą aleatoryzmu zwaną sonoryzmem. Jest to tendencja ukierunkowana na poszukiwanie nowego brzmienia, uzyskiwanego z instrumentów niekonwencjonalnymi sposobami, szerzej zaś — swoista filozofia muzyki przynosząca sugestię rozszerzenia granic dzieła i jego odbioru (w Polsce głośnym propagatorem muzyki sonorystycznej był wybitny kompozytor rodem ze Śląska — Witold Szalonek. Nb. u niego studiowała prywatnie Jolanta Zdechlikiewicz).

ZAPOWIEDZI GENERACJI PIĄTEJ

W chwili, gdy piszemy o dokonaniach i dążeniach pokolenia kompozytorskiego lat osiemdziesiątych, do opuszczenia murów Akademii Muzycznej i rozpoczęcia samodzielnej pracy twórczej, przygotowuje się kolejna generacja artystów. Są wśród nich prawdziwe talenty. W niedalekiej przyszłości usłyszymy zapewne niejedno o Mikołaju Góreckim (juniorze). Sporymi osiągnięciami w postaci nagród i wyróżnień na konkursach dla młodych kompozytorów legitymują się: Marcel Chyrzyński (studium w Krakowie, lecz rodem ze Śląska), Aleksander Gabrys, Aleksandra Garbał (laureatka prestiżowego Konkursu im. Tadeusza Bairda). Wszystko wskazuje na to, że śląska sztuka kompozytorska będzie się nadal prężnie rozwijać, zwłaszcza, że dzięki przychylności władz regionu rysują się coraz większe szanse ożywienia działalności środowiska i przywrócenia śląskiej muzyce współczesnej jej dawniejszego prestiżu społecznego i blasku.

MAGDALENA DZIADEK

WIESŁAW CIENIAŁA

urodził się w 1961 roku w Cieszynie. Studiował teorię muzyki oraz kompozycję w klasie Józefa Świdra w katowickiej Akademii Muzycznej (dyplomy 1987, 1989). Jest laureatem konkursów kompozytorskich im. S. Wiechowicza (1984) i G. Fitelberga (1988). W 1991 otrzymał Nagrodę Wojewody Katowickiego dla Młodych Twórców. Jego utwory były wykonywane na czołowych polskich festiwalach muzyki współczesnej, m.in. na „Warszawskiej Jesieni” oraz za granicą, m.in. w Niemczech.



ANDRZEJ DZIADEK

urodził się w 1957 roku w Jasienicy koło Bielska-Białej. Studiował kompozycję w katowickiej Akademii Muzycznej w klasie Józefa Świdra (dyplom z wyróżnieniem 1986). W latach 1990—1992 kontynuował studia kompozytorskie u Francisza Burtu w Wiedniu jako stypendysta Rządu Austriackiego i Fundacji im. Albana Berga. Zdobył nagrody na konkursach kompozytorskich w Gdansk (1983), Katowicach (im. G. Fitelberga, 1986) oraz na Konkursie Młodych ZKP (1987). Jego utwory były wykonywane w kraju i za granicą, m.in. w Austrii, Belgii, Niemczech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych. Od 1993 jest prezesem katowickiego oddziału ZKP.

ŚLAWOMIR OLSZAMOWSKI

urodził się w 1953 roku we Wrocławiu. Studia kompozytorskie ukończył w Akademii Muzycznej w Katowicach w klasie Edwarda Bogusławskiego (dyplom 1982). W 1984 roku został laureatem Konkursu Młodych ZKP. Wykonywał swoje utwory na prestiżowych koncertach w kraju i za granicą.



PIOTR RADKO

urodził się w 1957 w Kijanach w woj. lubelskim. Ukończył kompozycję w klasie Edwarda Bogusławskiego w Akademii Muzycznej w Katowicach (dyplom 1981). Jest laureatem Konkursu Młodych ZKP (1981), konkursów im. K. Szymanowskiego (1988), T. Bairda (1991), G. Bacewicza (1993), Konkursu z Okazji 50-lecia ZKP (1995). W 1989 otrzymał Nagrodę Artystyczną Wojewody Katowickiego. Jego utwory miały wiele wykonań w kraju i za granicą, m.in. w Jugosławii i w Niemczech.

JOLANTA ZDECHLIKIEWICZ

urodziła się w Czeladzi. Studia w zakresie teorii muzyki oraz kompozycji (w klasie Edwarda Bogusławskiego) ukończyła w katowickiej Akademii Muzycznej w 1988 roku. Studiowała także prywatnie u Witolda Szalonka. Jest laureatką Konkursu Młodych ZKP. Jej utwory były wykonywane na koncertach w kraju i za granicą.



NA BUDOWIE

Było nas pięćdziesięciu. Czy nie za mało? — ktoś posiał wątpliwość. Ale została rozwiana: powinno wystarczyć, bo tu od fundamentów do sterty cegieł tam, jest równo sto pięćdziesiąt metrów. Mierzono dokładnie. — Trzeba się będzie ustawiać co trzy metry — po tym upewnieniu zaczęliśmy zstępować z pagórka i co trzy duże kroki jeden z nas zatrzymywał się i zostawał, a reszta szła dalej.

Jako ostatni pierwszy stanąłem przy stercie, która rosła, bo co jakiś czas podjeżdżała wywrotka i pozostawiała swój ładunek cegieł.

Wziąłem pierwszą z brzegu i spojrzałem na nią z odległości wyciągniętej ręki. — Wystarczyłoby ci wytworzyć świadomość budowy, w której będziesz musiała utonąć na zawsze, ażeby cię skazać na metafizykę — zwróciłem się do niej. — Na zadawanie wielkich pytań o pierwszą przyczynę. O sens bycia cegłą. I o cel swej krótkiej drogi: od momentu, gdy byłaś garścią gliny wyrwanej z calizny, poprzez cegielnię, aż do wsunięcia na lepkiej zaprawie w to miejsce, które wyznaczy ręka murarza i które pozostanie dla ciebie wielką tajemnicą do samego końca. A więc tym samym będziesz przyczyną dalszych wątpliwości. Bo mając świadomość budowy, w której się znajdziesz, będziesz dalej pytać o to samo, tyle tylko, że już jako cząstka tejże budowy. W niej zaś jako cząstka dzielnicy. Potem miasta. I tak dalej, i tak dalej... I o to też zechcesz wtedy spytać, dlaczego budowniczy zdecydował się właśnie na takie cegły? Cóż on takiego buduje, że one akurat muszą myśleć? I po co to robi? W jakim celu? I jeśli mu nawet konkretny cel przyświeca — choćby i przeogromny — to jakże on się ma do celu samej cegły, czyli do twojego, skoro ten ostateczny zasnuwa mgła jeszcze bardziej gęsta od tej, w której utonęły wieże Elnorru. Bo czymże jest zatopienie się w murze, który jest tylko drobną cząstką ogromnej całości, będącej jedynie fragmentem czegoś, co jest składnikiem składnika? Cząstką atomu w ogniwie nieskończonego łańcucha przyczyn, co są skutkiem, na końcu którego był jednostkowy wyje do księżycy...

— Podaj cegłę! — przerwano mi z góry. Wspomogłem więc dłoń drugą, zamachnąłem się i oddałem pierwszą cegłę jej nieuchronnemu losowi.

Opmieścić co raz krótsze

EDMUND WOJNAROWSKI

WIZYTA W PIEKLE

Ani nie było gorąco, ani też nie czuło się zapachu siarki. W moim ojczystym języku powitało mnie ciepło urodziwie dziewczę, zapytawszy ze szczerą troską w głosie, czy miałem dobrą podróż.

— Zostało jeszcze trochę czasu, więc można się popatrzeć — poinformowało mnie, gdy powiedziałem, że tak. No to zacząłem się rozglądać. Ale chociaż rozglądałem się bardzo uważnie, nigdzie nie dostrzegłem jakichkolwiek kręgów. Może się one przysniły Dantemu, gdy pisał swoje arcydzieło.

Były natomiast same luksusowe hotele klasy inter, salony, apartamenty, wlochaty dywany, muzea, opery i teatry, kurorty i kasyna. Nawet kina i starówki.

Na każdym kroku dało się spotkać dystygowanych mężczyzn, wieczorowe panie, roztargnionych uczonych i dbających o niedbały wygląd artystów. Śladu po kimś takim, co miałyby rogi, ogon i kopyta. Może więc dla Diabła piekło jest jego niekwestionowanym niebem? I, żeby to piekło zobaczyć, trzeba sobie zasłużyć?

— Ale kiedy ja się stałem ich człowiekiem? — zastanowiłem się i zacząłem analizować dzień po dniu.

APOKRYF

Siada na jabłoni ptaszek. Spostrzega ptaszka strzelca. Mierzy i pociąga za jęczyczek od wagi, na której śmierć bywa bardzo lekka. — Sir Newtonie — judzi szatan — z gałęzi spada jabłko, które obrosło w piórka!

Sir Newton podrywa się z poobiedniej drzemki. Już łapie za pióro. Macza go w inkauście, ażeby znowu skorzystać z okazji i obliczyć dynamiki jeszcze jedno prawo. Ale przypomina sobie, co przyrzekał Stwórcy.

— Do trzech razy sztuka, zaklinałem się przecie, kiedy niebiosom wydierałem tajemnicę o tym, że akcja równa się reakcji — stropił się uczony.

Sir Newton z obrzydzeniem odrzuca pióro. Delikatnie z ziemi unosi martwego ptaszka i do warg tuli. Na nieskazitelną biel gorsu sir Isaka ostatnia kropelka krwi spada.

Jednocześnie ze iza, której w niebie święty Franciszek nie zdołał w porę ukryć przed światem.

Nie tylko poetki kochają się między wierszami.

Wolność - kara za grzechy, które się dopiero popełni.

Wiara czyni cuda. Cuda czynią wiarę.

Najsrozsze piekło czeka tych, którzy z krzyża zrobili karabin.

Nie żądaj od krowy masła.

Jeśli przyjąć miary historii — Katowice są miastem młodym i nie ma co nawet porównywać ich wieku chociażby z pobliskim Bytomiem, wymienionym w bulli papieskiej już w 1136 roku. Kariera Katowic, które w krótkim czasie wybiły się na czoło miast śląskich, czeka wciąż na swojego dziejopisę, choć wiedza o stolicy regionu szczególnie w ostatnich latach znacznie się powiększyła i pojawiło się wiele nowych publikacji, w tym wspaniałe wydawnictwo albumowe.

130 rocznicę nadania praw miejskich Katowicom (11 X 1865) uświetniły liczne wystawy, imprezy i spotkania. Wrześniowy numer „Przeglądu Katowickiego”, specjalne dodatki „Gazety Wyborczej” i „Trybuny Śląskiej”, publikacje w innych pismach również przyczyniły się do upowszechnienia dotychczasowej wiedzy o Katowicach mało na ogół znanej nawet katowiczanom.

OD KUŹNICY BOGUCKIEJ

Dzisiejsze miasto rozwinęło się z osady przy średniowiecznej kuźnicy boguckiej wymienianej w źródłach w roku 1397. Po raz pierwszy pod obecną nazwą ówczesna wieś odnotowana została w roku 1598 (zapisano wtedy: „nova villa Katowice”). Pamięć o przemysłowym prapoczątku przetrwała w herbie, w którym utrwalony został wizerunek młota kuźniczego poruszanej siłą wody. Najstarszy znany odcisk pieczęci gminnej z tym herbem pochodzi z roku 1816 i widnieje na inwentarzu parafii boguckiej. Oprócz Bogucic i Katowic, do parafii należały wtedy jeszcze Załęże i Mała Dąbrówka. O liczbie mieszkańców tych miejscowości mówi pośrednio zanotowana w aktach kościelnych liczba komunikantów (czyli przystępujących do komunii). Otóż z wszystkich wymienionych miejscowości było ich łącznie 1237.

W tym samym 1816 roku któryś z mieszkańców Katowic ufundował rzeźbioną w piaskowcu figurę świętego Jana, którą ustawiono tam, gdzie od dzisiejszej ulicy św. Jana (lat temu kilka — ul. 27 Stycznia) odchodzi ul. Staromiejska. Był to punkt niezmiernie wówczas ważny, gdyż krzyżowały się w nim drogi: z Pszczyny i Mikołowa na wschód — w stronę Mysłowic oraz z Chorzowa i Siemianowic w kierunku południowym (do Brynowa). Po północnej stronie linii wyznaczonej przez dzisiejsze ulice 3 Maja i Warszawską rozciągał się już teren nieswojski, „pański”, należący do właścicieli „dóbr ryckich Katowice”, którzy kolejno przejmowali obiekt hutniczy stojący na fundamentach dawnej kuźnicy boguckiej, a siedzibę swoją mieli dośownie naprzeciw — w okolicach dzisiejszego hotelu „Katowice” (pamięć tego przetrwała w nazwie: ulica Zamkowa).

Gdy właściciel Katowic, magnat przemysłowy Franz Winckler, doprowadził do zmiany przebiegu odcinka kolei żelaznej, prowadzonej z Wrocławia do Mysłowic — tak by przechodziła przez Katowice, a stało się to w roku 1846 — sprawa była przesądzona. Zbiegły się sprzyjające czynniki: położenie geograficzne, wiek pary i intensywna faza rewolucji przemysłowej. Dotychczasowa wieś zaczęła rozwijać się w „tempie amerykańskim”, jak napisał w dziesięć lat przed uzyskaniem przez Katowice praw miejskich Józef Lompa. W otoczeniu Wincklera zrodziła się koncepcja, by rozwojowi temu nadać sankcję formalną, co po znanych perypetiach nastąpiło we wspomnianym roku 1865. Katowice liczyły wtedy 4815 mieszkańców — 3354 katolików, 888 ewangelików i 573 Żydów; dziś mają ich 360 tysięcy.

ze starych teczek

130

URODZINY

...POD WYSOKĄ WIEŻĄ

Krótkie — zdawałoby się — dzieje Katowic mają jeszcze dość spore obszary „białych plam”. Łatwiej o dopisanie czegoś na kartach dotyczących czasów odległych o wiek niż o wzbogacenie wiedzy o najbardziej dramatycznym momencie w dziejach miasta — obronie Katowic w pierwszych dniach września 1939 roku.

Najbardziej wzruszającym fragmentem tegorocznych obchodów była uroczystość odsłonięcia tablic z ustalonymi nazwiskami kolejnych 5 ofiar masowych egzekucji przeprowadzonych 3 i 4 września. Odbyła się 18 września br. z inicjatywy Komitetu Organizacyjnego Ochrony Pamięci Powstańców Śląskich i Harcerzy-Obrońców Katowic we wrześniu 1939 roku, któremu przewodniczył Franciszek Kotulski. Są już na pomniku 34 nazwiska. Kiedy pojawiają się nowe? A przecież pamięć o ich czynie trwała — mimo wszystkich przeszkód. Jeszcze w roku 1979 zaśluzony folklorysta Adolf Dygacz („Pieśni ludowe miasta Katowic”, Katowice 1987) zanotował zaśpiewaną przez 87-letnią mieszkankę Szopienic, Franciszkę Kopernok, pieśń:

*W katowickim parku, pod wysoką wieżą,
śląscy harcerzyki na trawince leżą.
I leżą poboci, leży ich niemało,
życie w młodych łatkach dać im pozostało.
Ej, wstówecjcie wszyscy, bo nie odrąbiono,
inksze sie młodzioki biją drugą stroną.
Ej, wstówecjcie wszyscy, dzieweczko, syneczku,
jeszcze się powstańcy biją na ryneczku.
Ej, wstówecjcie wszyscy, nadszedł czas niedoli,
biedna nasza Polska zakuta w niewoli.
Ej, wstówecjcie wszyscy, jeszcze się wypicie,
wiele razy trzeba Polsce oddać życie.*

Z ARCHIWUM INSTYTUTU SIKORSKIEGO W LONDYNIE

Nastaly czasy, że pewne funkcje zamarłych instytutów naukowych musiały przejąć inne instytucje. Dobrą ilustracją jest tutaj seria bibliofilskich publikacji Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Katowicach. Wśród osiemnastu już wydanych tytułów większość stanowią wartościowe przyczynki do dziejów historycznych i kulturalnych naszego regionu. Ostatnia pozycja — pióra Zygmunta Woźniczki, doktora historii, pracownika Uniwersytetu Śląskiego, nosi tytuł „Katowice, wiosna 1945”. Książka ta, też wkomponowana czasem ukazania się w katowicką rocznicę, to ważny krok na drodze penetracji zakazanego dotąd obszaru pierwszych tygodni po wyzwoleniu miasta, czasu gdy „trzęsła” miastem Wojenna Komendantura i NKWD. Publikacja ta zawiera wydobyty z archiwum Instytutu Sikorskiego w Londynie tekst relacji — przesłuchania młodego katowiczana, który przedostał się na Zachód i był badany przez oficera II Oddziału 2 Korpusu. Kolejne punkty tego materiału wskazują, jakie informacje interesowały wywiad wojskowy: sprawy wojskowe, organizacje podziemne, administracja, Wojewódzka Rada Narodowa (personalia), Służba Bezpieczeństwa (NKWD i Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, system aresztowania), Milicja, sądownictwo, przesiedlenia i repatriacja, sprawy narodowościowe na Śląsku, przemysł, handel, warunki bytu, ceny, szkolnictwo, nastroje ludności. Sporo tu szczegółów mało dotąd znanych, egzotycznych wręcz dla ludzi, którzy nie musieli żyć w tamtych czasach, sporo realiów — jednym słowem tworzywa, z którego kiedyś historycy tkac będą syntezę. Na zakończenie mały cytat:

„BIURA NKWD mieściły się w Katowicach w willi prywatnej, przy ulicy Królowej Jadwigi. Tam też znajdowało się podręczne więzienie w piwnicach. Willa ta jednak została opróżniona w maju br.

Więzienie główne NKWD mieści się przy ul. Mikołowskiej w gmachu dawnego więzienia. Tam odbywały się badania w biurach śledczych. W połowie maja zamieniono straż w umundurowaniu NKWD — strażą w polskich mundurach wojskowych. Mniejsze więzienia NKWD posiadała w piwnicach Wojennej Komendatury przy ul. Zamkowej oraz przy ul. Mickiewicza w pobliżu hali targowej. Poza tym jeden budynek przy ul. Stawowej obok gimnazjum był strzeżony przez NKWD-istę. Co w nim było informator nie wie”.

I znowu fakty i nowe pytania. Jak mało wciąż wiemy o tamtym czasie. Ale czy zostały podjęte gruntowne, wytrwale studia, by dotrzeć do wielu, nieznanych wciąż źródeł?

Fenomen istnienia

Byli młodzi i bardzo młodzi, toteż niemal wszyscy uczestnicy pierwszej historycznej premiery stawili się w dniu jubileuszowych obchodów półwiecza Opery Śląskiej w jej bytomskiej siedzibie. Pierwsza odtwórczyni Halki - Wiktoria Calma - przybyła na ten dzień z Rzymu. Zjechała Jadwiga Lachetówna - Halka z drugiego spektaklu. Przybyła Olga Szamborowska - pierwsza Zofia, Andrzej Hiolski dokonał zaś niezwykłego wyczynu - po pół wieku znowu kreował partię Janusza. Z pierwszego afisza nie stawil się tylko Lesław Finze - Jontek, no i nieżyjący od kilku lat bas Henryk Paciejewski, pamiętny Stólnik. Zjechali także inni „Didurowcy” w pięćdziesiąt rocznicę powstania „ich teatru”. Rzecz w tym, że Opera Śląska - pierwsza scena muzyczna powołana w Polsce po wojennej, której pierwsza premiera zainaugurowała życie operowe w naszym kraju, powstała wbrew woli stołecznej, mocą artystycznych faktów dokonanych, które doczekały się później formalnego potwierdzenia.

Wszystko wydawał się rozstrzygać urzędowy zapis. „Opery wcale nie będzie w Katowicach. Ma powstać tylko jedna opera w Poznaniu” - stwierdzał na przełomie marca i kwietnia 1945 r. Bronisław Ronty w ministerialnym sprawozdaniu z działalności Referatu Muzycznego. Przeczyły jednak temu zaistniałe w niemalże tym samym czasie fakty. Jeszcze z początkiem lutego zawiązał się w Katowicach Śląski Teatr Muzyczny pod dyktando Walentego Śliwskiego i Stefana Gardy. Śliwski był przede wszystkim pierwszym dyrektorem odrodzonego po wyzwoleniu Katowic Teatru Śląskiego. Garda to wybitny śpiewak oklaskiwany na wielu przedwojennych scenach Europy. Połączenie umiejętności obydwu dało nieformalny początek późniejszej Operze Śląskiej. Mimo, że Śląski Teatr Muzyczny dotrwał jedynie do końca czerwca; dzięki niemu na scenie mógł jednak stanąć do dyspozycji Adama Didura niewielki zespół baletowy i 24-osobowy chór.

Już w marcu 1945 r. zespół Śląskiego Teatru Muzycznego rozpoczął przygotowania do wystawienia pełnego spektaklu operowego - „Halki” Stanisława Moniuszki. Ale czy to było wówczas możliwe bez wsparcia artystycznego z zewnątrz? Idea stała się realną, gdy w połowie kwietnia profesorowie katowickiego konserwatorium i muzycy tworzącej się orkiestry podjęli się nielada zadania - ściągnięcia do

Katowic Adama Didura - światowej sławy artystę operowego, który po Powstaniu Warszawskim wyjechał z Warszawy do Krakowa, gdzie tymczasowo zamieszkał. Przyjęcie propozycji przez Didura oznaczało, że premiera „Halki” w katowickim teatrze na pewno dojdzie do skutku, i wraz z nim przybędą na Śląsk wspaniali śpiewacy, w tym Wiktoria Calma, Jadwiga Lachetówna, Andrzej Hiolski, Franciszek Arno i Lesław Finze.

Przygotowania do premiery trwały... na trasie Kraków - Katowice. Ten czas tak wspomina Wiktoria Calma: — W kwietniu, to było na pewno w kwietniu, gdyż na Plantach zakwitły drzewa, Didur oświadczył, że wyjeżdżamy na Śląsk, do Katowic, aby wystawić „Halkę”. Chyba wtedy Adam Didur nie zamierzał pozostać na Śląsku. Ciągłe myślami był w Teatrze Wielkim w Warszawie, dyрекcję którego miał objąć w sezonie artystycznym 1939/1940. Wojna przerwała tę historię.

Aby premiera „Halki” mogła odbyć się w czerwcu, trzeba było praktycznie zorganizować wszystko od początku. Nawet zespół solistów był podzielony na dwie części: „krakowską” i „katowicką”. W Krakowie artyści spotykali się w Gospodzie Aktorów przy Plantach. Tu próby przedstawienia prowadził Bolesław Fotygo-Folański - znakomity reżyser, znany publiczności z teatrów warszawskich, lwowskich, wileńskich i poznańskich. Słynął ze swej ekstrawagancji i niezwykłego sposobu bycia. W 1948 roku i on związał się na trwałe z Operą Śląską. Katowicka część zespołu solistów, w tym składzie lwowianka Olga Szamborowska, przygotowywała się podczas prób prowadzonych zarówno w teatrze jak i mieszkaniu prywatnym Śliwskiego przy ulicy Warszawskiej 28. Oddzielnie pracował chór, balet i orkiestra. Elżbieta Jefimcewa - ongiś solistka Opery w Odessie, zamieszkiwała również w Katowicach. To pod jej kierunkiem pracował zespół chórzystów, którzy w późniejszym czasie stali się trzonem chóru operowego. Balet był jeszcze w bardzo skromnym składzie, wszystkiego 4 pary, ale i to wystarczyło na początek stałego zespołu (choreografię opracował Jan Fabian). Oczywiście szczególnie ważna była orkiestra. Stworzył ją wcześniej Zbigniew Dymek (stała się ona zalążkiem powstającej Filharmonii Śląskiej). Świetny pianista i dyrygent, niegdyś asystent samego Artura Toscaniniego, pod którego batutą odbędzie się premiera „Halki”. Własną orkiestrę operową utworzy nieco później Jerzy Sillich, kapelmistrz o wyjątkowych zasługach dla rozwoju tej sceny.

Wiktoria Calma - pierwsza Halka na jubileuszową premierę przyleciała wprost z Rzymu.



Owacje, kwiaty... Andrzej Hiolski dokonał niezwykłego wyczynu kreując partię Janusza po 50 latach. Foto: Józef Makal

Nie mało zabiegów wymagało wówczas zorganizowanie kostiumów dla śpiewaków - solistów, chóru, baletu jak i oprawy scenograficznej. Chór zadowolili się strojami, w których występował w zespole Śliwskiego, dla solistów zaś kostiumy wypożyczono na kilka dni przed premierą ze znanej krakowskiej firmy Marii Piłarskiej. Tadeusz Bursztynowicz - przybył do Katowic z Krakowa wraz z Didurem - ze składu pomniejszych dekoracji teatralnych mieszczącego się w Katowicach przy ulicy 27 Stycznia na tyłach konserwatorium, dobrał odpowiednie elementy do scenografii. I tak doszło do wystawienia „Halki” na katowickiej scenie.

Z okazji premiery wyznaczono na 14 czerwca 1945 r. wydrukowano skromny afisz. Z niego dowiadujemy się o obsadzie spektaklu, który zapoczątkował historię Opery Śląskiej. O godzinie 17.30 w Teatrze im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach przed publicznością, która wypełniała wszystkie miejsca „aż po najwyższe rzędy II balkonu” (z recenzji M. Michałowskiego w „Dzienniku Zachodnim”), wystąpili: w tytułowej roli Halki - Wiktoria Calma, Zofię śpiewała Olga Szamborowska, Jontka - Lesław Finze, Janusza - Andrzej Hiolski. Przy tym ostatnim nazwisku konieczna jest poprawka - Hiolski nie wystąpił w tym przedstawieniu, bowiem zmógł go choroba. W zamian za niego partię śpiewał Adam Kopciuszewski, ceniony baryton, przed wojną związany był ze sceną operową Teatru Polskiego w Katowicach, który w tym czasie prowadził piekarnię przy ulicy Francuskiej. I oto w ciągu kilku dni musiał ponownie przemienić się w śpiewaka. Rola Stolnika przypadła w udziale Henrykowi Paciejewskiemu rodem z Warszawy. Adam Dobosz, czołowy tenor przedwojennej Opery warszawskiej, któremu Didur powierzył reżyserię przedstawienia, wystąpił także w partii Szlachcica i Górala.

Sam Adam Didur niespodziewanie kreował Dziembę. To nagle zastępstwo spowodowało, że publiczność katowicka miała okazję podziwiać wielkiego artystę w jego... ostatniej roli. Olga Szamborowska po latach, które upłynęły od tamtego wydarzenia, wspomina: „Podczas drugiego przedstawienia (to wciąż sprawa sporna, choć z zachowanych relacji i recenzji wynika, że było to pierwsze przedstawienie - przyp. wk) zachorował kolejny kolega i naprzecde zastąpić go musiał sam Didur. Partia Dziemby jest niewielka, ale w tej decyzji ukazała się cała wielkość Mistrza. Ani przez moment nie wahał się, że rola nie jest jego godna. Wręcz przeciwnie. Miał tremę większą od nas. Oczywiście na widowni rozeszła się wiadomość, że w przedstawieniu bierze udział Adam Didur. Otrzymał ogromne brawa, a kiedy zaśpiewał „Mazowiecka różni kapelo” - to wiadomym było, że ma się do czynienia z mistrzem nad mistrzami”.

Halka, czyli Wiktoria Calma, pamięta, że miała skromny kostium, góralski kraczek, na nogach kierpce. „- Każdy z nas starał się, by jak najlepiej zaśpiewać. To wszystko było dla nas takie inne” - wspomina artystka podczas pobytu w Katowicach po 50 latach jakie upłynęły od daty premiery. Pozostało jej również i takie wspomnienie: Premierę zaszczycił swą obecnością gen. Zawadzki - ówczesny wojewoda i inne bardzo ważne wtedy osoby. Zawadzki nie znał się na operze, ale imponowała mu znajomość z Didurem, więc chętnie pomagał tworzącemu się teatrowi i jego wkład trzeba docenić”.

Trzy dni po premierze, 17 czerwca na łamach „Trybuny Robotniczej” o wyda-

zeniu pisał Ludomir Różycki - wybitny kompozytor, znawca teatru operowego, mieszkający w Katowicach: „...obsada i wykonanie opery było dla nas niespodzianką. Któż mógł przypuszczać, że w tak krótkim czasie, po trzech próbach orkiestrowych, uda się zmontować tak piękne przedstawienie. (...)”

★ ★ ★

Premiera i kolejne spektakle - zawsze przy pełnej publiczności, zawsze oglądane z tym samym ogromnym zainteresowaniem. Ale w dalszym ciągu Opera Śląska nie miała statusu odrębnej instytucji i swojego miejsca. W poszukiwaniach odpowiedniego teatru uczestniczył sam Adam Didur. Najodpowiedniejszy wydał się być w Bytomiu, choć wyszabrowany doszczętnie, gmach Teatru Miejskiego. W tym czasie Opera otrzymała swą oficjalną nazwę: Opera Katowicka z siedzibą w Bytomiu, która oczywiście poświadcza, iż miał to być adres przejściowy. 9 grudnia 1945 roku artyści po raz pierwszy wystąpili z premierą „w swoim teatrze”. Na tę okazję przygotowano „Rycerskość wieśniacza” i „Pajace”. A potem - co premiera to wydarzenie i niebawem szczytowe lata rozkwitu.

Wydarzenia jakie miały miejsce na przestrzeni kilku miesięcy - od lutego do października 1945 roku sprawiły, że ówczesny wojewoda Śląsko-dąbrowski gen. Aleksander Zawadzki, ceniący sztukę i artystów, wręczył Adamowi Didurowi nominację na dyrektora Opery Katowickiej z siedzibą w Bytomiu. Dopiero później nadszedł stosowny dokument z Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Wszystko więc wskazywało na to, że Opera mieszcząca się w teatrze bytomskim tylko na parę lat w nim pozostanie. Taką nadzieję wyrażały - jak się okazało - wszystkie następujące po sobie ekipy rządzące i decydujące o inwestycjach kulturalnych w Polsce Ludowej. Prowizorka przetrwała 50 lat i dziś nikt nie ma wątpliwości, że Bytom pozostanie siedzibą Opery Śląskiej. W każdym razie są niktne szanse żeby przed rokiem 2000 rozpoczęto budowę odpowiedniego obiektu.

Długo też artyści i kolejne dyrekcje musiały czekać na wydanie decyzji o powołaniu instytucji państwowej, co nastąpiło z dniem 1 września 1949 roku. Akt ten dowodził, że Państwową Operę Śląską w Bytomiu - bo tak nadano jej oficjalną nazwę - zaliczono do instytucji artystycznych o najwyższej randze i szczególnych osiągnięciach. Potwierdzały to wszystkie spektakle, których realizację podejmowano się w Operze, zaś przede wszystkim znakomity zestaw nazwisk śpiewaków - solistów, którzy dołączyli do istniejącego zespołu. Tak więc prócz znakomitej Calmy, Szamborowskiej, Lachetówny, Hiolskiego, Finzego, Paciejewskiego, Kopciuszewskiego w kolejnych spektaklach ujawniali swe talenty coraz to inni soliści, wśród nich Natalia Stokowacka, Barbara Kostrzewska, Pola Bukietńska, Maria Kunińska — soprany; Franciszka Denis-Słoniewska, Antonina Kawecka, Krystyna Szczepańska, Zofia Wojciechowska - mezzosoprany; Bogdan Paprocki, Wacław Domaniecki, Zbigniew Platt i Stanisław Romański - tenory, Jerzy Sergiusz Adamczewski, Jerzy Kulesza i Czesław Kozak - barytony; Antoni Majak, Stanisław Wesecki, Jan Łukowski, Włodzimierz Denysenko - basy. Spośród tancerzy wymienić trzeba w pierwszej kolejności Barbarę Bittnerównę, Irenę Cieślukową, Olę Sawicką, Barbarę Korczmarewicz, Lucynę Sotomską, Witolda Borkowskiego, Edmunda Nowaka, Karola Szroma, Stefana

Wentę i Eugeniusza Koziorskiego. Rychło więc bytomska scena zyskała miano „kuźni talentów” - potwierdzane także w latach następnych gdy pojawiły się nazwiska tej miary, co Krystyna Szostek-Radkowska, Stanisława Marciniak, Eugenia Gwieszdzińska, Krystyna Kujawińska, Henryk Grychnik, Wiesław Ochman, Bolesław Pawlusz, Józef Homik, Jerzy Mechliński, Romuald Tesarowicz, Katarzyna Suska, Barbara Krzekotowska - by wymienić tylko niektórych z nich. Mając w zespole tak znakomitych artystów mogli kolejni dyrektorzy Opery (po Didurze Stefan Belina-Skupniewski, później Włodzimierz Ormicki, Napoleon Siess, Bolesław Jankowski, Jerzy Salwarowski i Tadeusz Serafin) podejmować decyzje o zagranicznych wояжach, o prezentacji polskich śpiewaków, tancerzy i muzyków na scenach europejskich i za oceanem - podczas dwukrotnego tournée po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Wówczas to Opera Śląska wielokrotnie wystawiała Moniuszkowską „Halkę”, stając się tym samym ambasadorem polskiej kultury w tych odległych krajach. Szczególną wymowę miał występ w Katedrze św. Patryka w Nowym Jorku w dniu 25 października 1988 roku, upamiętniającym 10 rocznicę pontyfikatu papieża Jana Pawła II. Koncert ten transmitowany był do wielu krajów całego świata.

★ ★ ★

„Halka” Stanisława Moniuszki zajmuje szczególne miejsce w repertuarze Opery Śląskiej. Jej historia - znacząca dramatycznymi wydarzeniami - sięga czasów międzywojnia. To od niej rozpoczęła się błyskotliwa kariera zespołu pod dyrekcją Adama Didura. Każde następne dziesięciolecie znaczone jest kolejną premierą tego także polskiego dzieła. Nie inaczej było i tym razem.

14 czerwca 1995 r. ...galową premierą „Halki” uczczono datę pierwszej premiery przed 50. laty. Wielkim przeżyciem dla dzisiejszych odtwórców głównych partii był występ przed wspaniałymi - legendarnymi z historycznego pierwszego afisza artystami. Jednak największe emocje wzbudzał występ Andrzeja Hiolskiego, który jak wtedy, 50 lat temu, przywdział szlachecki kontusz i podwijając wąsa brawurowo wykonał partię Janusza. Cóż, okazało się, że w tym przypadku upływ czasu nie miał żadnego znaczenia. W znakomitej formie, z tą samą iskrą w oku i młodzieńczą wrwą, Hiolski porwał publiczność jak przed pół wiekiem. Znakomicie spisali się i inni czołowi wykonawcy: w roli Halki - Barbara Krzekotowska, Janusz Wenz jako Jontek, Bogdan Kurowski w roli Stolnika, Barbara Bałda - śpiewająca partię Zofii oraz Tadeusz Leśniczak w roli Dziemby. Pełnię swych możliwości zaprezentował balet przygotowany na tę okazję przez choreografkę Janinę Niesobską. Nad kształtem muzycznym jubileuszowej premiery czuwał Tadeusz Serafin. Wielka gala, znakomici goście a przede wszystkim obecność gwiazd z tamtych lat, wyznaczały niezwykle atmosferę dnia 14 czerwca w Operze Śląskiej.

Jubileuszowa „Halka” miała świetną oprawę, zaś kalendarz imprez towarzyszących był bogaty i gęsty od wydarzeń. Zresztą nie został wyczerpany wieniec czarnoczerwocno uroczystości „Koncertem gwiazd”. Przed nami jeszcze kolejne jubileuszowe imprezy, w tym galowy spektakl „Halki” w 50. rocznicę objęcia gmachu teatru w Bytomiu i pierwszego spektaklu na macierzystej odtąd scenie. Zaprezentowano wówczas „Halkę”...i spektaklem tym uświetniona zostanie i ta rocznica.

„Tożsamość”, „wspólnota”,
„korzenie” — jakie piękne słowa,
a jaki obrzydliwy zapaszek tu się
z nich wydobywa. Co się stało?...
Czy my jako zbiorowość istotnie tak
bardzo łakniemy prawdy, jak
o tym często przekonujemy się
w egzaltowanych deklaracjach?

Wejście w kraj

czy przyswoiliśmy już sobie podstawowy kanon literatury emigracyjnej?

STANISŁAW GĘBALA

Zacznę od pewnego wspomnienia związanego z ukazaniem się w jesieni 1989 r. „*Zniewolonego umysłu*”. Pracowałem wówczas w Instytucie Badań Polonijnych Uniwersytetu Jagiellońskiego z małymi grupkami młodzieży, która niekiedy dość słabo знаła język polski. Przyszedłem na zajęcia w euforii, bo właśnie na Floriańskiej w księgarni KAW kupiłem tę legendarną książkę. Zacząłem więc od jej prezentacji podkreślając, że na krajowe wydanie czekaliśmy 36 lat, że wywarła ona ogromny wpływ na kilka pokoleń inteligencji humanistycznej w kraju, że... W tym momencie mój monolog przerwała jedna ze słuchaczek pytaniem: „A co to jest, zniewolony”? Miałem wrażenie, że spadłem na dość dużej wysokości na twardą podłogę. Nagle uświadomiłem sobie, że chyba po raz pierwszy w życiu mam do czynienia z rozmówcą, który co prawda zna (no, powiedzmy) język polski, ale w którego umysł nie wszczepiono, tak jak w nasze, niemal już w niemowlęcym beciku, tego automatyzmu skojarzeń: zniewolony, niewola, wyzwolony, wolność.

Krajowe wydanie „*Zniewolonego umysłu*” nabrało sensu symbolicznego — zaznaczając niejako kres zniewolenia. Wówczas, jesienią 1989 r., nie domyślałem się jeszcze pewnego ironicznego sensu tego symbolu: że odzyskaną wolność wykorzystamy głównie do mówienia o zniewoleniu — a jest to najbardziej jałowy sposób korzystania z wolności. Oczywiście Miłosz nie ponosi za to winy w najmniejszym stopniu; po prostu ulegliśmy przemożnej potrzebie odreagowania, która jest naturalna i musi zostać zaspokojona. Niepokojące jest to, że odreagowujemy za długo. Dawniej mówiliśmy: „Jesteśmy zniewoleni” — dziś mówimy: „Byliśmy zniewoleni”. Zupełnie jak płaczący bohater z anegdoty, który wołał wniebogłosy: „O Jezu, jak mi się chce pić!” — a kiedy ktoś wreszcie dał mu coś do picia, po opróżnieniu naczynia znów uderzył w lament: „O Jezu, jak mi się chciało pić!”.

Wracając do tonu serio trzeba powiedzieć z całą dobitnością, że w r. 1989 nikt nie miał wątpliwości, że przede wszystkim należy wydać książki wypełniające największą „białą plamę” w naszej dwudziestowiecznej historii napisanej w kraju — książ-

ki mówiące o doświadczeniach Polaków poddanych w czasie wojny i po wojnie stalinowskiemu systemowi represji. Lista najważniejszych tytułów była od dawna ustalona — i był to właściwie indeks cenzorski, w którym najpocześniejsze miejsca zajmowały: *Inny świat* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, *Wspomnienia starobielskie i Na nieludzkiej ziemi* Józefa Czapskiego czy *Mój wiek* Aleksandra Wata. *Inny świat* ukazał się jeszcze w r. 1989, łamiąc barierę cenzorską odcinającą dotąd drogę do kraju dla tzw. literatury łagrowej.

Może należałoby użyć nawet dosadniejszego porównania: do przerwanej tamy, przez którą ruszyła fala publikacji z tego zakresu. Zaczął się swoisty wyścig wydawnictw, który oczywiście w wielu wypadkach musiał odbić się fatalnie na jakości produkcji. Teksty drukowano niekiedy z rżącymi błędami. Jeden z najgrubszych znalazłem we wspomnianym pierwszym krajowym wydaniu *Zniewolonego umysłu* już w pierwszym zdaniu pierwszego rozdziału (zapiszemy te trzy jedyńki na konto Krajowej Agencji Wydawniczej). Czytam: „Dopiero w połowie dziewiętnastego wieku mieszkańcy wielu krajów europejskich...”

Przerywam i sięgam do wydania emigracyjnego:

„Dopiero w połowie XX-go wieku mieszkańcy wielu krajów europejskich zyskali, w sposób na ogół przykry, świadomość że zawile i zbyt trudne dla przeciętnego śmiertelnika książki filozoficzne mają wpływ całkiem bezpośredni na ich losy”.

W połowie XIX wieku te książki dopiero powstawały, a najważniejsza z nich — *Kapitał* Karola Marksa — już dobrze po połowie.

Dość przykry wypadek przy pracy (wydawniczej). Potraktujmy go jako ilustrację do uwag Marii Danilewicz-Zielińskiej, która odpowiadała na sondażowe pytania „Polityki” w r. 1993 („*Z emigracji do kraju*”, „Polityka” 5/1993):

„W dotychczasowej działalności wydawniczej entuzjazm i dobre intencje przeplatają się z traktowaniem literatury emigracyjnej jako surowca do przeróbki na dobrze opłacalny towar. Że zaś entuzjaści z jednej, a handlarze z drugiej strony właściwie oceniali rozmiary swego, za-

mówienia społecznego’ i głodu książki, więc działalność ich cechował pośpiech i tandetne wykonanie”.

Wśród entuzjastów działających z nadmiernym pośpiechem wymienić trzeba także niektórych pedagogów i autorów szkolnych antologii. Ponieważ padnie zaraz nazwisko wybitnego pedagoga i autora podręczników, muszę podkreślić, że nie wchodzi tym razem w grę zarzut tandetnego wykonania.

Już w r. 1990 „Ossolineum” wydało dość dużą książkę zatytułowaną „*Literatura współczesna »złe obecna« w szkole. Antologia tekstów literackich i pomocniczych dla klas maturalnych*” opracowaną przez Bożenę Chrzastowską. Otóż antologia ta znakomicie utwierdziła funkcjonujący w szkolnej polonistyce stereotyp martyrologiczny. Tematykę większości pomieszczonych tam tekstów można najkrócej streścić następująco: wojna, łagry i obozy koncentracyjne, powstanie warszawskie, więzienia. Pojawiają się następujące nazwiska pisarzy emigracyjnych: Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (trzykrotnie), Czesława Miłosza (dwukrotnie), Witolda Gombrowicza, Aleksandra Wata, Zdzisława (Jana Nowaka) Jeziorańskiego, Leopolda Tyrmanda, Leszka Kołakowskiego i Stanisława Barańczaka. Spośród poetów emigracyjnych — poza Miłoszem i Barańczakiem — znaleźli się jeszcze w antologii: Stanisław Baliński, Józef Łobodowski, Beata Obertyńska, Kazimierz Wierzyński. Ta lista jest oczywiście nie do zakwestionowania — nikt nie jest tu zbędny. Gorzej, że zabrakło na niej paru nazwisk niezbędnych. Np. w dziale „*Literatura faktu, dziennik, pamiętnik*” niezrozumiała jest nieobecność Andrzeja Bobkowskiego jako autora „*Szkiców piórkim*” (o nim i jego dzienniku będzie tu jeszcze mowa). Z kolei w dziale „*Filozofia i eseistyka*” nie znalazło się miejsce dla czołowych eseistów emigracyjnych: Stanisława Vincenza, Józefa Wittlina czy Jerzego Stempowskiego. Wreszcie w dziale „*Eseistyka i krytyka literacka*” zabrakło K.A. Jeleńskiego, co jest tym bardziej zaskakujące, że w ostatnim dziale „*O lekturach — komentarze i interpretacje*” — a więc również obejmującym krytykę literacką — znalazło się aż osiem tekstów Barańczaka.

O wyborze fragmentów pomieszczonych w antologii również można by długo dyskutować, ograniczyć się jednak do przykładu, który wydaje mi się ewidentnym unikiem zrobionym przez grono zatroskanych pedagogów (żeby nie obciążać Bożeny Chrzastowskiej wyłączną winą, podam nazwiska wszystkich współpracujących przy wyborze i redakcji tekstów: Agnieszka Kłak, Barbara Kryda, Michał Rajczak, Piotr Śliwiński, Ewa Wiegandtowa, Grażyna Ziółkowska). Chodzi mi o „Dziennik” Gombrowicza, którego już doprawdy w żaden sposób nie można było pominąć — można go jednak, jak się okazało, zmarginalizować. W antologii przeznaczonej dla klas maturalnych znalazły się niewielkie fragmenty eseju „Sienkiewicz” (w sumie dwie strony). Otóż dla Gombrowicza — i w ogóle dla paru pokoleń Polaków urodzonych przed nim i po nim — Sienkiewicz był ogromnym problemem. Jeszcze Andrzej Bobkowski, młodszy o prawie 10 lat od Gombrowicza (rocznik 1913), zanotował w swoim dzienniku „Szkice piórkiem”: „Zadanie na pół godziny przed zaśnięciem: przemyśleć wpływ »Trylogii na Polskę«. Ale dla maturzystów z r. 1990 Sienkiewicz nie był już żadnym problemem (myślę, że przestał nim być co najmniej od lat dwudziestu), bo oni „Trylogii” po prostu nie czytali, co najwyżej obejrżeli adaptacje filmowe Jerzego Hoffmana. Myślę, że trudno było wybrać fragment „Dziennika” mniej poruszający dzieciętnastolatków, za to bez porównania łatwiej — dziesiątki fragmentów, które mogły wywołać gorące dyskusje wśród młodych ludzi; przynajmniej zatem autorom antologii, że nie poszli po najmniejszej linii oporu i wybrali trudniejsze wyjście. Jakże łatwo było np. wybrać którąś z wielkich

polemik z głównymi systemami myślowymi naszych czasów, choćby rozprawę z polskim katolicyzmem — ale taki wybór pewnie musiałby się wydać na początku lat dziewięćdziesiątych grubym nietaktem (dziś natomiast byłby już wielką nieostrożnością).

Ktoś może mi postawić zarzut, że znęcam się nad książką już nieaktualną, od której w dodatku zdystansowała się sama autorka; ale podręczniki szkolne są książkami bardzo szczególnego rodzaju, zakreślającymi horyzonty poznawcze dla bardzo młodych i chłonnych umysłów. Można się wprawdzie pocieszać, że martyrologiczno-mistyczny ton, na który została nastrojona ta antologia, został po prostu odrzucony przez młodych czytelników broniących się przed podobnymi natręctwami — po gombrowiczowsku — śmiechem i kpinką, ale to dość dwuznaczna pociecha. Zwłaszcza dla pedagoga, którym przecież w końcu sam jestem.

Od entuzjastów pora jednak przejść (dość karkołomnie to przejście, przyznaję) do zdeklarowanych wrogów emigracji. Wymienię (nie bez drżenia głosu) tylko jednego z nich — Zbigniewa Herberta. W tomiku „Rovigo”, wydanym w r. 1922, znalazł się wiersz „Chodasiewicz”, będący łatwym do rozszyfrowania (i natychmiast przez czytelników rozszyfrowanym) paszkwilem na Czesława Miłosza. Ale autor zawarł w nim również generalną ocenę emigracji:

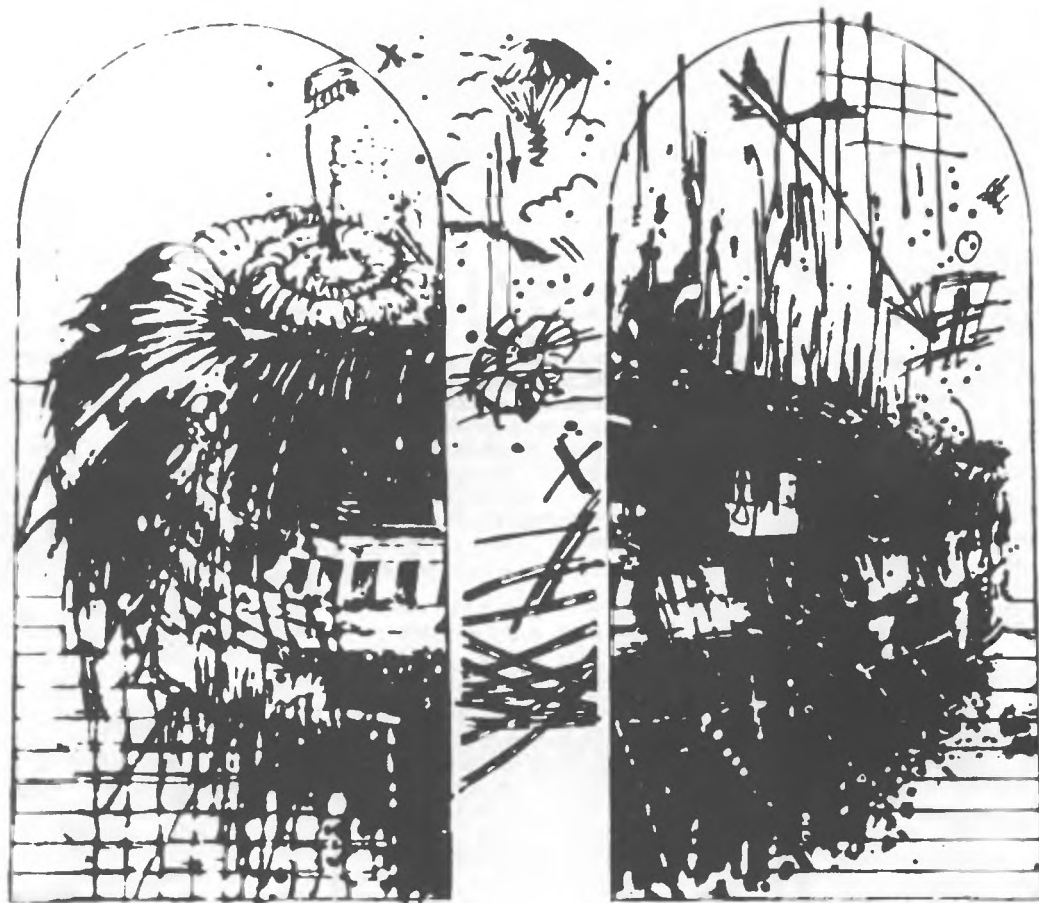
„Emigracja jako forma egzystencji rzecz ciekawa bez przyjaciół i bez krewnych pod namiotem żyć bez sankcji obowiązków każdy przyzna że na barkach ciąży nam ojczyzna mroczne dzieje atawizmy rozpacz znacznie lepiej w lustrach żyć bez trwogi Mereżkowski gada przez sen Zinaida pokazuje ładne nogi”

Dwa ostatnie wersy są przejrzyście aluzjami do lekturowych fascynacji boha-

tera. Pomińmy wyrażoną tu sugestię, jakoby wybór „emigracji jako formy egzystencji” był dla Miłosza sprawą łatwą; to chyba Herbert nazbyt ułatwia sobie sprawę sięgając wcześniej po argument „charakterologiczny” („Był z natury emigrantem tak jak ktoś rodzi się powiedzmy draniem świętym lub artystą”) — ale poetyka paszkwiłu wręcz narzuca jaskrawe uproszczenia. Trzeba się natomiast zadumać nad ową generalną oceną emigracji. Można w niej dostrzec oczywiście poirytowanie żławym stereotypem wygnańca, tułacza i pielgrzyma nazbyt chętnie eksploatowanym w literaturze emigracyjnej, ale takie poirytowanie wyrażał także niejednokrotnie Miłosz, a wspomnieć trzeba jeszcze choćby Witłina czy Gombrowicza — zatem tak odczytana filipika Herberta byłaby mało odkrywcza. To zresztą najmniejszy zarzut, jaki można jej postawić, bo ta filipika przede wszystkim jest moralnie odstręczająca przez insynuację, jakoby emigrantom nie ciążyła na barkach ojczyzna. Jest to równoznaczne z postawieniem pod znakiem zapytania patriotyzmu emigracji. Ergo: patriotami są tylko ci, którzy pozostali w kraju. Możemy więc — a nawet powinniśmy — całą tę pisaninę emigrantów traktować nieufnie i podejrzliwie. A może tylko lekceważąco? Czy nie ku takim wnioskom prowadzi rozumowanie Herberta?

Postawmy teraz pytanie: na jakich założeniach (przeświadczeniach, przekonaniach) jest ono oparte? Myślę, że wycierają one z tego oto fragmentu:

„(...) był hybrydą w której wszystko się telepie
duch i ciało góra z dołem raz marksista raz
katolik
chłop i baba a w dodatku pół Rosjanin
a pół Polak



Grafika: Wojtek Łuka

Na początku i na końcu jego sztuki jest zdziwienie
że urodził się ze zaistniał Chodasiewicz pod gwiazdami

gorzej było już z innymi zdziwieniami z tożsamością ze wspólnotą z korzeniami sam nie wiedział kim był — Chodasiewicz”

Proponuję pominąć smakowitą aluzję do biseksualizmu bohatera i zająć się raczej jego duchową hybrydycznością. Zresztą nie! Zróbmy inaczej: zastanówmy się, kto może stawiać podobne zarzuty? Kto ma do tego wyłączne moralne prawo? Oczywiście tylko ktoś, kto jest duchowym monolitem. Oskarżać kogoś, że jest raz marksistą, raz katolikiem może tylko konsekwentny marksista albo konsekwentny katolik. Absurdem byłoby przypuszczenie, że Herbert jest konsekwentnym marksistą — ergo: jest konsekwentnym katolikiem. Z kolei oskarżenie, iż ktoś jest pół Rosjaninem, pół Polakiem może wnieść tylko... jak to powiedzieć? Pełny? Stuprocentowy? Powiedzmy: prawdziwy Rosjanin albo prawdziwy Polak. Herbert na pewno nie jest... Co za przypuszczenie! A więc jest prawdziwym Polakiem. Wykonajmy proste dodawanie: prawdziwy Polak i katolik, czyli krótko mówiąc Polak-katolik. Tak, tylko prawdziwy, monolityczny Polak-katolik, czyli „Polak mały” z wierszyka Władysława Bełzy, nie ma żadnych kłopotów z własną tożsamością (dlatego zajmuje się wyłącznie tożsamością innych). Do mieszanców, hybryd narodowościowych (a na emigracji pełno jest jakichś hybryd polsko-ukraińsko-żydowskich) odnosi się z pogardą i poczuciem wyższości.

„Tożsamość”, „wspólnota”, „korzenie” — jakie piękne słowa, a jaki obrzydliwy zapaszek tu się z nich wydobywa. Co się stało? Do jakich zateńskich piwnic zszedł tym wierszem Zbigniew Herbert — jeden z naszych najświetniejszych poetów i humanistów? A może jego wiersz przypadkiem i mimo woli autora wpisał się w kontekst endeckiej frazeologii, która znów zaczyna być natrętna i hałaśliwa? Bardzo chciałbym w to wierzyć, a moja wiara utwierdza „Homilia” z tego samego tomu „Rovigo”. Autora tego utworu w żaden sposób nie da się wpisać w stereotyp Polaka-katolika.

★

Półowa lat dziewięćdziesiątych jest znakomitą okazją do bilansów. Próba bilansu była już w r. 1993 wspomniana sonda „Polityki” („Z emigracji do kraju”). W tej sondzie znalazłem informacje (podaną przez Jerzego Jarzębskiego) o ukazaniu się w kraju „*Szkiców piórkiem*” Andrzeja Bobkowskiego. Od tego czasu jednak daremnie poszukiwałem ich w księgarniach. Coś się zacięło w maszynie wydawniczej i ta akurat książka — jeden z najwybitniejszych dzienników intelektualnych powstałych na emigracji — nie dotarła dotąd do rąk krajowego czytelnika. (Były, rzecz jasna, wydania w drugim obiegu w latach osiemdziesiątych, ale te książeczki o trudnoczytelnym, często rozmażanym druku raczej zniechęcają do czytania).

Zwłoka trudna do wytłumaczenia. Miejsce Bobkowskiego wśród najwybitniejszych pisarzy emigracyjnych jest poza wszelką dyskusję a „*Szkice piórkiem*” równie bezdyskusyjnie zaliczane są do podstawowego kanonu literatury polskiej powstałej na emigracji. Ich fragmenty już dawno powinny znaleźć się w szkolnych antologiach obok fragmentów „*Dziennika*” Gombrowicza i „*Dziennika pisanego nocą*” Herlinga-Grudzińskiego. Bobkowski mógłby stanowić skuteczną odtrutkę przeciw nacjonalistycznemu zacządzeniu, któremu ulega niepokojąco duża część rodaków. Autor „*Szkiców piórkiem*” zdaje

się mówić swojemu czytelnikowi: zastanów się, co to znaczy dziś być Polakiem? To „dziś” ma odciąć jak toporem całą naszą historię-mitologię i skonfrontować nas z najaktualniejszą rzeczywistością. Ale całą operację trzeba koniecznie przeprowadzić indywidualnie. Zresztą posłuchajmy:

„Nie. Nie żadne „Kupą Mościpanowie”. Trzeba się spokojnie, zdjąć marynarkę, rozwiązać krawat i wpatrzeć się w szachownicę. I powtarzać sobie „Jestem Polakiem” bez piosenki o ułanie i bez mętnej metafizyki”.

Ta szachownica to po prostu otaczający świat. Gra się na niej ciągle jakąś nową partię i ciągle na nowo trzeba zdobywać sobie najkorzystniejszą pozycję. Takie oto najprostsze prawdy przekazuje nam Bobkowski.

Właśnie... Czy my jako zbiorowość istotnie tak bardzo łakniemy prawdy, jak o tym często przekonujemy się wzajemnie w egzaltowanych deklaracjach? Bobkowski mówi brutalnie: zawsze mieliśmy skłonność do ignorowania rzeczywistości i mitologizowania jej, a dla stworzenia heroicznej legendy gotowi byliśmy niejednokrotnie zapłacić cenę życia.

Po niedawnej, niesłychanie celebrowanej, 75 rocznicy „cudu nad Wisłą” warto może przytoczyć taki urywek „*Szkiców piórkiem*”:

„Przypominam sobie, jak ojciec mój, szef sztabu 11-tej Dywizji Piechoty w czasie wojny bolszewickiej, został otoczony razem z całym sztabem i z generałem (nie pamiętam nazwiska) w czasie słynnego odwrotu. Opowiadał mi, że siedzieli za jakimś wzgórzem i wtedy to generał zaczął odprawę słowami: Panowie, musimy teraz umrzeć itd. Ojciec mój ośmielił się wtedy zauważyć, że, jakkolwiek wydostanie się z tej sytuacji, proponowane przez pana generała, jest najprostsze, to warto byłoby przedtem spróbować jakiegoś bardziej skomplikowanego środka ocalenia”. Oczywiście w końcu wydostali się”.

Ten krótki fragment stawia pod znakiem zapytania całe tomy legendotwórczej literatury hurapatryotycznej. Przede wszystkim deprecjonuje motyw bohaterskiej śmierci, jako główny składnik legendy. Śmierć — mówi nam Bobkowski — może być tylko efektywnym gestem, i to gestem w niektórych okolicznościach najłatwiejszym. Mówi dalej, że nadużywając tego gestu w naszej historii nie tylko nie zaskarбилиśmy sobie jakiegos szczególniejszego szacunku innych narodów, ale doprowadziliśmy je do przekonania, „iż nam łatwiej jest rozstać się z życiem, niż osobnikowi jakiegokolwiek innej narodowości”.

Myślę, że lektura choćby tylko cytowanych urywków „*Szkiców piórkiem*” mogłaby stanowić konieczne wręcz antidotum na patos „*Reduty Orдона*”, „*Śmierci pułownika*”, „*Pogrzebu kapitana Meyznera*” czy „*Bema pamięci żałobnego rapso-du*”, które niezmiennie od dziesięcioleci miedli się na lekcjach języka polskiego. (No, może teraz już nie wszystkie). Szkoda pięciu co najmniej lat straconych dla takiej otrzeźwiającej edukacji.

★

Na pytanie postawione w podtytule: czy przyswoiliśmy już sobie podstawowy kanon literatury emigracyjnej? — trzeba w połowie lat dziewięćdziesiątych odpowiedzieć ostrożnie: jeszcze nie cały. Niepokój budzi fakt, że z listy tytułów, które jeszcze w r. 1993 czekały na krajowe wydanie, sporządzonej przez odpowiadających na sondażowe pytania „*Polityki*” krytyków, ukazało się zaledwie parę. (Z głośniejszych — „*Dziennik*” Jana Lechonia). Czyżby świadczyło to o gasnącym zainteresowaniu wydawców literaturą emigracyjną, z której nie spodziewają się już wycisnąć dużych pieniędzy? Tymczasem ciągle jeszcze czeka na pełne krajowe wydanie np.

eseistyka Jerzego Stempowskiego, która wprawdzie została udostępniona (częściowo) jeszcze w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, ale teksty zawarte w wydanym przez „Znak” tomie „*Eseje*” zostały niemiłosiernie pocięte przez cenzurę.

Upomnieć trzeba się ponownie również o krajowe wydanie publicystyki Juliusza Mieroszewskiego. Właśnie wyciągnąłem z ogromnego stosu tekstów, które miały złożyć się na dwutomową antologię eseistyki emigracyjnej (zamierzał ją wydać jeszcze w r. 1989 szczeciński „Głob” i na zamiarach się skończyło), esej „*Futurologia polska*” opublikowany najpierw w czeskim numerze „*Kultury*” z 1970 r. a później w książce „*Modele i praktyka*” wydanej w tym samym roku przez Instytut Literacki. Otóż ten tekst sprzed czterech lat czyta się jak najbardziej aktualną diagnozę naszej dzisiejszej beznadziejnie zaplątanej sytuacji politycznej. Posłuchajmy: „(...) demokracji nie gwarantuje wielopartyjność. Demokrację gwarantują tylko demokraci. Jeżeli w danym kraju demokraci nie ma — względnie są nieliczni — żadna ustrojowa struktura, choćby pomyślana jak najbardziej demokratycznie — nie zapewnia demokracji.

Rzetelny demokracja gotów jest w dobrej wierze współpracować z każdym — komunistów nie wyłączając — ponieważ swojego programu nie uważa za antagonistycznie spreczny z innymi politycznymi programami. (...)

Trzeba również z naciskiem podkreślić rzecz następującą. Nikt nie może wymagać od endeka czy socjalisty by programów swoich partii nie uważali za słuszne. Lecz co innego jest program swojego stronnictwa uważać w ogólnym zarysie za słuszny — a co innego jest uważać ów program za wyłączną i jedyną prawdę. Jeżeli bowiem dany program partyjny uznajemy za jedyną i wyłączną prawdę — jest wówczas oczywiste, że programy innych stronnictw muszą być kłamliwe i fałszywe. (...) Partia, która uważa się za dzierżycielkę wyłącznej i jedynej prawdy — zajmuje antagonistyczne pozycje w stosunku do wszystkich innych partii i programów. Zbędne dodawać, że antagonizm wyłącza jakąkolwiek demokrację”.

Czy nie powinna to być obowiązkowa lektura szkolna w kraju, w którym jest mniej demokratów niż partii politycznych?

A skoro już o kanonie piśmiennictwa emigracyjnego mowa, to koniecznie trzeba umieścić w nim jeszcze jedną pozycję — eseje Józefa Wittlina. Myślę, że cytując „*Refleksji syna marnotrawnego*”, spisanych w r. 1954 na trzydziestolecie londyńskich „*Wiadomości*”, będzie tu znakomitą pointą:

„Na zakończenie chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na wyjątkową szansę jaką ma pisać dziś emigracja polska. To — królewski dar, otrzymany od smutnego skądinąd losu. Te szanse nie powinniśmy zmarnować. Jest nią bezgraniczna swoboda, jaką cieszy się nasza myśl i nasze słowo. Takiej swobody — powiedzmy otwarcie nie mieliśmy w przedwrześniowej Polsce i zapewne też nie będą jej mieli ci, co powrócą do wolnego kraju. Skrepują ich nowe racje stanu, nowe tabu, na które dziś możemy sobie gwizdać. Jest to szansa wychylenia do dna — gorzkiego kielicha prawdy, bez oglądania się na to, czy jest nam z tym do twarzy. Gatunek ludzi zwany Polakami należy do najbardziej nieustraszonych w świecie i niczego się nie lęka prócz nazywania prawdy po imieniu. A czyż to właśnie nie jest powołaniem i dziejową misją pisarza?”.

STANISŁAW GĘBAŁA

1. Nie było chyba dotąd w naszej literaturze okresu, w którym tak szeroko, bezkonfliktowo i entuzjastycznie przyjmowano by młodych poetów. W podobny sposób, lecz tylko w pewnych kręgach i względnie krótko, reagowano jedynie w drugiej połowie lat pięćdziesiątych na późnych debiutantów: Białoszewskiego i Herberta oraz garstkę dobrze rokujących autorów: Drozdowskiego, Czyczę, Grochowiaka, Harasymowicza, Śliwonika. Już jednak po dwóch, trzech latach kapitał zaufania się wyczerpywał. Krytycy domagali się nie tylko zapowiedzi ale także pogłębionych diagnoz. Poeci umieszczeni na królewskim stolcu, szybko byli z niego zganiani. Bodaj najsilniej tej niestałości uczuć doświadczył właśnie Drozdowski; pod koniec roku 1956 okrzyknięty „prawdziwym głosem pokolenia”, już na początku roku 1958 przez tego samego krytyka został nazwany „poetą bez wnętrza”.

Kapitał zaufania zawsze jest w krytyce literackiej niewyczerpany. Krytyk, dostrzegając w poetyckich realizacjach młodego autora zaledwie cień „kwiatu nowości”, gotów jest ręczyć słowem honoru, że oto narodziła się osobowość, o jakiej dotąd nawet nie śniono. I tak być powinno. Ale żeby w literaturze wszystko toczyło się normalnym rytmem, krytyk nie powinien upierać się, że ten i ów jest wciąż genialnym debiutantem, gdy swoimi kolejnymi książkami nie spełnia położonych w nim nadziei. Tylko w intro- i detronizacji pisarzy można upatrywać ciągłości rozwojowej literatury. Innych prawd nie znam.

Nie, wcale nie twierdzę, że kiedyś byli lepsi krytycy, a teraz są gorsi. Coś jednak musi leżeć na rzeczy, skoro o nowej poezji pisze się wyłącznie w górnym lub — w najlepszym razie — powściągliwym tonie. Wygląda na to, że nowy ruch poetycki jest zjawiskiem niecodziennym w dziejach naszej literatury, że to, co ma w nim miejsce, zasługuje nie tylko na chwałbę, ale również na wszystkie z możliwych nagród. Czytając niezliczoną ilość recenzji, wywiadów i szkiców, jestem nawet zdumiony, iż ukazuje się u nas jeszcze trochę „starej” literatury. Na pierwszych, drugich, trzecich stronach gazet wciąż kroczy „młodość”.

2. Rozumiem „młodych”, to ich szansa. Rozumiem „starych”, oni także mogą coś na tym zyskać. Ale równocześnie krew się we mnie burzy, gdy czytam uproszczone diagnozy, obłędne typologie, gdy ktoś podsuwa mi wysane z palca hierarchie. I w takim (ale tylko w takim) wypadku gotów jestem stwierdzić, że kiedyś krytyka była bardziej dbała o swoją kondycję, podczas gdy teraz jest zwyczajnie i po prostu amaterska.

Nowe nazwisko jest lepsze od starszego, świeży tomik wypiera pamięć o książce sprzed dwóch czy pięciu lat. Rzecz w recenzentwie normalna i o nią kłócić się nie ma powodu. Kiedy jednak staje się to zasadą przy konstruowaniu szkiców bilansujących, trzeba bić w dzwon. Bo tutaj mamy już do czynienia nie z bieżącą krytyką, lecz z fałszowaniem oblicza literatury. Dziś, przy milczącej akceptacji nas wszystkich, krytyk-amator dokonuje takiego wyrębu, że w gęstym — bez wątpienia — lesie czytelnik widzi tylko kilka drzew na tle ogromnej, lecz lysej polany. Graecum est, non legitur...

Z tą procedurą mamy do czynienia właśnie w wypadku tzw. „pokolenia trzydziestolatków”. Nie zdarzyło mi się dotąd przeczytać jednego, sensownego szkicu, w którym ktokolwiek powiedziałby mi cokol-

starty
i falstarty

STARY
NOWY
RUCH

wiek istotnego o tym ruchu. Właśnie tak: cokolwiek istotnego. Bez puszczania do mnie oka, bez powoływania się na czyjś autorytet, bez faworyzowania własnego środowiska, bez przypadkowo dobranej listy nazwisk. Od nikogo się nie dowiedziałem, jak rozłożone są akcenty w całym tym ruchu, jaka w jego obrębie panuje hierarchia nazwisk, nie dowiedziałem się wreszcie rzeczy najprostszej (do przesłедzenia i do napisania): jaka jest naturalna historia całego zjawiska, skąd się ono wzięło, kiedy się pojawiło, jakie są jego dotychczasowe losy...

3. Tutaj nie wystarczą deklaracje, że jest się z takiej czy innej szkoły krytycznej; to bajdurzenia dla naiwnych. Nie wystarczy wytypowanie paru ostatnich debiutantów i umieszczenie ich na najwyższych stołkach. Wątpliwa to przyjemność być jednocześnie „klasikiem” pokolenia. O randze pokoleniowych klasyfikacji nie decydują też interpretatorskie popisy, lecz trafność krytycznego wyboru. I dzisiaj, kiedy tak dużo pisze się o nowym ruchu, wciąż trzeba przypominać, że jest on jed-

nak stary, że jego korzenie nie sięgają płytko, okolic 1989 roku (jak się nagminnie powtarza), lecz znacznie głębiej — przełomu ósmej i dziewiątej dekady. I że tam, w ciemnych odmetach stanu wojennego, pojawiły się nitki światła, które dzisiaj wyznaczają kierunek tzw. „pokoleniu trzydziestolatków”. Trzeba przypomnieć tamte pisma, gdzie młodzi drukowali, trzeba uwyraźnić idee, jakim wówczas dawali wiary... Nawet, jeśli trzeba byłoby odrzucić to wszystko z niesmakami.

Po cóż to czynić? Zapewne, nie dla socjologicznych popisów. Po to jedynie, aby zobaczyć wreszcie, w jakim kontekście ta nowa poezja się ustawia, że wiele czerpie z polskiej tradycji lirycznej, że nie żaden O'Hara, Larkin, Ashbery i inne zachodnie tuzy poetyckie kształtują wizerunek Młodych Wielkich. Że te wpływy leżą bliżej: w latach pięćdziesiątych i siedemdziesiątych. Zwłaszcza w latach siedemdziesiątych.

4. Nowy, stary ruch jest niewątpliwie wielonurtowy. Ma rację Jacek Łukasiewicz kiedy pisze, że różnica między urodzonymi po roku 1960 i po roku 1970 jest zasadnicza. Ale czy zjadacz poezji musi dowiadywać się o tym od profesora uniwersytetu? Gdzie są ci nowi krytycy, którzy powinni o tym grzmieć przy każdej okazji? Gdzie są ich deklaraty i żarliwe obrony? A może uważają oni, że mówienie o nowej poezji w starym stylu nie ma w ogóle sensu? Więc co? Wystarczy napisać byle jaką recenzję, aby kogoś wynieść na szczyt lub z tego szczytu strącić?

Recenzenstwo, choćby najbardziej znakomite, nie zastąpi odważnych diagnoz, zawsze będzie ucieczką przed rzeczową typologią. Czas już koledy Krytycy Towarzystwa Nowemu Ruchowi na śmiecie próby. Wszystko to, co do tej pory napisaliście, przypomina miedlenie w ustach konopnego sznurka. Oleju z tego niewiele, prędzej uda wam się ukreślić porządną sznur na własną głowę.

5. Ale może żądam zbyt wiele... Maurycy Mochnacki klepie mnie po plecach: „Z nas samych wszystkie pochodzą nieszczęścia”. Powiedział i rozpląnął się w dymie Golden Americana.

MARIAN KISIEL



Rys. Eugeniusz Rzeżucha

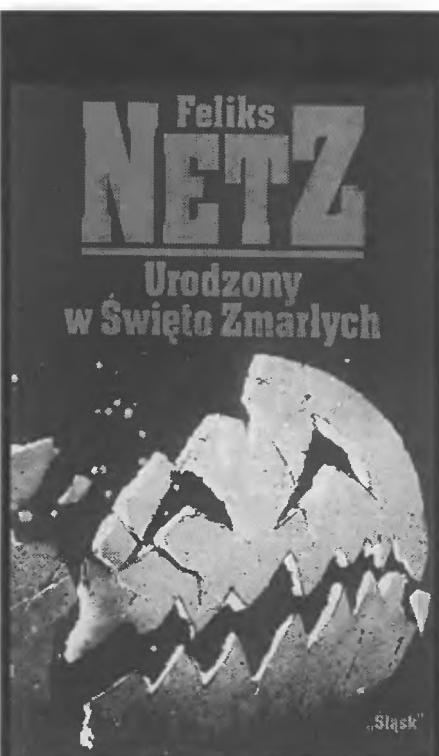
Powieść Feliksa Netza *Urodzony w Święto Zmarłych* jest w pierwszej swojej warstwie powieścią polityczną, i gdyby tylko była powieścią polityczną, już byłaby bardzo ważna, bowiem jest to najlepsze w polskiej prozie świadectwo dzieciństwa, dorastania i przeżywania dojrzałości przez zwykłego mieszkańca PRL-u. Ale ta powieść ma swoje obszary tajemnicze, można ją nazwać powieścią magiczną. *Urodzony w Święto Zmarłych* jest egzorcyzmowaniem lęków, jakie człowieka w życiu atakują, a to egzorcyzmowanie osiąga kulminację podczas święta Halloween w Nowym Jorku, gdzie bohater powieści wyjeżdża w latach osiemdziesiątych na zarobek.

Halloween jest jakby kłamrą tej powieści, narracja ma rytm Halloween, w maskach Halloween pojawiają się wszystkie najważniejsze postaci z życia bohatera, a ich wpływ dopiero tu, w Halloween, się kończy. Maski Halloween wydobywają i interpretują najgłębsze tajemnice każdej osoby i w formie dzieł sztuki pokazują te tajemnice bohaterowi powieści uwalniając go od lęku.

Bohater powieści jest człowiekiem pogranicza, pogranicza narodów, epok historycznych i ustrojów politycznych. *Urodzony w Święto Zmarłych* — to odmieniec. Motyw odmienca, nie należącego w pełni do żadnej wspólnoty, znalazł w powieści Netza fascynujące wcielenie. Odmieniec ma zwykle dystans do spraw przeżytych przez wspólnotę, ale stara się często ten dystans przezwyciężyć, by wspólnota wreszcie go zaakceptowała w całości. Ale wspólnota może zaakceptować odmienca już zoperowanego, odmienca, który już siebie zniszczył jako odmienca. Jednak tak jak ktoś po amputacji nogi odczuwa nadal ból nie istniejącej już nogi, odmieniec odczuwa ból tej osobowości, którą sobie sam amputował, czy też inni mu amputowali.

Pogranicze narodów — to pogranicze Niemców i Polaków. Bohater powieści ma ojca Niemca i matkę Polkę, a jego najwcześniejsze dzieciństwo przypada na lata drugiej wojny światowej. W powieści Netza jest to bardzo faulkerowska wyprawa w najodleglejszą przeszłość, opis pełen metafor, przypomnienie snów na równi z rzeczywistością. Nieprzypadkowo użyłem tu słów „faulkerowska wyprawa w przeszłość”. Są dzisiaj różne teorie na temat języka prozy. Jest teoria głosząca, że język prozy ze swojej istoty wyklucza stosowanie metafor. William Faulkner był największym pisarzem amerykańskim XX wieku, a w jego prozie metafor pełno, niektóre partie jego prozy są pełnymi poematami. Proza Netza jest przetykana metaforami wręcz wizyjnymi, a narkotyczny rytm zdania jest najwłaściwszy w próbie przypomnienia sobie wszystkiego, co na najodleglejszą przeszłość się złożyło.

Pierwszym wstrząsającym doznaniem pogranicza kultur Wschodu i Zachodu było dla Kazika Kranza, bo tak się nazywa bohater powieści — spotkanie z żołnierzami rosyjskimi. Dramatyczną kulminacją tego spotkania jest wrzucenie przez Kazika Kranza do studni harmonii, którą chcieli zabrać żołdaci jako dobro rzekomo zdobyte. Wrzucenie harmonii do studni zapowiada wszystkie dysharmonie w życiu bohatera powieści. Netz ma wycucie symbolu, co poszerza kreacyjny wymiar jego powieści. Muszę podkreślić, że w literaturze, także w prozie, ważny jest nie tylko



Powieść o dotknięciu losu

Feliks Netz:
*Urodzony
w Święto
Zmarłych.*
„Slask”
Katowice 1995,
s. 230.

*Kazika
Kranza*

język, ale i symbol. Symbol przenosi literaturę z doraźności w wieczność.

Doznanie pogranicza wciąż powtarza się w różnych wersjach w życiu bohatera. Czasy stalinizmu były czasami takiego pogranicza, kiedy ustrój komunistyczny z terrorystyczną agresją poszerzył swoje granice, przede wszystkim w duszach ludzkich. Kazik Kranz poddaje się temu podbojowi. Szukanie stonki, rzekomo zrzucającej na nasze pola przez imperialistów, traktuje jak ceremonię magiczną, chociaż jeszcze nie wie, że to magia fałszywa.

Netz pokazuje groźbę czasów stalinowskich, ale także ich niezamierzoną groteskę, zresztą często ocierającą się o groźbę. Zwró-

ć tutaj uwagę na świetnie napisaną scenę polegającą na absurdalnym, ale i groźnym qui pro quo. Jest to rozmowa między młodziutkim Kazikiem Kranzem a działaczem Tartakowerem, odbywająca się tuż po śmierci Stalina. Chłopiec mówi o samobójczej śmierci nie mówiąc, że chodzi o pracownika Zakładów Gazownictwa, Tartakower natomiast cały czas sądzi, że chłopiec mówi o śmierci Stalina, że to Stalin popełnił samobójstwo, no i przeżywa straszną groźbę.

W prozie Netza występuje cały orszak bardzo dobrze nakreślonych postaci, które się zapamiętuje, które są trójwymiarowe, które mają dobrze zobaczone ciała, i dobrze zobaczone dusze. Obraz lat stalinowskich dzięki temu zyskuje jeszcze bardziej. Galeria nauczycieli małego Kranza jest zarazem malownicza, jak i tragiczna. Dramaty osobiste i egzystencjalne tych nauczycieli z awansu społecznego są oddane z całą ich złożonością. Dar bardzo dobrego kreślenia postaci nie opuszcza Netza w całej powieści. Także w śląskich partiach powieści występują wyraziście napisane sylwetki ludzi z różnych kręgów (na przykład Drzystoń i jego rodzina).

Bohater powieści nazywa się Kranz, czyli po niemiecku Wieniec. *Urodzony w Święto Zmarłych* musi mieć nazwisko, które z jednej strony jest zwykłe, pospolite, z drugiej strony — jest symbolem. W wieniec spletały się wszystkie pogranicza, wszystkie krańce, wszystkie węzły losu. I w swojej najgłębszej istocie powieść Netza jest powieścią o dotknięciu Losu.

Niejednokrotnie takie stwierdzenie „powieść o dotknięciu Losu” może zatracać o papierową retorykę. Netz daje temu stwierdzeniu pełne wcielenie artystyczne i wielowymiarowe. Jak wspomniałem na początku recenzji, powieść Netza będąc znakomitym dokumentem czasów w PRL-u łącznie ze stanem wojennym — jest jednocześnie czymś znacznie więcej. „Matematyka zdarzeń nieuchronnych już przystąpiła do pracy”. Tak jak są metafory — klucze, słowa — klucze, tak to zdanie można uznać jako zdanie — klucz, sentencję — klucz powieści *Urodzony w Święto Zmarłych*.

Z obrzędów Święta Halloween wywiedziony jest nie tylko narkotyczny trans narracji powieści, a pobyt w Nowym Jorku daje Kranzowi nie tylko możliwość poznania getta emigracji zarobkowej. Krąg obrzędów Halloween należy do najbardziej tajemniczej strefy powieści. Jest to strefa, którą można nazwać strefą Hermesa albo strefą aniołów. Najpierw w tej strefie pojawiają się u Netza „dusze czarnych”, one są pośrednikami między światem żywych i umarłych. Zobaczone kiedyś na filmie o tym samym tytule, towarzyszą bohaterowi powieści prawie stale. I zapowiadają wszystko co nieoczekiwane.

Na końcowe karty powieści Netz wpuszcza ducha. Dusze czarnych, tym razem bez cudzysłowu, to były zaledwie cienie, przynoszące niepokój, ale cienie. Duch ojca bohatera powieści, poległego na froncie żołnierza Wehrmachtu, przedstawiony jest z całą metarealnością i z wiedzą wszystkich doświadczeń życia po życiu. Powieść kończy się otwartymi drzwiami, a zwykle są to najlepsze zakończenia dla powieści. Otwarte drzwi są taką pointą, która wszystko otwiera.

JANUSZ STYCZEŃ

Nie trzeba być szczególnie przenikliwym, aby ujawnić następującą prawidłowość: wraz z oddalaniem się od lat istnienia Polski Ludowej wzrasta apetyt na powieść będącą w miarę wszechstronnym obrachunkiem z peerelowską przeszłością. Zapotrzebowanie na dzieło epickie, z którym wiąże się takie właśnie nadzieje, rodzi się, co zrozumiale, przede wszystkim po stronie publiczności literackiej. Pisarze, jeśli tylko uświadamiają sobie rozliczne ograniczenia fikcji powieściowej, zdają się być raczej nieufni wobec obrachunkowych projektów. Bo też jaka miałaby to być opowieść? Czym uprawomocnić fabułę, jak przełożyć doświadczenie jednostkowe na uogólnienie, skąd wziąć typowość, jaką przyjąć perspektywę narracji? Pytań takich, a zarazem poważnych wątpliwości blokujących — jak wolno się domyślać — proces twórczy (in potentia), trochę by się uzbierało.

Jestem przekonany, że Feliks Netz, przystępując do pracy nad „Urodzonym w Święto Zmarłych”, doskonale zdawał sobie sprawę z pułapek i meandrów powieściowej epistemologii skonfrontowanej z dzisiejszą świadomością literacką. Jako pisarz doświadczony, obecny w tym zawodzie od ponad ćwierćwiecza, musiał być świadomy tego, o jaką stawkę toczy się gra, i jak łatwo na tym polu o artystyczne nieporozumienia. Mądrości tej starczyło, by nie ugrzęznąć w anegdocie i nie poprzestać na sztuce portretowania. Autor umknął też ciasnej formule powieści obyczajowo-środowiskowej. Swoją najnowszą książką Netz udowodnił za to, że — jeśli artystyczne penetrowanie minionej epoki w ogóle ma sens — to trzeba się do tego zabrać od innej strony i na odmienionych zasadach. Nie warto tedy szukać znaczeń — jak nakazują lekturowe nawyki — wśród osób i zdarzeń; potrzebny jest również „nowy bohater”, nowe centrum organizujące wypowiedź literacką.

O tym, że rzeczywistym „bohaterem” „Urodzonego w Święto Zmarłych” jest język, dowiadujemy się dość szybko. Na trop ten naprowadzają bowiem pierwsze stronicie powieści. Tak naprawdę nie koleje życia ciotki Hedwig (i pozostałych bohaterów) są tu zajmujące, lecz debata wywołana — zdawałoby się — drobiazgiem: różnicą między polskim spójnikiem „ale” i niemieckim przymiotnikiem „alle”. W powieści Netza znaleźć można tuziny podobnych zdarzeń (a właściwie: zderzeń) językowych. Na podobnych zasadach polszczyzna konfrontowana jest z kilkoma innymi językami, na przykład z rosyjskim: „Siostra — siostra, kakaja raznica”. Tak prostacko ucina debatę „ruski soldat”, barbarzyńca, który wtargnął zimą 1945 roku do pomorskiego matecznika narratora-bohatera, co równało się z przekreśleniem odwiecznego porządku, czyli symbiozy kultur na tym polsko-niemieckim pograniczu. Fundamentem tego łagodnego współistnienia była zgoda narodów rozumiana jako zgoda języków. W świecie wykreowanym w najnowszej powieści Netza wszelkie napięcia i konflikty mają nade wszystko naturę — jeśli wolno tak powiedzieć — lingwistyczną. Choćby w tym jednym epizodzie niejako konkurują ze sobą dwa okropieństwa i tylko zastanawiać się można, co tu jest większym gwałtem: fizyczna przemoc soldata czy niewybaczalna głuchota objawiająca się ucinającym „kakaja raznica” przyłożonym do słów.



Urodzony by słyszeć

Feliks Netz:
*Urodzony
w Święto
Zmarłych.*
„Śląsk”,
Katowice 1995.
(str. 230)

*Krzysztof
Śląska*

Kazik Kranz, narrator-bohater „Urodzonego...” wyposażony został z kolei w słuch absolutny. To jego przekleństwo. Rzecz jasna nadrzędnym poruszeniem potęgującym cierpienie jest historia, która deformuje zarówno losy jednostkowe (Kazik i jego rodzina), jak i miota losami całych środowisk czy też grup etnicznych. W powieści Netza znalazły się cztery odslony tematyzujące kłopoty z tożsamością, o których to dolegliwościach najpełniej da się opowiedzieć przyglądając się słowom. Ułożone w następstwie czasowym są to: obrazy (choć chciałoby się powiedzieć „zastyszenia”) z dzieciństwa bohatera na Pomorzu, lata szkolne na ziemiach zachodnich, obrazy z okresu dorosłego już życia Kranza na Górnym Śląsku i wreszcie jego „językowy raport” z podróży do Stanów Zjednoczonych. Każda z tych odsłon przedstawia się odmiennie, a w wypadku pierwszej z nich trudno nawet mówić o bolesnych doświadczeniach, ponieważ porządek w niej zarysowany, jako żywo, podpada pod mit kresowy. Oto łagodność i bezkonfliktowość dawnego pogranicza

polsko-niemieckiego — ojciec Niemiec i matka Polka; dwujęzyczność i poczucie bezpieczeństwa tylko nieznacznie zachwiane przez wojnę, bo też prawdziwe trzęsienie zacznie się dopiero wraz z jej końcem. Dokładnie ostatnim momentem integrującym polską i niemiecką linię rodziny Kazika jest wspólnie obmyślany plan ucieczki „przed Ruskimi”.

W centrum rekapitulacji minionego dokonanej przez autora „Białej gorączki” znalazły się dwa fatalne zjawiska: wykorzystanie i zdrada — jedno i drugie mające, rzecz jasna, charakter językowy. Kazik Kranz wyrwany z polsko-niemieckiej zgody języków dojrzuje w najgorszym czasie (stalinizm) i miejscu (kulturowa i językowa magma ziem zachodnich). Mechanizm, w którego tryby dostał się bohater, nazwać by można osobliwym rozstrojem mowy. Niechciany wielogłos deformuje osobowość Kranza, pojawia się dwumyślenie, a więc dwu- lub nawet wielomowa. I to jest szczególnie lekcja PRL-u, przez którą przeszli wszyscy mający nieszczęście większość swego życia spędzić w totalizmie — jak Kranz urodzony w Święto Zmarłych (co się wyklada jako fatum) w 1939 roku, jak autor tej powieści, który dał przecież sui generis zapis kryptoautobiograficzny. Netz stawia taką oto tezę: jeśli człowiek, w przybliżeniu rówieśnik Polski Ludowej, odznaczał się pewną wrażliwością (ów słuch, acz niekoniecznie absolutny), to miał raczej marne szanse na normalność. Dlatego być może córka Kranza nazywa głównego bohatera „nieszczęsnym ojcem”. Łatwo tu zresztą dopowiedzieć: Polska nie jest krajem schizofreników tylko dlatego, że tzw. większość do perfekcji doprowadziła sztukę oddalania wątpliwości, zbawienną w tym wypadku, frazą „żadna różnica”.

Doświadczenie PRL-u to także wielokrotnie praktykowana zdrada językowa, z dwoma najgłośniejszymi akordami: Kranz wybiera z premedytacją studia rusycystyczne, Drzystoń zaś polonistykę. Ten językowy obłęd krążący wokół zdrady przybiera zresztą różne postacie — to szkolna nauka języka niemieckiego zasadzająca się na tym, aby nikt języka się nie nauczył; to strach przed, z cudzoziemska brzmiącą, nazwą kina (Capitol), którą pospiesznie zmienia się na arcywawelską (Wawel) itd. W taki oto sposób Feliks Netz wymierza sprawiedliwość minionej epoce. Lecz jednocześnie — za sprawą wątku amerykańskiego — pisarz stara się udowodnić, iż kłopoty z tożsamością, ufundowane na zwyrodnieniu mowy, nie są właściwością jedynie lokalną i do tego związaną z komunistycznym skażeniem. Za Atlantykiem działają w najlepsze analogiczne mechanizmy — język Polaków z Greenpointu jest przecież mową spotworniałą. Ta hybryda, ów językowy potworek przemawia nam do wyobraźni właśnie dlatego, że pozbawiony jest politycznego alibi.

Mimo wszystko w „Urodzonym w Święto Zmarłych” nieśmiało odzywa się nadzieja. Iga, córka Kazika Kranza, studiuje gimnastykę i zbiera pamiątki po swych niemieckich przodkach. Zamyka się koło historii, nadzieja je młodych? Choć rozwiązanie to podszyte jest pewną naiwnością, nie można mu odmówić racji, gdyż w opowieści Netza doskonale się ono tłumaczy. Przekleństwo wieży Babel nie może trwać wiecznie.

DARIUSZ NOWACKI

Tak specyficzną trawestacją faustowskiego: „Chwilo trwaj!” starał się kilka lat temu Janusz St. Pasierb uchwycić istotę fascynacji artystycznych Andrzeja Kreütza Majewskiego, jednego z najwybitniejszych współczesnych scenografów. Jego imponujący dorobek, określany liczbą 320 premier na najbardziej renomowanych scenach operowych świata, przy równoległe uprawianie i ceniejonej twórczości malarskiej — wymyka się próbom jednoznacznych określeń.

Ekspozycja jubileuszowa, której hasłem wywoławczym jest 60-ta rocznica urodzin artysty, zorganizowana przez Centrum Scenografii Polskiej Muzeum Śląskiego w Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach, prezentuje Majewskiego jako malarza i scenografa, człowieka teatru. Wystawa zbudowana została ze zbiorów Galerii Autorskiej Andrzeja Kreütza Majewskiego, darowanej Centrum Scenografii Polskiej w 1986 roku (dla której w Katowicach ciągle brak locum), liczącej już ponad 260 prac — zgodnie z deklaracją artysty — uzupełnianej o jego nowe dary. W intencji autorów ekspozycji jest wykazanie nieuchwytności granicy między dziełami scenograficznymi i malarstwem, wzajemne przenikanie i dopełnianie się obu tych rodzajów twórczości.

Dominantę wystawy stanowią prace malarskie, które wskazują na swój „archetypiczny” charakter w stosunku do przetworzeń scenograficznych. Wiele z nich wywołuje wrażenie metafizycznych szkiców do późniejszych scenicznych kreacji przestrzennych, np.: *Bruno Schultz in Memoriam*, *Gra w zabijaniego*, *Pustynia*, *Strzelnica*.

Kurator wystawy, Ewa Moroń, na jej otwarciu powiedziała m. in.: „Świat i teatr — jego blichtr, przepych i nieuchronna degradacja stają się wiodącymi motywami Andrzeja Kreütza Majewskiego — malarza i scenografa. Każdy z elementów tej wystawy, każde dzieło, niesie w sobie piętno malarstwa i teatru, tak jak znaki i symbole, dzięki którym artysta jest rozpoznawalny. Ptaki, latawce, wieże, przenikają z obrazów w przestrzeń sceny, podobnie jak symbol łodzi wielorako trawestowany — od dziecięcych łódek papierowych, pozornie niewinnych, poprzez instalację przestrzenną „Tratwa Meduzy”, poza kodowaną w naszej świadomości łódź Charona. Teatr Andrzeja Kreütza Majewskiego fascynował widzów na wszystkich kontynentach, zachwycał precyzją myśli inscenizacyjnej i finiszną wyobraźnią, w której nie tylko malarsko konstruowana przestrzeń, ale i kostium wspólnie z aktorem tworzyły niepowtarzalne zdarzenia sceniczne.

W bogatej literaturze krytycznej omawiającej twórczość tego artysty generalnie na plan pierwszy wybijają się stwierdzenia, iż jest on owładnięty — można powiedzieć — wręcz obsesją przemijania, degradacji form, śmierci. Uważam, że przekonania takie są powierzchownym uproszczeniem. Zdecydowane akcentowanie przemijania i degradacji form, zarówno materii jak i tych, stwarzanych przez człowieka, ma w twórczości artysty mocną przeciwwagę, opozycję w przekonaniu w trwałość i niezniszczalność ducha i jego permanentnych przemian.

Jedną z najważniejszych opozycji jest obcość świata natury w relacji do tworzonego przez człowieka mitycznego obrazu świata, kosmosu i siebie samego w tym wszystkim, czyli do kultury. A czymżesz ona jest, jeśli nie ponawianym i modyfikowanym nieustannie nadawaniem antropologicznego sensu wszelkim zjawiskom świata ziemskiego i kosmosu? Fundamen-

talny dla gatunku homo sapiens rodzaj pojmowania i „porządkowania kosmicznego chaosu”, pozwalający mu istnieć i rozwijać się, lapidarnie i nader trafnie zdefiniował Bruno Schultz: „Istotą rzeczywistości jest sens. Co nie ma sensu nie jest dla nas rzeczywiste. Każdy fragment rzeczywistości żyje dzięki temu, że ma jakiś udział w jakimś sensie uniwersalnym”.

Czym są w swej istocie wszelkie koncepcje ontologiczne i wynikające z nich, lub mające wynikać, uporządkowanie „pozostałych szczegółów”? I czymże jest mit, kamień węgielny wszystkich kultur? To właśnie mit objawiał prawdy absolutne, przedstawiał obraz „punktu wyjścia”, czyli tego co było na początku czasu i świata. Nadal mit, nie nauka, nadaje sens rzeczywistości i życiu ludzkiemu.

Majewski jest artystą inspirującym się wyłącznie w obrębie świata kultury, w obrębie pojęć, znaków i symboli stworzonych przez człowieka, jego myślenia mitycznego i to w bardzo specyficznym wymiarze, jakim jest teatr. Wyrosły z misterii religijnych, obrzędów o znaczeniu magicznym — od dawna już koncentruje się na człowieku i dramacie jego egzystencji.

Artysta z imponującą swobodą porusza się w istotnym wymiarze kultury, jaki tworzy nieustający cykl klęsk i ponawianych prób nadawania sensu rzeczywistości. Czyż to subtelnie, lecz jednocześnie ze zdumiewającą, chwilami porażającą widza, przenikliwością, prezentując umiejętność two-

żenia zaskakujących syntez (np. obraz „Tratwa Meduzy”). Jego obrazy i realizacje scenograficzne budowane są z elementów wyobrażeń ludzkich, którym nadaje formę znaków, symboli. Są one ich precyzyjnie przemyślaną deformacją, podporządkowaną myśli, przesłaniu artystycznemu. Tworzyłem podstawowym dla Majewskiego jest rumowisko złudzeń, ułomności ludzkich wyobrażeń i działań w skali makro i mikro, zderzone, w świadomości widza, z fanfaronadą, pychą i zadaniem towarzyszącymi ich powstawaniu. Najbardziej reprezentatywnym na katowickiej wystawie jest w tym wymiarze obraz „Pustynia”, namalowany w stylistyce nawiązującej do surrealizmu. Wieczne cmentarzysko idei, bez początku i końca, cmentarzysko czynów człowieka, zawieszone w metafizycznej przestrzeni kosmosu.

W tworzony przez siebie kod znaków i symbolicznych przedstawień, często wprowadza symbolikę na trwałe umiejscowioną w uniwersalnym świecie pojęć, lecz przez usytuowanie w odmiennym kontekście, nie tyle nadaje jej inne znaczenie, ale jakby proponuje refleksję nad jej sensem w relacjach współczesnych. Owe symboliczne „cytaty” nie są przez artystę trawestowane, lecz wprowadzone zostają w całej swojej wieloznaczności, w jakiej funkcjonowały i nadal funkcjonują w kulturowym obiegu. Znaleźć je można zarówno w obrazach, realizacjach scenograficznych, jak również w kostiumach, co szczególnie na wystawie unaoczniają kostiumy z symbolicznymi maskami do „Elektry” Ryszarda Wagnera, w reżyserii Aleksandra Bardiniego, wystawionej w Teatrze Wielkim w 1971 r.

Dziela Andrzeja Kreütza Majewskiego cechuje rzadko dzisiaj spotykana dyscyplina, precyzyjnie wyważona relacja między formą a przekazem — komunikatem artystycznym o wielowarstwowej strukturze. Obok obrazów, fragmentów realizacji scenograficznych i kostiumów teatralnych, na wystawie znalazły się również ich projekty.

Majewski nie jest wieszczem totalnego upadku, wychylenia w stronę śmierci, KONCA itp. Przypisywanie go do dekadnego nurtu sztuki schyłku XX wieku jest zwykłym nieporozumieniem. Na otwarciu wystawy w BWA artysta powiedział: „Od widza, od Państwa dla mojej pracy, dla mego malowania oczekiwałem zawsze tylko wrażliwej gotowości. Od krytyki niczego. Od życia wiele. Gdyż owym „Fons Perpetuum” nigdy nie wysychającym źródłem natchnienia było samo życie. I wspomnieć muszę, że obdarzany byłem przez NIE szczodrze. I jeśli czasami przesadny bywałem w dbałości o zaprowadzenie w mój życie »codziennego ładu«, to już zawsze samo ONO przywracało mnie przeznaczeniu, nieoczekiwane a przepastne, otwierając przede mną perspektywę.

I jeszcze chcę powiedzieć, że modne, a obowiązujące tendencje nie były nigdy obiektami mojej uwagi, a rozminięciem się z nimi moją troską”.

SEWERYN A. WISŁOCKI

"chwilo
rozpadu
trwaj,
jesteś
piękna...!"

Andrzej Kreütz Majewski, „Malarsztwo i Teatr”, Wystawa Jubileuszowa w 60 rocznicę urodzin, Urząd Miasta Katowic, Centrum Scenografii Polskiej Muzeum Śląskiego, Biuro Wystaw Artystycznych w Katowicach, Kurator wystawy: Ewa Moroń, aranżacja przestrzeni: Jerzy Moskal, współpraca aranżacyjna: Franciszek Kłak; 7.09. — 8.10.1995 r.





Bronisław Firla – Starówka Cieszyńska 1077 – olej na płycie ▲

◀ Władysław Kubień – Pejzaż przemysłowy III 1990 – tempera

Aneta Sedlakowá – Czerwony pejzaż 1994 – olej na kartonie ▼



Pierwszy wernisaż wielkiej zbiorowej wystawy pt. „Polscy artyści na Zaolziu. 1945–1995”, zorganizowanej przez Muzeum Okręgowe w Bielsku-Białej miał miejsce 16 marca 1995 roku. Po trzech miesiącach ekspozycję przywieziono do Krakowa, gdzie można ją było oglądać w galerii Domu Polonii, zaś od 14 września była prezentowana praskiej publiczności w polskim ośrodku informacyjnym niedaleko Placu Wacława. Chociaż w przeszłości zaolziańskie środowisko artystyczne urządzało większe lub mniejsze ekspozycje własnej twórczości w różnych ośrodkach, to jednak ta wystawa jest pierwszą zorganizowaną na taką skalę i z takim rozmachem. Wzięło w niej udział 35 artystów prezentujących w sumie 150 prac (w Muzeum Okręgowym w Bielsku-Białej i Krakowie; w Pradze z braku miejsca ilość prac zmniejszyła się o połowę). Po Pradze, wystawa prawdopodobnie odwiedzi jeszcze Bratysławę i Wiedeń.

O Zaolziu i Polakach zaolziańskich pisze się ostatnio dość sporo, wciąż jednak terminy „Zaolzie”, czy „Polacy zaolziańscy” trzeba dokładnie objaśniać. Dlatego wyjaśnienia wymaga sam tytuł wystawy: „Polscy artyści na Zaolziu”. Otóż nie oznacza on bynajmniej artystów „skądś z Polski” prezentujących swoją twórczość na Zaolziu, ale wyłącznie artystów zaolziańskich, autochtonicznych, tutaj mieszkających, a przynajmniej stąd się wywodzących.

Jak pamiętamy, w wyniku militarnych faktów dokonanych, a następnie jednostronnej decyzji Rady Ambasadorów z roku 1920, większa, zachodnia część Śląska Cieszyńskiego, zamieszkała podówczas w przeważnie przez Polaków, weszła w skład Czechosłowacji. Zrozumiałe więc, że miejscowa ludność polska — wchodząca wcześniej w skład jednego z narodów wielonarodowej Austrii, która stała się nagle mniejszością narodową, poczuła wzmoczoną potrzebę konsolidacji. Znalazło to także wyraz, a może przede wszystkim, w działaniach kulturalnych. Pierwszą instytucją sprawującą, nieformalnie jeszcze, opiekę nad artystami było polskie Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Orłowej. Tam w 1922 roku malarze Gustaw Fierla i Karol Piegza zorganizowali pierwszą na Zaolziu wystawę polskich plastyków. Od 1925 roku wystawy te organizowano już co roku. Grupa artystów powiększała się stopniowo, aż wreszcie w roku 1937 założyła Śląski Związek Literacko-Artystyczny.

Po wojnie, w zmienionej sytuacji politycznej, reaktywowanie licznych polskich organizacji i stowarzyszeń okazało się niemożliwe. Powstała natomiast jedna instytucja — Polski Związek Kulturalno-Oświatowy — obejmująca ogromny obszar życia kulturalnego i towarzyskiego. Przy powstałym w 1947 roku PZKO jeszcze w tym samym roku uformowała się Sekcja Literacko-Artystyczna, kontynuatorka Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego. Do założycieli SLA należeli ci sami działacze, którzy zakładali w 1937 ŚZLA. Prócz wymienionych — Fierli i Piegzy — byli to: Franciszek Świder, Władysław Pasz, Dominik Figurny, Henryk Nitra i inni. Sekcja Literacko-Artystyczna, wewnętrznie podzielona na pion: plastyczny, literacki, muzyczny i foto-filmowy, skupia — jak dotąd — większość artystów — Polaków Zaolzia. Należą do niej zarówno profesjonalni, jak i amatorzy, uprawiający różne dziedziny sztuki, artyści różnej orientacji i o różnym poziomie artystycznej twórczości.

Wystawa, o której tu piszę jest swoistym przeglądem wspólnego dorobku tej organizacji, od założycieli SLA po najmłodszych,

W PRADZE SZTUKA POLAKÓW Z ZAOLZIA

jeszcze studiujących w szkołach artystycznych. Tak więc znaleźli się na tej wystawie najstarsi: nieżyjący już Gustaw Fierla, absolwent krakowskiej ASP, uczeń Mehoffera i Wojnarowskiego, a potem wychowawca wielu młodszych plastyków w Gimnazjum Polskim w Orłowej; jego kolega, Karol Piegza, również nauczyciel w orłowskim gimnazjum, dzielący zresztą także jego zainteresowania ludoznawcze. Jest ks. Józef Berger, nie tylko wybitny malarz wymieniany w encyklopediach sztuki słowackiej, jako że ostatnie, najbardziej twórcze 10 lat życia spędził w Bratysławie; jest również wybitny

działacz kościoła ewangelickiego — Franciszek Świder, ostatni z wielkich, żyjący współzałożyciel SLA.

Z młodszych na uwagę zasługuje Tadeusz Berger, grafik i malarz, twórca oryginalnej szaty graficznej miesięcznika „Zwrot”, Bronisław Firla, z zawodu architekt, z zamiłowania malarz, grafik i rysownik, ciągle poszukujący nowych dróg (długoletni, znakomity prezes SLA). Poza ramy regionu wyostał się Bronisław Liberda — malarz, grafik, rysownik, scenograf, twórca kukiełek, filmów animowanych, a także utalentowany muzyk.

Aby napisać choć zdanie o każdym z 35 wystawiających, brak tutaj miejsca. Wypada tedy chociaż wymienić ich nazwiska. Tak więc w wystawie biorą udział: Alicja Bartulcowa, Józef Berger, Tadeusz Berger, Władysław Cejnar — malarz i scenograf, Roman Chmiel — bardzo utalentowany grafik najmłodszego pokolenia (po akademii praskiej), Władysław Ćmiel, Ewa Damborska, Józef Drong, Gustaw Fierla, Dominik Figurny, Bronisław Firla, Edward Kaim, Rudolf Kobiela, Barbara Kowalczyk, Stanisław Kraus, Darina Krygiel, Zbigniew Kuczczyk — grafik specjalizujący się w ekslibrisie, Władysław Kubiś (jeden z młodszych zdolnych), Bronisław Liberda, Monika Milerska, Henryk Nitra (rzeźbiarz i malarz), Gustaw Nowak, Władysław Pasz, Oskar Pawlas (obecny prezes SLA), Karol Piegza, Jan Rusnok (mieszkający od kilku lat w Stargardzie Szczecińskim), Aneta Sedláková (najmłodsza uczestniczka wystawy, studentka krakowskiej ASP), Bogumił Swoboda, Halina Szkopek (absolwentka krakowskiej ASP, malarka i scenograf teatru lalkowego), Franciszek Świder, Walter Taszek, Paweł Wałach, Stanisław Waszek (architekt i rysownik), Tadeusz Wratny (architekt, malarz i grafik) oraz malarz i grafik Rudolf Żebrok.

Z tak wielkiej liczby artystów i prac nie sposób ułożyć łatwą do opisanias całość. Zadaniem i wielką zasługą komisarza wystawy, Iwony Purzyckiej z Muzeum Okręgowego w Bielsku-Białej było dokonanie wyboru najlepszych dzieł, bez stosowania taryfy ulgowej. To także w przeszłości było powodem, iż środowiska opiniotwórcze wykazywały niewielkie zainteresowanie wystawami zbiorowymi artystów zza Olzy. Należy w tym miejscu zaznaczyć, że plastycy zaolziańscy, już i tak ograniczeni w możliwościach kontaktów, byli do niedawna poddani rygorom szczególnie na północnych Morawach jeszcze w latach 80., propagowanej „metody realizmu socjalistycznego”.

W ostatnim czasie, kiedy otworzyły się nowe, nie znane dotąd, zwłaszcza w Czechach, możliwości, niektórzy plastycy zaczęli poszukiwać dróg dotarcia do innych niż dotychczas kręgów publiczności, próbując samodzielnie wypłynąć na szersze wody. Sekcja Literacko-Artystyczna rozaczająca nad artystami Zaolzia swoje opiekuńcze skrzydła tego akurat — wejścia na profesjonalny rynek sztuki — dać im nie mogła. Nie była też w stanie wprowadzić ich dzieł do oficjalnego obiegu kultury narodowej, ani polskiej ani czeskiej. O to zaolziańscy artyści muszą starać się sami.

Nie jest to jednak zadanie w realizacji łatwe. Pomimo sporej ruchliwości prezesów SLA, wielu zorganizowanych plenerów, wystaw i innych imprez, literatura poświęcona sztuce Polaków w Czechosłowacji (obecnych Czechach) była skromna i dość jednostronna. Toteż sztuka Polaków na Zaolziu czeka na swoje odkrycia, dlatego ich wystawa w Pradze jest taka ważna.

ANNA RUSNOK

Ta informacja zelektryzowała środowisko muzyków i miłośników muzyki: Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia zainauguruje sezon artystyczny 1995/96 koncertem, w którym gościnnie dyrygować będzie STANISŁAW SKROWACZEWSKI!...

Dla melomanów w sile wieku zapowiadało się odświeżenie doznań sprzed wielu lat, gdy światowej sławy dyrygent, wtedy zdobywający dopiero szlify kapelmistrzowskie, dyrygował Orkiestrą Symfoniczną Państwowej Filharmonii Śląskiej. To on właśnie stanął 1 lutego 1950 roku na czele dopiero co upaństwowionej placówki artystycznej, by pokierować nią przez następne trzy lata. Niektórzy pamiętają jeszcze jego wspaniałe interpretacje IX Symfonii Beethovena, Suity baletowej „Ognisty ptak” Strawińskiego, po raz pierwszy w Katowicach prezentowanej IV Symfonii „Romantycznej” Brucknera, czy dzieł w ramach Ravelowskiego koncertu monograficznego, wreszcie koncerty z Szymanowskim i Szabelskim (prawykonanie III Symfonii).

Młodszy oczywiście ciekawo byli konfrontacji odbioru „na żywo” z nagraniami fonograficznymi i legendą, jaką owiana jest postać Stanisława Skrowaczewskiego. Swe bezpośrednie



Foto: Arkadiusz Ławryniak

W polskim środowisku profesjonalnym z uwagą śledzono karierę artysty, zaś jego zaskakujący przyjazd do Katowic po 40 latach nieobecności miał posmak sensacji. Liczono się z taką możliwością w związku z obchodami 50-lecia powstania Filharmonii Śląskiej. Filharmonię jednak ubiegła WOSPR!

★ ★ ★

Piątkowy wieczór 6. października zapisany zostanie w annałach WOSPR. Sala im. G. Fitelberga nie mogła pomieścić wszystkich chętnych zobaczenia w akcji legendarnego polskiego dyrygenta. Gdy ukazał się na estradzie rozległy się burzliwe oklaski, a potem była już tylko muzyka, wspaniale zaprezentowana Symfonia C-dur KV 338 Mozarta z pianami jak tchnienie wietrzyka i wyważonym klasycznie forte, z zagranym z niebiańską słodyczą Andante di molto i tryskającym energią i radością finałowym Allegro vivace, chwilami jakby zapowiadającym partiami „buffo” bliskość Rossiniego. „Ach, cóż to był za... Mozart!”. Symfonia bez reszty uwiarygodniła wcześniej zacytowaną wypowiedź. Niebo otwarło się także przed słuchaczami!

Kompozytorski dorobek Brucknera nasuwa porównanie z masywem górskim z dziewięcioma w nim szczytami — symfoniami. By owe szczyty zdobyć, trzeba zadać sobie wiele

SKROWACZEWSKI w Katowicach po latach

kontakty z muzyką rozpoczął jako 4-letnie pachole nauką gry na skrzypcach, zamienionych niedługo potem na fortepian; w siódmym roku życia zanotował pierwsze próbkę kompozytorskie, a w jedenastym — wystąpił publicznie w charakterze solisty i zarazem dyrygenta z III Koncertem fortepianowym Beethovena. Rzucając później, ze względu na poważną kontuzję ręki, pianistykę, pasję kompozytorską i dyrygentkę rozwijał z całą konsekwencją — początkowo w rodzinnym Łwowie, gdzie ponadto studiował chemię na Politechnice i filozofię u prof. R. Ingardena na Uniwersytecie, a po drugiej wojnie światowej w Krakowie, gdzie w 1946 roku uzyskał dyplom ukończenia PWSM w specjalności dyrygentkiej (w klasie Walerego Bierdiajewa) i kompozytorskiej (u Romana Palestra). Nie zrezygnował też ze swych zainteresowań filozofią, kontynuując jej studium — razem z muzykologią — na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Po studiach podjął pracę dyrygenta w Filharmonii i Operze we Wrocławiu. Zdobywszy w 1947 roku II nagrodę na Konkursie Kompozytorskim im. Karola Szymanowskiego swą Uwerturą koncertową, na dwa lata opuścił Polskę jako stypendysta Rządu Francuskiego, by w Paryżu uzupełnić studia kompozytorskie (u Nadii Boulanger) i dyrygentkie (u Pawła Kleckiego). Nie można się dziwić, że po powrocie do kraju kilka miesięcy po przyjęciu pracy dyrygenta w katowickiej Filharmonii wszechstronnie wykształconemu i wybitnie utalentowanemu artyście powierzono kierownictwo artystyczne nobilitowanej statusem państwowym placówce.

★ ★ ★

Lata te były dla młodej Filharmonii okresem formowania stylu, kształcenia jej poziomu artystycznego. Młody kierownik artystyczny, sam wyróżniający się kompozytor, wiele miejsca poświęcał muzyce współczesnej (seria prawykonań m.in. dzieł Szabelskiego, Malawskiego, Bairda), wprowadzał też odważnie na estradę Filharmonii dzieła z wielkiej literatury orkiestrowej (Wagnera, Brahmsa, R. Straussa, de Falli, Respighiego i in.), dysponując coraz to większym zespołem muzyków (83 w 1953 roku).

Po Katowicach nastąpił Kraków (1955—56), później Warszawa (1956—59). Intensywna pra-

cę kapelmistrzowską godził S. Skrowaczewski z działalnością kompozytorską, o czym świadczą liczne powstałe w tym czasie dzieła — m.in. Muzyka nocą (1952), III Symfonia (1953), IV Symfonia (1956) oraz szereg utworów solistycznych i kameralnych, w których IV Kwartet smyczkowy przyniósł mu II nagrodę na znaczącym Konkursie Kompozytorskim w Liege.

Momentem przełomowym było dla dalszej kariery wyróżnienie nieznanego jeszcze wtedy szerzej polskiego dyrygenta I Nagrodą w Międzynarodowym Konkursie Dyrygentkim Akademii Santa Cecilia w Rzymie w 1956 roku. Na zaproszenie znakomitego dyrygenta George Szella, szefa słynnej Cleveland Orchestra, S. Skrowaczewski wyjechał do Stanów Zjednoczonych Ameryki, by zadrygować tym zespołem. Konsekwencją udanego występu były kolejne zaproszenia — w 1960 roku do Nowego Jorku, a następnie do Pittsburgha, Cincinnati, Minneapolis. Propozycja objęcia szefostwa doskonałej orkiestry w Minneapolis (od 1970 roku znanej pod nazwą Minnesota Orchestra) zaważyła na decyzji osiedlenia się w tym mieście. Orkiestrą tą kierował S. Skrowaczewski przez 19 lat od 1960 roku, pozostając do dziś jej dyrygentem honorowym (Conductor Laureate). Te lata to jedno pasmo sukcesów: gościnne występy z najlepszymi orkiestrami Ameryki Północnej, Europy (m.in. z Berliner Philharmonisches Orchester, Wiener Symphoniker, London Symphony, Concertgebouw), współpraca ze słynnymi teatrami operowymi (Wiener Staatsoper, Metropolitan Opera i inne), wreszcie podróże koncertowe ze swoim zespołem, Concertgebouw Orchestra i Hallé Orchestra, z którą — będąc w latach 1984—1991 jej I dyrygentem — w 1987 roku gościł w Polsce (Krakowska Filharmonia koncert Orkiestry ze Skrowaczewskim odnotowała w swej książce jubileuszowej wśród „pamiątkowych wydarzeń koncertowych” w minionym 50-leciu).

Z wieloma zespołami S. Skrowaczewski dokonał nagrań dla renomowanych firm fonograficznych. Szczególnie wysoko ocenia się jego interpretacje dzieł kompozytorów francuskich i symfonii Brucknera (Złoty Medal Bruckner-Mahler-Society). S. Skrowaczewski jest także doktorem h.c. kilku uniwersytetów (m.in. Columbia University w Nowym Jorku i University of Minnesota w Minneapolis).

trudu. Dotyczy to i dyrygenta, i orkiestry, i słuchaczy. To dzieła monumentalne już w samych rozmiarach. Nigdy dotąd nie grana w Katowicach w całości V Symfonia trwa przecież około 80 minut! (dla porównania: bodaj jedna tylko z licznych symfonii Mozarta trwa ponad 30 minut, dwie tylko symfonie Beethovena wyrosły ponad 40 minut — III i IX).

Niewielu było i jest na świecie dyrygentów, którzy mogliby powiedzieć, że specjalizują się w wykonawstwie symfonii Brucknera, odnosząc sukcesy w publiczności i krytyków. Kiedyś należał do nich Arthur Nikisch (ciekawe — do jego uczniów zaliczał się W. Bierdiajew, który z kolei był, choć krótko, profesorem S. Skrowaczewskiego). Dziś zalicza się do ich grona Kurta Masura i Stanisława Skrowaczewskiego.

V Symfonia Brucknera w Sali im. G. Fitelberga była dla katowickiej publiczności wydarzeniem najwyższej miary. Doskonale opanowanie partytury — Skrowaczewski dyrygował ją, podobnie jak wcześniej Symfonię Mozarta z pamięci, pełna mobilizacja wspaniałej przecież Radiówki — być może na pulapie aktualnych możliwości — i niezwykle skupiona atmosfera w audytorium mimo przepelnionej sali, zapewniły wykonaniu wymiar dźwiękowego misterium z niewyrażalnymi w płaszczyźnie semantycznej stanami nadziei, zwątpienia, beztrois i triumfu w majestacie Stwórcy. Po wybrzmieniu ostatnich dźwięków chciałoby się w zupełnej ciszy opuścić salę koncertową i w domu kontemplować to jednorazowe przeżycie. Jakże jednak nie podziękować za duchową ucztę orkiestrze i dyrygentowi? Można sobie jedynie wyobrazić, jak wyglądała ich współpraca na próbach. Myślę, że wiele musiało się rozegrać nie na płaszczyźnie artystycznej, warsztatowej, a estetycznej, filozoficznej. Świadczył o tym emanujący od pulpitu dyrygentkiego spokój, pewność, że muzycy w pełni świadomi są intencji twórcy. Stąd maksymalna oszczędność gestów, które jedynie regulowały oczywisty dla wszystkich przepływ strumienia dźwięków.

Toteż po Piątej Brucknera nie było milczenia. Były natomiast potężne, nie kończące się owacje, przerwane wreszcie przez znanego z poczucia humoru dyrygenta słowami, w których zagroził on powtórzenie na bis 25-minutowego finału. Życzliwy śmiech, który przemknął po sali, stanowił zwieńczenie wielkiego koncertu.

KAROL BULA

Dla dzisiejszej młodzieży interesujące się teatrem, Jan Dorman jest tylko legendą. Dla ich rodziców może wspomnieniem dzieciństwa. Dla Lidii Wróbel — kawałkiem życia, bo w teatrze Dormana spędziła jedenaście lat, biorąc udział w kilkunastu premierach i kilkuset przedstawieniach w kraju i za granicą.

Dlatego też spektakl — *Rzecz o Teatrze Jana Dormana*, którego scenariusz otrzymał grant Wojewody Katowickiego w konkursie na przedsięwzięcie kultury, wyrasta z biografii twórczej aktorki i jest dowodem na to, że chociaż potem pracowała w innych teatrach jako aktorka i reżyser, nigdy nie wyzwoliła się spod uroku tamtych lat, doświadczeń oraz osobowości artysty, którego twórczość zestawiana była z dokonaniem Grotowskiego i Kantora.

W zeszłym sezonie teatralnym Lidia Wróbel reżyserowała w Teatrze Dzieci Zagłębia *Koziołka Matołka* wedle inscenizacji Dormana. Scenografię projektował ponownie Andrzej Łabiniak, więc powstał spektakl, będący repliką tego sprzed lat, granego ongiś aż 1963 razy.

Rzecz o Teatrze Jana Dormana — to specyficzna lekcja teatralna, poświęcona pamięci twórcy i przeznaczona dla wszystkich, którzy teatr ten znają z książkowych opracowań oraz wspomnień ludzi, oglądających go na bieżącej scenie. Autorka w swoim scenariuszu wykorzystwała fragmenty inscenizacji Dormana ze sztuk: *Która godzina*, *Sen nocy letniej*, *Szczęśliwy książę*, *La Fontaine*. Prezentację opatrzyła komentarzem, poprzedzającym kolejne sceny (nagrany na taśmie magnetofonowej) i informującym, jaka była idea Dormanowego przedstawienia oraz w jaki sposób została zmodyfikowana w scenariuszu

TEATR

Lekcja z Dormana



artysty kanwa oryginalnej sztuki, z której korzystał, pracując nad inscenizacją.

Korzystając także z dokumentacji fotograficznej oraz oryginalnych nagrań

z przedstawień Dormana, autorka spektaklu zadbała o zgodność scenografii, kostiumów, muzyki oraz o wszystko, co charakterystyczne dla stylistyki Dormana. Stworzyła spektakl urodziwy i pokazujący oryginalność dokonań, będących w przeszłości na bieżącej scenie codziennością. Nie było to zapewne łatwe, wzięwszy pod uwagę fakt, że przedstawienia Dormana nigdy nie były grane identycznie, że każde z nich wносиło coś nowego, bo wyzwało z wyobraźni twórcy coraz to inną sieć skojarzeń, a próby i poszukiwania trwały nawet wtedy, gdy od oficjalnej premiery minęło wiele czasu.

Sądząc po reakcji widzów (głównie młodzież szkół średnich) wnioskuję, że spektakl ją zadziwił, szczególnie fragmenty przedstawień *Która godzina* i *Szczęśliwy Książę*, brzmiące i dzisiaj wyjątkowo oryginalnie. Spektakl ten może być punktem wyjścia do rozmowy z młodzieżą na temat wolności artysty, zabawy konwencjami oraz tego, co nazywa się stylem Jana Dormana. Spełnia więc swoją edukacyjną rolę. Może warto byłoby pomyśleć, aby ta rozmowa odbyła się po spektaklu (w teatrze Dormana dyskusja była jego integralną częścią) z udziałem aktorów i Lidii Wróbel, która zapewne potrafiłaby podzielić się wspomnieniami, dotyczącymi metod pracy Dormana i atmosfery jego teatru. Może to właśnie młodzież, znająca dokonania współczesnych, potrafiłaby określić, na czym polegał fenomen Dormana.

JAN ANDRZEJ FRĘŚ

Rzecz o Teatrze Jana Dormana — spektakl autorski Lidii Wróbel. Premiera 25 września 1995 roku w Teatrze Dzieci Zagłębia w Będzinie.

Aż boję się przyznać, że musical *Nunsense* mnie nie zachwyił. Przecież powinien. Na Broadwayu odniósł sukces. Otrzymał Nagrody Outer Critics Circle za najlepszy musical, najlepsze libretto i najlepszą muzykę. Jest ponoć „postrzeloną ręką, satyrą na życie zakonne, serwującą historyczne poczucie humoru, przyprowadzającą o pęknięcie brzucha”. Z przykrością stwierdzam, że śmiać mi się nie chciało wcale, a jeśli pękałam momentami, to raczej z nudów.

Pięć siostr zakonnych pozostałych przy życiu po gremialnym zatruciu grzybami, postanowiło znaleźć pieniądze, by godnie pochować te, które ciągle jeszcze czekają w łódkach na chrześcijański obrządek. Siostry są przedsiębiorcze, więc wymyśliły rewiew, z której dochód posłuży im do zbożnych celów. Każda z nich opowie i wyśpiewa swoją historię. Prawdopodobnie zabawną, choć niewybredną. Żadna z tych opowieści mnie nie wciągnęła. Wszystkie były monotonne, za długie i nad wyraz statyczne.

Zakonnice wymyśliły sobie amatorski teatrzyk, w którym postanowiły siebie zaprezentować, nie skrywając swoich umiejętności i pasji. Reżyser — profesjonalista (!) postanowił nadać temu teatrzykowi formę zgodną z tematem rewiewowych zachcianek zakonnic i spektakl także ma formę amatorskiego, kiczowatego teatrzyku. Był to na pewno chwyt celowy, bo o inny nie mogę posądzać reżysera tej miary, co Marcel Kochańczyk. Efekty jednak tych zabiegów są znikome. Nie dałam się wciągnąć w pozorowany dialog i zabawę z widownią. Ani w przestarzałe dowcipy siostr, pełniących rolę konferansjerów, ani w podjudzanie publiczności do śmiechu okrzykami i zachętą do powtarzania tychże okrzyków oraz do odpowiedzi na pytania w stylu: — jak się bawicie? — ani do gestów,

Szalejące zakonnice



Foto: Andrzej John

polegających na kręceniu młynka rękami (w celu rozentuzjasmowania publiczności). Zresztą nie tylko ja pozostałam niemrawa w odwzajemnianiu radości, której nie było. Znamy te wszystkie „numery” z amerykańskich filmów najgorszego typu, ukazujących showbiznes. Nie są one dostosowane (jeszcze) do naszej mentalności, tak jak odległa od naszej mentalności jest treść *Nunsense*. Sceniczne dowcipy zakonnic są po prostu poniżej poziomu polskiej kultury religijnej, dlatego też nie mogą szargać świętości ani obrażać jakichkolwiek uczuć. Ani scena z książką kucharską Matki Boskiej, ani zwierzenia siostry Amneji, która imię zawdzięcza temu, że krucyfiks spadł jej na głowę.

Nie ma w chorzowskim spektaklu tego, co na pewno być powinno: mianowicie — musicalowego rozmachu. Nie dostarcza go także, pozał się Boże, scenografia, w postaci rampy oświetlonej żarówkami i orkiestry złożonej z braci zakonników, ukrytej za półprzezroczystą zasłoną. Nie ma też finezji,

jaka była np. w prezentowanej w poprzednich sezonach „Monachomachii”.

Jedno natomiast jest na pewno: jest pięć wspaniałych śpiewających aktorek (Joanna Budniok-Machera, Maria Meyer, Marta Kotowska, Barbara Lubos-Swięs, Marta Tadla). Każda z nich ma jedną popisową piosenkę. Najbardziej brawurowo wypadła Marta Tadla, aktorka Teatru Dzieci Zagłębia w Będzinie. To ona porwa widownię piosenką w stylu gospell w scenie finałowej. Od tego momentu zaczyna się naprawdę coś dziać. Ale też jest to finał. Niestety, nie ma w tym osławionym na Broadwayu musicalu jakiegos muzycznego leitmotywu, który byłby do zapamiętania i podziwiania.

MARTA FOX

Nunsense. Teatr Rozrywki, Chorzów. Premiera 24 września 1995 roku. Libretto i muzyka: Dan Goggin, reżyseria i scenografia: Marcel Kochańczyk, choreografia: Zofia Rudnicka.

IRENEUSZ OPACKI: „W ŚRODKU NIEBOKRĘGA, PÓE-ZJA ROMANTYCZNYCH PRZEŁOMÓW”. Agencja Artystyczna PARA, Katowice 1955; str. 328.

Można romantyzmu nie lubić, lecz nie sposób go zignorować. Romantyzm zawsze był i zapewne będzie czytany, komentowany, „przerabiany” w szkole. Chociaż kanoniczne księgi „narodowej Biblii” (Pan Tadeusz, Ballady i romanse), „wykąpano już w tyłu hektolitrach uczonego atramentu” (kradnę ze s. 196), że niełatwo dorzucić swoje trzy grosze. Ireneusz Opacki, profesor Uniwersytetu Śląskiego, proponuje raz jeszcze przyjrzeć się romantyzmowi z bliska, odnowić kontakt z utworami, które sztywnięją w „gorsecie” szkolnych odczytań.

Książka W środku niebokręga prowadzi nas w centrum (czyli w środek) najistotniejszych spraw tej epoki, a także – ujawnia centrum zainteresowań Ireneusza Opackiego, teoretyka literatury, badacza poezji współczesnej, a przede wszystkim – badacza romantyzmu. Z trzydziestoletniego dorobku romantologa autor wybrał artykuły ukazujące omawiane tu zagadnienia w aspekcie „przełomowości”. Książka mówi o dwu przełomach, o przemianach zachodzących w postrzeganiu świata (uwarunkowanych zmieniającą się sytuacją) na granicy epok (oświecenie/romantyzm) i po roku 1930.

Podtytuł Poezja romantycznych przełomów informuje, że autor zajął się poezją, że interesują go przełomy (ujęcie romantyzmu w jego dynamicie, w opozycjach), a także – przywołuje wydaną w roku 1972 Poezję romantycznych przełomów, w którą tutaj wmontowano „cegiełki” stare i najnowsze.

Sądząc po różnorodności omawianych zagadnień, po doborze interpretowanych tekstów i układzie autorów (Słowacki, Mickiewicz, Norwid, Ujejski), można przyjąć, że mamy do czynienia z antologią tekstów bezpośrednio nie powiązanych, można więc – bez obawy, że się pogubimy – wybrać studium na dowolny temat.

Jednakże, mimo autonomii poszczególnych rozdziałów, warto przeczytać książkę od A do Z w porządku linearnym; gdyż u jej podstaw tkwi zamysł syntezy epoki. Autor ma rzadki dar łączenia kompetencji akademika z przystępnym, zajmującym wykładem. Opowiada „żywo”, stosuje strategię retora, bywa gawędziarzem. Paradoks stylu pisania (i myślenia) Opackiego polega na łączeniu gawędziarskiej swobody ze spójną, logiczną konstrukcją wykładu; myśl biegnie „meandrycznie” (to celne określenie wzięłam od A. Nawareckiego), lecz zawsze osiąga zamierzony cel. Czytelnik ma wrażenie współczesnictwa w grze z tekstem; stopniowo pokonuje „przeszkody”, wchodzi w odpowiednie konteksty, samodzielnie dociera do ukrytego sensu. Szanując odbiorcę, autor zawsze uwzględnia jego możliwości percepcyjne, mówi językiem powszechnie zrozumiałym, nie ogranicza się do „gołych” wniosków, lecz niejako „naocznie” demonstruje warsztat analityka, pokazuje interpretacyjne „sztuczki”.

Ireneusz Opacki drąży konkret; wybrany utwór lub jego fragment „ogląda pod mikroskopem” (bada leksykę, obrazowanie, kompozycję) i chociaż bliska mu jest geneologia (myślenie o literaturze w kategoriach gatunkowych), nie traci z oczu fenomenu, tej niepowtarzalnej „materii” utworu, za którą historyk literatury widzi normy, konwencje, główne idee epoki. Autor tej książki trzyma się blisko tekstu i faktu. Ceni dokumenty (np. przy Bema pamięci

żałobnym rapsodzie przywołuje relację z pogrzebu Józefa Bema, z innych tekstów Norwida wydobywa cytaty świadczące o stosunku poety do generała), nie lubi spekulować na wyższych piętach abstrakcji. Respektując założenia strukturalistycznej teorii procesu historyczno-literackiego, traktuje utwór jako konkretną realizację norm gatunkowych, lecz geneologia jest tutaj środkiem, nie celem. Naprawdę interesuje go światopogląd, wyłaniająca się z wierszy projekcja człowieka i świata.

Metodę Opackiego trudno przypisać do jednej „szkoły”. Nie jest formalistą, wykracza poza strukturalizm, wykorzystuje historię idei i założenia hermeneutyki, „żywi się” wszystkim po trosze, lecz żadnej z wymienionych metod nie ulega do końca. Dzięki umiejętności przekraczania porządkujących „maszynek”, jego „sztuka interpretacji” kojarzy akty krytycznoliterackie z perspektywą historii literatury. Wrażliwa, momentami bardzo prywatna, lektura dzieł zdążyła ku syntezie epoki. Uwaga badacza skupia się na organizacji tekstu lub fragmentu po to, by otworzyła się „furtka” ku romantycznym ideom. Czytając kolejne studia, początkowo nie domyślamy się tego, że suma wniosków interpretacyjnych ułoży się w całościową wiedzę o epoce. Choć przedmiotem badań jest tu poezja, to jednak przez lirykę autor sięga dalej. Zresztą, w romantyzmie liryka przenika nawet do eposu. Pan Tadeusz – „fantazmat o szczęśliwym, jednoczącym przełomie, jaki nastąpił w polskiej mental-

ności (...) ma w istocie status utworu lirycznego, status marzenia na nieprzyjaznej jawie” (s. 207).

Nie mnie oceniać prace Profesora, przytoczę zatem opinię – recenzującą Poezję romantycznych przełomów – Zofii Stefanowskiej: „*bogactwo i oryginalność inwencji krytycznej sprawia, że lektura książki dostarcza podmiot intelektualnych. Jest to z pewnością jedna z najbardziej odkrywczych książek o romantyzmie polskim*”. Wysoko oceniana przed dwudziestu laty, głównie za rewizję utartych poglądów i sugestywny styl wykładu, praca zachowuje te walory do dzisiaj. Myśl autora nie błądzi po obszarach interdyscyplinarności, nie stawia odbiorcy zbyt wygórowanych wymagań. O sprawach trudnych mówi Opacki rzeczowo, przejrzysto (zob. omówienie romantycznej historiozofii, s. 234–238), ze swobodą znawcy przedmiotu.

Poddając wnikliwej analizie utwory wczesnoromantyczne (Ballady i romanse, Sonety krymskie, Słowackiego „równania z jedną niewiadomą”) badacz śledzi kroki ku romantyzmowi, obserwuje przemianę oświeceniowego uniwersalizmu („my”) w romantyczny indywidualizm („ja”). Ta przemiana pociąga za sobą zmianę punktu widzenia świata, a w konsekwencji – pojawienie się nowych technik opisu, obrazowania. Wychodząc od tekstu Opacki pokazuje, co dzieje się z człowiekiem wychowanym w duchu oświeceniowego ładu (racjonalizmu, empiryzmu), kiedy nagle odkrywa on, że rozum i zmysły są poznawczo zawodne. Co „wczoraj” było rozpoznane, pewne i trwałe, teraz wydaje się niejasne, niepewne, groźne:

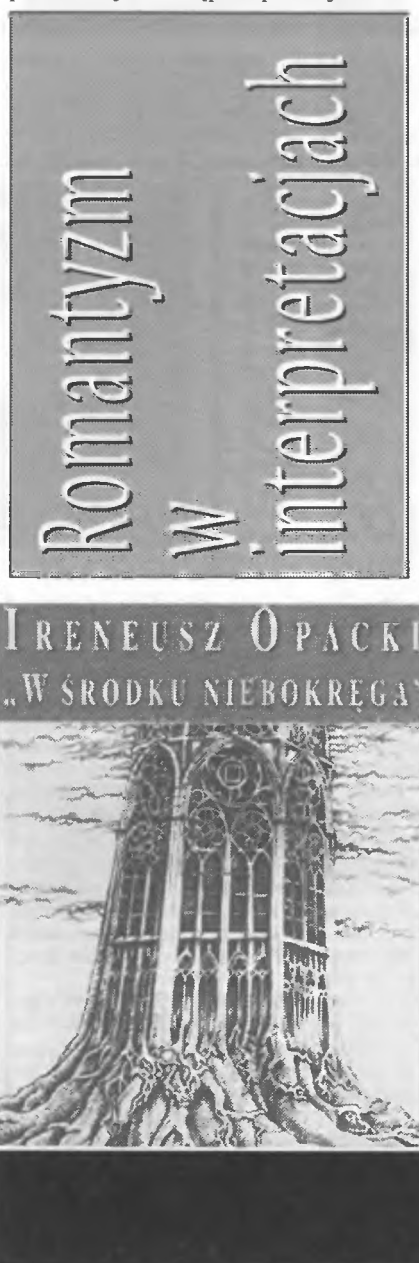
„Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu,
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
W jakiejś otchłani błękitu”.

Cytowana strofa Świtezi otwiera – fundamentalny dla romantyzmu – problem poznania świata, użyłszy tytułu książki koncentrującej się wokół problemów człowieka na przełomie epok. Zawieszony pomiędzy swoją realnością a „otchłanią”, traci on zaufanie do „oka” i „równań”, zawierza „czuci”, wyobraźni. Gdy burzy się świat oświeceniowych norm, zostaje postawiony w sytuacji „niemożności wyboru”, rozdarty sprzecznymi racjami i wartościami, jak ten osiołek, który jednak lubi owies i siano. Śmieszna bajkę odczytuje Opacki jako bajczkę tragiczną, bo Fredrowski osiołek nie jest głupi, „dostrzega w świecie problem wyboru” (s. 231).

Na przełomie epok (oświecenie/romantyzm) bohater romantyczny staje pomiędzy „ewangeliją i nieszczęściem”, na przełomie wewnątrzromantycznym (po powstaniu listopadowym) – w mistycznej liryce Słowackiego – „dramat wartości” rozgrywa się w starciu Człowieka z Duchem. Tam „konflikt tkwił wewnątrz świata ludzkiego, tutaj – przenosi się na teren podmiotu pojętego jako kolizyjna struktura Ducha i Człowieka. Ale zasada jest ta sama (...). jest to konflikt niemożności wyboru, konflikt rozpinający uczestniczącego w nim bohatera między dwiema wykluczającymi się, a równie dlań wielkimi wartościami” (s. 313). Genezyjska teoria przewrotek spoczywa w muzeum, ale konflikt wartości wciąż pozostaje i w tym sensie, liryka mistyczna wieszcza przekłada się na dylematy człowieka współczesnego.

W rozprawie uczonego, który myśli i przeżywa, porządkuje i wartościuje (nie traktuje wierszy jak obiekty muzealne), słychać prywatność odczytania, a taka lektura zawsze prowokuje do dyskusji.

ANNA WĘGRZYŃKOWA



Młodzi zaatakowali stare układy literackie zdecydowanie i sprawnie. Na dodatek bez litości i respektu dla autorytetów ustanowionych w przeszłości. Zrobili — moim zdaniem — to co powinni i co się należało naszej literaturze już od lat. Dzisiaj nie jest już żadnym rewelacyjnym sądem stwierdzenie, że kształt i charakter polskiej literaturze lat dziewięćdziesiątych nadają autorzy, którzy weszli do niej właśnie w latach dziewięćdziesiątych. Weszli, jak to ktoś już napisał, jak do pustego salonu, jakby wszystko w nim czekało tylko na ich przyjście. Inna sprawa, że po przełomie 1989 roku nie bardzo już kto miał bronić istniejącego układu, nie było żadnego ugrupowania, żadnego nurtu, który mógłby się im przeciwstawić. Jeszcze inna sprawa, że młodzi skonstytuowali bardzo sprawne mechanizmy promocyjne, że obserwatorowi z zewnątrz wydają się być grupą zwartą wewnątrz i względnie wobec siebie lojalną mimo różnic artystycznych, upodobań, stylistyki. Opanowali szybko działy kultury w popularnych dziennikach, weszli do telewizji i nadawanych przez nią programów kulturalnych, korzystając ze zmienionych warunków, założyli nowe wydawnictwa i czasopisma. Kilka z tych czasopism zaistniało w obiegu podziemnym jeszcze w latach osiemdziesiątych i było związanych z opozycją polityczną, kilka innych funkcjonowało jako tzw. trzeci obieg, czyli podziemie artystyczne, polityczne.

W efekcie tego zmasowanego uderzenia prowadzonego na różnych frontach wzajemnie się uzupełniających, szybko wyłansowano sporą grupę gwiazd literackich, której wielkość i znaczenie wmówiono oszołomionej publiczności i tzw. opinii literackiej. Nowi autorzy potrafili przy tym znakomicie wykorzystywać nowe warunki, potrafili znaleźć sponsorów dla swoich książek i czasopism, wiedzą, jak zorganizować dystrybucję swoich produktów. I tylko dotąd

Zabawa w Parnas

trudno było się w tym wszystkim rozeznaczyć, połączyć się, kto jest kim, skąd przyszedł, z kim jest związany, trudno było dotrzeć do informacji o nowych książkach, o zawartości czasopism, bo wiele z nich ukazuje się poza głównymi ośrodkami kulturalnymi, ma zasięg regionalny, wyznaczany przez obszary działania poszczególnych hurtowni księgarskich. Ktoś zawodowo zainteresowany literaturą i mający ambicje ogarnięcia całości tego, co się na przykład dzieje w nowej prozie, szybko przekonywał się, że nie jest w stanie zapanować nad rynkiem.

I oto ukazał się „Słownik literatury urodzonej po 1960 roku”, opracowany przez Pawła Dunin-Wąsowicza i Krzysztofa Vargę, a zatytułowany „Parnas bis”. Autorzy są czołowymi postaciami dzisiejszego życia literackiego: pierwszy jest wydawcą i redaktorem pisma „Lampa i Iskra Boża”, dawniej ukazującego się jako tzw. art-zin oraz szefem tak samo nazywającego się wydawnictwa, publikującego książki młodych pisarzy, wychodzących z „podziemia” artystycznego. Drugi jest znanym krytykiem młodego pokolenia, który „zrobił” sobie nazwisko, współpracując z „Gazetą Wyborczą”, ale współpracującym również z „Nowym Nurtem” i innymi czasopismami. Osoby są to więc kompetentne.

„Parnas bis” powstał po to, by dać czytającej publiczności szansę rozpoznania nowego rynku literackiego, nie zawiera więc wyłącznie haseł biograficznych, ale opisuje również czasopisma i — już wyróżnione i rozpoznane — kierunki najmłodszej literatury. Nie rości sobie przy tym pretensji do jakiegokolwiek naukowości, idzie raczej w stronę lekkiej ironii, niekiedy żartu i pod tym względem bliższy jest alfabetycznie ukształtowanemu księżkom plotkarskim Stefana Kisielewskiego czy Jerzego Urbana. To zaś zdecydowanie wpływa na podniesienie jego atrakcyjności czytelniczej i udanie maskuje pospiech, z jakim książka była przygotowana.

Książka Dunin-Wąsowicza i Vargi informuje więc i bawi łącząc te dwie funkcje bardzo sprawnie. Nie dziwi w tej sytuacji fakt, że jest wykazywana na różnych listach bestsellerów księgarskich, choć do tych list nie można mieć bezgranicznego zaufania, ale to już inna sprawa. Co to bowiem jest? Moim zdaniem jest to podana czytelnikowi w porządku alfabetycznym opowieść o pokoleniu literackim, opowieść, którą można czytać stronica po stronie bawiąc się w wyszukiwanie powiązań między postaciami, w wyszukiwanie powinowactw, rozszyfrowując kogo autorzy darzą sympatią i z kim się solidaryzują ze względów artystycznych, a do kogo mają maskowany ironią stosunek niechętny. I sam tak tę książkę przeczytałem z wielkim dla siebie pożytkiem. Wprawdzie na ostatniej stronie okładki umieszczono poważne ostrzeżenie: „To nie jest pierwsza polska powieść postmodernistyczna!”, ale nie potraktowałem go serio. Znam już recenzję „Parnasu bis”, których autorzy uwierzyli temu napisowi, ja uwierzyłem tylko w pierwszy jego człon: to

faktycznie nie jest pierwsza, ale kolejna polska powieść postmodernistyczna i nie mam wątpliwości, że można ten słownik potraktować jako powieść postmodernistyczną. Można się nim bawić, zapominając o tym, że noty w nim zamieszczone dotyczą realnych osób, można się bawić w analizę postawy narratorów opowiadających o bohaterach, można się śmiać z cytatów zestawianych w dowcipne układy niekiedy dyskredytujące postaci, niekiedy je dowartościowujące. Ktoś tu okazuje się być defraudantem, ktoś inny „ostatnim oficjalnie obiecującym młodym poetą PRL”, ktoś jest z kimś w separacji, ktoś ma dzieci, komuś się życie nie układa, a ktoś inny robi karierę, choć nie ma do tego podstaw.

Samo życie. Życie pokolenia dzisiejszych trzydziestolatków czy — może w węższym ujęciu — jego części posiadającej zainteresowania i ambicje artystyczne.

Zaprezentowany wyżej tryb lektury „Parnasu bis” jest trybem bezinteresownym, na który pozwolił sobie zapewne niewielka część nabywców i czytelników książki. Inni potraktują go jako podręczne kompendium wiedzy i tych mogą spotkać w trakcie lektury rozczarowania. Należałoby więc tutaj sformułować listę zastrzeżeń wobec pracy Dunina i Vargi, ale tak się chytrze urządzili, że o wszystkich jej wadach sami napisali w krótkim wstępie i wszystkie je zneutralizowali szczerymi zwierzeniami — w części poważnymi, w części żartobliwymi. Zagrali inteligentnie i w duchu literackich zachowań określanych mianem postmodernizmu. Napisali więc, że „nowa literatura bywa dyżurnym tematem rozmów. Z naszej książki nie dowiedzie się raczej o co w niej całej chodzi”. To prawda, ale też jest to opowieść o ludziach — dodają zatem po chwili: „Dzięki naszej książce będziecie mogli (...) brylować podczas kawiarnianych pogaduszek o prozie Gretkowskiej, nie przeczytawszy jej książek”. I co z nimi zrobić? Książka w dużej części oparta jest nie na lekturze utworów, ale ich omówień — oni tego nie ukrywają, zresztą jest to postmodernistyczne działanie. »Parnas bis« jest oczywiście kompilacją — piszą. — Było niemożliwością przeczytanie wszystkich interesujących i nie interesujących nas książek i wyrobienie sobie sądu na temat wszystkich autorów”. Można zapytać: dlaczego było to niemożliwością, ale przecież i tak się nie uzyska odpowiedzi, bo pytanie byłoby zbyt poważne i zasadnicze. Można też było zarzucić książce pominięcie szeregu nazwisk czy to spoza Warszawy i głównych centrów kulturalnych, czy też nazwisk np. krytyków, ale autorzy są szybsi i ujawniają, że: „słownik pisaliśmy w oparciu o to, co w nowej polskiej literaturze jest widoczne z perspektywy warszawskiej”. Ba, oni nie ukrywają tego, co byłoby wielkim grzechem autorów innych słowników: „Cytaty dobieraliśmy tendencyjnie, bo parę osób nam się też nie podoba”. I jeszcze dodają, że jeśli o czymś nie wiedzieli, to o tym nie pisali. Nie wspominając nic o wysiłku poszukiwania rzetelnych informacji.

To wszystko można by było wysunąć jako zarzuty, gdybyśmy mieli do czynienia z poważnie traktującymi siebie samych autorami i z poważnym do końca słownikiem. Tymczasem jest tak, jak już wspominałem: to jest duża porcja informacji podsunęta czytelnikowi w zabawnym opakowaniu i atmosferze beztroskiego żartu. I to jest ładne, to mi się podoba. Sam mam dość śmiertelnej powagi i sam się bawię, widząc na przykład otaczające mnie zamieszanie polityczne. To dopiero jest cyrk! Tym więc bardziej można się bawić literaturą i w literaturę.

LESZEK BUGAJSKI

PARNAS BIS



SŁOWNIK LITERATURY POLSKIEJ
URODZONEJ PO 1960 ROKU

PARNAS BIS. SŁOWNIK LITERATURY URODZONEJ PO 1960 ROKU. Opracowali: Paweł Dunin-Wąsowicz, Krzysztof Varga. Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1995; str. 104.

Jak pisać o książce, która jakby ku przestrodze przyszłemu recenzentowi została zabezpieczona na okładce „Pimko noster”? Jak uniknąć posądzenia o bycie Pimką, skoro nie chce się wypowiadać w sposób kategoriowy i uniknąć skrajnej oceny, mniejsza o to czy pozytywnej, czy negatywnej? Tym bardziej, że ostatnia książka Włodzimierza Paźniewskiego „Gramatyka rozproszenia” takiej ocenie w żaden sposób nie chce się poddać. Zresztą zostawiam na razie tę kwestię. Będzie jeszcze okazja do niej powrócić.

Książka nie ma jednego oblicza. Na pierwsze składa się większość spośród dziewięciu części. Składają się na nie teksty spokojne, przepojone - używając za Paźniewskim określenia Elzenberga - „strategią nadmiaru”, wyrażającą się w lepszym o ludziach wyobrażeniu, niż na nie zasługują. Refleksyjne, czasem przyjmujące postać miniseju, częściej felietonu, kiedy indziej przypowieści, sprawujące wrażenie chaotycznych, gdyż „fragmentarycznych”, często zamykanych pointą lub żartem, realizując konsekwentnie — o ile określenie nie jest w tym kontekście nadużyciem — „gramatykę rozproszenia”. Czytelnik „Twórczości” czy „Literatury na Świecie”, który miał okazję zetknąć się już z publicystyką Paźniewskiego, nie powinien czuć się zaskoczony. Sporo tekstów (zwłaszcza z szóstej części, o której za chwilę) było drukowanych wcześniej. Inne nie odbiegają zbyt daleko od kanonu prezentowanego przez Paźniewskiego od ponad dwudziestu lat. W tej sytuacji trudno raczej uznać, interesujące same w sobie postaci, cytaty, zdarzenia i spotkania, za przedstawione w sposób szczególnie oryginalny. Być może ilość tekstów, występujących dotychczas samodzielnie, powoduje, że próżno szukać tu zaskakujących wniosków. Znaleźć tu można przede wszystkim „rozproszenie”. Nawet humor, wyrafinowany do granic możliwości wydaje się raczej smutny.

Tytułowy rozdział książki to oblicze zupełnie inne. Łagodny ton wcześniejszych wypowiedzi zastąpiony został formą agresywną. Tematyka zdominowana w poprzednich rozdziałach przez przeszłość, tutaj ustąpi miejsca teraźniejszości.

W najobszerniejszej części rozprawił (się) będzie narrator o (z) „Bziku kompromitacji”, czyli manii, która pustoszy współczesną Polskę i stała się dowodem złego użytkowania wolności, politycznym zaangażowaniu elit kulturalnych, przejawiającym się w zajmowaniu się pisarzy polityką z wyraźną szkodą dla tej drugiej lub w nieumiejętności zrezygnowania z roli literatury zaangażowanej. Stąd przechodzi do banału, patosu i imitacji, tzn. „wtrótności polskiej kultury” na temat której zaczerniono już niejedną stronicę.

W jednym z ostatnich podrozdziałów, a więc można zaryzykować, że podsumowującym, znowu pojawi się dydaktycznoliteracki „Pimko wiecznie żywy”. Belferski ton polskiej literatury i sztuki sprawi, że jest to kultura stronnicza i tendencyjna. (...) Polskie książki i dzieła sztuki nie wyrażają

Rozproszone miętoszenie

WŁODZIMIERZ PAŹNIEWSKI:
GRAMATYKA ROZPROSZENIA.
Offmax, Sosnowiec 1995 r; str. 183.

Włodzimierz
Paźniewski

GRAMATYKA
ROZPRO
SZE
N
I
A



świata, one przede wszystkim „służą sprawie”. Próżno szukać w nich pogłębionych analiz, popisów wyobraźni i zdań odwołujących się do czytelnika, z propozycją swobody punktu widzenia. Trudno nie zgodzić się, przynajmniej z grubsza, z takimi poglądami. Ale... Tytułowy bohater tego podrozdziału, to ten sam Pimko, który złośliwie szczyrzy się z okładki. Może więc czas, aby do niego powrócić. Słowa narratora szóstego rozdziału wydają się bowiem znajome.

Na samym początku książki znaleźć można wyraźny trop: Cała literatura polska dwudziestego wieku znalazła się moim zdaniem, w swoistej niszy, utworzonej przez dwa dzienniki — Gombrowicza i Elzenberga. Gdy więc w pierwszym obliczu, posługującym się różnorodnymi formami wypowiedzi od miniseju, skondensowanego szkicu do polemiki czy żartu. Czasami (...) notatka przechodzi w recenzję, moralitet czy przypowieść domyslać się można przede wszystkim wpływu Elzenberga, w drugim dominował będzie Gombrowicz.

Jednakże jak w takiej sytuacji mówić o niepowtarzalności. Zwłaszcza gdy narrator o gombrowiczowskim obliczu formułując zarzuty nie tyle słuszne, ile mało oryginalne (Na temat wtrótności kultury polskiej zaczerniono niejedną stronicę), a więc banalne, a żonglując pojęciami takimi jak „kultura”, „polityka”, „społeczeństwo”, „historia”, nie unika także patosu. Nawet „lanie”, które zdawałoby się zostaje spuszczone polskiej literaturze i sztuce, gdy mu się przyjrzyć, rozmyna się w rozległości najobszerniejszego rozdziału i zaczyna przypominać... dydaktyczną pogadankę.

W tym miejscu należałoby więc albo postawić zarzut, albo - skłaniając się ku owej drugiej możliwości — określić trzecie oblicze książki.

Gombrowiczowski narrator zarzuca, że zamiast powiedzieć, że coś jest dobre, średnie lub złe, krytyka, którą na swój użytek wytresowała kultura fragmentu, powiada, że jest interesujące. Jednakże pomimo tak drastycznie postawionej sprawy „Gramatyka rozproszenia” nie poddaje się jednoznacznej ocenie. Książka jest nie tyle zła, dobra lub średnia, ile wypośredkowana, ale znowu w dwojakim sensie. Po pierwsze, gdyż agresywny ton wypowiedzi na temat współczesności miesza się z łagodnym, sentymentalnym (dobrym w stylu) tonem wypowiedzi o przeszłości. Po drugie, gdyż wypośredkowana. Agresywny narrator krytykując patos, dydaktyzm i banał (nie mylić z kiczem), jednocześnie do nich się ucieka.

Trzecim obliczem książki jest więc autoironia. Złość narratora tytułowego rozdziału, chociaż może bardziej jego złośliwość, odnoszą się nie tyle do innych, ile do samego siebie. W końcu krytykowana „gramatyka rozproszenia” staje się równocześnie formą tej krytyki, oskarżaną i realizowaną. I właśnie stąd wynika najciekawsza, chociaż banalna (nie mylić z kiczem) konkluzja: Jak nie być Pimką...?

MACIEJ TRAMER

Kto jest twórcą znaczenia filmu? Czy dzieło posiada znaczenie niezależne od widza, czy też widz jest nie tylko współkreatorem, co faktycznym kreatorem sensu? To fundamentalne pytania, przed którymi staje każdy uczestnik zdarzenia obrazowego. Królikiewicz jest widzem szczególnym — sam jest reżyserem filmowym. Nieraz zapewne pochylił się zdumiony nad tym, co z jego zaprojektowanego sensu tworzonych filmów docierało do widzów, co przechodziło niezauważone, czego zaś zupełnie nie przeczuwał i nie był w stanie sam dostrzec, a dostrzegli to widzowie jego filmów.

Jak sam mówi „reżyseria jest sposobem filozofowania” (s. 108), my zaś możemy dodać, iż analiza w ujęciu Królikiewicza również staje się sposobem filozofowania. Tak jak bohater filmu Coppoli stara się rozpoznać nagrane na taśmę magnetofonową głosy, stara się rozwikłać zagadkę kryminalną, tak autor stara się rozpoznać podstawową „molekułę” filmu, która pozwoli dotrzeć do jego sensu. Też szuka. Oboje zastanawiają się, gdzie leżą granice poznania. Ten pierwszy szuka za pomocą techniki, ten drugi również penetruje to, co „techniczne” starając się udowodnić, że „idea w tym filmie urealniana się tylko przez formę (...), że nie temat tworzy ideę, lecz styl” (s. 133).

By odpowiedzieć na pytanie w jakim stopniu analityk ma rację, trzeba byłoby samemu wykonać podobną pracę. Ale wtedy wynik zapewne byłby inny. Bo choć znaczenie i sens są atrybutami analizowanego utworu, to jednak ich wyzwolicielem, by nie powiedzieć twórcą — jest analityk. Znaczenie jest „w dziele” w takim samym stopniu, w jakim jest „w analityku”. Przechodząc ciągle z poziomu analitycznego na poziom metaanalitycznych dygresji, a nawet pewnych metodologicznych wskazówek, mieszając wątki psychoanalityczne, strukturalne, warsztatowe (częste odniesienia do konkretnych ujęć i kadrów możliwych do uchwycenia tylko na stole montażowym) autor „Przypadku Pekosińskiego” próbuje przedstawić poznanie poznawania. Ale czy poznanie jest możliwe? Pytania bohatera filmu stają się pytaniami analityka, który zapewne przesadza twierdząc, iż „Być może film ten osiąga taki pułap filozoficzny, że jesteśmy wobec niego bezradni” (s. 39), ale ma rację, gdy wyraża swoje przekonanie o nieskończonej wielości jego odczytań. I tak to, co „techniczne”, będące emanacją określonej stylistyki, staje się bliskie metafizyce.

Prawdziwym dramatem, a jednocześnie wielkością sztuki filmowej jest to, że trud interpretacyjno-analityczny zmierza do unieruchomienia tego, co w swej istocie zawiera ruch. „Le défilément” (jak określił to zjawisko Thierry Kuntzel), owo „przepływanie”, „defilowanie” obrazów — to istota kina. Analiza będąca zatrzymaniem tego procesu burzy porządek rzeczy, synchronia ingeruje w diachronię. Niektórzy jednak podejmują ten trud osiągając, jeśli nie spełnienie, to przynajmniej częściowe zaspokojenie głodu poznania istoty rzeczy. W przypadku Królikiewicza ów głód jest silniejszy, niż świadomość niedoskonałości. Bo tak jak analityk mówi o bohaterze filmu, iż „poznanie u Caula jest popędowe” (s. 94), tak to dosyć niezgrabne sformułowanie jest dobrą autocharakterystyką samego Grzegorza Królikiewicza.

PIOTR ZAWOJSKI



GRZEGORZ KRÓLIKIEWICZ:
DIABEŁ NAS PODSŁUCHUJE
Próba analizy filmu Francisca Forda Coppoli „Rozmowa”.
Studio Filmowe N.
Łódź 1994,
s. 143.

RECENZJE

GRZEGORZ SŁOBODNIK:

WIERSZY

Wybór i wstęp

Marian Kisiel.

Górnśląskie

Towarzystwo

Literackie,

Katowice 1995;

str. 140.

GRZEGORZ SŁOBODNIK

WIERSZY

Po czterech tomikach z lat 1988 — 1993 ukazał się oto retrospektywny zbiór Grzegorza Słobodnika opatrzony tytułem Wiersze. Przypomnieć warto, iż literacki start poety sięga czasów istnienia (od sierpnia do grudnia 1957 r.) sosnowieckiej grupy Reduta, w skład której wchodził m.in. Iza Grodowska i Jan Kulka.

Obcowanie z liryką Słobodnika zdaje się — jak młodość z Albumu II — „krótkim czasem ciągłych przypomnień”: o rzeczach bliskich i codziennych, o swoistej mikroprzestrzeni „wnętrza” otwierającej człowieka na momentalne doznania egzystencji. Nie znaczy to, by poeta zatrzymywał i ustataczniał obraz świata — właśnie w „stawaniu się”, spełnionym czy choćby in potentia, opisuje on swoją liryczną podróż do „przystani potrzebnych słów”. U samych podstaw jest to więc poezja doświadczeń i zamyśleń intelektualnych, momentami nawet dostojna w dystansującym podmiocie ujęciu i oglądzie rzeczy (Sztuka poetycka, Spoglądania, Portret na krawędzi). Oczywiście — poeta czasami skłonny jest do ironii, rzadko — uśmiechu, lecz jest to przede wszystkim ufna w powinność liryka intymnego zapisu „oczarowań i rozczarowań” własnej obecności. W przedmowie Marian Kisiel określił tę twórczość jako „doświadczenie prywatności” i wskazał na jej orientację personalistyczną. Tu oznaczać będzie ona przede wszystkim potwierdzenie (choćby artykułowane z obawą w wierszach najnowszych) siebie — także wobec egzystencji drugiej osoby.

Słobodnik powraca do definicji sztuki poetyckiej. W Drugim koncercie przeczytamy: „wiersz to napięta (ciąciwa) i garb pochyłony (głową) do samej ziemi”; w innym miejscu zaś pojawi się inicjalny dwuwiersz: „Słowa poety okrucieństw wszechświata”. Widać zatem usytuowanie po stronie konkretności oraz — jakże „klasycznie” i rzadko dziś brzmiące — przekonanie o słowie koniecznym, wypowiedzanym po to, by — trwając — intencjonalnie wypełniło się ono w życiu.

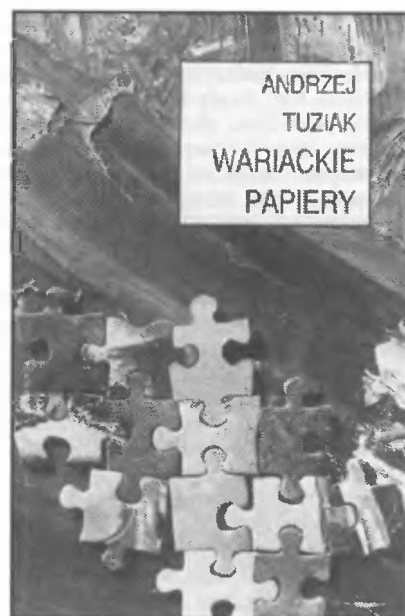
Wypada żałować jedynie, że utwory tak konsekwentnie opatrywane są w tomiku tytułami — jednoznaczными, niepotrzebnie „tematyzującymi” interesujące teksty. Wszak niedopowiedzenie i „otwarcie” niejednokrotnie wzbogaciłyby możliwości znaczeniowych punktów odniesień. Z kilku utworów (jak Alternatywa szkicu-jących zaledwie liryczne pomysły) można też było — zwłaszcza przy tak okazałym wyborze — zrezygnować.

Zbiór wierszy Słobodnika objawiający się jako całość potwierdza moim zdaniem klasę dojrzałości twórczej pisarza. Odnoszę nawet wrażenie, iż poeta długimi latami niezbyt często ponawianej obecności przygotowywał siebie i nas do takiej właśnie integralnej prezentacji. Wiele w tym tomiku przejmujących zapisów lirycznych, urzekających wyobraźnią prowadzącą czytelnika pomiędzy rzeczami zwykłymi i codziennymi, a równocześnie skalającą je w fundamentalne doznawanie życia. Warto się tedy wsłuchać w owe słowa intymnego dialogu ze światem — słowa, które raz pomyślane i raz wypowiedziane wciąż powracają (a i powracać już będą) wierszem...

PIOTR MAJEWSKI

RECENZJE

ANDRZEJ
TUZIAK:
WARIACKIE
PAPIERY.
„Ego”:
Katowice 1994.



Wariackimi papierami przypomniał o sobie Andrzej Tuziak, znany dotąd z trzech książek prozaik średniego pokolenia. Połowę najnowszego zbioru wypełniło siedem krótkich humoresek. Znaleźć można wśród nich utwory będące po prostu rozbudowanymi anegdotami, gdzie dowcip opiera się na dosłownym traktowaniu frazeologizmów i budowaniu w ten sposób absurdalnych sytuacji (*Intymne wyznanie*, *Metoda usta-usta*). To zresztą teksty bodaj najmniej zajmujące spośród tych, jakie znalazły się w książce. Nieporównanie ciekawiej i oryginalniej prezentują się utwory mające charakter zabaw literackich. Tuziak zaskakuje czytelnika a to zniweczeniem mimetycznej iluzji (*Zyg-zak*), a to kojarzeniem — na zasadzie homonimii — wypowiedzi przynależnych do odmiennych obiegów komunikacyjnych, jak się dzieje w *Zwykłej historii* i *Joginie w osiedlu*. Zabiegi pisarza przypominają tu zabawę w głuchy telefon: kontrapunktujące narracje encyklopedyczne wiadomości niczego nie tłumaczą, a przeciwnie — zwiększają raczej informacyjny szum.

Chwyty, z jakich korzysta Tuziak, bardzo przypominają zabiegi charakterystyczne dla prozy spod znaku językowego eksperymentu i gry literackimi konwencjami. Mimo tych podobieństw utwory z *Wariackich papierów* pozostają jednak bezpretensjonalnymi humoreskami. Ambicje pisarza sprowadzają się do samego bawienia odbiorcy kompozycyjnymi konceptami, nieporozumieniami komunikacyjnymi, językowymi asocjacjami. Dowcip nie jest tu wszakże zupełnie niewinny. Tuziak zdaje się sugerować, że nasza świadomość w ogromnym stopniu pozostaje przesycona językową sztancą i myślowymi schematami, co szczególnie jaskrawo ujawnia się w sytuacjach wymykających się stereotypom. Inna rzecz, że te demaskacje nie wykraczają poza wymiar skeczy. W swoim gatunku — całkiem udanych.

Dla czytelników, którzy Tuziaka pamiętają z bardziej ambitnych przedsięwzięć, pisarz przygotował głównie dwa opowiadania: *Tramwajadę* i, najobszerniejszego w tym zestawie, *Kuloodpornego*. Dwa te utwory z pozostałymi łączy humor i wiele właściwości stylistycznych, sądzę jednak, że i dla samego autora mają one znacznie większe znaczenie. Pisarz zdołał tu zasugerować obecność tych wszystkich wymiarów egzystencji, które przesłania czy wręcz skazuje na banicję

językowo-mentalny schemat. Bohaterowie Tuziaka są naznaczeni popolitością, a zarazem tęsknią za bliżej nieokreśloną sferą cudowności i niezwykłości, życia bardziej intensywnego i prawdziwego, co może znaleźć wyraz tyleż w próbie spełnienia marzeń, co — przynajmniej — w uświadomieniu sobie ułomności swojego bytowania. Charakterystyczne jednak, że sam autor z ironią zdaje się traktować takie wysiłki, dając do zrozumienia, że pożądanie autentyczności czy bodaj azylu to pożądanie niemożliwego. Dlatego marzenia próbują tu spełnić tylko dzieci (*Tramwajada*). Dlatego też Tuziak tak chętnie sięga po groteskę i absurd. Dorosłym pozostaje tylko wiedza o własnym kalectwie.

Wariackie papiery to książka trochę nieśpójna. Tuziak zgromadził w niej teksty należące do różnych porządków i domagające się oceny podług różnych kryteriów. Jeśli humoreski potrafią rozbawić i do tego też w gruncie rzeczy sprowadzają się ich zalety, to znacznie więcej doznań przynoszą *Tramwajada* i *Kuloodporny*. O większą stawkę walczy też w tych dwu opowiadaniach autor. Z powodzeniem. Kto wie, czy *Kuloodporny* nie jest najważniejszym i najlepszym utworem Tuziaka spośród wszystkich dotąd opublikowanych.

GRZEGORZ BYLICA

WITRYNA

Krzysztof Baliński: *Sytuacje*. Towarzystwo Zachęty Kultury, Katowice 1995, 54 karty nlb.

Krzysztof Biedrzycki: *Świat poezji Stanisława Barańczaka*. Universitas, Kraków 1995, s. 308, 4 nlb.

Janusz Drzewucki: *Podróż na południe*. Oficyna Cracovia, Kraków 1995, s. 83, 1 nlb.

Krystian Gałuszka: *Collage, czyli Antologia osobista*. Wyd. Miniatura, Wyd. Libraria, Kraków — Ruda Śląska 1995, s. 80.

Andrzej Kaliszewski: *Herezja i inne wiersze*. Lex-Patent, Kraków 1995, s. 40.

Kazimierz Kut: *Scenariusze śląskie*. Videograf, Katowice 1995, s. 345, 3 nlb.

Leksykon bohaterów literackich. Pod red. Mariana Kisiela i Marka Pytasza. Videograf, Katowice 1995, s. 320, 4 nlb.

Lesław Nowara: *Świat według Ludka*. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 1995, s. 69, 5 nlb.

Krzysztof Nowicki: *Drugie życie*. Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne, Bydgoszcz 1995, s. 79, 5 nlb.

Felicja Romanowska (Józef Mackiewicz, Jerzy Wyszomirski, Stanisław Mackiewicz,

Walerian Charkiewicz): *Wileńska powieść kryminalna*. Wstępem i przypisami opatrzył: Waław Lewandowski. Kontra, Londyn 1995, s. 181, 3 nlb.

Witold Turant: *Z Mezopotamii*. Towarzystwo im. Zofii Kossak, Cieszyn 1995, s. 94.

Juliusz Wątroba: *Jasność pomroczna*. Beskidzka Seria Literacka, Bielsko-Biała 1995, s. 84, 8 nlb.

Wokół śląskiej tożsamości. Pod red. Kazimiery Wóźd. Towarzystwo Zachęty Kultury, Katowice 1995, s. 93, 3 nlb.

Z PRASY LITERACKIEJ

TWÓRCZOŚĆ 1995, nr 10 — Bogdan Owczarek: *Poza autobiografią (o prozie Mirona Białoszewskiego)*, s. 67—80; Philippe Lejeune: *Autobiografia i przymus*. Przeł. Tadeusz Komendant, s. 81—89.

KRESY 1995, nr 3/23 — Marta Wyka: Projekt dwudziestolecia, s. 49—53; Anna Nasiłowska: *Wierzyński i ideologia sanacji*, s. 59—64; Andrzej Niewiadomski: „Śmierć Parysa” — „poezja czysta” i katastrofa (o Jerzym Zagórskim), s. 68—79; Stanisław Dłuski: *Sebyła metafizyczny*, s. 80—85; Zdzisława Mokranowska: *Zapo-*

mniany świat prozy Stanisława Balińskiego, s. 88—95; Marek Beylin: *Obecność Słonimskiego*, s. 96—98; Grzegorz Lech: *Kartki z imaginacyjnego albumu Brunona Schulza*, s. 101—111; Tadeusz Klak: *Przypomnienia (Grędziński — Michalski — Ręczyca)*, s. 127—140; Listy Stefana Napierskiego do Karola Ludwika Konińskiego. Oprac. Bronisław Mamoń, s. 202—208; Andrzej St. Kowalczyk: *Historia literatury w roli eseisty*, s. 213—216; Adam Poprawa: *Apokryfy Leszka Kołakowskiego*, s. 217—223; Jan Pieśczechowicz: *Śpiew o utraconych rajach (o poezji Józefa Barana)*, s. 224—231.

FA-ART 1995, nr 2/20 — Krzysztof Jurecki: *Między erotyzmem a pornografią. O sztuce amerykańskiej lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych*, s. 32—37; Stefan Szmutko: *Czytanie Parnickiego (na przykładzie „Słowa i ciała”)*, s. 66—71; Ireneusz Gielata: *Przerazający triumf trywialności (O „Tylko Beatrycze” Parnickiego)*, s. 72—78; Ryszard Koziołek: *U progu lektury, albo kto zasługuje na piekło Parnickiego?*, s. 79—83.

OPCJE 1995, nr 3/10 — Nieobecność mitu. Z Gustawem Herlingiem Grudzińskim rozmawia Gabriela Łęcka, s. 3—14; Krzysztof Łęcki: *Witold Gombrowicz — Hrabia, Błazen, „Gombrowicz”*, s. 15—22; Gombrowicz byłby pewnie niezadowolony. Z Maciejem Wojtyzką rozmawia Beata Nowacka, s. 41—42.

NOTY

Ks. JAN SOCHOŃ: U drzwi Godot. Szkice o poezji, filozofii i teologii. Wydawnictwo Archidiecezji Warszawskiej, Warszawa 1995, s. 291, 5 nlb.

Druga, po *Mertonie, Lubochni i literaturze* (1990), książka krytycznoliteracka ks. Sochoń. Autor 9 tomików wierszy, 2 tomów filozoficznych, edytor 2 antologii poetyckich oraz kilku innych opracowań, zaproponował nam zbiór szkiców, w którym problemy sztuki poetyckiej, jej religijności, godności, sumienia, języka rozpatrywane są również poważnie, co problemy teologii i filozofii. Według Sochoń, poeta przełamuje identyczne bariery co teolog, dotyka podobnych tajemnic, o jakie ociera się filozof. Wszyscy stajemy w obliczu tej samej rzeczywistości, choć każdy z nas tłumaczy ją sobie na swój własny sposób. I do tego, „idiosynkratycznego” sposobu myślenia i odczuwania pragnie dotrzeć ks. Sochoń. Pięknie się różni z tymi, którzy, by tak powiedzieć, nie pochodzą z jego parafii, ale wszystkim (zwłaszcza poetom) przypatruje się z uwagą. Ta książka mogłaby równie dobrze nosić tytuł: *O godności i nadziei*, bo właśnie te dwie sprawy zajmują ks. Jana Sochoń w świecie myśli (ducha) najbardziej. (m)

ADAM CZERNIAWSKI: Muzy i sowa Minerwy. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1994, s. 241, 3 nlb.

Trzeci, po *Liryce i druku* (1972) oraz *Wierszu współczesnym* (1977), zbiór szkiców i esejów wybitnego polskiego poety, stale mieszkającego w Anglii. Tym razem Czerniawski w stopniu bardziej zdecydowanym niż poprzednio stawia tezę o równorzędności systemów poetyckiego i filozoficznego, chociaż obydwa rządzą się własnymi prawami. Ale przecież: „filozofia wyrosła z poezji” i do niej niekiedy wraca, a poeci pragną, by ich myśli żyły niezależnie od wiersza. Czerniawski powiada, że wszystko zależy od języka, który ma moc kreacyjną i destrukcyjną. „Poezja jest metaforą”, „prawdziwa poezja nie zajmuje się prawdą”, poetów interesuje albo „prawda metafory”, albo prawda „metafizyczna, dotycząca losu człowieka, której zweryfikować naukowo nie można”. Czytelnik, który o tym zapomina, traci umiejętność rozumienia poezji, prowadzi go przez ciemność nie sowa, lecz nietoperz. (m)

JAN PAWEŁ KRASNODEBSKI: Buntuję się w Twoich ustach. Nakładem Autora, Katowice-Wrocław 1995, s. 55, 1 nlb; *Samotność wciąż szaleje.* Nakładem Autora i Towarzystwa Zachęty Kultury, Katowice-Wrocław 1995, s. 61, 1 nlb.

Dziesięć lat trwało milczenie Krasnodebskiego jako poety. Wydawało się, że już nie wróci do wierszy, że poświęcił się tylko prozie. Jego zebrane *Wiersze* (1991) zdawały się o tym świadczyć. I oto nagle pojawiły się dwa nowe, jakże odmienne od poprzednich, tomiki. Dawny bunt wygasł, choć się nie ustatecznił. „Buntuję się w Twoich ustach”, pisze teraz poeta w swojej liryce miłosnej, która jest także liryką życia osobistego, rodzinnego. W tych wierszach mówi się o azylu, którym powinien być Dom, bliska osoba (żona, dziewczyna), córka. I mówi się o bezdennych przepaściach pragnień, lęków, nastrojów, które przeszkadzają w odnalezieniu własnego miejsca. Ta bardzo cicha, intymna i pozbawiona retuszu liryka grzmi jak wodospad. (m)

STANISŁAW BARAŃCZAK i CLARE CAVANAGH: 77 przekładów z polskiej poezji współczesnej/77 Translations from Modern Polish Poetry. Wybór, wstęp i oprac. Adam Dziadek. Towarzystwo Zachęty Kultury i Letnia Szkoła Języka, Literatury i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego. Katowice 1995, s. 215, 1 nlb.

Pięknie wydany, dwujęzyczny album poezji polskiej, opatrzony błyskotliwym wstępem Adama Dziadka i zilustrowany przez Andrzeja Kasprzaka. Tom przynosi wiersze 21 autorów, od Mieczysława Jastruna po Bronisława Maja, i jest swego rodzaju antologią osobistą tłumaczy i edytora. Dominują tutaj utwory dialogujące ze sobą na poziomach etycznym i metafizycznym, prywatnym i społecznym. Czytelnik nie znajdzie w zbiorze Miłosza, Różewicza, Herberta, Grochowiaka, Wojaczka i wielu innych poetów, zaliczanych zgodnie do najwybitniejszych przedstawicieli naszej liryki po II wojnie. Jest w tym może jakiś ukryty sens, np. taki: żadna antologia nie musi respektować warunku reprezentatywności, a tylko opierać się na kryterium aksjologicznym, tzn. przedstawiać poezję dobrą, mogącą wzbudzić zainteresowanie w innym kręgu językowym. Ze jest to kryterium wątpliwe, wiemy. Ale też nie ma takiej instancji, która nakazywałaby edytorowi rewidować własną opinię. Album poezji polskiej Barańczaka i Cavanagh w układzie Adama Dziadka może wzbudzić kontrowersyjne oceny; czytany jednak bez uprzedzeń, pozwala nam wnikać w czyste formy liryczne — ekwivalentne, lecz nie tożsame, na płaszczyźnie oryginału i przekładu. (m)

STANISŁAW BARAŃCZAK: Pomyślane przepaście. Osiem interpretacji. Układ i oprac. Jolanta Tambor, Romuald Cudak. Posłowie: Ireneusz Opacki. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 1995, s. 182, 2 nlb.

Zbiór bardzo precyzyjnych, wnikliwych odczytań siedmiu wierszy poetów polskich: Miłosza, Przybosa, Tuwima, Ważyka, Wata, Wirszy, Herberta oraz mikroopowiadania Białoszewskiego. Szkice Barańczaka, kanoniczne już w dzisiejszej teorii lektury, wybrano bardzo trafnie z obfitego dorobku poety-krytyka. Ireneusz Opacki, jeden z najwybitniejszych interpretatorów poezji polskiej XIX i XX wieku, w posłowie do książki potwierdza ważność tego wyboru i równocześnie wprowadza czytelnika w skomplikowane tajniki Barańczakowej sztuki czytania tekstów lirycznych. Wywodzi się ona zatem ze strukturalizmu, lecz jest „niebawale zhumanizowana”, otwarta na podmiot utworu, „dążąca do uszanowania tego, co poeta w wierszu zawarł”. A przy tym nieustannie przywołująca konwencję, w której utwór mieszcząc się, także ją przełamuje, ujawniając swoją — jak pisze prof. Opacki — „jedyność”. Warto zacząć lekturę książki Barańczaka właśnie od posłowie Opackiego; pożytek niewątpliwie będzie taki, że zamiast skrupulatnego i zadziornego krytyka zobaczymy chłonnego czytelnika, dla którego kontakt z poezją jest „rozumiejącym kontaktem z innością”. Z drugim człowiekiem i jego „doznawaniem świata”. (m)

DARIUSZ PAWELEC: Czytając Barańczaka. Wydawnictwo Gnome i Letnia Szkoła Języka, Literatury i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego. Katowice 1995, s. 166, 2 nlb.

Kolejna, po *Poezji Stanisława Barańczaka* (1992), książka katowickiego polonisty, poświęcona w całości temu autorowi. Jeśli jednak w swojej monografii Pawelec sytuował lirykę Barańczaka w kontekście tradycji barokowej, awangardowej i lingwistycznej, omawiał ją w płaszczyznach politycznej, pokoleniowej i biograficznej, to tutaj — zaproponował czytelnikowi możliwość lektury innej, rozumiejącej. Krytyk wybrał 40 wierszy Barańczaka, objaśnił trudniejsze zwroty i wyrażenia, dopełnił utwory szkicowymi uwagami o lekturze oraz wytłumaczył podstawowe terminy pojawiające się w wierszu. Książka została pomyślana dla wielu odbiorców: ucznia, studenta, czytelnika zagranicznego. Jest nie tylko świetnym przewodnikiem po poezji Barańczaka, ale także dobrym „podręcznikiem” do nauki czytania wierszy w ogóle. (m)

Ostatni Mohikanie

Okazji do rozważań nad stanem kultury i sztuki (tej pisanej przez duże S) na Śląsku nie brakuje. Także i „Śląsk” inicjuje taką dyskusję. Nie przypominam sobie jednak by przez ostatnie kilka lat ktoś zabrał głos w sprawie twórców zwanych do niedawna amatorami, dziś nieprofesjonalistami, którzy stanowią integralną część tejże kultury. „W tym temacie” zapanowała cisza. Pojawiła się swego czasu koncepcja (po uznaniu domów kultury za przeżytek minionej epoki), którą pewne kręgi starały się upowszechnić, a która głosiła, że twórca amator powinien radzić sobie sam. Klóci się to z wypowiedzianymi od czasu do czasu stwierdzeniami, że uczelniany „papierek” nie może być jedynym zaświadczeniem o zdolnościach przyszłego artysty. Fakty potwierdzają tę tezę od dawna. Oczywiście jest, że nieprofesjonalista tworzy z wewnętrznej potrzeby i do pewnego stopnia sam upora się z problemami na jakie napotyka, ale nie do końca. Lecz kto i kiedy dowie się o jego istnieniu? Taką okazją były organizowane przed laty spotkania, festiwale, konkursy etc. Dziś nigdzie — prócz Muzeum Śląskiego — nie ma miejsca np. dla płyty nieprofesjonalnych, dla szerszej i rzeczowej prezentacji ich twórczości. O innych dziedzinach nawet nie warto wspominać. Zapominano, iluż to wybitnych dziś artystów zaczynało w istniejących niegdyś klubach zrzeszających amatorów. Na szczęście w dalszym ciągu w Katowickim jest wielu młodych ludzi (chociażby filmowcy), którzy za swe dokonania twórcze otrzymują najwyższe laury na imprezach krajowych i światowych.

W naszym województwie pozostał dla nich tylko Biegun ze swoim przeglądem i życzliwymi mu mecenasami. Na szczęście są tak dobrzy, że w kuluarach ostatniej imprezy mówiono o zmianie formuły na międzynarodową. Bo ludzie tu działający to nie tylko ostatni Mohikanie filmu amatorskiego w tej części kraju, ale przede wszystkim pasjonaci, którzy wokół siebie potrafią zgromadzić wspaniałych, im podobnych ludzi i działaczy (tacy jeszcze istnieją i mają się dobrze). Czyżby instytucje podobno powołane do zajmowania się m.in. twórcami nieprofesjonalnymi (co wynika np. ze statutu ich działalności) niewiele to obchodziło? Jak do tego wszystkiego wskazuje na to, że w skali kraju Katowickie pod tym względem zajmują czołowe miejsce.

WIESŁAWA
KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Promocja i wspomnienia

Inauguracyjne spotkanie literackie w Górnośląskim Towarzystwie Literackim po wakacyjnej przerwie poświęcone było promocji nowej książki śląskiego pisarza Stanisława Bieniasza „Sponsor i jego pan”. Komentarz wprowadzający wygłosił znakomity krytyk, redaktor naczelny „Odry” Mieczysław Orski. Fragmenty książki przedstawili aktorzy Adam Bauman i Jerzy Kuczera. Była to 199 impreza organizowana w ramach stałych Czwartków Literackich w Domu Literatury przy ulicy Oblatów.

Natomiast 200. spotkanie miało charakter bardzo rodzinny. Odkryło się z udziałem wielu autorów goszczących wcześniej na zaproszenie GTL. W wojennych dziejach życia literackiego Katowic nigdy nie udało się wytworzyć trwałej tradycji Czwartków Literackich i zazwyczaj po niewielkiej liczbie spotkań zaprzestawano ich organizacji.

Chronić najcenniejsze

20 lat temu powstał w Pszczynie skansen „Zagroda Wsi Pszczyńskiej”. Jubileusz ten był okazją do świętowania jeszcze jednego wydarzenia, mianowicie 35. lecia Zespołu Regionalnego „Pszczyna”, który w 1960 roku założył Aleksander Spyra. Wtedy istniał przy Międzyspółdzielniowej Świątlicy. Dziś jest samodzielnie działającym stowarzyszeniem. Składa się z kapeli oraz zespołu tanecznego. Repertuar „Pszczyny” obejmuje zwyczaj, tańce i pieśni regionu pszczyńskiego, które zawsze wykonywane są w gwarze. Na koncie zespołu jest płyta długogrająca „Pory roku na wsi pszczyńskiej” oraz album wydany przez PolJazz w serii „Folklor polski”. Bardzo udanym przedsięwzięciem jest płyta kompaktowa nagrana wspólnie z „Bojszowianami” i „Frydkowianami”. Zespół gościł na wielu festiwalach krajowych i zagranicznych m. in. w Szwajcarii, Holandii, Belgii, Niemczech.

Zespół „Pszczyna” własnym sumptem stara się pokonywać trudności finansowe. Skansen żyje z pomocy Rady Miasta, ale walczy o utrzymanie stanu posiadania.



JEDNYM ZDANIEM

■ Śląski Teatr Tańca zainaugurował nowy sezon artystyczny spektaklem złożonym z dwóch części: „Wiatr poniesie” i „Takie nie” Jacka Łumińskiego. Był to jedyny w tym roku występ zespołu na bytomskiej scenie.

■ Siemianowckie Centrum Kultury oddało pobliskie garaże we władanie dzieciom z sekcji plastycznej „Okienko”, by według własnych pomysłów i wyobraźni przyozdobiły ich ponure ściany.

■ Dzieci i dorośli przez dwa dni września znakomicie bawili się podczas Zabrzeńskiej Jesieni: występowały zespoły pieśni i tańca, muzyki count-

Rawa Blues Festiwal

Dziesięć zespołów Junior Bluesband grających pod bacznym okiem samego szefa imprezy — Ireneusza Dudka zainaugurował tegoroczny Rawa Blues Festiwal. Koncert odbywający się w katowickim „Spodku” zgromadził 15 tysięcy melomanów i entuzjastów bluesa. Jak zwykle nie zawiedli starzy „wyżeracze” jak „Obstawa Prezydenta” i „Nocna zmiana bluesa” ze Sławomirem Wiercholskim. Nie popisał się „Easy Rider”, zaś teksaski solista Chuck Frazier nie miał nic wielkiego do zaśpiewania. Rewelacyjny okazał się Junior Welles — legendarny wokalista i wirtuoz harmonijki ustnej.



Foto: Roman Koszowski

Świat wyobraźni

Imponującą wystawę twórczości prof. Andrzeja Sadowskiego — scenografa i pedagoga warszawskiej ASP w 50-lecie jego pracy twórczej i 70 rocznicę urodzin, przygotowało Centrum Scenografii Polskiej Muzeum Śląskiego w Katowicach. Wystawa obejmowała prace scenograficzne, szkice, dokumentację fotograficzną, które prof. Sadowski realizował w wielu teatrach polskich. A były to wszystkie najważniejsze sceny dramatyczne m. in. w Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu, na Wybrzeżu. Prezentowano jedyny szkic scenografii, którą wykonał prof. Sadowski w Teatrze Śląskim w Katowicach do spektaklu „Operetka” według Witolda Gombrowicza. Były również ostatnie dokonania artysty: „Nabucco” w Operze w Bydgoszczy i „Carmen” w Teatrze Muzycznym Roma w Warszawie.

Najwięcej miejsca poświęcono mozartowskim realizacją tego wybitnego scenografa. Wszystkie powstały w Teatrze Kameralnym w Warszawie, w którym rokrocznie odbywa się festiwal poświęcony twórczości W. A. Mozarta. Stworzenie takiego ogromu scenografii, to bez mała wszystkich dzieł tego kompozytora, to fenomen na skalę światową.

ry, disco polo. Filharmonia a także Piotr Różański i aktorzy Teatru STU.

■ Koncert oratoryjny w kościele św. Anny rozpoczął kolejny sezon filharmoniczny zabrzańska orkiestra. Wykonano utwory G. Pucciniego, G.F. Haendla, W.A. Mozarta i Verdiego. Koncertem dyrygował szef filharmonii zabrzańskiej Sławomir Chrzanowski.

■ Zwiedzanie zabytków techniki, których wiele na Śląsku a także dyskusja nad ich stanem, ochroną i konserwacją znalazły się w programie wrześniowych Dni Dziedzictwa Kulturowego, które odbywały się po raz drugi na obszarze Górnośląska.

Nagroda dla Kilara

Znakomity kompozytor Wojciech Kilar został laureatem nagrody „Lux ex Silesia”, ufundowanej przez metropolię katowickiego abpa Damiana Zimonia. Nagroda przyznawana jest za twórczość naukową lub artystyczną osobom związanym ze Śląskiem, które przez swą działalność wnoszą istotny wkład w rozwój kultury duchowej. Wręczenie nagrody odbyło się 10 października, w katedrze katowickiej, podczas międzynarodowej inauguracji roku akademickiego.



50 lat „Karłowicza”

2 października uroczystym koncertem Państwowa Szkoła Muzyczna I i II stopnia im. Mieczysława Karłowicza w Katowicach rozpoczęła obchody 50-lecia swego istnienia. Cykl 10. koncertów prezentowany będzie w ciągu całego roku.

Przypomnijmy, że zanim powstał słynny „Karłowicz” istniała Spółdzielnia Muzyczna założona w 1945 r. przez wybitnych pedagogów, ówczesnych profesorów śląskiego konserwatorium. Wśród nich byli m. in. Władysław Markiewicz, Bolesław Woytowicz i Józef Powroźniak.

Powiało morzem

Gości tegorocznej, 26 już edycji Rybnickich Dni Literatury byli poeci z Wybrzeża: Leszek Furmaga, Zbigniew Jankowski, Kazimierz Nowosielski, Andrzej Wincenty Perepeczko, Teresa Remiszewska-Damsz, Janina Wieczerska — Zabłocka, Milena Wieczorek, Zbigniew Ryszard Żaczekiewicz i Jerzy Pachlowski. Podczas spotkania inauguracyjnego w dniu 18 września wręczona została Honorowa Złota Lampka Górnicza. W tym roku otrzymał ją Stanisław Krawczyk.

■ Trzy miesiące będzie trwał otwarty we wrześniu w Rudzie Śląskiej „I Rudzki Festiwal Kultury Dzieci i Młodzieży Niepełnosprawnej”.

■ W sosnowieckiej Miejskiej Galerii Sztuk „Extravaganoe” prezentowana była wystawa malarstwa Ewy Jędryk - Czarnoty pt. „Kobieta”.

■ Światowej sławy chór chłopięcy „Słowiki” pod batutą prof. Stefana Stuligroza otworzył tegoroczną Rudzką Jesień Kulturalną.

■ Tyskie Dni Literatury zainaugurowało spotkanie z Martą Fox, zaś na kolejne dni zaplanowano spotkania z Krystyną Nepomucką, ks. Józefem

Z batutą w dyrygenckie szranki

Po raz piąty w Katowicach, w Filharmonii Śląskiej odbywać się będzie Międzynarodowy Konkurs Dyrygentów. Początek artystycznych zmagani już 27 listopada br. Do tegorocznej edycji zakwalifikowało się 109 kandydatów, najwięcej z Włoch, Polski, Niemiec, Francji, USA, Hiszpanii i Japonii. Ogółem reprezentowanych będzie 31 państw z wszystkich kontynentów. Wśród polskiej „piętnastki” trzy osoby to absolwenci lub jeszcze studenci katowickiej Akademii Muzycznej. Po pierwszym etapie do dalszych rywalizacji — zgodnie z regulaminem — może zakwalifikować się wyłącznie 40 kandydatów, do ostatniego — trzeciego — wyłącznie dwunastu.

Pracę dyrygentów oceniać będzie dwunastoosobowe, międzynarodowe jury. Wśród Polaków znajdują się: Jerzy Katlewicz, Jan Krenz, Karol Stryja, Stanisław Wisłocki, Jerzy Swoboda. Konkurs zakończy się 10 grudnia koncertem finałowym laureatów.

Organizatorzy V Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów przewidują również szereg imprez towarzyszących. Wśród nich znaczącą będzie promocja książki „Grzegorz Fitelberg — życie i twórczość”, której autorem jest prof. Leon Markiewicz.

Dodajmy, że Międzynarodowy Konkurs Dyrygencki odbywa się od 1979 r. co cztery lata i przez ten czas zdobył określoną renomę. Wymieniany jest tuż po Konkursie Skrzypcowym im. H. Wieniawskiego i Konkursie Pianistycznym im. F. Chopina.

Filmowe laury

Przez trzy dni września (8 — 10) odbywał się w Bieruniu II Ogólnopolski Przegląd Filmów Nieprofesjonalnych im. Leona Wojtały. Gospodarzem i organizatorem imprezy był Zakładowy Dom Kultury „Karlik” przy kopalni „Piast”. W konkursie pokazano 47 filmów autorów z całej Polski. Jury pod przewodnictwem Jerzego Trunkwaltera Grand Prix przyznało Katarzynie Klimkiewicz z Warszawy za film pt. „Cisza”. Jeden z filmów „Pastorałka” — zrealizowany przez Wojciecha Wikarka, reprezentanta gospodarzy, otrzymał wyróżnienie. Otrzymał je również film Henryka Lehnerta z Oświęcimia pt. „Malarz”. Specjalną nagrodę dla filmu o tematyce ekologicznej ufundowaną przez burmistrza Bierunia otrzymała Genowefa Daniel z Kędzierzyna-Koźla za film „Przestroga”.

Przegląd organizowany przez bierunickich zapaleńców przy wydatnej pomocy kopalni „Piast” i Zarządu Miasta Bierunia

Włoskiem, Janiną Papuzińską oraz Markiem Rymuszko i Anną Ostrzycką.

■ Miasteczko Śląskie po odłączeniu się od Tarnowskich Gór, wzbogaciło się o własną bibliotekę.

■ Mały Salon to niewielka galeria mieszcząca się przy sklepie zaopatrzenia plastyków w Sosnowcu przy ulicy Malachowskiego, w której właściciele chcą promować artystów wywodzących się z Zagłębia.

■ „Katowice - miastem górnośląskim” to tytuł wystawy otwartej w galerii Biblioteki Śląskiej, na której prezentowane są oryginały litografii Ernsta Wilhelma Knippla z połowy XIX wieku.

oceniany był bardzo wysoko nie tylko przez uczestników, lecz także przez przedstawicieli Stowarzyszenia Twórców Filmu Nieprofesjonalnego. W kuluarach mówiło się o przekształceniu tej imprezy w międzynarodowy festiwal, tym bardziej, że filmy realizowane w przykopalnianym klubie filmowym znane są bywalcom podobnych przeglądów w wielu krajach Europy, jak również zdobywały znaczące nagrody na najważniejszym festiwalu UNICA organizowanym rokrocznie od ponad 30 lat w innym kraju.

Prawie pół wieku na scenie

Ryszard Zaorski — bez niego nie obyla się żadna ważniejsza impreza czy spotkanie. Jest aktorem Teatru Śląskiego w Katowicach. Jego twarz, dowcip, zaś przede wszystkim stworzone kreacje znane są szerokiej rzeszy teatromanów i bywalcom różnorodnych imprez. Zaorski nie rozstaje się ze sceną od 45 lat. Ze Śląskiem związany jest od 37 lat. Urodził się we Lwowie. Ukończył Państwową Wyższą Szkołę Aktorską (obecne PWST) w Krakowie. Debiutował w 1950 r. na deskach katowickiego Teatru im. J. Słowackiego rolą Walusia w „Romansie z wodewilu”. Potem przyszła kolej na teatry w Warszawie, Bielsku, Sosnowcu i Zabrzu. Jego dorobek to 250 ról, jakie stworzył w ciągu tych lat. Benefisowe przedstawienie w Teatrze Śląskim to „Słoneczni chłopcy”, w którym zagrał rolę Alca Lewisa. Spektakl reżyserował Marcin Sławiński. A potem było spotkanie przyjaciół, kolegów, starych druhów z dawnych lat. Kogóż tam nie było! Na tę okoliczność Stanisław Mazuś namalował portret artysty a rysownik i satyryk Ryszard Twardoch przedstawił beneficjanta w swoich karykaturach.

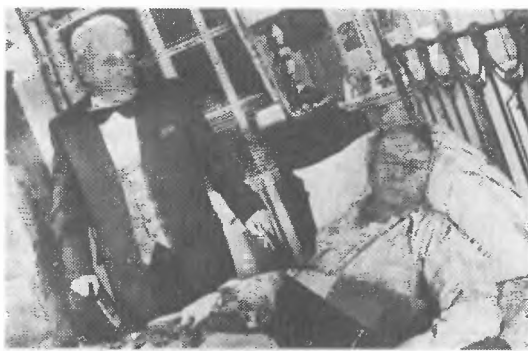


Foto: Urszula Karpińska

■ W Muzeum Historii Katowic otwarto wystawę „Katowickie wnętrza mieszczańskie 1865-1939”, jej częścią jest pokój dziecięcy a w nim ekspozycja zabawek z kolekcji Marka Sosenka.

■ W katowickim Kinie Studyjnym „Światowid” odbyła się premiera filmu „Ksiądz” — obyło się bez skandalizującej atmosfery, a po kilku dniach projekcji sala świeciła pustkami.

■ We wrześniu ukazał się po raz kolejny, obyszczśliwy, pierwszy numer miesięcznika „Ekran”, którego redaktorem naczelnym jest Marian Bijoch, a redakcja mieści się w Katowicach.

Optymizm jubileuszowy

— Teraz to nie jest teatr. Za Pary, panie, to był teatr. A jakie były anegdoty? Wzywa Józef Para charakterystykę, bo mu się wąs odkleił. — A może to nie wina wąsa, a wargi? — powiada Antonina Iskrzycka. — Co też pani mówi? Jakiej wargi? Sromowej? — No, jeśli tam pan ma sromową...

Wszystko wskazuje na to, że pół wieku istnienia, w grodzie nad Białą, zawodowej sceny polskiej bielski teatr dramatyczny nie będzie obchodził w sromotnym nastroju, ale za to w spokoju i głębokim skupieniu. A przecież jeszcze w czerwcu antygoniści Marka Gaja przypuścili szturm na dyrektorski szanec. Gaja obarczono odpowiedzialnością za trzymiliardowy dług i teatralną wędrowkę nad urwisko bankructwa. W magistracie rozważano nawet możliwość zafundowania Gajowi menedżera, który wyprowadziłby placówkę z finansowej zapaści, albo nawet połączenia obu bielskich scen — Teatru Lalek „Baniuluka” z Teatrem Polskim — i objęcia ich wspólną administracją i dyrekcją.

Toczyła się wówczas wojna podjazdowa na konferencje prasowe. Kiedy przewodniczący komisji kultury, sztuki i ochrony zabytków Rady Miasta, Andrzej Jakubiczka zwoływał dziennikarzy do Ratusza, Gaj prosił do dyrektorskiego gabinetu.

Echo krzyku wokół teatru było takie, że nowy Zarząd Miasta sprawę wyciszył. Urlopowe lenistwo nie sprzyjało zresztą w żaden sposób machaniu mieczami w zakutych zbrojach. Po wakacjach okazało się, że dla bogatego miasta i województwa dług wcale nie jest straszny i 15 mld starych zł na utrzymanie i artystyczną działalność sceny w roku jubileuszowym na pewno wszyscy społem znajdą.

Sam Fiat Auto Poland obiecał na remont secesyjnego budynku dziesiątą część tej kwoty, a na razie dal dziesięcioprocentową zaliczkę na ekspertyzę. Współpraca Teatru Polskiego z BIG Bankiem polega natenczas na wymianie ofert, ale obie strony zapewniają, że są w stanie zrobić dla siebie bardzo wiele. Zdaniem Gaja, biznesmeni powołają niebawem fundację, której zadaniem będzie pomoc dla teatru. Dyrektor szacuje tegoroczne wsparcie sponsorów na około 1 mld starych zł. Z większym sercem i w skupieniu może się więc sposobie do jubileuszowej premiery „Balladyny”, którą wystawi 10 listopada.

JAN PICHETA

BIELSKO

NOTATNIK KULTURALNY

Ostatnia Bielska Jesień?

Od 6 października do 26 listopada potrwa XXXII Ogólnopolska Wystawa Malarstwa „Bielska Jesień '95”. Spośród 448 prac nadesłanych przez 183 profesjonalistów z całej Polski jury kwalifikacyjne wybrało na wystawę 86 obrazów 66 artystów. Wystawie w Galerii Bielskiej BWA towarzyszy ekspozycja malarstwa słowackiego. Organizatorzy chcą w ten sposób zapowiedzieć, że ogólnopolski dotąd konkurs zostanie rozszerzony za dwa lata na kraje sąsiednie. Od 1997 roku bowiem wystawa zmieni się w biennale i odbywać się będzie w latach nieparzystych.

Bielska Jesień jest jednym z najstarszych i najbardziej prestiżowych konkursów w naszym kraju, chociażby ze względu na znaczącą w ostatnim czasie pulę nagród. Jest jednak także jednym z nielicznych... dlatego wydaje mi się, że nie powinna zmieniać formuły. Czy nie odgrywa tu jednak roli megalomańskie ambicje bielskiej prowincji?

Kultura bez prominentów?

Mieszkająca obecnie w Kanadzie bielska klawesynistka Ewa Stojek-Lupin, Bielska Orkiestra Kameralna oraz Chór Instytutu Pedagogiki Muzycznej Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie 12 września zainaugurowały w Domu Muzyki Bielskiego Centrum Kultury sezon artystyczny 1995/96. Artyści pod kierunkiem Andrzeja Kucybały wykonali m.in. kilka utworów Henryka Mikołaja Góreckiego, który zaszczylił swą obecnością inauguracyjny koncert. Artysta sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego zarówno wykonaniem swych dzieł, jak i kilkuminutową owacją na stojąco bielskiej publiczności.

Wśród widzów zabrakło tym razem prominentów z miasta i województwa bielskiego. Oburzyło to publicystę Informatora Kulturalnego Województwa Bielskiego — Jakuba Andrzejewskiego, który wyraził swe zdanie na łamach październikowego numeru tego pisma:

„Na całym świecie — grzmiał Andrzejewski — Górecki jest przyjmowany z wielkimi, należnymi tylko największym artystom, honorami. Monarchowie, prezydenci, szefowie wielu rządów poczytują sobie za zaszczyt spotkanie z nim. Tak jest wszędzie, ale nie w... Bielsku-Białej. Nasz zaścianek rządzi się swoimi obyczajami i nikt z władz wojewódzkich czy miejskich nie uważał za stosowne być na tym, nadzwyczajnym przecież, koncercie i przywitać niecodziennego gościa. Może dlatego, że Górecki nie przyjechał z San Francisco czy Rzymu, ale z pobliskich Katowic...”

Zbiory częściowo uwolnione

Przez 15 lat Muzeum Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym koło Wadowic było nieczynne z powodu „własnościowych” niesnasek pomiędzy potomkami pisarza a władzami wojewódzkimi oraz na skutek przedłużającego się remontu obiektu, na ukończenie którego zabrakło kilka lat temu pieniędzy. Aby przerwać łańcuch konfliktów i niemożności, grupa animatorów kultury z Wadowic na czele z Franciszkiem Suknarowskim i Zbigniewem Jurczakiem powołała ponad rok temu Fundację „Czartak”, której udało się przejąć kolekcję Emila Zegadłowicza i ponownie zgromadzić część zbiorów w gorzeńskim dworku poety.

Przejęcia symbolicznej wstęgi dokonali córka poety Atesa Zegadłowicz-Rudel oraz przewodniczący Fundacji „Czartak” Franciszek Suknarowski. Na uroczystość ponownego otwarcia muzeum przybyli m.in. prof. Tadeusz Bujnicki z Uniwersytetu Jagiellońskiego (notabene wadowiczanin) oraz krakowscy poeci: Stanisław Stabro i Adam Ziemiannin (na co dzień mąż wnuczki Emila Zegadłowicza).

Do czasu ukończenia remontu dworku zwiedzać będzie można tylko pięć, z dwunastu udoświadczonych przed laty, salonów i pomieszczeń wystawowych. W dawnej kaplicy z lunetowym sklepieniem na parterze ekspozowane są dzieła sztuki sakralnej, głównie Jędrzeja Wowsy. W sieni zgromadzono zbiór rzeźb Wincentego Bałysa. Pokój wejściowy na pierwszym piętrze poświęcono twórczości Franciszka Suknarowskiego (głównie cyklowi obrazów pt. „Powsinogi beskidzkie”). Podobnie jak przed laty, w jadalni dominują obrazy Ludwika Misky'ego. Herbaciarnia w przeszłości była przeznaczona na kolekcję sztuki Dalekiego Wschodu. Obecnie wystawiane są w niej dzieła o bardzo różnicowanej tematyce. Wedle opiekunów kolekcji, z wnukiem poety Adamem Zegadłowiczem na czele, zbiory zgromadzone w herbaciarni mogą stanowić zapowiedź tego, co można będzie oglądać po zakończeniu remontu całego dworku.



Foto: Arch.

JEDNYM ZDANIEM

■ Od 22 września do 3 listopada odbywała się po obu stronach Olzy cieszyńska Jesień Jazzowa, której gwiazdami byli amerykańskie Ernie Adams i Sheryl Rae.

■ W Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie odbędą się uroczystości z okazji osiemdziesięciolecia urodzin profesora Antoniego Gładysza — socjologa, kulturoznawcy, pedagoga, animatora kultury, jednego z założycieli cieszyńskiej uczelni.

■ W 1995 roku oprócz „Po-Twarzy” Stanisława Goli w Beskidzkiej Serii Literackiej pod redakcją Stowarzyszenia Autorów Polskich ukazała się „Jasność pomrocna” poety i satyryka Juliusza Wątroby z Rudzicy.

■ Państwowa Szkoła Muzyczna w Bielsku-Białej, w której murach wyrósł m.in. tej klasy muzyk co Stanisław Kuk, Paweł Łosakiewicz (skrzypce), Kazimierz Jonkisz (perkusja), Aleksandra Krzanowska czy Andrzej Zubeł (fortepian), obchodziła bardzo hucznie pół wieku istnienia.

■ Trzydzieści lat temu powstał Regionalny Zespół Pieśni i Tańca „Ondraszek” ze Szczyrku, kierowany obecnie przez Janusza Więzika.

■ Karol Gołębiowski z Belgii, Robert Higgins z Niemiec oraz Julian Gembalski z Katowic byli gwiazdami tegorocznej VI Dekady Muzyki Organowej, Chóralnej i Kameralnej, której druga część odbyła się w pierwszych dniach października w cieszyńskich kościołach i salach koncertowych.

■ W ciągu dwudziestu lat istnienia Wojewódzkiego Przeglądu Szkolnych Zespołów Artystycznych w Bielsku-Białej najwięcej wyróżnień specjalnych (kategoria „S”) otrzymały zespoły — teatralne, wokalne, taneczne — kierowane przez Halinę Kubisz-Mulę („Heliotrop” z Wojewódzkiego Centrum Wychowania Estetycznego Dzieci i Młodzieży w Bielsku-Białej), Krzysztofa Wójtowicza (Chór Mieszany Szkoły Podstawowej w Strumienu) oraz Elżbietę Barwicką-Pichetową (Art z WCWEDiM w Bielsku-Białej).

■ W listopadzie przypada 50 rocznica powstania Gminnej Orkiestry Dętej w Zygodowicach koło Wadowic, którą założył 99-letni dziś, niesłyszący mistrz krawiecki Henryk Świadek, a którą przez wiele lat dyrygowali Marian Krawczyk i Stanisław Mruczek.

Nie jeden opolski artysta, opolski twórca kultury chciałby zakląć po hamletowsku: żyć albo nie żyć! Oto pytanie na pewno nie retoryczne. Albowiem odpowiedź jest znana. Żyć trzeba. Tworzyć nakazuje wewnętrzny mus.

Hamlet po opolsku

Ale jak? Kurczy się z każdym dniem mecenat państwa. Większość artystów żyje ubogo. Z trudnością wiąże koniec z końcem. Dorabia nie pracą artystyczną, lecz jako parkingowy, pomocnik murarza, agent ubezpieczeniowy.

Do tego zrozumienia za grosz u decydentów. Spółdzielnia Mieszkaniowa liczy za czynsz — za pracownię na poddaszu — jak za lokale, w których prowadzi się działalność użytkową, handlową, gospodarczą. Monopolista mieszkaniowy jest panem na spółdzielczej zagrodzie. Kilku artystom plastykom wypowiedziano umowę o najem. Nic tylko zębami gryźć pędzle ze złości. Mimo odwołań, próśb, apeli. Spółdzielnia wie swoje. Widać artyści są niepotrzebni. Swoje wizje i marzenia mogą najwyżej realizować jako malarze pokojowi, tapetiarze.

Ale nie jest źle, aby nie mogło być jeszcze gorzej. Zawsze można próbować sprzedać w galerii jakiś obraz, jakąś ceramikę, akwarelkę, aby za zarobiony grosz kupić farby. Artysta chudną. Literaci zło-rzeczą. Nie mogą spotykać się z czytelnikami. Muszą dopłacać do wydania swoich książek. Szkoły nie mają pieniędzy na zakup kredy. Więc co tu mówić o spotkaniach z pisarzami? Co tu mówić o promocji literatury, sztuki, muzyki? Kapitaliści do zainwestowania w kulturę jeszcze nie dorośli.

TADEUSZ
SOROCZYŃSKI

Jubilat

W Klubie Związków Twórczych w Opolu Wiesław Malicki, znany opolski poeta i aforysta, podczas „Czwartku literackiego” świętował swoje 60. urodziny i 33-lecie pracy twórczej. Klub był pełen przyjaciół i miłośników Malickiego rozlicznych talentów. Były kwiaty i życzenia od przyjaciół, list gratulacyjny od wojewody opolskiego, była prawdziwa uczta duchowa.

Wieczór prowadził Harry Duda, prezes opolskiego Oddziału ZLP, który omówił dorobek twórcy jubila-ta. Autor recytował swoje wiersze. mówił o drodze do literatury. Klubowy zespół muzyków jazzowych stworzył nastrój prawdziwego poetyckiego święta.

Na jubileuszowym spotkaniu Malicki powiedział, że życie bywa żartem. Literatura dla niego to nie tylko szansa poznawcza, lecz przede wszystkim możliwość przeżywania swej jedności z ludźmi i przyrodą.



Foto: Jerzy Stemplewski

Zbliżenia

Od ponad dwudziestu lat datują się kulturalne kontakty Opolszczyzny z Zaolziem. Współpracują towarzystwa regionalne, instytucje kultury, środowiska twórcze, naukowe, szkoły. Współpracę tę dyskretnie inspirować i „z rozpędu” koordynuje Opolskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe. Tę pięknie rozwijającą się w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych współpracę zablokował stan wojenny w Polsce.

Jednak w gronie działaczy ruchu kulturalnego na Opolszczyźnie odczuwało się niedosyt opolsko-zaolziańskich kontaktów. Stąd zrodził się pomysł, aby XVII Jesienne Spotkania Opolskich Miłośników Regionu poświęcić współpracy kulturalnej z Zaolziem.

„Lalki” nagrodzone

Opolski Teatr Lalki i Aktora im. A. Smolki otrzymał jedną z trzech nagród przyznanych na odbywających się w Ostrawie I Międzynarodowym Festiwalu Lalkarskim „Spektakule Interesse”.

Jury nagrodziło opolskie przedstawienie „Arlekina i Kolombiny” za reżyserię i scenografię, które umożliwiły brawurową grę aktorską. Na ostrawskim festiwalu prezentowały się sceny lalkowe z ośmiu państw.

JEDNYM ZDANIEM

■ Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu nowy sezon rozpoczął premierą sztuki „Śmierć komiwojażera” Arthura Millera, w głównej roli gościnnie wystąpił Henryk Machalica.

■ 17 października w Głubczycach podczas Spotkania Animatorów Kultury wojewoda opolski, Ryszard Zem-baczyński, 10. animatorom wyróżniającym się aktywnością, przyznał nagrody. Otrzymali je: Stanisław Cetnarowski z Nysy, Bernard Grzesita z Odrówą, Ryszard Mohrhard z Osowca, Piotr Mieczka z Brożca, ks. Jerzy Kowolik z Naczęslawic, Halina Nabrdalik z Opola, Teresa Smolińska z Opola, Emilia Szpiech z Piotrków, Tadeusz Tadla z Lewina Brzeskiego i Maria Żmija-Głombik z Wale.

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Laur dla Warzoka

W Pszczynie wojewodowie z województw katowickiego, bielskiego, częstochowskiego i opolskiego wręczyli po raz trzynasty Nagrody im. Karola Miarki za działalność nawiązującą do idei patrona nagrody. Laureatem nagrody wojewody opolskiego został lekarz medycyny Adolf Warzok.

Ten wybitny Ślązak, człowiek spod znaku Rodła, absolwent Polskiego Gimnazjum w Bytomiu, działacz społecznego ruchu kulturalnego, rozkochany w śląskim folklorze, popularyzator rodzimej kultury, autor literackich i wspomnieniowych książek (m.in. takich jak „Bojki, błozny i kłyty”, „Powtórka z historii”, „Czas na rozdrożu”) całym swoim życiem, działalnością społeczną i kulturalną w pełni zasłużył na uhonorowanie tą nagrodą.

Urodził się w raciborskich Ciechanowicach. Syn górnika, uczestnika akcji plebiscytowych i powstań śląskich. Jako instruktor ZHP w Niemczech uczestniczył w wielu akcjach i imprezach harcerskich. W okresie międzywojennym działał jako aktor i reżyser w polskich amatorskich zespołach teatralnych i jako chórzysta w zespołach śpiewaczych. Był członkiem Związku Akademików Polaków. W czerwcu 1939 roku wraz z innymi Polakami został relegowany z Uniwersytetu Wrocławskiego. Więzień obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie.

Studia medyczne ukończył w 1948 roku. Od 1953 r. był ordynatorem w Szpitalu Wojewódzkim w Opolu. Przez 33 lata rajcował w Miejskiej Radzie Narodowej w Opolu, w tym jako jej przewodniczący. Przez wiele lat był też wiceprezesem Towarzystwa Przyjaciół Opola.

Obrodziło tomikami

W bieżącym roku „sygnęło” tomikami wierszy opolskich autorów. W Oficynie ZLP w Opolu w 1995 roku ukazały się: „Ściana soli”, debiutancki tomik wierszy Jacka Grunwalda, mieszkającego na pograniczu niemiecko-francuskim w Saarbrücken; „Obok milczenia” — drugi tomik Edmunda Borzemskiego, poety z Łambinowic; „Czas pstrąga” — siódmy tomik Tadeusza Soroczyńskiego, „Psalm Dawida wierszem przez Harry’ego Dudę” — zbiór piąty psalmów opolskiego poety. Ponadto Maria Sławska ze Strzelc Opolskich wydała tomik pt. „Chwila z Tobą”, Lidia Irena Węglarz „Ogród słów”.

■ W dniach 5—9 października br. w Brzegu odbywał się VI Najazd Poetów na Zamek Piastów Śląskich, w którym wzięło udział ok. 50 poetów z różnych stron Polski i zagranicy, m.in. z Czech, Słowacji, Litwy, Ukrainy.

■ Po raz trzeci wręczono poetycką Nagrodę im. Marka Jodłowskiego — jej tegorocznym laureatem został Karol Maliszewski z Nowej Rudy.

■ Podczas głubczyckiego spotkania animatorów kultur w kawiarni „U Kurka” Jan Goczoł, poeta i prezes Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego prowadził rozmowy o kulturze; dyskutowano o zagrożeniach i barierach w jej rozwoju w środowiskach lokalnych.

Spalenisko

Nie ma, niestety, powodów, do budowania bram triumfalnych na kolejną rocznicę upadku komunizmu. Życie nabrało barw, to prawda, ale esencja Zaolzia, to, co stanowiło o istocie tego fenomenu kulturowego, czyli poczucie wspólnoty losu i jedności dążeń — legło w gruzach burzowych z zachwytem murów. Relatywizm, indywidualizm, pluralizm i ich bardziej wymierne pochodne w postaci wolnego rynku i rachunku ekonomicznego nie ujął, jak na razie, swego dobroczynnego potencjału. Wręcz przeciwnie — pokazały, że w środowisku liczebnie małym, żyjącym w rozproszeniu i egzystencjalnym zagrożeniu procesami asymilacyjnymi, a więc w środowisku, które w walce o przetrwanie musi się jednoczyć wokół jednej integracyjnej idei — są siłami działającymi destrukcyjnie.

Do 1989 roku zaolziańscy twórcy skupili się w Sekcji Literacko-Artystycznej przy Zarządzie Głównym Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. Jakkolwiek parli oni zawsze ku samodzielności i niezależności — czego wyrazem było np. utworzenie Grupy Literackiej '63 przy Domu Kultury w Trzyczynie lub formacji H '68 (od słowa happening) — to jednak ich wielopoziomowe powiązania z organizacją o wyraźnie zachowawczym, konserwującym odrodzeniowym model polskości z końca XIX wieku, programie i dysponującą niezbyt wielkimi wpławkami, ale stałymi dochodami z dotacji państwowej, sprzyjały wytworzeniu mocnych środowiskowych więzi.

Dopiero z dzisiejszej perspektywy widać, w jak wielkim stopniu one właśnie określały intensywność życia literacko-artystycznego i — pośrednio — rozwój zaolziańskiej literatury i sztuki. Regularnie dwa razy w roku organizowane są dwudniowe seminaria, konkursy jednego wiersza, karczny artystów z aukcjami obrazów i panelowymi dyskusjami, wernisaże plakatów poetyckich, wiosna poezji nad Olzą, stałe kolumny literackie w „Głosie Ludu”, wieczory autorskie pisarzy z Polski, wpływ środowiska na model miesięcznika „Zwrot”, na repertuar Teatru Lalek „Bajka”, na młodzieżowy ruch małych form scenicznych, współpraca ze Sceną Polską, audycje literackie w polskiej redakcji radia otawskiego, zbiorowe prezentacje twórczości w prasie polskiej i czeskiej — wszystko to albo spłonęło w ogniu wiary w samonapędzającą koniunkturę moc demokracji, albo tli się jeszcze słabą iskrą w inkubatorze siły rozpadu.

Minęło sześć lat od rozpalenia ogniska wolności. Drepczemy wokół spaleniska i tylko w nagłych porывach pamięci pochylamy się, żeby pogrzebać w popiele wygasłej radości bicia razem.

KAZIMIERZ KASPER

ZAOLZIE

NOTATNIK KULTURALNY

Wierny tradycji

Istniejący od 40 lat chór żeński „Melodia” w Nawsiu należy do ścisłej czołówki zaolziańskich zespołów śpiewaczych. Prowadzony od 1990 r. przez dr. Aleksandrę Paszek-Trefon z cieszyńskiej filii Uniwersytetu Śląskiego pomnaża nie tylko dorobek poprzednich dyrygentów — Karola Heczki, Władysława Winklera, Jana Cieślara i Bogusława Stonowskiego, ale kontynuuje stuletnią już tradycję polskiego śpiewactwa na Podbeskidziu.

Beskidzkich górali, co ciekawe, rozspiewał pastor ewangelicki Jan Winkler z Moraw, który został karnie zesłany do Nawsi i tutaj, chcąc nawiązać bardziej perspektywiczne kontakty z wiernymi, nauczył się po polsku. Językiem polskim posługiwał się w tym czasie również słowacki budziciel narodowy Ludovit Stur, inspirator działań narodowych Pawła Stalmacha na Śląsku Cieszyńskim, czego dowody posiada w postaci listów do J. Winklera pani prezes „Melodii” Lidia Przeczek.



Szmauz i Klimsza

Jakkolwiek nazwisko Janusza Klimszy kojarzy się przede wszystkim ze Sceną Polską i zrealizowanymi z jej zespołem, wielokrotnie nagradzanymi, m.in. na Festiwalu Teatralnym „Na Granicy”, przedstawieniami „Czarnej Julki” wg G. Morcinka czy „Przednówka” wg P. Kubisa, to od pewnego czasu występuje ono również obok nazwy amatorskiego Teatru im. mjr. Szmauza z Cz. Cieszyńska. Z zespołem tym J. Klimsza związał się przede wszystkim z uwagi na możliwość realizowania z nim nie skrupowanej klasycystycznymi regułami estetyki teatralnej. Do legendy czeskiego teatru otwartego weszły ich przedstawienia „Wiejski lekarz” wg Kafki i „Kometa” wg Schulza, prezentowane na krajowych festiwalach i przeglądach teatrów małych form scenicznych.

JEDNYM ZDANIEM

■ Plastyki podtrzymują zadzierzgnięte w latach 70. kontakty z polskimi kolegami głównie poprzez udział w plenarach: ostatni odbył się w Kędzierzynie-Koźlu, a uczestniczyli w nim: Józef Drong, Rudolf Kobiela i Oskar Pawlas.

■ Rada Polaków zwróciła się z prośbą do polskich organizacji o przeprowadzenie inwentaryzacji utraconych na mocy tzw. dekrétów Benesa przedwojennych majątków; dokumenty te będą stanowić materiał dowodowy podczas rozmów rewindykacyjnych z czeskim rządem.

■ Pochodzący z Bystrzycy n/Olzą Bronisław Walicki, przewodniczący Stowarzyszenia „Klub Polski” w Pradze, został udekorowany przez kończącego misję dyplomatyczną w Czechach, ambasadora Jacka Balucha, Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP.

■ Macierz Szkolna wydaje własny periodyk „Macierz”, który drukowany jest w zakładach poligraficznych „Fibak Marquard Press” w Katowicach.

Putzlacher tłumaczka

W ub. roku czeskojęzyńska, najbardziej utalentowana poetka młodego pokolenia Renata Putzlacher przetłumaczyła i doprowadziła do wydania zbioru songów znanego czeskojęzyńskiego barda Jaroslava Nohavicy. W czerwcu dla Sceny Polskiej przełożyła komedię Antonina Prochaski „Męskie złudzenia” (polska prapremiera) a ostatnio w krakowskim wydawnictwie „Miniatura” pojawił się jej autorstwa wybór i tłumaczenie sentencji o miłości czeskich pisarzy „Miłość po czesku”.

MIŁOŚĆ po czesku



Muzeum im. Karola Piegy

Jeszcze przed wakacjami w Polskiej Szkole Podstawowej w Bukowcu powołano do życia miniaturowe Muzeum Regionalne im. Karola Piegy. Jest ono filią Muzeum Beskidzkiego we Frydku-Mistku oraz Ośrodka Dokumentacyjnego Kongresu Polaków. Placówka gromadzi eksponaty sztuki ludowej, będące jeszcze w posiadaniu mieszkańców tej beskidzkiej, graniczącej z Jaworzynką, wsi. Od początku roku szkolnego zaczęła też rozprowadzać materiały reklamowo-historyczne, popularyzować dorobek zasłużonego zaolziańskiego etnografa i artysty oraz kompletować nagrania folkloru słownego.

Wyspa ludożerców

Teatr Lalek „Bajka” — zespół ZG PZKO założony przez Ferdynanda Króla i prowadzony następnie przez Adama Wawrośa i Bronisława Liberde — wystawił „Wyspę ludożerców” T. Klimowskiego w reżyserii Leszka Wronki — b. aktora Sceny Polskiej, obecnie prywatnego przedsiębiorcy, sponsorującego m.in. swój macierzysty teatr. Przedstawienie „Wyspy...” również było w znacznej części zrealizowane dzięki jego wsparciu. Premiera odbyła się w należącym do L. Wronki, popularnym m.in. wśród Polaków zza Olzy, Art-Clubie w Trzyczynie. Kierowniczką zespołu jest obecnie Pawełka Niedoba.

■ W Olbrachcicach otwarto nowy Dom PZKO, w którego budowę największy wkład pracy wniósł Josef Malcher, mieszkaniec Olbrachcic narodowości czeskiej, który przepracował przy budowie 400 godzin.

■ 50-lecie obchodził Polski Chór Kościelny w Trzyczynie, prowadzony przez prezesa Władysława Zientka, dyrygentów Franciszka Przyhodę, Edwarda Chlebika, Tadeusza Siedlaczka i organistę Tadeusza Kiedronia.

■ W Pradze zmarł jeden z najwybitniejszych czeskich polonistów, literaturoznawca Otokar Bartos.

■ Działająca pod kierunkiem Wilhelma Przeczka i Jana Pyczki „Kawiarenka pod Pegazem” w Jablonkowie organizuje od kilkunastu lat regularne spotkania z piszącymi polskimi, czeskimi i zaolziańskimi (ostatnio ich bohaterami byli: iracki poeta piszący po polsku Hatif al-Janabi oraz Tadeusz Kijonka.

Pod ostrym kątem

Kontrakt

Zaskakujące, jak dalece ten wybitnie propagandowy gest wzbudził zachwyt wszystkich sił politycznych. Władza wygrała nim wiele przedwyborczych punktów. Regionalna „Solidarność” także obnosi porozumienie jako swój sukces. Jacek Kuroń, pielgrzymując po kraju, wszystkim stawia za wzór wysiłek katowickich działaczy regionalnych. Tymczasem w powodzi publicystycznych zachwytów, giną nieliczne głosy, sceptycznie oceniające „kontrakt”. Chodzi głównie o dwie rzeczy. Po pierwsze Kontrakt sankcjonuje, rzecz można, „carsko-socjalistyczny” model stosunków między społeczeństwem a władzą. Mieszkańcy regionu nie dostają nic z mocy prawa lub na gruncie zwykłych stosunków gospodarczych. Otrzymują coś dzięki łaskawości władzy, która przychyliła się do społecznych postulatów i w przypływie dobrego humoru coś uszczknie. Znow — jak dawniej — całkiem oficjalnie mówiło się o „stronie rządowej” i „stronie społecznej”. Przypominam, że ostatnim takim posunięciem był Okrągły Stół. Później władza miała sprawować swój urząd ze społecznego nadania i w granicach prawa. Po drugie — wszystko, co „strona społeczna” z łaski władzy otrzymywała, powinno się znajdować na liście psich obowiązków tej drugiej — obowiązków wobec regionu i tutejszej społeczności. Warto też dopisać i punkt trzeci: cała łaska jest iluzoryczna, bo nie poparta żadnymi znaczącymi pieniędzmi oraz przyzwoleniem parlamentu, co ma dopiero nastąpić. Ale to już inne schody, które jeszcze przed nami.

Piętnasta Rawa

Kiedy przed laty Ireneusz Dudek organizował na Górnym Śląsku „lobby bluesowe”, raz za razem padały pytania o przyczynę tak dziwnych zainteresowań muzycznych — akurat u nas. Blues (jak wiadomo) to muzyka amerykańskich Murzynów i to Murzynów raczej ze społecznych nizin niż z establishmentu. Zdaje się, wówczas do naszych ziemiaków przylgnęło autoironiczne określenie: „biały Murzyn”.

Władzy (ówczesnej) mogło się to nie podobać, lecz nikt nie pamięta, by miała coś przeciwko pomysłowi zaszczepiania nam tej muzyki. Wprost przeciwnie. Umiejętnie kanalizowała aktywność starszej młodzieży, która już zaczynała obserwować i przemyśliwać to i owo. Był jednak i drugi, znacznie ważniejszy aspekt tej sprawy. Oto niespodziewanie

blues niestychanie szybko zakorzenił się w górnośląskiej duszy i nie minęło parę lat, gdy zaczęliśmy tę muzykę uznawać za swoją.

Pojawiły się zjawiska przerastające zwykłą sztukę dla mas. Na rynku funkcyjowali już bracia Skrzekowie: wysokiej klasy zawodowiec Józef i genialny naturalszczyk Jan „Keks”. Blues płynął im z głębi duszy i nie dało się temu zaprzeczyć. Był wreszcie sam Ireneusz Dudek, równie autentyczny co profesjonalny, był wreszcie Ryszard Riedel, wokalista niemal kultowy. Muzyka z murzyńskich slumsów znalazła na Śląsku swój drugi dom i brzmiała tu niezwykle swojsko. W każdym razie miała tu swoją autonomiczną mutację. I chyba dlatego można dziś mówić, że festiwal „Rawa blues” właściwie umarł śmiercią naturalną z chwilą, gdy od tego nurtu odszedł w stronę bluesa uniwersalnego, ze swoimi nowymi korzeniami nie mając już nic wspólnego. Sam Ireneusz Dudek wyjechał za granicę, też się zuniwersalizował i może tu wracać najwyżej jako gość, a nie współtwórca bluesa familokowego.

Śmierć Pohla

Nigdy nie byłem kibicem piłkarskim, ale nie mogę nie dostrzegać znaczenia futbolu dla naszej regionalnej kultury. Wszyscy, którzy wyrosliśmy w świecie podwórek okolonych domami z czerwonej cegły — byliśmy mentalnie skazani na piłkę, która wchodziła w nasze życie od dzieciństwa i tkwiła w nim do śmierci. Piłkarscy idole byli zawsze autentycznymi bohaterami ludowymi, których kariery stawały się własnością całej społeczności. Górnośląskie miasta nie mogły istnieć bez stadionów lub przynajmniej boisk piłkarskich. Być może było to zwykłe społeczne zapotrzebowanie na igryską, lecz myślę, że u nas chodziło o coś więcej. Dla setek tysięcy, może nawet milionów młodych ludzi istniały właściwie tylko dwie wyobrażalne drogi do kariery wynoszącej poza społeczne niziny. Jedna wiodła przez seminarium duchowne, druga przez stadion. I w takim sensie piłkarscy idole musieli być wzorami i zarazem obiektami marzeń i tęsknot.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu nikt nawet nie myślał o futbolu jako o źródle zarabiania gigantycznych pieniędzy, o gnieździe korupcji i gangsterstwa. Na tyle ile się dało, idole byli nieskalani i przez to autentyczni. Pośród największych kapłanów tego sportu, w mentalności przeciętnego chłopaka przez długie dziesięciolecia pozostawali zawsze dwaj genialni Górnoślązacy: Gerard

Cieślik i Ernest Pohl. Śmierć tego ostatniego, która zastała go gdzieś na niemieckim wickie, symbolicznie przypieczętowała koniec pewnej epoki.

Romantyczne czasy familokowych podwórek i bez trosk gwiazd miejskich stadionów przeminęły już dawno, ale dopóki jeszcze gdzieś tam po cichu żyli ci NAJWIĘKSI, istniał symbol, a wraz z nim wymierny punkt odniesienia do sentymentów. Dzisiejsza gangrena tocząca sport raz za razem wywołuje wspomnienia herosów z tamtych lat.

Prokurator na węglu

Minister spraw wewnętrznych Andrzej Milczanowski przyznał wreszcie, że sprawa afer węglowych „nosi znamiona przestępczości zorganizowanej”. A tak w języku prawniczym nazywa się mafię. Bardzo długo i z wielkimi oporami „organa ścigania” zabierały się za węglową ośmiornicę. Od kilku już lat systematycznie miliony ton tego podstawowego surowca energetycznego przeciekają przez kieszenie bossów spółek. Liczne nitki wzajemnych powiązań nieustannie wiodą do zarządów spółek górniczych i handlujących węglem.

Układ jest doskonale konserwowany przez kolejne przekształcenia i reorganizacje strukturalne w górnictwie. Nie załatwiają one ani jednego z elementarnych problemów tego socjalistycznego molocha. Doskonale za to pozwalają zamoczyć tropy przed co odważniejszymi prokuratorami. Tych jest niewiele — sprawa pachnie bowiem nie tylko węglem, ale i prochem. W tej branży nie trudno o dynamit.

Sprawę dodatkowo skomplikowały roszady, jakich dokonał w tym roku na kluczowych etatach w węglu minister przemysłu. Nie jestem zwolennikiem wymierzania sprawiedliwości na związkowych wiecach, ale tym razem oddać trzeba sprawiedliwość tym komisjom i radom zakładowym, które już od kilku lat trąbią o aferach, a skutek był mniej niż mizerny. Kilka spektakularnych aresztowań, rychło zamienionych na nikle kaucje lub zgola poręczenia i sprawa rozeszła się po kościach. Zresztą prawdopodobieństwo skazania kogokolwiek jest znikome: oprócz zagmatwania i plątaniny wątków działa daleko ważniejsza sieć partyjno-koleżeńskich powiązań na różnych szczeblach. Jeśli zatem minister Milczanowski postanowił działać, to czeka nas skala procesów na miarę afer włoskich. Albo... odejście ministra.

MICHAŁ SMOLORZ

Intymne ciepło

Wystawa malarstwa Olgierda Bierwiazczonka w Muzeum Śląskim w Katowicach ma charakter typowej ekspozycji retrospektywnej (mimo, iż nie jest to podkreślane ani w jej tytule, ani w tekstach katalogu, prezentującego wybór prac artysty z lat 1953–1995). Powodem tego, zgodnie z tradycyjnym rytuałem, jest jubileusz 70-lecia urodzin artysty-malarza.

Należy on do tych mieszkańców Górnego Śląska, którzy wymieciwi wichrem wojny ze swoich kresowych stron rodzinnych, tu osiedlili się i zakorzenili. Bierwiazczonko urodził się 30 sierpnia 1925 roku na Wileńszczyźnie, we wsi Łaszuki, w powiecie postawskim. Maturę uzyskał w Państwowym Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym dla Dorosłych w Przemyślu, pełniąc zawodową służbę wojskową. Karierę artystyczną zaczynał jako amator. W 1951 roku zdobył I nagrodę w dziale malarstwa na I Ogólnopolskiej Wystawie Żołnierzy Plastyków. Zwierchność skierowała go na studia artystyczne do Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Katowicach, które kontynuował po zwolnieniu z wojska w 1952 r., a ukończył w Akademii Sztuk Plastycznych w Warszawie w 1956, w pracowni Eugeniusza Eibicha.

Po studiach wrócił na Śląsk i zamieszkał w Mikołowie. Pracował jako „nauczyciel przedmiotów artystycznych”. Uczestniczył w życiu katowickiego środowiska plastycznego, działał we władzach Okręgu Związku

Polskich Artystów Plastyków, wystawiał prace na ekspozycjach regionalnych i ogólnopolskich. W 1974 r. zrezygnował z pracy pedagogicznej, przeniósł się do Katowic i zajął się wyłącznie malarstwem.

Ma w swoim dorobku 17 wystaw indywidualnych w kraju, pięć w ośrodkach kultury polskiej za granicą (w Berlinie dwukrotnie, Bratysławie, Pradze i Sztokholmie). Uczestniczył ponadto w 17 wystawach sztuki polskiej za granicą i siedmiu wystawach międzynarodowych. Jego prace znajdują się m.in. w zbiorach Muzeum Narodowego i Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu, Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie, Muzeum Ziemi Przemyskiej w Przemyślu, Muzeum Śląskiego i Muzeum Historii Katowic — w Katowicach oraz muzeów w Bielsku-Białej, Raciborzu, Chorzowie, Tarnowskich Górach i in. Ponadto obrazy Bierwiazczonka są w kolekcjach CBWA w Warszawie, BWA w Radomiu, Bydgoszczy, Częstochowie, Katowicach, Opolu, Poznaniu i Radomiu, a także w zbiorach prywatnych w kraju i za granicą, m.in. w Galerii Uffizi we Florencji i Grey College w Durham w Anglii, w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie.

Dwukrotnie otrzymał Nagrodę Wojewódzką (w 1972 i 1982 r.), a w 1985 — Nagrodę II stopnia Ministra Kultury i Sztuki.

W katalogu wystawy, Jadwiga Bednarska, jej komisarz, napisała m.in.: „Niezwykle ważnym, aktywnym elementem sztuki Bierwiazczonka jest koloryt, zawsze bardzo wytworny, wysmakowany, przemysłany w najdrobniejszych szczegółach i nadający jego twórczości indywidualne piętno. Sprawa to przyciszona, wyciszona tonacja barw, najczęściej dzięki zastosowaniu bieli. Te zabiegi artystycznego działania sprawiają, że malarstwo Olgierda Bierwiazczonka jest pełne intymnego ciepła i liryzmu, co

nadaje mu szczególnie urok. Ale nie jest to regułą, bo w swym dorobku ma artysta serię kompozycji z sylwetkami wielobarwnych lalek, pełnych różnych odczuć, od radości do melancholijnej zadumy (np. „Przebudzenie” czy „Determinacja”).

W martwych naturach artysta odkrywa nie tylko ich olśniewającą zjawiskowość, ale także ukazuje pewne cechy tajemniczości. (...)

W sposób niekonwencjonalny, wręcz nowatorski Olgierd Bierwiazczonko komponuje akty postaci kobiecych. Jako przykład można wymienić pełne sugestywności dzieło zatytułowane „Na luzie”, wyobrażające akt kobiecy zażywającej relaksu, zajętej lekturą i ukazanej w pozie półleżącej. Bardzo osobisty jest również akt dziewczyny stojącej w szparze lekko uchylonych drzwi. Uwagę przykuwa tu alabastrowa karnacja jej ciała tchnącego zdrowiem i urodą. A ileż poetyckiego piękna emanuje z pejzaży artysty, pełnych niezwykle prostoty? (...)

(SAW)

Olgierd Bierwiazczonko, „Malarstwo”, komisarz wystawy: dr Jadwiga Bednarska, aranżacja: Mariusz Paluchiewicz, projekt okładki katalogu: Olgierd Bierwiazczonko, opracowanie graficzne katalogu: Franciszek Kłak, Muzeum Śląskie, Katowice 1995.

Zachwyt i niepokój

Z niepokojem i zachwytem śledzę kolorowe smugi na ścianie. Jak i z czego powstały? Kiedy się pojawiły? Kiedy znikną? A przede wszystkim — dlaczego?

Okna nigdy nie można zasłonić całkowicie, zupełnie i ostatecznie. Zawsze zostaje trochę wolnego miejsca między ścianą i firanką czy kotarą. Akurat tyle, ile potrzeba wślizgującemu się promieniowi światła. Najpierw zagląda nieśmiało i ciekawie, a potem dotyka ścian. Śladem dotknięcia jest mała stubarna tęcza, cicha i gładka. Czasem gwałtownie drży — to poruszyła się firanka — i ulega cudownemu zwielokrotnieniu.

Promień myszkuje dalej — przegląda się w pękniętym lusterku i w pokoju mnożą się opalizujące refleksy. Dociera do wazonu — szkło, woda i światło rozsypują na serwecie wszystkie skarby Sezamu. Ożywiają, mieniają się i uśmiechają nawet najmniejsze, niezauważane i pogardzane drobiazgi.

Wszystko dookoła łśni. Krążące w powietrzu pyłki zmieniają się w ruchliwe, przezroczysto-żółte motyle.

Czy nie za wiele cudowności? A jeszcze jasność z okna naprzeciwko. Wciąż śledzę kolorowe smugi na ścianie. Wiem, z czego i jak powstały. Obserwuję ich narodziny i zauważę zniknięcie. Wiem o nich prawie wszystko — lecz mój niepokój i zachwyt rośnie.

Metoda collages (papiers collés) jest stara jak świat. Jednak to, co zawsze było tylko dziecinna zabawa, stało się w naszym stuleciu autentyczną, niezaprzeczną formą sztuki. Collages wystąpiły po raz pierwszy w roku 1912 w dziełach Georges'a Braque'a i Pabla Picassa, którzy naklejał na kartonie lub płótnie kawałki papieru gazetowego, pakowego czy dekoracyjnego. Na nich dopiero kładli kreski piórem i ołówkiem, plamy gwaszu albo olejnej farby.

Wkrótce collages wykonywali także Juan Gris, Jean Arp, Kurt Schwitters, włoscy futuryści, francuscy dadaści, a zwłaszcza Max Ernst. Henri Matisse, jeden z patriarchów dwudziestowiecznej plastyki, stwierdził wręcz — i powinniśmy mu wierzyć — że nożyczki są wrażliwsze od ołówka.

Wszystkie te refleksje nasuwają się na wystawie Marka Przybyły, malarza i grafika, który tym razem prezentuje malarskie collages. A nożyczki Marka Przybyły wrażliwością, zręcznością, biegłością i mądro-

ścią dorównują pędzłom. Także dowcipem, błyskotliwością i umiętnością tworzenia zaskakujących powiązań, połączeń i skojarzeń. Te nożyczki nie tną gazetowego papieru, starych rycin czy koronek, jak to czynili klasycy gatunku. Te nożyczki pocięły obrazy. Prawdziwe. Zrobiły z nich szersze i węższe paski, a także kółka, trójkąty i romby. Potem wystarczyło już tylko te nieskomplikowane figury geometryczne poukładać i posklejać na nowo. Czy może być coś prostszego?

Nożyczki to rzeczywiście bardzo wrażliwy instrument. Zwłaszcza w rękach, które wiedzą, jak się nimi posługiwać.

KATARZYNA
MŁYNARCZYK

Marek Przybyła — Malarskie collages Miejska Galeria Sztuki „Extravagance”, Sosnowiec, wrzesień 1995, wersja — 7.IX.1995

50 lat

CENTRO
STAL

tradycji

OFERUJE

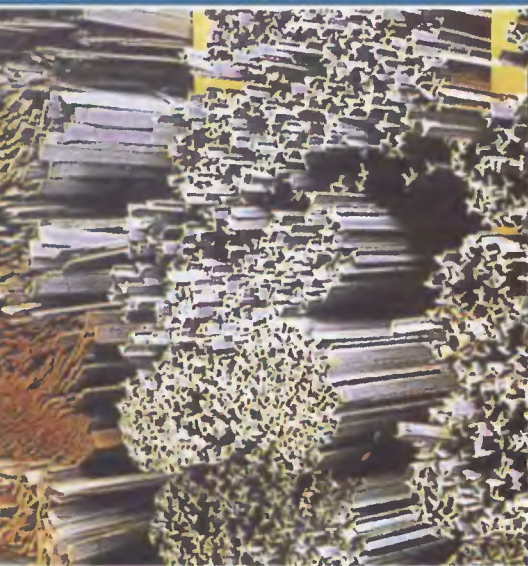
pełny asortyment wyrobów hutniczych, materiały budowlane
i wyroby dla budownictwa inżynierskiego

szeroki asortyment tworzyw sztucznych – renomowanych firm
z krajów EWG – z przeznaczeniem dla budownictwa i reklamy

- Gwarantuje atesty na sprzedawane wyroby
- Stosuje niskie ceny
- Wykonuje usługi cięcia

Zaopatrywanie się w „Centrostalu Górnośląskim” uwalnia od kłopotów
kompletowania różnych asortymentów u wielu dostawców

Sprzedaż pełnej oferty wyrobów dokonuje się w Katowicach, ul. Stalowa 1, tel. 152-10-21 do 9, a sprzedaż materiałów budowlanych, wyrobów dla budownictwa inżynierskiego oraz tworzyw sztucznych odbywa się także w Katowicach, ul. Kościuszki 229, tel. 152-10-21 do 9, fax 152-10-56 i 152-16-78, nr konta bankowego 312608-0700052814 Bank Śląski VII O/Katowice.



**Zapraszamy na zakupy
do „Centrostalu Górnośląskiego”**

CENTRO
STAL

CENTROSTAL GÓRNOŚLĄSKI

Przedsiębiorstwo Państwowe Obrotu Wyrobami Hutniczymi
w Katowicach, ul. Stalowa 1



Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu...

lecz kiedy Państwo chcą:

- mieć zapewnione dostawy węgla z szerokiej listy kopalń i koksowni, w bogatej gamie sortymentów, o zróżnicowanych cenach
- aby terminy dostaw były dostosowane do Państwa bieżących potrzeb
- mieć możliwość skorzystania z usług laboratorium wyspecjalizowanego w badaniu węgla
- zaoszczędzić czas oraz pieniądze
- skorzystać z fachowej pomocy i doradztwa w zakresie doboru węgla, jego użytkowania i składowania
- mieć możliwość rozliczania we wszelkich formach płatności (także rozliczeń kompensacyjnych)
- skorzystać z ewentualnego pośrednictwa w rozliczeniach finansowych na rynku węglowym pomiędzy odbiorcą a dostawcą, umożliwiającego zachowanie płynności finansowej

WĘGL  ZBYT
WĘGL  ZBYT
WĘGL  ZBYT
WĘGL  ZBYT
WĘGL  ZBYT
WĘGL  ZBYT
WĘGL  ZBYT
WĘGL  ZBYT
WĘGL  ZBYT

**jednym słowem – czuć się bezpiecznie na rynku handlu węglem i koksem,
droga powiedzie Was do...**



CZW S.A.

WĘGL  ZBYT

**40-931 Katowice
ul. Kościuszki 30**

Informacji udziela Biuro Marketingu:
tel.: 032/157-36-25, 157-36-26, 519-260
fax 032/511-562, tbc: 312-562, 303-731



S.A.

351674

15857

węglkokoks

węglkokoks

węglkokoks

węglkokoks

Węglkokoks S.A. to wielkie przedsiębiorstwo handlu zagranicznego od 1951 roku

WĘGŁOKOKS S.A.

wielkie przedsiębiorstwo
handlu zagranicznego
od roku 1951

na międzynarodowych rynkach:
drugi na świecie
pierwszy w Europie
eksporter węgla

WĘGŁOKOKS S.A.

główny eksporter węgla i koksu działa także
na rzecz polskiego górnictwa jako uznany importer
W bogatej ofercie:

- import maszyn i urządzeń górniczych
- import magnetytu dla górnictwa i hutnictwa
- import usług dla górnictwa
- pośrednictwo w leasingu maszyn
i urządzeń górniczych.

UWAGA!

Rozliczanie wzajemnych zobowiązań między
zleceniodawcą a WĘGŁOKOKSEM odbywa się
na zasadzie kompensaty bieżącymi dostawami
węgla na eksport.

WĘGŁOKOKS S.A.

40-085 KATOWICE
ul. Mickiewicza 29
tel. 58 24 31
tlx 31 56 41
fax 51 54 53

